



UUK

JACK L. CHALKER

ZMIERZCH PRZY STUDNI DUSZ:
TESTAMENT NATHANA BRAZILA

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 1996

Tytuł oryginału: Twilight at the Well of Souls: The Legacy of Nathan Brazil
Wydanie I



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Strefa Południowa, Świat Studnia	3
Hakazit	13
Awbri	24
Dillia	38
Ambasada Uliku, Strefa Południowa	53
Dahbi	59
Gedemondas	64
Ambasada Gedemondasu, Strefa	88
Ambasada Uliku, Strefa Południowa	98
Dillia	104
Na granicy Bahabi-Ambreza	113
Strefa	122
Mowrey na Oceanie Cieni	125
Makiem	129
Strefa	133
Yongrem, na granicy Betared-Clopta.	136
Lamotien	142
Bache	147
Bache, tej samej nocy	156
Dahir	161
Bache	167
Lamotien, tuż przed północą	174
Bache, przy granicy Dahiru	177
Bache, przed świtem tego samego dnia	183
Na przełęczy Borgo	193
Trasa przy Barierze Równikowej	212
Studnia Dusz	232
Nahghkaland, Ziemia.	239

Strefa Południowa, Świat Studnia

— Drużyna Morvathu donosi, że z całą pewnością zabiła właśnie Nathana Brazila — powiedział ze znużeniem Czillianin. Jego opuszczone członki i głowa w kształcie dyni wyrażały wyczerpanie.

Serge Ortega westchnął.

— Ile takich doniesień mieliśmy dzisiaj?

— Dwadzieścia siedem — odparła roślinna istota — i to jeszcze nie koniec.

Ortega rozluźnił się, rozsiadł się na swym potężnym, skrzyconym ogonie i potrząsnął głową.

— Należy jednak podziwiać genialność pomysłu. Wiedział, że Rada Świata Studni nigdy nie odważy się go wpuścić z powrotem. Sprowadza zatem kilku chirurgów do Kom, żeby przerobili szereg osób tak, aby były podobne do niego i wysłał je tu. To należy podziwiać. Trzeba też podziwiać odwagę ludzi, którzy pozwalają sobie zrobić coś takiego, chyba że są cholernie naiwni albo po prostu cholernie głupi.

Czułki Czillianina, podobne do pędów winorośli, wykonały bardzo ludzki gest.

— To nic nie znaczy. Co mu to daje? Zabijamy każdego, kto się przekradnie, i wiemy, że gdy tu przybędzie, będzie wyglądał tak jak na naszych zdjęciach. Nawet jeżeli przedostanie się w przebraniu, wiemy, że musi pojawić się w Ambrezie, a ten sześciokąt jest zbrojnym obozem, bardzo dobrze strzeżonym. Jak ktoś o znanym wyglądzie, nagi, pozbawiony przebrania może mieć nadzieję, że uniknie strażników?

— Nie znasz Brazila — odparł Ortega. — Ja znam. Przestań myśleć na chwilę jak komputer, a zacznij myśleć jak pirat. Nathan jest złym, sprytnym piratem o sposobie myślenia prawie takim jak mój. Przebiegłym, Grummo. Naprawdę przebiegłym. Rozumie nas. Zna nasz sposób myślenia, nasz sposób reagowania. . . Popatrz, jak łatwo domyślił się, że będzie mu potrzebna ta cała zasłona dymna, żeby się prześliznąć. Na pewno zdaje sobie też sprawę, że będziemy się spodziewali, iż zastawi pułapkę. Gdybyś planował tak daleko w przyszłość i wprowadzał ten plan w życie oraz znał swoje ograniczenia, kiedy przybyłbyś do Świata Studni? — Czillianin zastanawiał się przez chwilę.

— Trudno powiedzieć. . . poczekaj. . . pewnie wtedy, kiedy zabijanie sobowtórów tak nam się znudzi i obrzydnie, że przestaniemy to robić.

Ortega pokręcił przecząco głową.

— Nigdy. Zbyt ryzykowne. Łączność pomiędzy Światem Studni a resztą wszechświata odbywa się tylko w jedną stronę. Nie ma sposobu, żeby dowiedział się, kiedy taki moment nastąpi lub czy w ogóle nastąpi. Nie. . . nie. . . to do niego niepodobne. . . Nie podejmie takiego ryzyka, kiedy operacja jest tak ważna.

— Kiedy zatem? — Czillianin zapytał z ciekawością.

Wywodząc się z sześciokąta, którego system społeczny przypominał wielki uniwersytet, istota ta dobrze opanowała całą wiedzę ezoteryczną, ale żyła jak pod kloszem i nie miała żadnego doświadczenia w tego rodzaju pokrętnym myśleniu.

— Zastanawiam się nad tymi, którzy przedostali się pierwsi — mówił Ortega do Grummy. — Dobrze, wysyłasz swoich kluczowych ludzi na początku i oni się przedostają. To ma sens. Gdybyśmy z góry wiedzieli, że coś takiego się szykuje, od razu położylibyśmy kres temu planowi. I jeszcze ta dziewczyna, Chang. Dlaczego zatrzymała się tu, żeby się ze mną spotkać? Żeby wspomnieć dawne czasy? Ma więcej powodów, by mnie zabić, niżli zrobić cokolwiek innego, a poza tym ona jest z mego plemienia. Nie uczyniła też tego z ciekawości. Ryzyko, że będę coś podejrzewał, było zbyt wielkie. Tak. . . tak. . . Po co przyszła? Aby się przedstawić i powiadomić mnie, że szykuje się ten wielki spisek i że Brazyl wraca?

Cierpliwość Czillianina też miała pewne granice.

— No, dobrze. Dlaczego?

Ortega uśmiecha się z dumą.

— Przyszło mi to na myśl dopiero dziś rano i chciałem rozwalić sobie głowę o mur, że nie wpadłem na to wcześniej. Zrobiła to z kilku powodów. Po pierwsze, wysondowała, co o tym wszystkim myślę i zorientowała się, jaką władzą jeszcze tu dysponuję. Po drugie, dała gwarancję, że tego rodzaju operacja, czyli polowanie na Brazyła, zostanie przeprowadzona.

— Ale to oznaczałoby koniec Brazyła — zauważył Czillianin.

Ortega uśmiechał się nadal.

— Nie, jeżeli Nathan Brazyl już tu jest. Przybył wcześniej niż wszyscy inni. Straciliśmy tyle czasu, polując na niego, że nim byśmy zaczęli go szukać w Ambrezie, byłoby za późno.

— Masz jakieś dowody? — zapytał Czillianin sceptycznie.

— To jak stara gra w muszelki — kontynuował człowiek-waż, po części ignorując pytanie. — Bierze się trzy muszelki, a pod jedną z nich ukrywa kamyczek. Następnie przesuwa się muszelki tak, żeby oszukać frajera. Myśli on, że widzi, iż muszelka z kamyczkiem przesuwana jest na prawo, ale to tylko złudzenie. Kamyczek pozostaje pod środkową. To się właśnie zdarzyło tym razem. Najpierw pojawił się kamyczek — Brazyl, a my gapiliśmy się na przesuwanie pustych muszelek.

— Ale czy masz jakiś dowód? — nalegał Czillianin.

Krzaczaste brwi uniosły się.

— Dowód? Oczywiście. Kiedy już raz zrozumiałem, że zostałem nabrany, wszystko było proste.

Ortega sięgnął ponad swym biurkiem w kształcie litery „V” i jego dolna prawa ręka nacisnęła szereg guzików na niewielkiej tablicy kontrolnej. W głębi pokoju rozbłysnął ekran. Ukazał się na nim nieruchomy obraz wielkiej sali Bramy Studni, przez którą wchodzili wszyscy, którzy wpadli do bram teleportacyjnych dawno wymarłych Markowian. Kamery były tam ustawione od niepamiętnych czasów i nikt nie mógł wejść niezauważony i bez podania miejsca w Świecie Studni, do którego się udawał.

Na ekranie migotały kształty. Pojawiały się na nim postacie z ponad dwudziestu światów, których jedyną wspólną cechą była budowa ciała z cząsteczek związków węgla. Formy życia nie oparte na węglu były automatycznie kierowane do Strefy Północnej.

— Cofnijmy się — wyjaśnił Ortega towarzyszowi. — Cofamy się od momentu, w którym Chang i jej towarzysze przekroczyli Bramę.

— Jak daleko cofnęliśmy się w czasie? — zapytała istota roślinna, oglądając obraz wrzecionowatego organizmu, który wyglądał, jak gdyby pozbawiony był głowy, ogona i członków.

— Trzy tygodnie. Cofnąłem się już nawet dalej. O, tu! Tego właśnie szukałem!

Jedno z sześciu ramion Ortegi wystrzeliło i nacisnęło guzik, unieruchamiając obraz.

— To, mój przyjacielu, jest Nathan Brazil — powiedział bez wyrazu.

Czillianin wpatrywał się w ekran. Ukazała się na nim niewielka i zwinna postać, ale nie była to w żadnym przypadku istota, którą według wiedzy Grammy powinien być Brazil. Humanoidalny, ciemnoniebieski tułów zakończony był kosmatymi nogami podobnymi do kozich. Twarz satyra prześwitywała spod granatowego zarostu i obfitej brody. Na szczycie głowy sterczały dwa niewielkie różki.

— To nie jest typ 41 — zauważył Czillianin — lecz 341: Agitarianin.

Ortega zachichotał.

— Nie. Rzeczywiście wygląda jak Agitarianin i tak ma wyglądać. Twierdzą, że to doskonała charakteryzacja. Nat zatrudnił prawdopodobnie najlepszych charakteryzatorów. Przebranie zmyliłoby pewnie nawet agitariańskiego ambasadora, pod warunkiem że Nat nie musiałby demonstrować umiejętności wysyłania szoku elektrycznego. Nie liczył na nic innego poza wejściem, spotkaniem z oficerem dyżurnym, standardową odprawą, a następnie przejściem przez Studnię. Bardzo sprytnie. Nigdy byśmy nie zauważyli. W każdym stuleciu mamy dwóch lub trzech takich klientów. Bardzo sprytnie. Dobry podstęp.

— Skąd pewność, że to nie jest po prostu 341? — nalegała istota roślinna.

— Popęnił błąd — odparł Ortega. — Jeden głupi błąd. Błąd, którego nigdy bym nie spostrzegł, aż byłoby za późno, i którego nikt w naszej Strefie by nie zauważył. Błąd rozmysłny. Nie można jednak było go uniknąć. Nat nie znał języka Sangrilu — chyba właśnie tak nazywają go we wszechświecie. Ta rasa i Kom nigdy się nie spotkały i nie mógł się tego języka nauczyć.

— Chcesz powiedzieć, że w czasie wstępnego przesłuchania mówił innym językiem? — nalegał zdumiony Czillianin. — I to go zdekonspirowało? Dlaczego zatem sprawa nie ujawniła się już wtedy?

Ortega zachichotał.

— A jak my rozmawiamy? Mówię w języku Ulików, którego twój dziwny roślinny generator dźwięków nie mógłby odtworzyć. Z tych samych powodów częstotliwość dźwięków twojej mowy jest dla mnie niesłyszalna. Porozumiewamy się jednak normalnie.

— Ach. — Dziwna, dyniowata głowa Czillianina uniosła się; wyraz zdziwienia zaś stanowił tylko uzupełnienie gestu zrozumienia. — Translatory. Oczywiście! W zasadzie to przecież projektory telepatyczne.

Człowiek-waż skinał twierdząco głową.

— Naturalnie. Tu, w Strefie, nosimy je wszyscy z przyczyn czysto dyplomatycznych. Wszyscy. Tutejszy główny system łączności jest jedynie większą, bardziej skomplikowaną wersją translatora, pozwalającą nam rozumieć przybyszy bez dodatkowych starań. Brazil wiedział, że system ten odbierze, cokolwiek powie, i przetłumaczy to na nasze języki, tak jakbyśmy to my rozmawiali.

— Ale czy nie było to niebezpieczne? Przecież mógł się natknąć na wcześniejszego przybysza 341.

— Miał niewielką szansę — odparł Ortega — a poza tym większość ras mówi kilkoma językami. Sytuacja zmienia się wraz z upływem czasu i odległością. Popęnił błąd ze względu na język, jaki wybrał, i na to, że byłem jedną z niewielu osób w Świecie Studni, która potrafiła ten język rozpoznać. Muszę przyznać, że konieczne było użycie komputera dla pokonania mechanizmów mojego translatora.

— A język?

Ortega uśmiechnął się.

— Starożytny hebrajski. Kiedyś przybyło tu paru rabinów i język był zarejestrowany w komputerach centralnych. To na pewno hebrajski. Język z grupy 41, który Brazil dobrze zna. Ten człowiek jest cholernie sprytny.

Czillianin lekko potrząsnął głową ze zdumieniem.

— Jest niezłym aktorem — zauważył. — Kto był oficerem dyżurnym, który go odprawił?

— Ja, niech będzie przeklęty. Ja! — zasyczał Ortega.

— Oznacza te, że Brazyl przybył wcześniej niż jego agenci — podsumował Czillianin bez potrzeby. — Przebył Ambreżę, zanim zorientowaliśmy się, że coś jest nie w porządku. Teraz może być gdziekolwiek. Gdziekolwiek!

Ortega pokręcił głową przecząco.

— Nie... nie gdziekolwiek. Dziesięć do jednego, że z Ambreży przeniósł się do Głathrielu tak szybko, jak to było możliwe. Dobrze zna to terytorium. Myślę, że jest Markowianinem, który zaprojektował tę rasę. Jest w dalszym ciągu dość prymitywna, ale to dla niego korzystne. Wystarczy trochę barwnika dla przyciemnienia skóry, by upodobnić się do tubylców, oraz miejscowa odzież — i będzie tam doskonale pasował. Będzie siedział cicho, dopóki nie uzyska pomocy. Będzie potrzebował pomocników miejscowych lub wyglądających jak miejscowi. To jest nasz as w rękawie, nasz jedyny atut. Nie mógł poczynić wcześniejszych przygotowań. Po przybyciu musi się ukryć i czekać.

— Wydaje się, że może ukrywać się tak w nieskończoność — zauważył Czillianin z podziwem.

— Ukrywać się może — zgodził się Ulik — ale nie w nieskończoność. Prędzej czy później będzie musiał się ujawnić i zacząć działać. Będzie musiał pokonać co najmniej osiem sześciokątów, czyli ponad trzy tysiące kilometrów. Możemy być pewni, że nie wiemy, którą trasę wybierze, kiedy i w jaki sposób wyruszy.

— Jedynie — powiedział Grumma z sarkazmem.

— Kiedy już się ruszy, będzie grał według mego scenariusza — kontynuował człowiek-wąż nieświadomy tonu swego rozmówcy. — Kłopot w tym, że on wie o tym tak samo dobrze jak ja, a dotąd zawsze wyprzedzał nas o krok.

— To co będziemy tymczasem robić?

— Będziemy śledzić wszystkich jego kluczowych agentów, szczególnie tych, którzy przybyli najwcześniej. Przede wszystkim Mavrę Chang. Jest najlepszą agentką, jaką ma, i może najniebezpieczniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Myśli tak jak on. Poza tym sądzę, że musimy zwołać nadzwyczajne posiedzenie Rady, zarówno Północnej, jak i Południowej.

Czillianin wydawał się zaskoczony.

— Czy Północna będzie potrzebna?

— Tak. Pamiętaj, że to także ich walka. Mam doniesienia o dużej liczbie przybyszy trafiających na Północ.

— Ależ to niemożliwe!

— Nie wiem. Tu na Południu mamy tylko siedemset osiemdziesiąt sześciokątów, zawsze starannie utrzymanych w równowadze. Poziom zaludnienia był ustabilizowany poprzez działanie Studni, tak że nigdy nie przekraczał poziomu zasobów, jakimi dysponujemy. Teraz nastąpiło przeciążenie. Czy wiesz, że podważamy liczbę ludności? A przybyszom nie ma końca! Studnia uruchomiła zatem system kryzysowy: zaczęła kierować przybyszów do sześciokątów północnych,

żeby rozładować napływ. Oznacza to, że Brazyl ma również wielu zwolenników na Północy.

— Ale przecież nie może przedrzeć się do Strefy Północnej — stwierdził Czillianin. — Wiesz, że Bramy Studni w ten sposób nie działają.

— Wiem tylko, że kilka wieków temu cała banda Południowców, a w tym również Chang, przeszła na Północ. Nie możemy niczego przeoczyć. Ten skubaniec mógłby wrócić do Strefy, przejść do Strefy Północnej i trafić na trasę z drugiej strony. To byłoby do niego podobne, ale któżby się tego spodziewał?

— Zwołam sesję Rady — odpowiedziała potulnie istota roślinna. — Czy coś jeszcze?

— Tak. Chcę jak najprędzej otrzymać raport o Chang i tych dwóch, którzy z nią przybyli. Chcę wiedzieć, kim są, gdzie i co robią. Zacznijmy działać!

* * *

Czillianin wyszedł pospiesznie i drzwi ambasady Uliku w Strefie Południowej zamknęły się za nim z sykiem. Serge Ortega oparł się ze znużeniem na swym spiralnym ogonie, westchnął, a następnie umilkł i splótł swoich sześć ramion w zadumie. Kołysał się powoli w przód i w tył, medytując. Panowała absolutna cisza.

Nagle przerwało ją chrząknięcie.

Ortega poderwał się, odwrócił zaskoczony hałasem i znieruchomiał, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w intruza, który rozsiadł się wygodnie na kanapie.

Obcy był typem 41, humanoidem takim, jakim był kiedyś Ortega. Było to jednak tak dawno, że Ortega zapomniał już, jakie to uczucie. Wychudzony, ciemnoskóry, o szczupłej, trójkątnej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, ubrany był w kraciastą koszulę, sportowe spodnie i znoszone buty. Przez chwilę Ortega myślał, że to musi być Brazyl i poczuł dreszcz. Nie — wytłumaczył sobie — Brazyl mógł charakteryzować się na różne sposoby, ale nie zdołałby dodać sobie pięćdziesięciu centymetrów wzrostu, a przynajmniej nie mógłby zrobić tego w sposób tak przekonywający.

— Kim jesteś, u diabła, i jak tu wszedłeś? — zapytał przybysza.

Mężczyzna poprawił się na kanapie i założył ręce za głowę. Zachowywał się swobodnie i wyglądał na rozbawionego całą tą sytuacją.

— Nazywaj mnie Cyganem — odparł swobodnie. — Wszyscy mnie tak nazywają. Czy mogę zapalić?

Jego beczelność zirytowała Ortegę. Ciekawość zwyciężyła jednak inne uczucia.

— Proszę.

Cygan sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął z niej paczkę, z której wydobył długiego, cienkiego papierosa. Następnie wygrzebał z kieszeni niewielką, srebrną

zapalniczkę i zapalił. Kłęby błękitnoszarego dymu uniosły się w powietrze, kiedy pociągnął kilkakrotnie, żeby papieros dobrze się rozpałił.

— Dziękuję — odparł, odkładając zapalniczkę i powracając do poprzedniej, wygodnej pozycji. — Nieprzyjemny zwyczaj, a jednak przydatny. Monopol Ambrey na tytoń powoduje, że papierosy są cenniejsze niż złoto.

Zimny dreszcz przebiegł po grzbiecie Ortegi.

— Musiałeś to usłyszeć na jakiejś odprawie... może nawet przeprowadzonej przez Brazila... Ludzie tutaj nie wyglądają tak jak ty. Musiałeś przybyć niedawno. Dziwne, że cię nie zastrzelili.

Cygan zachichotał.

— Nie zastrzelili mnie, ponieważ nie przybyłem tu niedawno. Jestem tu już od wielu tygodni. A jeżeli chcesz wiedzieć, jak tu przybyłem, to przeszedłem przez Bramę Strefową.

— Teraz wiem, że kłamiesz — zarzucił mu Ulik. — Ambreza nie przepuściłaby żadnego 41 przez Bramę w tym czasie.

— Nie przeszedłem przez Bramę w Ambrezie — chłodno odparł Cygan. — Przeszedłem przez... powiedzmy, inną Bramę. Nie chciałbym obecnie mówić, przez którą.

Zimny dreszcz powrócił, chociaż Ortega nie był pewien, czy należy wierzyć temu człowiekowi.

— To niemożliwe — zaprzeczył. — Studnia nie działa w ten sposób.

— Wiem, że nie działa — nowo przybyły odparł ze spokojem. — Jeżeli tak twierdzisz...

— Może jednak się wy tłumaczysz — powiedział ambasador ze znużeniem.

Cygan roześmiał się.

— Nie. Nie wytłumaczę się. Przynajmniej na razie. Uznałem twoją rozmowę z Czillianinem za fascynującą. Wiesz, zrozumienie tego wszystkiego zajęło mi więcej czasu, niż przypuszczaliśmy.

Jak dotąd była to najbardziej irytująca uwaga. Głównie dlatego, że Ortega musiał się z Cyganem zgodzić. Nie lubił być oszukiwany. Lubiał natomiast sprawować kontrolę i na ogół mu się to udawało.

— W każdym razie — kontynuował Cygan — jestem tutaj, żeby z tobą pogadać. Tylko pogadać. Można by powiedzieć, że jestem ambasadorem nowo przybyłych.

— Ambasadorem Brazila.

— Jego też — przyznał Cygan. — Teraz, kiedy zorientowałeś się już w sytuacji, chcielibyśmy wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

— Jesteś Markowianinem, jak Brazyl! — stwierdził podejrzliwie. — Wiedziałem, że skoro jest jeden, może być ich więcej.

Cygan roześmiał się.

— Nie. Nie jestem Markowianinem. Nie jestem nawet w twoim wieku. A Brazyl... cóż. Niewielkie mam pojęcie, kim on jest. Nie myślę jednak, żeby był Markowianinem.

— Twierdzi, że jest bogiem — zauważył Ortega.

Cygan roześmiał się znowu.

— Cóż, może i jest. Nie wiem. I wiesz co? Mało mnie to obchodzi. Wiem jednak i wiedzą to wszyscy, że jest jedynym facetem, który umie posługiwać się Studnią Dusz. Tylko to ma znaczenie, prawda? Nie to, kim lub czym jest Brazyl, ty czy ja. Nie, może nie mam racji. To, kim ty jesteś, do pewnego stopnia się liczy. Dlatego tu się zjawiłem.

Krzaczaste brwi Ortegi uniosły się.

— Dlaczego?

— Dlaczego nie pozwalasz im tu przybyć? Dlaczego im utrudniasz? Przecież zdajesz sobie sprawę, że on nie zrobi niczego, żeby zniszczyć wasze maleńkie imperium. Nic go ono nie obchodzi.

— Wiesz, że nie mogę tego uczynić, nawet gdybym chciał — odpowiedział Ulik. — Nie rządę tym światem. Rządzą nim jego własne interesy, tak jak wszędzie. Chcą dotrzeć do Studni, żeby ją wyłączyć, naprawić. Tutejsze liczne rządy są zbyt nerwowe, żeby na to zezwolić.

— Przecież Świat Studni sterowany jest inną maszyną — stwierdził Cygan. — Wyłączenie wielkiej maszyny nic tu nie zmieni. Wszyscy powinni o tym wiedzieć. Ortega wzruszył ramionami.

— Wiedzą tyle samo co i ja, a wierzą tylko w ułamek tej wiedzy. Jedynym dowodem jest tu słowo Brazila. Gdybyśmy mieli wierzyć jego słowom, ten nowy wszechświat, który zamierza stworzyć, będzie potrzebował nasion, nowych nasion markowiańskich, jak ostatnim razem. Ta planeta została stworzona, żeby takich nasion dostarczać. Jeżeli mamy wierzyć Brazilowi, to zgodnie z zasadami działania systemu Świat Studni opustoszeje w wyniku procesu tworzenia nasion. Rządy Świata Studni znikną, panie Cyganie, czy kimkolwiek jesteś. Tego się nie da uniknąć!

— Da się, jeżeli pomożesz — odparł Cygan. — Wiemy, ty i ja, że tłumy tubylców mordują nowo przybyłych w wielu sześciokątach. Są żądania, żeby zabijać wszystko, co przechodzi przez Bramę Studni. Musisz położyć temu kres, Ortega, w ten czy inny sposób. Czy nie rozumiesz, że ci nowo przybyli są nasionami?

Ulik otworzył usta ze zdumienia.

— Oczywiście! To ma sens! Nie wiem, co się ze mną ostatnio dzieje. To chyba starość. Takie stwierdzenie jednak nie oznacza jeszcze akceptacji planu. Boją się. Przestraszeni, mali ludzie. Nie będą ryzykować.

— Ale można zwlekać. Robić, co się da. Masz tu wciąż znaczne wpływy. Wiesz o tym tak dobrze jak ja. Masz coś na wszystkich. Możesz ich szantażować. Potrzebujemy czasu. Potrzebujemy twojej pomocy, żeby dysponować czasem.

Serge Ortega usiadł wygodniej i westchnął.

— Jaki jest zatem wasz plan?

— O, nie — zachichotał Cygan. — Ufamy ci tak samo, jak ty ufasz nam. Nie wszystko od razu. Wiesz, jaką miałbyś odegrać rolę, gdybyś się zgodził. Obiecuję, że nie poniesiesz żadnych kosztów. Masz na to słowo Brazila, a to dobra gwarancja.

— Zrobię, co będzie można — odpowiedział człowiek-wąż z udawaną szczerością.

Cygan podniósł się, rozdeptał papierosa na lśniącej posadzce i rozejrzał się po gabinecie.

— Powiedz mi, Ortega, jak wytrzymujesz to zamknięcie tutaj przez cały czas, rok za rokiem? Ja bym chyba zwariował i popełnił samobójstwo.

Słaby uśmiech pojawił się na twarzy Ortegi.

— Czasami o tym myślę. Dla mnie to łatwe. Wystarczy, abym dotarł do Bramy Strefowej i udał się do domu. Wiesz, że mam ponad dwa tysiące lat. Jestem za stary. To zaklęcie, które utrzymuje mnie przy życiu, czyni mnie tu więźniem. Powinieneś o tym wiedzieć. — Jego głos zniżył się do szeptu i wydawało się, że nie patrzy ani na swego gościa, ani na ścianę, tylko gdzieś daleko na coś, co jedynie on dostrzegał. — Jeszcze raz poczuć wiatr i deszcz. Jeszcze raz zobaczyć gwiazdy. Boże, czyż o tym nie marzę!

— Dlaczego zatem tego nie zrobisz? Przynajmniej wtedy, kiedy sprawa będzie zakończona.

Ulik zachnął się.

— Nie rozumiesz, w jakiej pułapce się znalazłem? Jestem katolikiem, Cyganie. Może niezbyt dobrym, ale katolikiem. Taka wyprawa oznaczałaby samobójstwo. Nie mogę się na to zdobyć. Nie mogę się zabić.

Cygan potrząsnął głową w milczącym zdumieniu.

— Sami sobie tworzymy nasze prywatne piekło — mruknął prawie niedoświadczalnie. — Tworzymy je i żyjemy z nim. Jakie piekło może być gorsze od tego?

Popatrzył prosto w twarz Ortegi i odezwał się głośniej.

— Brazyl skontaktuje się z tobą osobiście już wkrótce. Ja też będę w kontakcie.

Zbliżył się do drzwi, które otworzyły się przed nim, i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim. O jego niedawnej obecności świadczyły jedynie niedopałek na posadzce i zapach dymu tytoniowego w powietrzu.

Ulik nie tracił czasu. Natychmiast wduśił przycisk systemu łączności wewnętrznej.

— Uwaga! Uwaga! Zatrzymać 41 wychodzącego właśnie z ambasady Uliku!

Podał też opis ubioru Cygana.

Przez chwilę panowało milczenie, a następnie strażnik stojący na zewnątrz, regulujący napływ interesantów, odezwał się ze zdziwieniem:

— Tkwiłem pod drzwiami przez ostatnią godzinę. Nikt nie wychodził od czasu, kiedy wyszedł Czillianin. Nie widziałem żadnego 41.

— To niemożliwe — syknął Ortega.

Następnie wyłączył aparat i popatrzył na posadzkę. Ku jego wielkiej uldze rozdeptany niedopałek nadal tam leżał.

Aparat łączności zabrzączał i Ortega odezwał się natychmiast.

— Tu ambasador Udril — zabrzmiał głos zniekształcony przez translator.

— Słucham — odezwał się Ortega do czilliańskiego ambasadora.

— Oto informacje na temat tych trzech nowo przybyłych. Jeden z nich, Marquoz, to Hakazityjczyk i jest, w co trudno uwierzyć, zaledwie po kilku tygodniach...

— Tak?

— Panie ambasadorze, wygląda na to, że jest nowym szefem tajnej policji Hakazitu.

Ortega omal się nie zadławił.

— A inni?

— Ta kobieta, Jua, prowadzi nabór swych rodaków z Awbri do sił paramilitarnych i idzie jej to nadspodziewanie dobrze. A jeżeli chodzi o Mavrę Chang...

— Tak? — nalegał Ortega, czując, że traci kontrolę nad wydarzeniami.

— Wydaje się, że działa jako Dillianka. Uzyskała pewną pomoc na miejscu i, jakby to powiedzieć... zniknęła.

— Zniknęła? Gdzie? Jak?

— Kilka dni temu z niewielką grupą Dillian udała się w góry Gedemondasu. Od tego czasu nikt o nich nic nie słyszał.

Hakazit

Był to surowy kraj. Planeta, której był modelem laboratoryjnym, musiała być piekłem — myślał Marquoz. Jego obszar stanowiła spalona, ponura, surowa pustynia poprzecinana groźnymi, poszarpanymi skałami wulkanicznymi. Wstrząsy podziemne powodowały od czasu do czasu osuwanie się gruntu, a rzadkie, ale niezwykle gwałtowne burze zamieniały suche, wypełnione pyłem wąwozy w śmiercionośne, wzburzone potoki, ryjące głębokie koryta wśród pustyni.

Ponieważ na powierzchni prawie nie było wody, zaś na północy rozciągał się ocean wypełniony słoną wodą, mieszkańcy żyli tam, gdzie była woda słodka, a więc pod powierzchnią, nad warstwą litej skały, w olbrzymich pieczarach uformowanych w ciągu tysiącleci erozji piaskowców i marmurów. Żyły tu też drapieżniki. Straszne, zajadłe bestie o skórze twardej jak skała i niezaspokojonym apetycie na mieszkańców Hakazitu.

Hakazityjczycy w związku z tym byli również przygotowani do walki i do obrony. Sami twardzi jak skała, mieli zacięte, demoniczne twarze pokryte odporną skórą, opiętą na mocnej konstrukcji kostnej. Rysy ich twarzy odznaczały się stale gniewnym i budzącym strach wyrazem. Szerokie wargi kryły potężne kły zdolne rozdrzeć ciała ich dzikich wrogów. Oczy na dnie głębokich oczodołów w mroku lśniły czerwono. Nie był to tradycyjny organ wzroku, nie to, co Marquoz rozumiał pod pojęciem oczu. Spełniał jednak to samo zadanie, dając precyzyjne poczucie głębi i prawdopodobnie (Marquoz nie miał pewności) zmieniając nieco odbiór kolorów dla podkreślenia kontrastów. Wyrastki kostne podobne do rogów chroniły oczodoły.

Potężne, muskularne, stalowoszare ciało miało kształt ludzki. Masa ścięgien i mięśni dawała ramionom siłę wystarczającą do wyrwania z ziemi średniej wielkości drzewa i przełamania go na pół. Ręce o pięciu palcach zakończone były groźnymi, twardymi jak stal pazurami zdolnymi rozerwać ciało wroga. Potężne nogi o stopach jak u gada mogły chwytać, rozdzierać i przenosić ciężkie cielsko prawie przez każdą przeszkodę. Z tyłu włókł się długi ogon, także stalowoszarego koloru, zakończony dwiema wielkimi, sterczącymi niczym kolce, ostrymi kośćmi, które stanowiły dodatkową broń. Samo ciało było tak dobrze chronione, tak twarde i mocne, że strzały odbijały się odeń, a zwykła kula powodowała je-

dynie niegroźne zranienia. System nerwowy u mieszkańców Hakazitu podlegał całkowitej kontroli i działał automatycznie. Na przykład ośrodki bólu mogły być selektywnie wyłączane w każdej części ciała.

Ta istota, w rodzaju dawnych małych dinozaurów, była najwspanialszą żywą bronią, jaką Marquoz kiedykolwiek oglądał. Osobniki męskie osiągały ponad trzy metry wzrostu, a ich ogony do dziewięciu metrów długości. Osobniki żeńskie były mniejsze i słabsze. Ich średni wzrost wynosił zaledwie dwa i pół metra, a większą skalę z trudem rozłupywały gołymi rękami.

Teraz Marquoz zagłębiał się wraz z nimi w podziemne miasto, chyba jako więzień miejscowych władz. Miasto wywierało na nim wielkie wrażenie. Wszędzie pełno było kolorowych świateł. Sunęły ruchome chodniki. Wszystko ogromne i odpowiednie dla zamieszkujących miasto olbrzymów. Cywilizacja o wysokiej technologii — stwierdził ze zdumieniem. Nie mieli żadnych ograniczeń, jak w innych sześciokątach, gdzie dozwolona była jedynie technologia stosowana do wieku pary lub gdzie nie dopuszczano żadnej energii mechanicznej. Tak. Świat, jaki Markowianie wymyślili dla rasy Hakazit, musiał być prawdziwym piekłem.

Wydawało się, że każdy nosi skórzany lub sukienny kaftan, na którym widnieją jakieś dystynkcje. Nie potrafił ich zrozumieć ani też odcyfrować innych znaków czy kodów, ale wyglądało na to, że społeczeństwo jest niezmiernie rozwarstwione, jak gdyby wszyscy służyli w wojsku. Wszędzie panowała dyscyplina i każdy wydawał się spieszyć gdzieś w ważnych sprawach, nie marnując czasu na próżnowanie lub pogawędki ze znajomymi. Nie trzeba było być fachowcem, żeby dostrzec, iż niektóre istoty były tu tylko po to, aby nadzorować inne. Szczególnie jedna grupa, odziana w skórzane kaftany z koncentrycznymi wzorami jak tarcze strzelnicze, wyróżniała się tym, że nosiła broń nieznanego rodzaju. Marquoz nie wątpił, że te pistolety są w stanie wysłać kulę, która przebije się aż do istotnych, wewnętrznych organów mieszkańca Hakazitu.

Eskortujący go komandor Zhart znajdował wiele przyjemności w pokazywaniu mu Miasta Harmonii (tak właśnie się nazywało to miejsce). Pokazał mu Fontannę Demokracji, Kongres Ludowy, Aleję Pokoju i Wolności. Marquoz jedynie kiwał głową i patrzył. Wszystko to wydawało się echem dobrze znanych mu dyktatur, które odwiedził. Pochodząc ze świata, który nie posiadał nawet rządu centralnego i nie był zaangażowany w poważniejszą wojnę od tysiącleci, wyraźnie odczuwał ten kontrast. Spędził jednak także długie lata w ludzkim Kom, gdzie dyktatura była rzeczą normalną, ale tutejszy ustrój wyglądał na jeszcze surowszy.

Dotarli wreszcie do ogromnego pałacu wbudowanego w ścianę jaskini, dominującego nad panoramą miasta. Marquoz zgadywał, że jest to siedziba władz, może nawet rządu całego sześciokąta. W końcu, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zapytał:

— Gdzie jest nieprzyjaciel?

Zhart zatrzymał się i odwrócił. Wyglądał na lekko zdziwionego.

— Nie rozumiem...

W jego głosie nie było podejrzliwości, a jedynie niezrozumienie.

Marquoz potężnym ramieniem wskazał w kierunku miasta.

— To wszystko. Ta militaryzacja ludności, ten bojowy wygląd... Wszystko wskazuje na to, że gdzieś istnieje bardzo groźny nieprzyjaciel. Chciałem tylko wiedzieć, kto to jest.

— Nie ma nieprzyjaciela — odpowiedział Zhart nieco rozrzuwiony. — Nie ma żadnego nieprzyjaciela. Kiedyś byli, bardzo dawno, tysiące lat temu. Możesz zwiedzić muzeum kultury Hakazitu i zobaczyć dioramy i eksponaty. Teraz nic się nie dzieje. Nikt z sąsiednich sześciokątów nie wytrzymałby tu promieniowania w ciągu dnia i nie poradziłby sobie z nami, nawet gdyby miał po temu powody.

Wzruszył ramionami i zawrócił w kierunku pałacu.

Marquoz zrozumiał, o co chodzi. Wojownicze plemię stworzone do życia na planecie, która mogłaby pojawić się jedynie w koszmarnym śnie i którą podbiło, dowodząc w ten sposób, że może w rzeczywistym wszechświecie przetrwać. Tak było w czasach eksperymentu Markowian. Któż wie, ile milionów lat temu. Teraz wszystko się skończyło, a potomkowie plemienia wyhodowanego do walki nie mieli o co walczyć.

Marquoz doszedł do wniosku, że sytuacja taka musiała doprowadzić do ukształtowania się dziwnej, pogrążonej w stagnacji kultury. Wyobrażał sobie, jakiego rodzaju zabawy mogą się odbywać na przykład na Stadionie Ludowym. Twarda dyktatura była zapewne konieczna dla kontrolowania społeczności składającej się z tych muskularnych maszyn do zabijania. Zastanawiał się jednak, jak długo jakikolwiek reżim zdołałby się utrzymać, gdyby znudził się ludności. Może była już tak przyzwyczajona do sytuacji, że nigdy nie rozważała innych możliwości — rozmyślał. Może gdzieś w podświadomości Hakazityjczyki wiedzieli, że istnieje tylko jeden sposób zapobieżenia totalnej jatce, która prawdopodobnie kiedyś i tak będzie nieunikniona. Dyktatura ta po prostu starała się zyskać na czasie. Było to najlepsze usprawiedliwienie dyktatury, do jakiego kiedykolwiek doszedł.

Zaskoczyła go niewielka liczba ludzi w pałacu. Uprzedzono go o rozbudowanej biurokracji. W hallu wejściowym spostrzegł jednak tylko trzech urzędników. Odnosił wrażenie, że dwóch czeka na jakieś spotkanie. Komandor Zhart pożegnał się, życząc mu szczęścia.

Urzędnik spojrzał na gościa krytycznie.

— Jesteś przybyszem? — zapytał wreszcie.

Marquoz skinął głową.

— Tak. Przybyszem w waszym pięknym kraju.

Urzędnik nie zwrócił uwagi na komplement.

— Kim byłeś przedtem?

— Czugaczem. To nie ma tutaj znaczenia.

— Większe niż przypuszczasz — odparł urzędnik. — Chociaż obydwaj mówimy w języku Hakazitu, używam tłumacza, który mam chirurgicznie wszczepiony w mózg. Przetłumaczył ten termin na pojęcie bardziej mi znajome. Wchodzi tu w grę również telepatia, choć łatwiej by było, gdybyś i ty używał tłumacza. Odebrałem obraz twojego plemienia i rozpoznałem je. Tu, w Świecie Studni, nazywa się Ghlmonese.

— Ghlmonese — powtórzył Marquoz zafascynowany.

Byli to przecież przodkowie jego rasy. . . Dopiero teraz sobie to uświadomił. Zdecydował, że jeżeli będzie mógł, to kiedyś ich odwiedzi.

— Powiedziałaś komandorowi Zhartowi, że w poprzednim życiu pracowałaś głównie na obcych światach — kontynuował urzędnik. — Szczególnie wśród Głathwielików i Dillian — nagich małąp i centaurów niepodobnych do twojego plemienia. Czy byłaś szpiegiem?

Zaskoczony Marquoz zrozumiał nagle, że był ściśle obserwowany i podsłuchiwany od momentu, kiedy na powierzchni spotkał go patrol wojskowy, co wyjaśniało przyjazną postawę Zharta w odróżnieniu od chłodnego traktowania przez innych. Nie miało to jednak większego znaczenia. Ważniejsze było to, że powinien się tego spodziewać, a się nie spodziewał. Miał nadzieję, że nie jest to wynikiem starości i zniedołężnienia.

— Szpiegiem, tak — przyznał, uświadamiając sobie równocześnie, że urzędnik, z którym rozmawia, jest swego rodzaju psychologiem, działającym prawdopodobnie dla tajnej policji. — Moje plemię zostało odkryte przez agresywną, wojowniczą rasę z silnym poczuciem wyższości kulturowej oraz dysponującą zdecydowaną przewagą technologiczną. My wtedy jeszcze nie potrafiliśmy podróżować w kosmosie, a nasz arsenał nadawał się raczej do muzeum. Byliśmy dobrzy wyłącznie w sporcie. Oni mieli już radę międzyświatową, w której skład weszliśmy, ale jako jednolita kultura dysponowaliśmy tylko jednym miejscem i jednym głosem. Nie dawało to nam żadnych wpływów. Potrzebowaliśmy zatem ludzi podróżujących po wszechświecie, obserwujących tendencje, postawy, zagrożenia i możliwości i składających raporty. Było nas dużo, ale tylko mnie udało się osiągnąć sukcesy.

— Dlaczego tobie? — zainteresował się psycholog. — Dlaczego ty odnosisz sukcesy, a innym się nie udało?

Marquoz wzruszył ramionami.

— Nie wiem na pewno. Jeżeli chodzi o zajmowanie właściwego stanowiska, to rasy dominujące charakteryzuje pewna osobliwość, która powoduje, że albo niszczą rasy niższe, albo je absorbują, albo wreszcie w jakiś przedziwny sposób cofają się, żeby wykazać, iż nie uznają twojej rasy za granicę, chociaż w rzeczywistości tak jest. Miałem zawsze szczęście przebywać w miejscach, gdzie występowały jakieś problemy, nawet na ojczystej planecie. Gdy była jakaś większa burza, gdy wybuchł pożar lub gdy nastąpiło jakieś inne ważniejsze wydarzenie, zawsze tam

byłem. Może to jakiś wypaczony dar przewidywania. Nie wiem. Znalazłem się kiedyś w sytuacji, kiedy mogłem podsłuchać rozmowy dotyczące przygotowania do niewielkiej, choć groźnej rebelii, i doniosłem o tym w raporcie. Oczywiście policja Kom zdławiła rebelię, a ja stałem się dla niej swego rodzaju znakomitością. Teraz już łatwo było mi dostać się do samej policji Kom nie tylko dlatego, że wywiązywałem się z zadań, ale także dlatego, że jako Czugacz stawałem się symbolem ich liberalizmu. Podejrzewam, że pod tym względem wcale nie mają czystego sumienia. To mi bardzo pomogło. Im głębiej w to wchodziłem, tym łatwiejsze stawało się dla mnie zbieranie informacji, poczynając od danych handlowych na tajnych informacjach technologicznych kończąc, i przesyłanie ich do mojego plemienia.

Psycholog wyglądał na zaniepokojonego.

— Czy myślisz, że twoje odrodzenie na Hakazicie oznacza, że mamy jakieś szczególnie poważne kłopoty?

Ponieważ usta jego rasy nie były stworzone do wyrażania nastrojów, więc sardoniczny uśmiech Marquozza nie był dla rdzennego Hakazityjczyka czytelny.

— Tak. Tak bym powiedział. Byłbym skłonny twierdzić, że wielka katastrofa przytrafi się w najbliższym czasie nie tylko Hakazitowi, ale całemu Światu Studni. Obawiam się, że tym razem jednak mogę być jedną z jej przyczyn. Widzisz, mam tu misję do spełnienia.

Starał się, żeby jego wypowiedzi brzmiały naprawdę konspiracyjnie.

— Misję? — powtórzył psycholog, wyglądający na coraz bardziej zaniepokojonego.

Marquoz skinął głową z powagą.

— Tak. Widzisz, jestem tutaj, żeby ocalić wszechświat w imię prawdy, czystości i sprawiedliwości.

* * *

Kazali mu czekać przez dłuższy czas i poczuł się niezmiernie znudzony. Nie miał z kim rozmawiać, a ci, którzy wchodził do jego pokoju, nie byli zbyt gadatliwi. Wiedział, że gdzieś w głębi budynku spierano się, dyskutowano i podejmowano decyzję na temat jego losu. Wiedział też, że sam może zrobić w tej sprawie niewiele, przynajmniej dopóki oni nie wykonają pierwszego kroku. Marzył o cygarze. Świat Studni był po to, by dokonywać zmian, by utrzymywać w dobrym samopoczuciu każde nowe istnienie. Odrodzenie to tylko odrodzenie — zastanawiał się ponuro — a cygaro oznacza aromatyczny dym.

Spróbował wykonać kilka tanecznych pas ze swego dawnego życia. Odkrył jednak zaraz, że i ta umiejętność zanikła. Balet nie pasował do ciężkiego, opancerzonego ciała.

Wreszcie znowu ktoś wszedł. Marquoz stwierdził, że nie jest to ten osobnik, z którym rozmawiał wcześniej. Coraz lepiej rozróżniał poszczególne istoty, chociaż rozumiał, że jako nie-Hakazityjczyk zawsze będzie miał z tym kłopoty.

— Dziękuję, że zaczekałeś — powiedział przybyły uprzejmie, jakby pozostawiono Marquozowi jakiś wybór. — Przyjmie cię Najwyższy Władca. Chodź ze mną.

Omali nie powtórzył na głos tego tytułu. Najwyższy Władca? Cóż, nie należy jednak nadmiernie rozbudzać nadziei — pohamował się Marquoz. Tutaj może to być na przykład tytuł kasztelana. Wyglądało na to, że lubowano się tu w tytułach.

Lecz wkrótce okazało się, że była to osobistość wysokiej rangi. Świadczyły o tym nie tylko szeregi eleganckich strażników w hallu, ale także ukryte pułapki, umocnienia i inne niespodzianki, które jedynie jego doświadczone oko potrafiło wypatrzeć. Minął wreszcie ogromne, ozdobne, stalowe drzwi i znalazł się w pustym hallu. Rozejrzał się ostrożnie dookoła. Tak, czujniki telewizyjne i mnóstwo innych urządzeń. Ludzi jednak nie było. Stalowa siatka, którą zaledwie mógł wy-czuć pod wykładziną dywanową, dawała prawdopodobnie możliwość natychmiastowego porażenia prądem każdego, kto nie spotka się z aprobatą niewidzialnego obserwatora. Rzucił okiem na wielkie drzwi właśnie zamykające się za nim. Zauważył również jakieś systemy wykrywające. Były to prawdopodobnie wykrywacz metalu, aparatura prześwietlająca, fluoroskop, czyli wszystko, co trzeba. Poza potęgą Najwyższego Władcy jeszcze druga rzecz była pewna: jego śmiertelny strach.

Usłyszał trzask, jak gdyby uruchomiono głośnik, i elektronicznie zabarwiony głos wydał polecenie:

— Przejdź na środek pokoju pod duży kandelabr i stój bardzo spokojnie.

W głosie tym nie było groźby, a jedynie nutka podejrzliwości. Marquoz zrobił, co mu polecono. Kazano mu poruszyć lekko ogonem w lewo i w prawo, postąpić krok w tę czy tamtą stronę, aż zaczął się zastanawiać, czy nie pozuje do zdjęć dla jakiegoś czasopisma. Po pewnym czasie głos odezwał się znowu:

— Świetnie. Teraz stój zupełnie nieruchomo. Nic ci się nie stanie.

Otoczyło go nagle płatanina kolorowych promieni. Niektóre wydały mu się dziwnie gorące i drażniące. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund, ale było bardzo nieprzyjemne. Nawet gdy promienie już zgasły, czuł przykre mrowienie.

— Teraz podejdź do drzwi i wejdź do sali audiencyjnej — polecił głos.

Rozejrzał się, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że cała ściana cicho się przesuwa. Wzruszył ramionami i przeszedł do mniejszej sali umeblowanej po spartańsku. Stało tam kilka stołów, na nich szklanki i prawie nic poza tym. Ściana za jego plecami zamknęła się. Przyglądał się jej przez chwilę. Strażnicy, pułapki, stalowe drzwi, okablowane sale, przesuwane ściany — cóż mogło być jeszcze?

Rzeczywiście, było coś jeszcze: migotanie w powietrzu przed nim. Zaraz po tym ukazała się postać całkiem podobna do niego. Różniła się głównie tym, że nosiła szkarłatną tunikę i pelerynę przybraną kosztownie wyglądającymi, egzotycznymi futrami. Zrozumiał, że Najwyższy Władca pojawił się przed nim w formie hologramu. Jakaż paranoja kazała przeprowadzać przed audiencją dezynfekcję, jeżeli rozmówca pojawił się jedynie w formie hologramu?

Najwyższy Władca obejrzał go krytycznie.

— Teraz widzę, że jesteś przybyszem — parsknął przywódca Hakazitu. — Żadnych ukłonów, żadnego szastania nogami, żadnych wiernopoddańczych gestów.

— Przed solidografem? — odparł Marquoz.

Władca roześmiał się.

— Jeden z mych poprzedników rozkazał ludziom oddawać honory wojskowe swojej fotografii, a fotografie były na każdym kroku. Nie trzeba podkreślać, że długo się nie utrzymał.

Marquoz przyglądał się hologramowi, myśląc intensywnie. — Czy stąd biorą się te wszystkie środki ostrożności? Czy wszyscy chcą cię załatwić?

Najwyższy Władca ryknął śmiechem.

— Teraz już jestem pewien, że jesteś tu nowy! Cóż za pytanie! Powiedz, jak doszedłeś do tego wniosku?

— Większość dyktatorów boi się zabójstwa — zauważył przybysz ze świata Kom. — To nic nadzwyczajnego, ponieważ ich władza oparta jest na strachu.

Najwyższy Władca przestał się śmiać i zerknął na przybysza z zainteresowaniem.

— Wiesz zatem, że panuje tu dyktatura? Nie jesteś podobny do tych przybyszów, o których słyszałem. Żadnych „gdzie ja jestem?”, „co tu robię?” To jest właśnie interesujące w twojej sprawie, Marquoz.

Nowo przybyły rozejrzał się po pokoju.

— Czy zastosowano tyle środków bezpieczeństwa akurat dlatego, że myślisz, iż w mojej sprawie jest coś dziwnego?

— Nie, niezupełnie — odparł Najwyższy Władca. — Nazywasz Hakazit dyktaturą. Cóż, pewnie jest dyktaturą w czystym znaczeniu tego słowa. Włączam komunikator, wydaję rozkaz i jest on wykonany bez zastrzeżeń, niezależnie od tego, czy jest głupi, czy też nie. A jednak Hakazit jest jednym z najbardziej demokratycznych państw w Świecie Studni.

Marquoz podniósł głowę.

— Co? Jak to możliwe?

— Mam pięćdziesiąt siedem lat — odparł dyktator. — Pięćdziesiąt siedem. A wiesz, ilu Najwyższych Władców sprawowało rządy w ciągu mojego życia? Sześćdziesięciu siedmiu! Przynajmniej jeden rządził prawie cztery lata. Rekord,

zgodnie z danymi historycznymi, wynosi dziewięć lat, trzy miesiące, szesnaście dni, pięć godzin i czterdzieści jeden minut, i to w okresie ponad tysiąca lat!

Marquoz westchnął.

— To by się zgadzało — mruknął. — Nawet mimo tych wszystkich środków bezpieczeństwa, tych urządzeń i tej całej elektroniki. Przypuszczam, że na każdą sztuczkę jest jakaś kontrsztuczka?

— Właśnie — zgodził się Najwyższy Władca. — Obecnie setki oficerów kombinuje, jak się do mnie dobrać. Jednemu z nich uda się któregoś dnia. Wpiszą mnie wówczas do księgi.

— Dziwię się, że nie wiesz, kim oni są i nie zlikwidujesz ich — zauważył nowo przybyły racjonalista. — Ja bym wiedział.

Władca zachichotał szyderczo.

— Nie rozumiesz problemu, Marquoz. Każdy mieszkaniec Hakazitu jest w to zaangażowany. Dzieci przerabiają to w szkole dla zabawy albo jako ćwiczenie abstrakcyjne. Wszyscy. Nie można pozbyć się wszystkich. Nie byłoby komu rozkazywać.

— To rzeczywiście problem — przyznał Marquoz. — Istny cud, że chciałeś podjąć się tego zadania lub że ktokolwiek inny ma na nie ochotę w tych warunkach.

Najwyższy Władca wyglądał na zmieszanego.

— Jakiż może być inny cel w życiu, niż zostać Najwyższym Władcą? To jedyna rzecz, dla której warto żyć!

Przybysz zamilkł na chwilę, by zastanowić się nad tą myślą. Rasa wojowników bez wojen. Jaki jest rezultat podbojów? Możliwość rozkazywania wszystkim, robienia wszystkiego, na co przyjdzie ochota, zdobycia wszystkiego, czego się zapragnie? Najwyższe marzenie. I było do zrealizowania, dostępne dla każdego, niezależnie od stopnia, płci, pozycji społecznej czy zakresu władzy. Dla każdego, komu udałoby się zrzucić przywódcę z tronu. Była to najbardziej szalona myśl, z jaką zetknął się kiedykolwiek. Był to również najbardziej zwariowany ustrój, jaki można było sobie wyobrazić, a jednak miało to swój sens i logikę. Na tym polegał problem. To miało sens.

— Jedna rzecz mnie interesuje — zmienił temat. — Dlaczego powiedziałaś, że macie jedynie tysiąc lat historii? Przecież ta kraina i ta rasa są z pewnością starsze.

— To prawda — zgodził się Najwyższy Władca. — Widzisz, jesteśmy stworzeni do walki. Jesteśmy najbardziej agresywną rasą w Świecie Studni, a zostaliśmy otoczeni sześciokątami pomyślanymi tak, że nie tylko nie można ich podbić, lecz nawet nie można w rozsądny sposób z nimi walczyć. Promieniowanie śmiertelne jedynie dla nas, trucizny śmiertelne jedynie dla nas i tak dalej. Zatrudniamy się czasami jako najemnicy, strażnicy, nawet piraci, ale cały ten system trzyma nas w zamknięciu. Myślimy zbyt racjonalnie, żeby walczyć aż do wyginięcia lub

walczyć, gdy nie ma nic do zdobycia, ponieważ nie byłibyśmy w stanie utrzymać tego, co zagarniemy. A zatem jest oczywiste, że po pewnym czasie każdy stworzony przez nas system musi się rozsypać. Kiedy znikną wszelkie hamulce, nastaje wojna domowa, rodzi się anarchia, powrót do barbarzyństwa. Cywilizacja zostaje zniszczona, ale odbudowuje się. Nasi badacze twierdzą, że każdy system społeczny trwa średnio dwa tysiące lat. Jesteśmy zatem w środku tego okresu. Nie wyobrażasz sobie, jak gwałtowne mogą być takie przewroty. My też nie mamy o tym pojęcia. Są tak straszne, że z poprzedniego okresu nie pozostaje prawie nic oprócz ruin i kilku zabytków.

Marquoz skinął głową twierdząco. Potrafił ocenić, jak zachowałyby się te istoty w czasie wojny totalnej, gdy nie prosi się o łaskę i jej się nie udziela i gdy poddanie się jest nie do przyjęcia. I tak jest cudem, że jeszcze istnieją — pomyślał. Nie. Dopóki przetrwa choć jeden osobnik męski i jeden żeński, Studnia będzie stopniowo uzupełniać braki. Tak przynajmniej rozumiał ten system. Myśl była jednak niepokojąca. Zniszczenia, o których wspominał Najwyższy Władca oznaczały, że wojny te prowadziły do samozagłady. Odbudowę zajmowali się prawdopodobnie ci, którzy w tym czasie byli poza sześciokątem. Ślepa uliczka — rozmyślał ponuro. Resztki marzenia Markowian o wiecznym, naprzemiennym powstawaniu i upadku cywilizacji. Było to przygnębiające.

— Chyba rozumiem twoje zainteresowanie moją osobą, Wasza Wysokość — powiedział ostrożnie. — Pojawiam się nagle znikąd, nowo przybyły czy uciekinier, wszystko jedno, ale bez tych problemów psychologicznych, do których jesteś przyzwyczajony. Przypuszczasz, że to ja mam cię zniszczyć. Prawda?

Najwyższy Władca wzruszył lekko ramionami.

— A zamierzasz to zrobić?

Marquoz westchnął.

— Nie, Wasza Wysokość. Zupełnie nie. Ostatnią rzeczą, której bym pragnął, byłoby zajęcie twojego miejsca. Może trudno w to uwierzyć w tych warunkach, ale jesteś niezwykle inteligentnym człowiekiem, gdyż inaczej nie byłbyś tym, kim jesteś. Nie wątpię, że twoje wykrywacze kłamstwa potwierdzają właśnie moją szczerłość.

Najwyższy Władca spojrział na niego z zazdrością i podziwem.

— Jesteś sprytny. Psychopata dałby jednak taki sam odczyt.

— Wasza Wysokość, proszę skorzystać teraz z wykrywaczy kłamstw i uwierzyć w to, co powiem. Jeżeli już się nie zaczął, to znacznie się najdalej za kilka tygodni napływ przybyszów i żaden z nich nie będzie typowy. Nie będzie ich dziesięciu, dwudziestu czy stu. Będzie to napływ tak ogromny, że ludność wkrótce się podwoi. Podwoi się!

Zapadnięte, płonące czerwonym blaskiem oczy Najwyższego Władcy zwróciły się w bok, jakby sprawdzał odczyty przyrządów.

— Hakazit nie zdołałby ich utrzymać — stwierdził z niepokojem. — Będziemy musieli ich zabić.

— To nie będzie łatwe — ostrzegał Marquoz. — Poza tym nie przybywają tu, żeby zrujnować wasz kraj. Mają wykonać pewne zadanie, wypełnić pewne funkcje.

Szybko wyjaśnił sprawę Brazila i Studni Dusz, jej uszkodzenia i konieczności naprawy.

— Co oferujecie? — zapytał Najwyższy Władca ostrożnie.

— Walkę. Wojnę na pełną skalę! Wojnę, która może być prowadzona albo bezpośrednio przez twoich ludzi, albo przez osobniki, które oni wyszkolą. W ten sposób rozładuje się cała agresja, całe to napięcie cywilizacyjne. Będziecie również po właściwej stronie, jeżeli Brazilowi uda się dotrzeć do Studni. A on tam dotrze. Mogę się założyć. Niezależnie od tego, czy ja przeżyję czy nie, czy Hakazit stanie po naszej stronie czy nie, niezależnie od tego, co się wydarzy, on zwycięży. Kiedy już dotrze do Studni, będzie zdolny pomóc ci w rozwiązaniu tutejszych problemów. Spójrz na to również z innej strony. Takie posunięcie, takie rozładowanie energii przysporzy ci popularności. Masz tu naród, który kocha wojnę, a nie może jej mieć. Teraz będzie ją miał wraz z kompletem przyczyn i celów. To może być ta kłapa bezpieczeństwa, której wam brak, a która może odwlec kolejny kryzys o tysiące lat albo nawet na tak długo, że będzie można tym razem wypracować bardziej stabilny system. Zostaniesz bohaterem za to, że im to umożliwiłeś. Jak długo byłeś Najwyższym Władcą?

Władca zamyślił się.

— Co takiego? Och, nieco ponad trzy lata.

— Nie chciałbyś utrzymać się na stanowisku i pobić tego rekordu? Jeżeli pragnienia obalenia cię nie znikną wraz z wojną, to pomyśl, agresja zostanie przecież, skierowana na planowanie i dowodzenie. Ci najlepsi będą zajęci czymś znacznie ważniejszym niż knucie przeciw tobie. Poza tym będą na froncie, gdzie będziesz mógł ich obserwować.

— Ale ludzie... muszą być do tego przygotowani. Chyba sam rozumiesz... — mruknął Najwyższy Władca. — Wszystko to musi być dokładnie zaplanowane, zorganizowane.

Marquoz przytaknął skinieniem głowy.

— Dlatego właśnie zostałem wysłany tutaj. Właśnie tutaj, do Hakazitu — rzekł, po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę. — Powiedz mi, czy masz tajną policję?

— Bardzo dobrą — potwierdził z dumą Najwyższy Władca.

— Dobrze, a jak się zostaje szefem tej służby?

Władca zachowywał się nieco niepewnie.

— No... wiesz...

— Chyba szef tajnej policji nie założył podsłuchu u ciebie?

— Oczywiście, że nie! — Najwyższy Władca wyglądał na zaszokowanego. — Tutaj tylko ja sprawuję kontrolę. Inaczej już by mnie dawno nie było.

Wytłumaczenie brzmiało rozsądnie.

— A ten... szef... czy to sympatyczny gość? Kocha żonę i dzieci?

— Generał Yutz? Ha... — Najwyższy Władca roześmiał się. — To najbardziej zepsuty sukinsyn, jakiego znam. Udusił swoją żonę i najstarszego syna, ponieważ przypuszczał, że knuli przeciwko niemu.

— To bardzo dobrze — odparł Marquoz szczerze. — Miałbym wyrzuty sumienia, kończąc z nim.

— Kończąc z nim? — Najwyższy Władca wyglądał na zaskoczonego. — Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, mój przyjacielu..

Przybysz zachichotał.

— Ależ Wasza Wysokość! Gdybyś nie mógł tego w każdej chwili uczynić, on już zająłby twoje stanowisko. Z pewnością w prosty sposób można mu zadać śmierć.

Najwyższy Władca Hakazitu popatrzył na Marquoza, jakby widział go po raz pierwszy, kręcąc głową z nieukrywaniem podziwem i fascynacją.

— Wiesz, Marquoz — powiedział po chwili — myślę, że to może być początek pięknej przyjaźni.

— Może być, Wasza Wysokość — zgodził się Marquoz i udało mu się wywołać słaby uśmiech na swej sztywnej, marsowej twarzy. — Rzeczywiście może być. Wolałbym z tobą pracować, niż ciebie obalić. Moje zadanie staje się w ten sposób znacznie łatwiejsze.

Znacznie przyjemniejsze i znacznie łatwiejsze — pomyślał. Znacznie łatwiejsze niż alternatywny plan obalenia całego systemu.

— Zróbmy to — powiedział wreszcie Najwyższy Władca.

Awbri

Awbri było dziwnym krajem porośniętym dżunglą. Ogromne drzewa wyrastały z gęstego bagna, wznosząc się w górę na tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy metrów. Atmosfera była duszna i zdawało się, że w powietrzu bez przerwy unoszą się maleńkie krople wody. Właściwie nie było tam nic poza wodą, wodą i wodą. Spadała całymi wodospadami z drzew, rozlewała się kaskadami po szerokich liściach, spływając w dół aż na poszycie lasu, gdzie słońce prawie nie docierało. Wielkie drzewa zatrzymywały jego promienie gdzieś wysoko w górze, podobnie jak stale obecne szare chmury. Mieszkańcy Awbri nie wydawali się tym zbyt przejęci.

Daleko w dole była Ziemia, ostoja lasu i cel dla spływających kaskad wody. Twierdzono, że tam w dole rozciągało się potworne bagno z błota i płynnych piasków, w którym żyły przerażające istoty bagienne, zwierzęta, rośliny pasożytnicze, a nawet rośliny drapieżne prowadzące ze sobą nieustającą walkę i pożerające wszystko, co było w pobliżu. Żadne z nich nie mogły się jednak wspinać na drzewa, nawet pasożyty, ponieważ ich pęd ku górze powstrzymywały wydzieliny wielkich drzew. Owady żyły w symbiozie z drzewami, a jeżeli wśród nich zdarzały się pasożyty — to zwierzęce, nie roślinne. Owadów zaś było zatrzęsienie. Niektóre z nich potrafiły przeniknąć skórę i wysysać życiodajną krew Awbryjczyków, ale to też było sprawiedliwe, ponieważ oprócz owoców drzew i jarzyn uzyskiwanych z pnaczy oplatających pnie, Awbryjczycy zjadali ogromne ilości tych owadów.

Sami Awbryjczycy żyli wyłącznie na drzewach od poziomu stu metrów aż do podstawy chmur, na wysokości około tysiąca pięciuset metrów. Mieli komiczne, krótkie, kacze dzioby wyrastające z płaskich głów, połączonych długimi szyjami ze zwinnymi, drobnymi ciałami podobnymi do ciał gryzoni. Ich ręce i nogi zakończone były — tak samo, jak to jest u gryzoni — rodzajem chwytnych dłoni z przeciwstawnymi kciukami, a niezmiernie giętke kręgosłupy pozwalały im wykorzystywać te kończyny w dowolny sposób. Ich ciała pokrywało gęste futro, nieprzepuszczalne dla wody, dzięki wydzielinie gruczołów tłuszczowych. Jedyne dłonie, wyglądające tak samo stopy, i sztywne, przypominające latawce ogony pozbawione były futra. Wszystkie członki łączyła porośnięta sierścią błona, natomiast kości Awbryjczyków były puste, co umożliwiało im poruszanie się w

powietrzu prawie jak ptakom. Z rozpostartymi rękami i nogami, używając ogona jako steru, mogli przelatywać pomiędzy wierzchołkami drzew lub szybować na dalekie dystanse, zręcznie omijając konary, liście i inne przeszkody. Wyczuwając prądy powietrza, oceniając szybkość poruszania się i odległość, potrafili unosić się w powietrzu długo niczym szybowce.

Tak wyglądał świat, w którym powtórnie, poprzez Studnię Duszy, narodziła się Jua, przedtem wysoka kapłanka Olimpu. Jeszcze większym szokiem była dla niej tutejsza kultura.

Podobnie jak w jej własnym świecie, rodziło się tu znacznie więcej osobników żeńskich niż męskich. Stosunek ten wynosił może nawet dziesięć do jednego. W Awbri jednak mężczyźni byli najwyższymi władcami, podczas gdy w jej świecie spełniali rolę rozpieszczonych kurtyzan.

Do poszukiwania przywódców kraju przystąpiła natychmiast po przebudzeniu i została wreszcie skierowana do miejscowej rady, która miała swoją siedzibę na wyniosłym drzewie, rosnącym w pewnym oddaleniu od innych. Jak dotąd traktowano ją bez szacunku, więc nie żywiła zbyt przyjaznych uczuć dla swego nowego ludu. Jej negatywne nastawienie pogłębiło się jeszcze, gdy dowiedziała się, że została przydzielona do rodziny niskiego stanu. Działała pragmatycznie. Pogodziła się tymczasem z systemem władzy, ponieważ nic innego nie mogła zrobić. Gdyby się z tym nie pogodziła, zmuszono by ją do posłuszeństwa, karmiąc ją narkotykami lub przeprowadzając operację mózgu.

W Awbri nie było rządu centralnego. Społeczeństwo tworzyły rozbudowane klany, czyli liczne rodziny żyjące i pracujące razem. Na każdym drzewie mieszkać mogło od dziewięciu do dwudziestu Awbryjczyków. Klany zajmowały sąsiadujące ze sobą drzewa, a ich potęga i znaczenie społeczne zależały od ilości członków, a tym samym od ilości zamieszkiwanych przez nich drzew. Na pozycję mężczyzny w klanach, które liczyły od kilkuset do kilku tysięcy osobników, wpływały jego wiek, urodzenie i wyniki testów sprawnościowych oraz wytrzymałościowych. Pozycja kobiety zależała w większym stopniu od jej wieku i stosunku do przywódcy klanu. Pozycja najwyższej rangą kobiety była znacznie niższa od pozycji najniższego rangą mężczyzny.

Rano przyszła po nią młoda Awbryjka. Przedstawiła się jako Dhutu z Tokar. Miała za zadanie pomóc Jua dotrzeć do nowego domu i przystosować się.

Dhutu przynajmniej zachowywała się przyjaźnie i uczyła ją sztuki latania. Im więcej Jua ćwiczyła, tym łatwiej jej szło. Wydawało się, że instynktownie potrafiła ocenić odległość, „wyczuć” i „zobaczyć” właściwości nieruchomego powietrza. Brakowało jej jednak pewności. Chwytała się drzew i pokonywała dystans krótkimi odcinkami. Dhutu była rozbawiona, ale cierpliwa i podczas przerw w podróży Jua poznawała coraz lepiej kulturę Awbri.

Wyglądało na to, że mężczyźni spędzali większość czasu na uprawianiu sportów obronnych, współzawodnictwie, chociaż parali się też handlem i rzemiosłem,

wymieniając to, co wyprodukowały ich klany. Podejmowali decyzje, jakie uprawy mają być prowadzone na konarach i w zagłębieniach pni. W istocie decydowali o wszystkim. Również tylko oni otrzymywali wykształcenie. Ignorancja Dhutu była wprost przerażająca. Kobieta ta traktowała czytanie i pisanie jak czynności magiczne. Książki i litery uważała za tajemnicze symbole, „przemawiające” jedynie do mężczyzn. Nie miała pojęcia, co znajdowało się za następnym zagajnikiem. Nie wiedziała, że żyła na planecie. Nie wiedziała nawet, co to jest planeta. Wiedziała oczywiście, że istniały inne rasy. Sześciokąty były zbyt małe, żeby ukryć taką wiadomość. Nie wiedziała o nich jednak nic, ponieważ przedstawiciele innych ras wyobrażała sobie jako potwory, z którymi jedynie przywódcy klanów potrafili się porozumieć. A poza tym nie była tego ciekawa.

Okazało się, że głównie kobiety stanowiły siłę roboczą. Nie tylko rodziły i wychowywały dzieci, ale także zajmowały się uprawami, przygotowując pod nie mierzwę, zbierając owoce i pnącza, były doskonałymi rzemieślnikami oraz producentami. A praca w drewnie, zupełnie niezwykła, wymagała od nich nieprawdopodobnej dokładności. Skomplikowane i ozdobne wyroby musiały być wykonane bez uszkodzenia drzewa. Na drzewach właśnie kobiety budowały domy, które wyposażały w meble, niezbędne sprzęty (nawet wazony) oraz wytwory ich artystycznych zamiłowań. Konstruowały dziwne instrumenty muzyczne, na których skomplikowane utwory grali oczywiście mężczyźni. Wytwarzały narzędzia dla siebie do pracy i broń do męskich sportów.

Dotarły wreszcie do drzewa, jej drzewa, jak powiedziała Dhutu, i wylądowały na jednym z niższych konarów.

— To nasze drzewo — rzekła Dhutu. — Wymieniliśmy je z klanem Mogid, który potrzebował więcej owoców. Mieliśmy kilka drzew owocowych w pobliżu granicy, zaś oni wolne drzewa mieszkalne, a my potrzebowaliśmy przestrzeni. Spowodowało to wiele zamieszania, ponieważ nic takiego za naszej pamięci jeszcze się nie zdarzyło. Dopiero teraz zaczynamy zagospodarowywać drzewo w odpowiedni sposób. Ty też będziesz tu pracowała.

Powiedziała to z takim entuzjazmem, że Jua zrozumiała, iż powinna czuć się tym zachwycona.

Weszły do dużej dziupli i po drabinie przedostały się na niższy poziom, który był lepiej zagospodarowany. Drzewa były ogromne. Oceniała ich średnicę na ponad trzydzieści metrów. Systemy życiowe tych gigantów zdawały się koncentrować na obwodzie pnia. Ich wnętrza były puste, więc mieszkanie w środku nie powodowało znaczniejszych szkód.

Nowy poziom był w trakcie adaptacji. Kobiety pracowicie polerowały ściany, używając hebli i innych niewielkich narzędzi, nadając im wygląd czegoś, co było wyprodukowane, a nie wyrosło samo, jednak przy zachowaniu, i to z dobrym skutkiem, konturów drzewa i naturalnych jego wsporników. W drzewie rzeźbiono również skomplikowane wzory. Gruba podłoga była też naturalna. Po dokładnym

wyglądzeniu stała się obecnie zupełnie pozioma, lśniąca i wyglądała jak drewno na meble.

Dhutu zatrzymała się i zawołała:

— Hej, siostry! Poznajcie naszą nową siostrę! To jest Jua, która się do nas przyłączy.

Kobiety przerwały prace, zerknęły w ich stronę, skinęły przyjaźnie głowami, a następnie wróciły do swoich zajęć.

— Chodź, musisz się zakwaterować — powiedziała Dhutu.

Podeszła do idealnie wpasowanej kłapy w podłodze, podniosła ją i zesłała w dół. Jua podążyła za nią, gdyż nie pozostało jej nic innego do zrobienia.

Niższe poziomy były już wykończone i prezentowały się imponująco. Najbardziej fascynujące — pomyślała Jua — jest to, w jaki sposób nadano świetlisty połysk otaczającemu wszystko drewnu. Powodowało to, że maleńkie, osłonięte szkłem lampki dobrze oświetlały te obszerne pomieszczenia. Żywe drzewo było na tyle wilgotne, że małe lampki oliwne nie groziły pożarem. Silny płomień, który w normalnych warunkach potrzebny by był do oświetlenia komnaty, byłby zbyt niebezpieczny, nawet gdyby istniał otwór odprowadzający dym.

Na pierwszym poziomie nie zatrzymały się wcale. Był zasłonięty kotarami od sufitu do podłogi.

— Pomieszczenia mężczyzn — wyjaśniła Dhutu.

Szły dalej. Na następnym poziomie znajdowały się mieszkania starszych kobiet pełniących rolę nadzorców.

— Ich czas już minął — wyszeptala Dhutu zagadkowo. — Trzeba im zawsze okazywać szacunek.

Jua została zaprowadzona do starszej Awbryjki rozpartej na dużej, miękkiej poduszce jak kotka. Jua nie potrzebowała przewodnika, by wyjaśnić jej, że ta Awbryjka jest naprawdę stara. Jej dziób był poznaczony starczymi plamkami, a futro nie tylko siwizną, ale i łysinami. Jej ręce były pomarszczone i wychudłe, w ogóle była tak chuda, że wyglądała jak szkielet. Skóra, już i tak luźna z powodu obecności błon lotnych, zwisała z niej jak miękkie, bezkształtne worek, okrywający ją od głowy do ogona.

— Szanowna babko — powiedziała Dhutu, kłaniając się lekko — oto ta, której kazano nam oczekiwać.

Stara kobieta wpatrywała się krótkowzrocznymi oczami w nowo przybyłą. Wreszcie odezwała się łamiącym się, starczym głosem:

— Ty jesteś tą, która była kiedyś inną istotą?

Uznając, że na obecnym etapie nie należy zniechęcać do siebie przywództwa, szczególnie niższego szczebla, Jua przytaknęła skinieniem głowy, nic nie mówiąc.

Starsza kobieta wyglądała na zadowoloną.

— Nie będzie ci się tu podobało — stwierdziła nagle.

Jua uznała, że wymaga to odpowiedzi.

— To nie jest to, do czego byłam przyzwyczajona — przyznała. — Podziwiam drzewa i wykonaną pracę, ale nie wszystkie zwyczaje, o jakich mi mówiono.

Starsza kobieta skinęła głową.

— Jaką pracę wykonywałaś... wcześniej? — spytała.

— Byłam mówcą, podróżnikiem, przywódcą religijnym — odparła Jua, poszukując odpowiednich słów w nowym języku.

— Przypuszczam, że potrafisz trzymać książkę tak, żeby do ciebie przemówiła.

— Tak, ale oczywiście w moich dawnych językach.

Starsza Awbryjka westchnęła.

— Wcale ci się tu nie będzie podobać — powtórzyła z naciskiem, a następnie zamilkła na czas dłuższy, tak że Jua poczuła się niepewnie i pomyślała, że staruszka zasnęła.

Jednak Dhutu nadal stała w postawie pełnej szacunku. Postanowiła więc zrobić tak samo.

Stara kobieta otworzyła w końcu oczy i spojrzała wprost na nią.

— Lepiej by było, gdybyś była cieślą, rolnikiem albo rzemieślnikiem — zakrzeczała. — Nie umiesz nic, co byłoby tu przydatne. Nadajesz się zatem do wykonywania jedynie najnudniejszej, automatycznej, nie wymagającej kwalifikacji pracy. Oszalejesz. Będiesz chciała zademonstrować swoją inteligencję, a jeżeli mężczyźni już na coś nie zezwalają, to szczególnie na to, aby kobieta była inteligentna. Będziesz stanowić zagrożenie, a zagrożeniom trzeba zapobiegać. Wyślą cię w końcu do Uzdrowiciela i wtedy przestaniesz myśleć.

Jua zastanawiała się nad tym.

— Ty sama też nie wyglądasz na mało inteligentną czy nie zorientowaną — zauważyła.

Dziób staruszki wykrzywił się w awbriańskiej wersji uśmiechu.

— Ja zdołałam przetrwać — powiedziała z dumą. — Wychowując się w tym społeczeństwie, potrafiłam być inteligentna i uczyć się, ale nigdy tego nie ujawniać. Ty nie masz dość czasu na naukę. Wydaje mi się, że nazywa się to subtelnością. I na co mi się to przydało! Teraz spędzam swoje ostatnie dni, leżąc na poduszce, wdychając narkotyzujące opary i dumając o tym, że wszystko poszło na marne.

Jeżeli Dhutu była tym wszystkim zaskoczona, nie dała nic po sobie poznać. Nie wykonała najmniejszego ruchu.

— Myślę — powiedziała Jua prawie szeptem — że w tym społeczeństwie dzieje się więcej, niż może dostrzec przybysz lub... mężczyzna.

Znowu ten uśmiech.

— Tak właśnie jest. Wewnątrz klanów są gildie, a wewnątrz gildii są rzeczy... pomocne. Można by je nazwać tajną szkołą. Mówię ci to tylko dlatego, że będzie to bardziej oczywiste dla ciebie niż dla mężczyzn i lepiej sobie poradzisz,

jeżeli się nie zdradzisz, jeżeli nie będziesz zadawać niewłaściwych pytań. Wiesz przecież, że władza mężczyzn jest absolutna. Jesteś tu własnością, a nie osobą. Mogą zrobić z tobą wszystko, co zechcą. Nie masz żadnych praw ani nic do powiedzenia. W związku z tym wszystko, co robimy, jest bardzo niebezpieczne, ale potrzebne. Mamy takie same umysły i talenty jak oni. Nie wolno nam jednak tego okazać. Musimy działać w ukryciu, tak żeby nasze pomysły uznane były za pomysły mężczyzn. W ten sposób osiągamy postęp i to jest jedyny możliwy sposób.

— Ale dlaczego? — dociekała Jua. — Dlaczego tak jest? Wygląda, jakby system dojrzał do rewolucji.

To ostatnie pojęcie sprawiło jej trudności, ponieważ nie było jego odpowiednika w języku awbryjskim. Zabrzmiało ono jak „zmiana sposobu stawania się rzeczy”, ale było zrozumiałe.

Staruszka westchnęła.

— Dziecko, nic jeszcze nie wiesz i nie rozumiesz. Kiedy minie twój pierwszy czas, pojmiesz, że jest to jedyny sposób. Teraz idź. Zwalniam cię od roboty, aż nadejdzie twój pierwszy czas i nastąpi wprowadzenie do klanu. Po tym będziesz rozumiała wszystko lepiej. Po tym może będziesz chciała się zabić.

Jej oczy zwęziły się.

— I pamiętaj, jeżeli zdarzy się, że choćby przypadkowo zdradzisz to, co już wiesz, możesz jeszcze szybciej pożegnać się z życiem.

Ta pogrożka zakończyła wizytę. Staruszka ułożyła się wygodniej, wyjęła małe pudełeczko wypełnione drobnym, białym proszkiem, zbliżyła je do dzioba i wykonała głęboki wdech. Zdawała się wpadać w nastrój miłego otepienia. Dhutu skinęła na Juę i obie zeszły na niższy poziom.

Kobiety żyły na kilku poziomach w spartańskich warunkach. Były podzielone na gildie — ciesielstwo, rolnictwo, rzemiosło. Najniższy poziom zajmowały te nie należące do żadnej gildii i bez przydziału. Pomieszczenie wyglądało tak jak i pozostałe — pusty hali z poduszkami do spania wypełnionymi słomą. Skomplikowany system rur doprowadzał do wnętrza wodę spływającą po pniu i również odprowadzał ją na zewnątrz. Dostępne dla wszystkich toalety spłukiwane były w ten sam sposób: prądem spływającej wody. W odróżnieniu jednak od odpływu wody do mycia odpływ z ubikacji nie był skierowany na zewnątrz, ale do wnętrza pnia, gdyż w ten sposób odchody mieszkańców służyły do nawożenia drzewa. Był to dobrze pomyślany system, ale powodował, że na najniższym poziomie panował smród. Był to oczywiście poziom dla robotnic niewykwalifikowanych, nie należących do gildii, jej poziom.

— Przyzwyczaisz się do smrodu — zapewniła ją Dhutu. — Po pewnym czasie nawet nie będziesz go wyczuwała. Wszystkie tu zaczynałyśmy. Większość twoich siostr będzie bardzo młoda, jeszcze nie przeszkolona i nie należąca do gildii albo bardzo głupia. Rozumiesz?

Jua skinęła głową bez entuzjazmu.

— Dhutu, wciąż jest coś, czego nie rozumiem. Słyszałam wiele o moim czasie. Także od ciebie. Myślałam, że mówiłaś o czasie w ogóle. Teraz widzę, że chodziło o coś innego. Staruszka też o tym wspominała. O co tu chodzi?

Dhutu wahała się przez chwilę.

— Sama tego doświadczysz. Trudno to opisać. To po prostu twój czas. Sama zobaczysz. Wtedy nie będziesz potrzebowała żadnych wyjaśnień.

Nie było to zadowalające, ale mimo nalegania niczego więcej się nie dowiedziała.

Kilka następnych dni minęło powoli, miała jednak dość swobody, żeby zapoznać się z pracami, jakie prowadzono w celu adaptacji drzewa na mieszkanie i z trybem tutejszego życia. Interesowały ją różne rodzaje drzew wykorzystywanych do różnych celów. Ogromnych drzew mieszkalnych, z pustymi pniami, w których mogły zamieszkać kolonie Awbryjczyków, rosło niewiele. Niektóre gatunki rodziły owoce. Inne nie dawały nic, miały natomiast płaskie konary z zagłębieniami, w których układano mierzwę zmieszaną z przeżutą korą, słomą, owadami, mnóstwem odpadów i na tym umieszczano nasiona w lepkiej wydzielinie kobiecych gruczołów. Uprawy starannie pielęgnowano i nawożono, aż do zbioru jarzyn czy choćby słomy.

Coraz bardziej wątpiła w powodzenie wielkich planów Obiego. Zaczynała nabierać pewności, że coś się nie udało. Jej zadanie polegało na zorganizowaniu i poprowadzeniu armii, a przynajmniej jakiegoś oddziału oraz na zebraniu pod swe sztandary innych ochotników w trakcie marszu do punktu zbornego zwanego Glathrielem, gdzie miała się połączyć z siłami zorganizowanymi przez Marquozę i Mavrę Chang. Nie orientowała się zupełnie, gdzie oni w tej chwili są. Nawet gdyby posiadała takie informacje oraz gdyby dokładnie wiedziała, gdzie sama się znajduje, awbryjski system uniemożliwiłby jej wykonanie zadania. Nie mogła się też zorientować, jakimi umiejętnościami dysponowali Awbryjczycy. Obawiała się, że trafiła w niewłaściwe miejsce. A może z jakichś powodów Obie potrzebował Awbryjczyków? Może to, że byli wszystkożerni i potrafili latać, potrzebne było dla uzupełnienia sił? Może popełniono błąd przy kodowaniu płci? Może powinna była zostać awbryjskim mężczyzną? To miałoby więcej sensu.

Czas uciekał. Lada chwila rozpocznie się napływ ludzi do Świata Studni, jeżeli już się nie rozpoczął. Ludność Świata Studni podnosi się. Także w Awbri. W niektórych przypadkach system załamał się zupełnie. Może — pomyślała z nadzieją — kiedy przybysze przewyższą liczbę ludności Awbri, rewolucja nastąpi automatycznie i wtedy będzie mogła ich skrzyknąć i poprowadzić. Może. Pozostawała jej tylko nadzieja i niecierpliwe czekanie.

Kilkakrotnie myślała o ucieczce, lecz nie prowadziło to do niczego. Sama nic by nie zdziałała. Każdy sześciokąt był jak inna, obca planeta, a nie miała pojęcia, w jakiej części świata się znalazła.

Sytuacja była jednak nie do zniesienia. Pogarszał ją jeszcze ten poniżający styl życia.

* * *

W tydzień po przybyciu zaczęła odbierać dziwne wrażenia, miewać dziwne sny, których nie umiała odnieść do żadnej rzeczywistości, odczuwać napady zimna i gorąca. Bała się, że zachoruje. Towarzyszki upewniły ją, że te przeżycia są normalne, że są rzeczą zupełnie naturalną. Zbliżał się jej czas.

Pewnego ranka poczuła, że czas nadszedł. Ogarnął ją ogromny ból, absolutna potrzeba zaspokojenia. Zachowywała się jak narkoman pozostawiony zbyt długo bez swego narkotyku. Było to pożądanie przekraczające wszelki rozsądek, nie do pojęcia. Całe jej ciało płonęło, nie mogła myśleć, nie mogła się opanować. Cała jej istota pragnęła, potrzebowała, żądała tylko jednego i nic się nie liczyło, dopóki tego nie osiągnie. Dostrzegły to starsze Awbryjki i poczyniły odpowiednie kroki. Wkrótce zaprowadzono ją na wyższe poziomy do pomieszczeń dla mężczyzn, a oni tam dawali jej po kolei to czego chciała, potrzebowała, pragnęła. Nie przypominała sobie, ilu ich było ani jak długo to trwało, ani też nie pamiętała potem niczego, co wówczas przeżyła, poza ogromną przyjemnością oraz tym, że gotowa była uczynić dla nich wszystko. Absolutnie wszystko.

Później dowiedziała się, że trwało to dwa dni i dwie noce, czyli jak jej powiedziano, normalnie. Powtarzało się to co sześć tygodni z wyjątkiem okresu ciąży, kiedy to hormony przez nią wywołane powodowały, że kobiety stawały się łagodne i nieco senne. Nastrój ten nasilał się w miarę przybliżania się momentu porodu.

Czuła się jeszcze bardziej poniżona nie tym, co się wydarzyło, ale faktem, że nie potrafiła opanować swych pragnień. Miewała stosunki płciowe wcześniej na Olimpie, ale tego nie dawało się z niczym porównać. Z niczym. To było narkotykiem samo w sobie, przeżyciem tak intensywnym, tak pełnym, że pamięć o nim też była piękna i umysł jej podświadomie czekał na następny czas, pomimo, że jej intelekt obawiał się go i czuł do niego odrazę.

Zdała sobie sprawę, że była to pułapka. O to właśnie im chodziło, z tej przyczyny nie nastąpiła rewolucja i nawet nie zaistniało najmniejsze prawdopodobieństwo jej wybuchu. Dlatego mężczyźni osiągnęli tak mocną pozycję. Nawet gdyby kobiety się zbuntowały, mężczyźni poczekaliby po prostu, aż przyjdzie na nie czas. Wtedy same ukorzyłyby się przed nimi, prosząc na klęczkach, tak rozpalone pożądaniem, że prawdopodobnie zabiłyby najlepszą przyjaciółkę, gdyby próbowała je powstrzymać. Na tym polegał ten okrutny, biologiczny czynnik kontrolujący społeczeństwo, czynnik absolutny. Wydawało się, że cykl reprodukcji wraz ze znośzeniem jaja był dość wygodny, zaś ciąża zdarzała się raz na dwa lub trzy lata. Żeby do tego doszło, warunki zarówno dla kobiety, jak i dla mężczyzny musiały być idealne.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka z tego wyniknęła, było to, że teraz wszystkie kobiety nazywały ją siostrą i wszyscy w klanie traktowali ją znacznie lepiej, w tym i nieliczni mężczyźni, z którymi się stykała. Obecnie była jedną z nich.

Zmusiło ją to do powtórnego zastanowienia się nad uwagami i ostrzeżeniami babki klanu. Wyraźnie coś nie wyszło z planów Obiego i teraz była w pułapce. Nawet ucieczka nie wchodziła w grę, ponieważ czas trwał tak długo, dopóki kobieta nie została zaspokojona, a to można było osiągnąć tylko jednym sposobem.

Tej nocy była bardzo przygnębiona. Następnego dnia miała zebrać gnój do produkcji nawozu. Wreszcie zasnęła niespokojnym, przerywanym snem. To, co jej się śniło, wydawało się niewiarygodne rzeczywiście. Była znowu Olimpianką, skapaną w dziwnym, pulsującym, czerwonym blasku. Wyczuwała, że nie jest sama, że spotyka się z wszechogarniającą obecnością.

— Obie? — spytała we śnie.

— Jestem tutaj, Juo — zabrzmiał znajomy tenor wielkiego komputera.

— Przecież jesteś martwy! — zaprotestowała. — To wszystko mi się śni!

— Tak, muszę być martwy albo przynajmniej poważnie uszkodzony — przyznał komputer. — Inaczej nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. Okazuje się, że moje obawy się sprawdziły. Związki z Brazilem doprowadziły do uszkodzenia mnie albo nawet zniszczenia, a zatem zadanie musi być wykonane trudniejszym sposobem. Niedobrze. Gdyby tak się nie upierał, mógłbym przepromieniować go do Świata Studni na jedną z tras i wówczas nie mielibyśmy takich problemów.

Nastała chwila ciszy.

— Kogo ja chcę oszukać? Wobec rozdarcia w czasoprzestrzeni byłem zbyt rozregulowany, żeby wykonać zadanie. Nie ma to teraz znaczenia. Znaczenie ma tylko to, że skoro możemy rozmawiać w ten sposób, to znaczy, że jesteś w Awbri i minął już twój pierwszy czas.

Poderwała się zaskoczona.

— Wiesz o tym? Ale... co ja mówię! Przecież to sen. Śni mi się spełnienie życzeń. Nic innego. W rzeczywistości nie rozmawiam z tobą.

— Pod wieloma względami nie mylisz się, ale w tym ostatnim przypadku tak — odparł komputer. — Śni ci się sen. Śpisz gdzieś na dnie drzewa w Awbri. Masz rację, że nie ma mnie tu ani nigdzie w pobliżu. Nawet gdybym mógł się tam udać, nie wiem, czy byłbym w stanie pokonać uszkodzoną czasoprzestrzeń i to niebezpieczne markowiańskie zwarcie. Rozmowę jednak prowadzimy, a raczej prowadziliśmy. Gdy przechodziłaś przeze mnie po raz ostatni, zakodowałem tę rozmowę głęboko w twojej podświadomości. Miała ci się przypomnieć w odpowiedniej chwili, dopiero po tym, jak przejdziesz przez pierwszy twój czas. Musiałaś wiedzieć, z czym masz do czynienia.

— Nie wierzę w to, co się dzieje — powiedziała po części do siebie, po części do komputera. — To są po prostu fantazje na temat tego, co tak bardzo pragnę, żeby się zdarzyło.

— Snuj zatem swoje fantazje — odparł Obie. — Teraz oglądasz mapę twojego rejonu Świata Studni. Możesz oceniać swoje położenie w stosunku do Glathrielu. Dostarczyłem ci również informacji na temat form i warunków życia w sąsiednich sześciokątach. Masz tu też kompletną polityczno-topograficzną mapę Awbri. Wkrótce będziesz jej potrzebować.

Była to prawda. Wszystko to stanęło jej przed oczami, wyraźne i szczegółowe. Stanowiło teraz tak nierozłączną część jej umysłu, że nie przypuszczała, iż kiedykolwiek o tym zapomni. Poczwała, że budzi się w niej nadzieja, że może ten sen jest prawdziwy.

— Co to mi da, Obie? — spytała, nadal czując się pokonana. — Gdybym była mężczyzną, może mogłabym coś zrobić, ale tak...

Obie zachichotał.

— Przepraszam. Myślałem, że kto jak kto, ale ty będziesz nieco silniejsza. Pomyśl o tym. Kobiety dysponują przewagą liczebną. To po pierwsze. Po drugie, mają taki sam rozum jak mężczyźni, a chyba nawet więcej rozumu. Im najbardziej zależy na zmianach. Mężczyźni będą z wami walczyć. Może was pozabijają. W swoim małym, świetnie urządzonym światku, pełnym przyjemności i zabawy, są absolutnie przeciwni wszelkim zmianom. Trudno sobie wyobrazić większych konserwatystów. Prawie cała działalność twórcza i postęp w Awbri są dziełem kobiet. Nowe idee powstają w tajemnicy, a następnie są zaszczipiane kilku młodym mężczyznom. Utwór gwizdany w czasie pracy, prosty mechanizm sprężynowy, z którym zapoznano dziecko, gdy bawiło się jeszcze u matki na kolanach. Później taki mężczyzna w cudowny sposób staje się wynalazcą tego mechanizmu, i jest przekonany, że sam go wymyślił. Widać to wszędzie. Bez kobiet świat ten pogrążyłby się w bezmyślnym animalizmie. Kiedy jednak nadejdzie ta chwila i Awbri będzie musiała wybrać pomiędzy poddaniem się Brazilowi a powstrzymaniem go za wszelką cenę, awbryjscy mężczyźni będą woleli powstrzymać go za wszelką cenę. Będą musieli tak zrobić. Inaczej utracą swój mały, wygodny światek.

Zaczynała rozumieć.

— Ale nie kobiety.

— Właśnie. Im najbardziej powinno zależeć na zmianie. Nigdzie i nigdy nie było miejsca bardziej dojrzałego do rewolucji ani miejsca, które by bardziej na rewolucję zasługiwało. Powiedz, czy kobiety zbuntowałyby się, gdyby mogły?

Zamyśliła się na chwilę, przypominając sobie przede wszystkim uwagi starej kobiety na temat zaprzeczonych możliwości.

— Nie wszystkie, oczywiście, ale te, które przewodzą, które mają odrobinę oleju w głowie...

— Te, które się liczą — zaznaczył Obie. — Inne pójdą za nimi jak owce. Co je powstrzymuje? Co zapobiegło rewolucji?

— Czas — odparła szybko. — Kiedy opanowuje cię rozpaczliwe pożądanie co sześć tygodni, niewiele możesz uczynić.

— Tak — zgodził się komputer. — Co zatem musimy zrobić, żeby wywołać rewolucję taką, jakiej chcemy, i to we właściwym momencie, aby móc przyjąć nowo przybyłych?

— Trzeba zabić wszystkich mężczyzn — odpowiedziała, ale zaraz zmieniła zdanie. — Nie. To bez sensu. Wtedy wszystkie będziemy odczuwać niezaspokojone pożądanie.

— Potrzebujecie więc czegoś — kontynuował rozumowanie Obie — co powstrzyma nadejście czasu. Potrzebujecie czegoś, o czym nie mogło pomyśleć plemię, które ma tak mały przyrost naturalny. Potrzebujecie środka kontroli urodzeń, a ściślej mówiąc: środka chemicznego, którzy oszukałby ciało, wywołując przekonanie, że czas jeszcze nie nadszedł.

Ta myśl ją zelektryzowała.

— Tak! Oczywiście! — Zawahała się jednak, zastanawiając się nad istotą pomysłu. — Mamy tu do czynienia z dwoma problemami. Jeden to psychiczne zaangażowanie w to przeżycie. Obie! To nie do uwierzenia. Ośrodek przyjemności w mózgu zostaje poddany bezpośredniej stymulacji. Jeżeli ktokolwiek przeżył to chociaż raz, nie wiem, czy zdoła tego sobie odmówić.

— Nawet ty?

Zastanowiła się przez chwilę.

— Oczywiście mogłabym, ale też potrafię sobie wyobrazić takie, które nie będą zdolne przestać. Większość kobiet awbryjskich przeżyła to doświadczenie tyle razy, że dla nich będzie to niemożliwe. I jest jeszcze jeden problem. Rasa reprodukuje się bardzo wolno, więc przywódczyni kobiet będą się wahać, czy w ogóle przyjąć taką taktykę. Nie będą chciały doprowadzić do wyginięcia rasy.

— W obu przypadkach masz rację — przyznał komputer. — Wybrałem Awbri z wielu powodów. Pierwszym jest położenie geograficzne. Możesz szybko dotrzeć tam, gdzie będziesz potrzebna. Drugi to ruchliwość i zwinność. Nie wolno nam nie doceniać bojowego potencjału twojej rasy. Jej umiejętność latania jest powiązana z wytrzymałością i zdolnością adaptacji, jakich nie ma u ras ptasich. W odróżnieniu od ptaków nie jesteście delikatni. Macie wbudowanych wiele mechanizmów obronnych. Ostatnim powodem wybrania przeze mnie Awbri jest możliwość przemiany potencjalnego przeciwnika w sojusznika. Żeby to osiągnąć, przeprowadziłem szczegółową analizę biochemiczną Awbryjczyków i życie biologicznego sześciokąta. Gdyby nasze rozwiązania były niemożliwe, nie zostałabyś tam wysłana.

— A więc istnieje rozwiązanie!

Odczuła podniecenie. Sen stawał się bardziej realny niż rzeczywistość, polegająca na tym, że leżała pogrążona we śnie na sienniku w pobliżu zbiornika odchodów w Świecie Studni.

— Oczywiście, istnieje. W przeciwnym wypadku ta rozmowa poszłaby na marne, a ciebie w ogóle by tu nie było. Byłabyś kimś innym gdzie indziej.

I tu nastąpiła denerwująca przerwa.

— Oczywiście, zakładając, że jesteś w Awbri i że się nie pomyliłem. Och. Jeżeli jest inaczej, powiedz mi, kim jesteś, a włączę inny zestaw sygnałów, które pewnie nie okażą się bardzo pomocne, ale być może trochę się przydadzą.

— Jestem w Awbri — zapewniła go. — Gdyby było inaczej, jak byśmy mogli prowadzić wcześniejszą rozmowę?

— Moja droga, czy nie rozumiesz, że dla mnie ta rozmowa nigdy się nie odbyła? Jest to tylko proces bodziec-reakcja odbywający się w twoim umyśle. Ty sama wypełniasz luki, jakie pozostawiłem wśród licznych przesłanek. Pozwól mi teraz kontynuować. Przede wszystkim istnieje napar z siedmiu różnych ziół. Powoduje załamanie hormonalne. Nie ogranicza zdolności psychomotorycznych, natomiast sprawia, że czas nie przychodzi. Lek łatwo zrobić. Jest obrzydliwy w smaku, ale rewolucja wymaga ofiar.

W tym momencie w jej umyśle pojawił się kompletny zestaw składników, informacje, gdzie można je znaleźć i jak właściwie zmieszać. Zauważyła, że trzeba będzie lek podgrzać. Nie wywołało jej entuzjazmu miejsce, skąd pochodziły dwa ze składników.

— To są grzyby z dna lasu — zaprotestowała. — Obie, czy wiesz, jak tam jest niebezpiecznie?

— Nie — odparł komputer. — A ty wiesz? Cóż z tego. Niewielkie ryzyko jest konieczne. Chciałbym cię jednak ostrzec, że lek powoduje pewne efekty uboczne. Jednym z nich jest uzależnienie. Nie przejmowałbym się tym zbytnio. Proste rzeczy dają najlepsze rozwiązania, co widać wyraźnie z recepty. Trzeba zażywać porcję codziennie przez cały cykl sześciotygodniowy. Kiedy czas nie nadejdzie, poznasz, że lek zaczął działać. Kobiety zażywające go zrozumieją to wyraźnie. Później łyk co pięć do siedmiu dni spowoduje stabilizację. Na szczęście nie trzeba pilnować kalendarza. Ciało samo będzie się domagało kolejnej porcji leku, a po początkowym okresie dawki nie należy zwiększać. Będziecie potrzebować zapasów tego specyfiku w czasie podróży. Zapamiętasz wzór chemiczny każdego składnika. Związki te nie są wcale tak skomplikowane biochemicznie, żeby technologicznie zaawansowany sześciokąt nie zdołał ich wyprodukować nawet w postaci pigułek w ciągu kilku tygodni. Zgłoś swoje zapotrzebowanie, jak tylko nawiązesz choćby próbny kontakt z innymi. Muszę cię wreszcie ostrzec, że lek wywołuje pociąg fizyczny do kobiet. Nie powinno cię to zrażać, choćby dlatego, że pochodzisz z Olimpu. Nie powinno to być również przykre dla Awbryjek. Będzie to w znacznie łagodniejszy sposób stymulować te same ośrodki przyjemności i pozwoli przełamać przyzwyczajenia.

— Ale czy zgodzą się na to starsze? Przecież to oznacza koniec rasy. — Jua wciąż nie była przekonana.

— Wcale nie — odparł Obie. — Przede wszystkim będą decydować, komu lek zostanie podany, a to jest dodatkowe uprawnienie, z którego będą dumne. Po dru-

gie, to Studnia reguluje liczbę ludności. Przed kilkuset laty była tu wojna, w której maczałem palce. Wiele plemion zostało zdziesiątkowanych. Ci, którzy przeżyli, rozmnażali się jak króliki, dopóki liczba ludności nie osiągnęła normalnego poziomu. To samo powtórzy się i teraz. Kobiety, które nie dostaną leku, będą zachodzić w ciążę znacznie łatwiej i znacznie częściej będzie występować ciąża mnoga. Awbryjki mogą mieć nawet do sześciorga potomstwa. Dlatego mają sześć sutek. Na skalę planetarną i w szczególnie trudnych warunkach jest to konieczne, żeby chociaż kilkoro przetrwało. W małym sześciokącie szybko nastąpiłoby przeludnienie. Porody zatem są rzadkie i trudne. Stare kobiety wiedzą o tym doskonale. Wszystkie pamiętają, jak to było w czasie głodu, powodzi i innych klęsk.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

— A co z mężczyznami? Nie będą się przecież spokojnie przyglądać. Będą się starali walczyć.

— Przeceniasz ich. Przez lata nie robili nic, tak że teraz nie umieją się nawet wykapać bez pomocy kobiet. Kto przygotowuje im żywność? Kobiety. Lek trzeba dodać do pożywienia. Myślę, że ten wstrętny napar da się jakoś ukryć.

— Lek działa również na mężczyzn?

— Tak. Nie wszystkie składniki są kobietom potrzebne. Niektóre... Powiedzmy inaczej. Sytuacja się odwraca. Załóżmy, że przez szereg tygodni będziecie im obojętne, oni zaś w ciągu tych kilku dni nie będą w stanie sobie bez was poradzić. Jeden czy dwa takie cykle i będą jeść wam z ręki.

— Niektóre ze starszych mogą uznać, że to wystarczy — wskazała Jua. — Mogą użyć lekarstwa tylko wobec mężczyzn.

— Nie zdołam przecież zrobić wszystkiego — odparł komputer. — Ty też musisz czegoś dokonać. Oczywiście jest to po części decyzja polityczna. Poza tym nie musisz wykorzystywać istniejącej populacji. Będziesz miała przybyszów. Można będzie znaleźć odpowiedni kompromis. Nie ma powodu, żeby Awbryjczycy prowadzili naszą wojnę. Jeżeli jednak zechcą pomóc, to bardzo dobrze. Tę sprawę musisz rozwiązać ty.

To brzmiało rozsądnie. Pozostało tylko jeszcze jedno pytanie. Było ważne.

— Obie, powiedz mi, co się stanie, jeżeli pomimo wszystkich przygotowań zabraknie nam leku? Na przykład kiedy będziemy w marszu? Jak będzie wyglądało odchodzenie od leku?

— Nieprzyjemnie — odpowiedział poważnie komputer. — To będzie fizycznie bolesne, prawie nie do wytrzymania. Widzisz, lek zastępuje hormony powstające w organizmie w sposób naturalny. Organizm w związku z tym przestaje je produkować. Zaprzestanie podawania leku powoduje pewne załamanie, ponieważ w organizmie na nowo muszą zostać uruchomione procesy wytwarzania hormonów, a także enzymów komórkowych, które również zastępowane są przez lek w ramach działania ubocznego. Po kilku dniach organizm zareaguje aż nazbyt gwałtownie. Wtedy powróci czas z pełną siłą, tym razem jednak będzie

trwał dłużej. Zależnie od konstytucji ciała może trwać całymi tygodniami. W pojedynczych przypadkach — bez końca. Jest zatem pewne ryzyko.

Poczuła dreszcz i podświadomie zaczęła się zastanawiać, jak można odczuwać dreszcz we śnie. Myśl, że czas mógłby trwać wiecznie, była przerażająca, szczególnie dla kogoś, kto już raz przeżył okres namiętności.

— To wszystko — powiedział Obie pogodnie. — Jeżeli będą mógł się przydać do czegoś w przyszłości, pojawię się w podobny sposób. Zakodowałem w twoim umyśle szereg możliwych rozwiązań w sytuacjach wyjątkowych, ale możemy spotkać się znowu. Miejmy jednak nadzieję, że nie zaistnieje taka konieczność, bo każde spotkanie będzie oznaczało, że coś nam się nie powiodło.

Jua obudziła się nagle i rozejrzała dokoła. Wszyscy byli na miejscu i chrapali przez sen. Ranek jeszcze nie nadszedł. Jak długo trwał ten sen? — zastanawiała się. Najprawdopodobniej niezbyt długo, pewnie ułamek sekundy. Położyła się na sienniku i starała odprężyć. Jutro będzie ciężki dzień. Potrzebowała snu. Rano zajmie się komputerem, później porozmawia ze staruszką na temat obalenia filarów społeczeństwa...

Dillia

W Dillii zbliżała się wiosna, najpiękniejsza pora roku. Było ciepło. Słońce świeciło jasno i radośnie, chociaż od wyniosłych gór na zachodzie docierał chłodny powiew jak jedwabista pieszczota.

Mavra Chang przez dłuższy czas stała nieruchomo i patrzyła na odbicie w strumieniu. Czuła się jednością z ptakami, z małymi zwierzętami wodnymi, z wiatrem i szumem pobliskiego wodospadu. To nie było jej odbicie oczywiście, ale nie oczekiwała, że je zobaczy po przejściu przez Studnię. Jednakże wiedziała, że to mimo wszystko było jej odbicie, przedstawiające ją nie tyle taką, jaką teraz w istocie była, ile taką, jaką mogłaby być, gdyby wydarzenia w jej życiu nie potoczyły się tak dziwnym torem. Nie drobną, delikatną kobietą orientalną, w którą zmienili ją potajemnie chirurdzy w celu ukrycia jej przed wrogami, zrywając przy okazji wszelkie jej powiązania z wczesnym dzieciństwem i przodkami, ale taką, jaką by była, gdyby jej ojczysta planeta nie wpadła w ręce technokratycznej dyktatury, która w tamtych czasach panowała w Kom.

Orientalna. Słowo to zatraciło swoje znaczenie wiele tysięcy lat temu, kiedy ludzkość wyruszyła ze Starej Ziemi do gwiazd. Co najmniej jedna trzecia ludzkości należąca do tej samej rasy, a może nawet więcej, wyruszyła na poszukiwanie miejsca i przestrzeni, których Stara Ziemia nie mogła jej zapewnić; wyruszyła, aby zaczerpnąć głębszego oddechu i żyć z dala od przeludnionych, zatłoczonych miast oraz komunalnych gospodarstw rolnych. Po pewnym czasie prawie wszyscy ludzie wyglądali orientalnie, co zacierało między nimi różnice. Czyści przedstawiciele innych ras ludzkich byli zjawiskiem bardzo rzadkim i wyróżniali się w tłumie. Należał do nich oczywiście Brazil, nieliczna, rozsypana po świecie, ale spójna grupa Żydów oraz inne niewielkie grupy etniczne związane ideą przetrwania rasowego jak na przykład Cyganie.

Jej obecna twarz, egzotyczna, tchnąca seksem, nie odzwierciedlała mieszaniny ras zwyczajnej na planetach zamieszkałych przez ludzi. Tam prawie nikt nie miał złocistych blond włosów, chyba że po przefarbowaniu, ani głębokich lodowatobłękitnych oczu, chyba że po użyciu szkieł kontaktowych. Jej gładka skóra była również bardzo jasna, chociaż wiedziała, że pociemnieje na słońcu. Miała

duże piersi, znacznie większe niż dawniej, i idealnie ukształtowane. Kołysały się w takt jej ruchów i była tego świadoma.

O ludzkim rodowodzie świadczyły jedynie jej twarz, piersi i wspomnienia. Część ludzka jej ciała przechodziła płynnie w kształt koński, także pokryty złotoblond sierścią, zakończony prawie zupełnie białym ogonem.

Obie już dwukrotnie przemienił ją w centaurzycę, ale podświadomie czuła, że tym razem to już na zawsze. Stała tak zamyślona, starając się zrozumieć cel działania komputera. Odwróciła wreszcie wzrok od swego odbicia w wodzie i skierowała go ku górom, chłodnym i purpurowym, spowitym w chmury i przykrytym śnieżnymi czapami, które będą topnieć jeszcze przez długi czas. To nie była Dillia, jaką znała, ale Gedemondas, tajemniczy Gedemondas, który zaledwie pamiętała, a nawet i te wspomnienia zostały zatarte przez stulecia życia i doświadczeń. Dziwna, mistyczna rasa górską dysponująca ogromną potęgą, żyjąca jednak w zupełnym osamotnieniu wśród kamiennych zwałisk i w jaskiniach ogrzewanych gorącą wodą wulkaniczną, gdzieś głęboko pod pięknymi górami. Sposób myślenia tych istot był nieludzki. Tylko tak, jej zdaniem, można go było określić. Gdzie indziej na półkuli południowej, przynajmniej w tych jej częściach, które znała, proces myślenia przebiegał bardziej normalnymi drogami niezależnie od tego, jak dziwne formy przybierało życie. Mieszkańcy gór gedemondiańskich kiedyś ją znali i interesowali się nią. Może też i tym razem?

Odwróciła się od strumienia i wodospadu i ruszyła ścieżką w kierunku niewielkiej wioski, o której istnieniu wiedziała. Zdawała sobie sprawę, że wędrowała tym samym szlakiem, którym wędrował jej dziadek dawno, dawno temu w tym samym celu — by dotrzeć do komputera Studni Dusz. Jej dziadkowie wędrowali wówczas z Brazilem, chociaż nie całkiem z własnej woli.

Wioska położona była nad wielkim jeziorem lodowcowym, z dala od głównych ośrodków życia Dillii. Mijały wieki, wioska jednak się nie rozrastała; ludność ją zamieszkująca tkwiła w głuszy i jak cała społeczność Dillii pogrążona była w stagnacji. W Świecie Studni nie było przeludnienia, a zatem nie było też i presji, która wymuszałyby rozwój tego regionu. Również zasoby, jakie tu występowały, nie skłaniały do niszczenia krajobrazu. Był to sześciokąt o ograniczonym rozwoju technologicznym. Dozwolono na wykorzystanie energii pary, a niewyczerpane zasoby jej oraz węgla znajdowały się daleko na południu.

Tutejsze bogactwa były najważniejsze dla tubylczej ludności. Ryby rodziły się w niezliczonych strumieniach zasilających jezioro, na czym opierała się miejscowa produkcja dostarczająca surowców dla przemysłu spożywczego, wytwórni tłuszczów i nawozów za jeziorem, jak mieszkańcy tego regionu mówili o pozostałych częściach sześciokąta. Ryby i obfitość zwierzyny w lasach wokół jeziora tworzyły zasoby, które tutaj się liczyły.

Dostrzegała jednak, że od czasu kiedy była tu ostatni raz, zaszły poważne zmiany. Wioska okazała się większa. Wydawało się, że wśród zagajników stało

więcej chat. Widziało się więcej przejawów nowoczesności. Pochodnie zastąpiło lampami gazowymi, zasilanymi z dużego zbiornika stojącego w pobliżu jeziora, przystosowanego również do obsługi łodzi. Tych też było więcej. Stały zacumowane w równych rzędach w niewielkim porcie. Prawie jak elegancki port jachtowy — pomyślała. Budynki także wyglądały na nowsze. Nie były to już wyłącznie chaty z nie ociosanych pni, jak dawniej. Widać było, że zastosowano elementy prefabrykowane. W Świecie Studni zmiany zachodziły powoli, ale — jak wszędzie — były nieuchronne. W pewnym stopniu poczuła się rozczarowana. Miejsce nieco zatraciło swój urok.

Jej nagość nie wywoływała w niej niepokoju. Nadchodziła ciepła pora roku i większość centaurów obywała się bez ubrania. Tylko jej jasna skóra wyróżniała ją spośród bardziej opalonych osobników.

Szukała biura miejscowego konstabla. Był to tutaj jedyny przedstawiciel władzy. Działanie samotne i bez rozeznania sytuacji nie miałyby sensu; tubylcy nie zawsze byli przyjaźnie nastawieni wobec obcych.

Nie potrafiła oczywiście odczytać znaków i tekstów, ale tylko na jednym małym, złożonym z prefabrykatów budynku widniało oficjalnie wyglądające oznakowanie po obu stronach drzwi. Musiała to być Wielka Pieczęć Sześciokąta. Oznaczało to siedzibę urzędową i — o ile sytuacja nie uległa zmianie — było to miejsce, gdzie mogła oczekiwać pomocy.

Okazało się, że miasto powstało tu głównie po to, aby kontrolować napływ turystów, budynek zaś był ratuszem, i do tego niezmiernie małym. Gdyby wszyscy czterej urzędnicy — burmistrz, skarbnik, pisarz i konstabl — zdecydowali się przebywać w nim równocześnie, nie byłoby tu miejsca nawet na meble. Pisarz zapewniła ją jednak, że nigdy to się nie zdarzało. Sytuacja zmieniła się, ale nie tak bardzo. Pozostali trzej byli nad jeziorem. Łowili ryby.

Pisarz, kobieta z wydatnym nosem i o zmierzwionej, szaro-białej sierści oraz urzędowym sposobie bycia, okazała się wystarczająco miła.

— Nazywam się Hovna — powiedziała. — Kiedy dowiedzieliśmy się, że pojawiła się grupa nowo przybyłych z twojej części przestrzeni kosmicznej, oczekiwaliśmy, że przynajmniej jedno z nich przybędzie tutaj.

— Tak? — Mavra była zaskoczona.

— Czterokrotnie w historii zdarzyło się, że przybywały istoty z twojej części przestrzeni kosmicznej i za każdym razem przynajmniej jedna trafiała tutaj. To musi być jakieś przyciąganie.

— Czy w tej chwili są tu jacyś przybysze? — zainteresowała się Mavra.

— Ależ nie — kobieta roześmiała się. — Ostatni taki przypadek odnotowano kilkaset lat temu. Nie mam w aktach danych o nowo przybyłych z żadnego regionu.

To się wkrótce zmieni — pomyślała Mavra. Będzie musiała ostrzec władze, żeby zdążono przygotować jakieś zakwaterowanie dla przybyszów, nie rujnując tego pięknego, spokojnego zakątka. Tymczasem jednak powiedziała:

— Cóż, cieszę się, że tu jestem. Dawno temu mój pradziadek należał do tej społeczności.

Kobieta zmarszczyła brwi.

— Dziadek? Nie pamiętam. . . W każdym razie, jak to możliwe? Jak się już tu przybędzie, to się tu zostaje.

— Nie, jeżeli przejdzie się przez Studnię Dusz — odparła Mavra.

Urzędniczka najwyraźniej nic nie rozumiała.

— To działa się dawno temu.

Mavra nie nalegała.

— Potrzebuję kilku dni, żeby rozejrzeć się po okolicy. Obawiam się, że nie jestem typową imigrantką. Mam tu pewne zadanie do wykonania.

Ta stwierdzenie spowodowało jeszcze większe zakłopotanie.

— Zadanie? — Urzędniczka spojrzała na nią z ukosa, jakby uważała, że nowo przybyła nie jest psychicznie zrównoważona.

Pełnomocnictwo przy załatwianiu takich formalności, jak na przykład wpisanie do rejestru obywateli, dawało urzędniczce pewną władzę, ale niezbyt wielką. Zapisała tylko imię przybyłej. Dillianie używali pojedynczych imion. Nie widzieli zupełnie potrzeby używania dwóch. Na szczęście jej imię „Mavra” składało się z sylab występujących w języku dilliańskim i nie wymagało zmian.

— Nad jeziorem jest pensjonat — powiedziała kobieta, pisząc coś na kartce papieru z urzędowym nagłówkiem. — Daj im to, a przydzielą ci pokój. Będiesz tam mogła mieszkać, dopóki się gdzieś nie osiedlisz. Jest dopiero początek sezonu, więc będą mieli wolne pokoje. Możesz tam również jeść.

Znowu zapisała coś na karteczce.

— Zgłosisz się z tym do kowala. Będą ci potrzebne podkowy. Sama jednak musisz znaleźć sobie miejsce w naszym społeczeństwie. Jest mnóstwo roboty w tej części kraju, chyba że wolałabyś bardziej cywilizowaną, lekką pracę.

Ostatnie zdanie wygłosiła pogardliwym tonem. Byli tu ludzie z miasta i ze wsi i pani pisarz nie usiłowała ukrywać, do jakiej grupy należała.

Mavra przyjrzała się obu karteczkom.

— Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku — zapewniła urzędniczkę. — Ale. . . nie mogę ich odczytać. Która jest która?

Urzędniczka była zakłopotana. Na jednej z kartek narysowała małą, odwróconą podkową. Mavra skinęła głową, podziękowała i wyszła.

Była głodna, ale zdecydowała, że rozejrzy się po mieście, zanim pójdzie do pensjonatu. Podkowy. . . zabawne, że wcześniej na to nie wpadła. Rhonowie, centaury z jej dawnego sektora, wynaleźli dość skomplikowane ochrony na kopyta,

które czyniły podkowy zbędnymi, lecz tutaj stosowanie podków było raczej dobrym pomysłem. Ruszyła do kowala.

To tak, jak iść ze złamaniem do lekarza — pomyślała. Zapewnienia, że to podobno nie boli i trwa krótko, nie zmniejszyły jej niepokoju. Dreszcz przebiegł jej po ciele na myśl, że potężny, krzepki, gniady centaur, który wyglądał, jakby mógł wyginać stalowe pręty niczym makaron, miał wbić garść stalowych ćwieków w jej stopy od spodu.

Kiedy weszła do kuźni, kowal, przyjaźnie usposobiony mężczyzna o imieniu Torgix, zachwycony jej urodą jak każdy mężczyzna, uśmiechnął się od ucha do ucha znad gęstej brody i pospieszył ku niej. Wziął karteczkę z narysowaną podkową, rzucił na nią okiem i pokazał, gdzie należy się ustawić.

— Nie denerwuj się, ślicznotko — zaryczał głosem pasującym do jego postury. — Zrobimy to migiem.

Obserwowała, jak mierzył jej kopyta, jak ze zręcznością rzemieślnika wyginał rozgrzaną do czerwoności stal we właściwy kształt. Nie mogła natomiast patrzeć, jak wbijał gwoździe w kopyta przez niewielkie otwory w podkowach. Rzeczywiście nie bolało. Czowała jednak ból w mięśniach spowodowany siłą jego uderzeń. Chyba nie zdawał sobie sprawy z własnej krzepy. Odczuwała też spore napięcie psychiczne. Odetchnęła z ulgą, kiedy skończył. Zrobiła kilka niepewnych kroków, czując ciężar podków i z trudem zachowując równowagę.

— Przyzwyczaisz się — zapewnił ją. — Za parę dni zapomnisz, jak to było bez podków, a twoje kopyta będą ci dziękować w przyszłości. Ślad wygląda dobrze. Podkowy nie będą rdzewiały ani się krzywiły. Czasami mogą obluzować się gwoździe. Każdy kowal będzie umiał to naprawić. Czy mogę zrobić coś jeszcze?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Dziękuję. Napiłabym się czegoś... — zawahała się. — Ale potrzebne będą pieniądze, żeby zapłacić.

— Nie przejmowałbym się tym — zachichotał. — Jesteś najpiękniejszą kobietą w okolicy i masz w sobie coś. Przepraszam, ale chyba wiesz, co mam na myśli. Nikt ci nie odmówi, jeśli zechcesz się napić. Czy wcześniej też byłaś kobietą?

Skinęła głową.

— W takim razie wiesz, co mam na myśli — powiedział z miną znawcy i puścił do niej oko.

Uśmiechnęła się. Tak, dokładnie wiedziała, co miał na myśli.

* * *

Kultura, jaką pamiętała z poprzedniego pobytu w Dillii, była kulturą o charakterze komunalnym. Jeżeli były w obiegu jakieś pieniądze, to nie używano ich tutaj. Sytuacja się jednak zmieniała, chociaż nie w tak dużym stopniu jak gdzie

indziej, nawet w Świecie Studni. Każdy otrzymywał swój numer. Ona też miała swój wypisany na kartkach, co oznaczało, że otwarto dla niej rachunek prowadzony przez pisarza w miejscowości, w której została zarejestrowana. Rachunek nie był zbyt precyzyjny. Nie wiadomo nawet, w jakich jednostkach był prowadzony. Należało jedynie wykonywać jakąś pracę produkcyjną, żeby go nie stracić. Nie było żadnych kłopotów z zakupami, dopóki się pracowało i produkowało.

Zastanawiała się, na jak długo wystarczy jej ten rachunek. W każdym razie na trochę z pewnością. Nie ustalono żadnej granicy czasowej, chociaż, oczywiście, urzędniczka nie wyjaśniła jej zasad działania. Widocznie uważała, że z przedstawicielami obcych kultur należy być ostrożnym. Może będzie korzystać z rachunku w nadmiarze? Ale była piękna i miała to coś, jak powiedział kowal, więc łatwo uzyskała wyjaśnienia.

Mavra uznała, że stała się niestaranna i leniwa. Ważnym elementem jej życia były zawsze bary. Wyrosła w nich i w ich pobliżu. Pracowała w nich i była ich klientką. To, że uważano ją za atrakcyjną, zwykle przynosiło jej korzyści. Obecnie była w centrum uwagi, ale wyszła z wprawy i nie potrafiła tego wykorzystać. Obie był jej bliskim przyjacielem, towarzyszem, najbliższą istotą myślącą przez długi, długi czas i bardzo za nim tęskniła. Zaczęła sobie jednak teraz zdawać sprawę, że był też jak narkotyk, jak magiczny duch, który mógł jej dać wszystko, czego potrzebowała i zapragnęła prawie w tej samej sekundzie. Dawna, twarda, całkowicie samodzielna Mavra Chang gdzieś w tym procesie zniknęła. To było jak zdradliwa pułapka, której się nie dostrzegało, dopóki sytuacja do tego nie zmusiła. Teraz Mavra uświadomiła sobie swoje trudne położenie.

We wczesnym okresie życia sama dla siebie była całym światem, co wbijało ją w dumę. Wdarła się na szczyt tylko dzięki własnej przemyślności i własnym zdolnościom. Nie obyło się bez tego, żeby tu i ówdzie ktoś jej nie pomógł, ale zawsze tak jest we wszechświecie. Teraz jednak zmieniła się. Taki wpływ wywierają czarodziejskie różdżki.

Spostrzegła, że kobiety i mężczyźni w barze są głośni, wrzaskliwi i prostacy. Oczywiście tak było zawsze, ale zawsze też udawało się jej dostosować do sytuacji i tolerować ją, żeby osiągnąć to, czego chciała. Teraz okazało się to trudniejsze. Nie umiała ignorować dotknięć i uwag. Zbyt łatwo ją irytowały. Wyszła najszybciej, jak tylko mogła i skierowała się do pensjonatu. Był to ogromny, drewniany budynek, zbudowany z bali, z dużym tarasem wychodzącym na port i jezioro.

Pensjonat okazał się ładnie urządzone. Całe pierwsze piętro było otwarte. Sufit wsparto na potężnych belkach. Na obu końcach pomieszczenia znajdowały się kominiki. Był także jeden na samym środku z kominem wystającym ponad dach. Pokoje mieszkalne mieściły się w dwóch dwupiętrowych skrzydłach odchodzących w głąb z głównego hallu. Choć niewielkie i wyposażone w podstawowe sprzęty, zawierały wszystko, co niezbędne do życia. Dillianie sypiali na stojąco, mimo że lubili podeprzeć się dla odpoczynku. W tym celu umieszczono dwie wyściełane

poręcze. Nie zabrakło też umywalni z bieżącą, źródlaną wodą, dzbanka oraz płóciennych ręczników. Do wspólnej latryny wchodziło się z hallu. Składała się z kilku boksów oddzielonych przegrodami, do których należało się po prostu cofnąć. Nic nadzwyczajnego, ale wystarczała.

Między dwoma skrzydłami ulokowano pomieszczenie jadalne. Wszędzie rozwieszono tablice informacyjne, których nie mogła odczytać, ale które przetłumaczyła jej przyjaźnie usposobiona kelnerka. Oznaczały godziny wydawania posiłków według numerów pokoi. Dillianie byli w zasadzie wegetarianami, jednak i tak w tym kraju nikt nie głodował. Przyrządzali swoje potrawy na tysiące sposobów. Wszystkie były bardzo smaczne. Podawano je na gorąco lub na zimno i zawsze mocno przyprawione. Dillianie mogli jeść prawie wszystkie rośliny, w tym trawę, chociaż ich smak pozostawiał często wiele do życzenia.

Została w pensjonacie przez kilka dni, błakając się głównie po odludnych ścieżkach, patrząc na góry i starając się odnaleźć siebie, ową dawną Mavrę, której dziś tak potrzebowała. Kiedyś była dumna ze swego odosobnienia, ciesząc się samotnością i niezależnością. Przypuszczała, że w dalszym ciągu jej to odpowiadało, a jednak nie umiała pozbyć się wrażenia odizolowania od tych prostych ludzi. Różnica po części polegała na tym, że teraz pracowała dla kogoś innego — pomyślała. Ale nie. Przecież dawniej też przyjmowała zlecenia od innych i zawsze je wykonywała. Lecz wtedy sama przygotowywała plany. Nawet współpracując z Obiem, zachowała poczucie niezależności. Robiła, co chciała i jak chciała. Teraz było inaczej.

Co się zmieniło? — zastanawiała się. Czy z ludźmi działo się tak jak z tym sześciokątem, jak z tym miasteczkiem? Subtelne zmiany w miarę upływu czasu, które prowadzą do zmian nie do poznania? Czy zmieniła się aż tak bardzo, że już nie potrafiła wykonać zadania?

Tak, chyba właśnie o to chodziło. Same narzędzie to tylko wyposażenie. Potrzebne też było psychiczne nastawienie. Konieczne były zarówno całkowita pewność siebie, jak i sposoby oddziaływania społecznego, umożliwiające uzyskanie tego, co się chciało uzyskać; współpraca z Obiem pozbawiła ją tej zdolności. Nie miała już instynktu do naginania ludzi i wydarzeń do swoich potrzeb. Przedtem się tym nie przejmowała, bo robił to za nią Obie. Gdzieś utraciła tę umiejętność i nie wiedziała gdzie. Taki Marquoz wciąż ją posiada. Nigdy jej nie utracił. Ten Czugacz wciąż kontrolował siebie i wszystkich wokół tak, jak ona to dawniej potrafiła. Tak samo Cygan, niezależnie od tego, kim był i gdzie się znajdował. Skąd oni to brali? Przecież się z tym nie urodzili. Zyskiwało się to w miarę dorastania. Niektórzy to zyskiwali. A jak się tę zdolność traciło? Nie korzystając z niej bez przerwy. Marquoz i Cygan zawsze ją wykorzystywali.

Pomyślała, że jest jak wojownik z pogranicza, który wywalczył dla siebie miejsce na samym szczycie i trafił do wielkiego pałacu, gdzie miał wszystko na jedno skinienie. Jeżeli po wielu latach zostanie mu to zabrane, będzie zagubiony.

Jego umiejętności będą przestarzałe albo, co gorsza, zanikną, ponieważ nie były wykorzystywane.

Atrofia. To ją niepokoiło. Dzikie zwierzę, jakim była, zostało oswojone, udomowione, stało się tłuste i leniwe. Teraz, kiedy znowu rzucono je do dzikiego kraju, rozpieszczone stwierdziło, że ten dziki kraj jest dlań obcy.

Trzeba było się pogodzić z tym faktem, chociaż wzdragą się przyznać do tego nawet sama przed sobą. Nie tylko potrzebowała innych ludzi, ale potrzebowała ludzi, na których mogła polegać. Od nich mogło zależeć jej życie. Może gdyby miała więcej czasu lub gdyby w większym stopniu była zdolna kontrolować rozwój wypadków i zmieniać plany, dopasowując je do swoich potrzeb, odzyskałaby swoje dawne zdolności, odzyskałaby tę umiejętność działania w dzikim kraju, którą dawniej posiadała. Ale nie była zdolna, a czas uciekał. Wydarzenia, na które nie miała wpływu, wymuszają wkrótce akcję i reakcję, o których nieco wiedziała, i to było jej najmocniejszą bronią, ale których nie była w stanie zmienić.

Szła późnym popołudniem brzegiem rzeki, rozmyślając o tym wszystkim, kiedy w jej polu widzenia pojawiło się dziwne zwierzę podobne do zająca. Jego ogromne uszy i rozrośnięte do przesady przednie zęby sprawiały komiczne wrażenie. Zwierzę wyglądało jak postać wyjęta żywcem z filmów rysunkowych. Wrażenie komizmu ulatywało jednak, gdy spojrzano się na potężne nogi zwierzęcia. Jego wzrost przekraczał półtora metra, nie licząc uszu. Było potężne, ale zupełnie niegroźne. Patrzyło na nią bardziej z ciekawością niż z przestachem. Przyglądali się sobie wzajemnie. Gdzieś w zakątkach jej umysłu narodził się pomysł i zaczął nabierać kształtów. W tym zwierzęciu było coś zdecydowanie dziwnego. Nie mogła się zorientować co, ale wydawało się to ważne.

Po chwili uświadomiła sobie, że zwierzę jest brązowe od głowy do przednich, krótkich nóg, zaś dalej kolor futra przechodził w śnieżną biel. Przyglądając się uważniej, dostrzegła nawet na brązowym futrze białe smugi.

Dawniej widywała już takie stworzenia, ale były albo brązowe, albo białe. Teraz nagle zrozumiała, co się stało. Białe było futrem zimowym. Zwierzę na śniegu było wtedy prawie niewidoczne. Gdy nadchodziła wiosna i dnie stawały się coraz cieplejsze, zwierzę brązowiło, co było lepszym kolorem ochronnym w rozkwitającym lesie. Białe futro ustępowało stopniowo i znaczyło to, że dwa razy do roku zwierzę nie mogło polegać na swych barwach ochronnych. Wczesną wiosną i jesienią stanowiło cel. Do regionu przybywały grupy myśliwych. Widziała ich. Wyrzucała sobie, że nie wyciągnęła odpowiednich wniosków z tego faktu.

Polowanie było ważną działalnością w Dillii. Futra i skóry wykorzystywano do różnych celów. Mięso sprzedawano do sąsiednich sześciokątów. Grupy myśliwych składały się głównie ze specjalistów — zahartowanych ludzi znających teren. W samej Dillii właściwie nie polowano. Tereny przy jeziorze były zarezerwowane dla ludności miejscowej. Polowania odbywały się w górach Gedemondasu.

Zdecydowała, że najlepiej będzie wrócić do miasta. Tam znajdzie sposób dotarcia do gór. To, co miała załatwić w Dillii, zrobi później. Gedemondas był ważniejszy, szczególnie że potem może nie być czasu na nic.

* * *

Pierwsze próby dołączenia do ekspedycji zakończyły się niepowodzeniem, chociaż w skład grup myśliwskich wchodziły zarówno kobiety, jak i mężczyźni, ponieważ Dillianie zapominali o seksie, kiedy mieli jakieś zadanie do wykonania. Ona jednak wydawała się zbyt miękka, zbyt ładna, żeby brano ją poważnie. Czuła się zawiedziona. Przez całe życie była zbyt drobna, małeńka i nie brano jej poważnie, dopóki nie było za późno. Ale żeby i teraz z niej szydzono bo jest zbyt atrakcyjna! To cios niezasłużony. Nie chodziło o to, że myśliwi, szczególnie potężni, dumni mężczyźni, nie byli nią zainteresowani, ale o to, że nie interesowała ich współpraca z nią.

Czuła się, jakby się cofnęła do początków swojej kariery, kiedy biedna, pozostawiona gdzieś na zacofanej planecie na dalekim pograniczu zdobyła pieniądze, wpływy i wreszcie możliwość wyrwania się stamtąd, wynajmując swoje ciało i świadcząc inne usługi. Sytuacja jednak się zmieniła. Tętniły pewne podobieństwa, ale to nie było żadnym rozwiązaniem. Nie teraz i nie tutaj. Nic jednak poza tym nie miała, nawet ciepłego okrycia na chłody terenów łowieckich. Nie potrafiła też władać bronią. Oczywiście biegle posługiwała się pistoletem laserowym i podobnymi urządzeniami, ale ten sześciokąt charakteryzował się ograniczonym rozwojem technologii, gdzie żadna broń, oprócz białej, nie funkcjonowała. Tereny łowieckie Gedemondasu położone były w sześciokątne bez technologii, gdzie zabijało się przy pomocy łuków i strzał, i takich rodzajów broni, które wymagały ciągłego ćwiczenia. Mavra nie umiała temu podołać, zwłaszcza teraz, kiedy miała to inne, większe ciało.

Traciła nadzieję. Próby z łukiem i kuszą na nic się zdały. Nie zdołała opanować tych umiejętności.

Wciąż jednak nawiązywała znajomości i rozmawiała z przybywającymi grupami myśliwych, obecnie spieszącymi się, żeby wykorzystać jeszcze nie zajęte tereny łowieckie.

Tego wieczora bar był pełen. Jeden z przywódców grupy łakomie wypijał wielkie kufle piwa, opowiadając tubylcom o Gedemondasie. Większość z nich nigdy tam nie była i nigdy by się tam nie wybrała. Było to tajemnicze i niebezpieczne miejsce nawet dla tych, którzy je znali, i o ile rozsądek nie odradzał wyprawy w tamtą stronę, to wystarczały przesady. Mimo że dillianska młodzież mogła dyskutować na temat sześciokątów i istot je zamieszkujących z co najmniej połowy Świata Studni, nikt nie wiedział wiele o najbliższych sąsiadach. Nie utrzy-

mywano tam ambasady, a w opowiadaniach prawie o nich nie wspomiano. Podręczniki geografii opisywały ich zazwyczaj jako strachliwych, ale również groźnych dzikusów, których dostrzec można było jedynie z daleka. Dillia nie uzyskała pozwolenia na polowania w Gedemondas. Nikt się jednak tym polowaniem nie sprzeciwiał. Wszystko to powodowało, że sąsiedni sześciokąt był tajemniczym i groźnym, owianym legendą miejscem.

Myśliwy o imieniu Asam był dużym, krępkim Dillianinem w średnim wieku, który starzał się wyjątkowo dobrze. Do jego opalonej, szczupłej, muskularnej sylwetki świetnie pasowała twarda, przystojna twarz o takim wyrazie, jakby dobrze znał niedole tego świata. Kryła się w niej również i dobroć. Wrażenie to mogły stwarzać jego niezwykle, zielone oczy. Poprzetykana siwizną broda była równiutko przystrzyżona, w ogóle wyglądał na zahartowanego i zadbanego. Niski, dźwięczny i melodyjny głos dopełniał całości.

— Tam zawsze panuje zima — perorował, pociągając raz po raz piwo z wielkiego kufła. — Tak. Nawet podczas letniego dnia sierść może zamrznąć na kamień. Zawsze starannie nacieramy się nawzajem, żeby pot nie zmienił się w lodowe kulki. A spocić się tam łatwo. Niektóre ze ścieżek wiodą prawie pionowo w górę, a przecież niesie się ciężki ładunek. Czasami można zupełnie zabłądzić. Trzeba iść po śniegu i lodzie, co o tej porze roku jest szczególnie niebezpieczne, ponieważ śnieg topnieje od ziemi, ale także i z wierzchu, kiedy świeci słońce. Natrafić można na ukryte szczeliny, które mogą bez śladu pochłoniąć całą grupę. Spotyka się tam nieprzyjemne, śliskie powierzchnie na zboczach wzniesień, miękkie zapadliska i mosty ze śniegu, które wyglądają solidnie, ale kiedy się na nie stąpnie, to pod kopytami czuje się tylko powietrze.

Jego mowa miała specyficzny akcent, który przypominał jej niesamowite i pełne barw pirackie opowieści dla młodzieży. Zastanawiała się, ile z tego jest prawdą, a ile na pokaz i dla zwrócenia uwagi. A może — jak to było w wielu znanych jej przypadkach — mimo woli wcielił się w postać, o której opowiadał, odgrywając tę rolę tak często.

Jego słuchaczami byli przeważnie młodzi i oczywiście zasypywali go pytaniami. Mavra podeszła do jednego z nich i zapytała szeptem:

— Kto to jest?

— Jak to? Nie wiesz? To przecież sam pułkownik Asam.

Nic nie pamiętała na temat stanowisk służbowych w Dillii.

— Przepraszam, jestem tu zupełnie nowa — powiedziała do zdumionego chłopaka. — Opowiedz mi o nim. Dlaczego nazywacie go pułkownikiem?

— Zwiedził cały świat — wyszeptał jej rozmówca. — Zbadał więcej niż pięćdziesiąt sześciokątów. Robił różne rzeczy. Był przemytnikiem, badaczem, kurierem, robił wiele rozmaitych rzeczy.

Poszukiwacz przygód — pomyślała ze zdziwieniem. Dilliański poszukiwacz przygód, awanturnik, ryzykant. Znała ten typ. To, że dożył średniego wieku, ozna-

czało, że jest dobry, nawet gdyby tylko połowa opowieści o nim okazała się prawdziwa. Jeżeli rzeczywiście zwiedził Świat Studnię, to należał do bardzo nielicznego grona. Dobrze to o nim świadczyło i stanowiło osiągnięcie, które mogło być źródłem legendy.

— A skąd tytuł pułkownika?

— Och, zajmował różne stanowiska w wielu armiach. Kiedy udało mu się przewieźć szczepionkę przeciw zarazie z Czill do Morghunu, chociaż Dahbi usiłowali mu w tym przeszkodzić, uczyniono go honorowym pułkownikiem. Tak już zostało. Wszyscy go tak nazywają.

Skinęła głową ze zrozumieniem i zwróciła się ponownie w stronę obiektu powszechnego zainteresowania. Opowiadał właśnie o walkach z olbrzymami śnieżnymi w jakimś odległym sześciokącie, przed wielu laty.

— Jeżeli to taki człowiek, to co on tu robi? Poluje? — zapytała po chwili tego samego chłopaka.

Zbliżył się do nich starszy centaur, który usłyszał jej pytanie.

— Przepraszam, panienko, ale to jego obsesja. Proszę pomyśleć — zwiedził cały świat, dokonał wielkich czynów, a Gedemondas miał tuż za progiem. Urodził się tu, w tym rejonie, i Gedemondas zawsze był dla jego zagadką. Zawsze też przysięgał, że złapie Gedemondianina i zobaczy, co ma w środku.

Uniosła brwi i na jej ustach pojawił się uśmiech.

— Przysięgał, powiadasz?

Stała spokojnie, dopóki nie zakończył opowieści i wtedy zawołała do niego ponad głowami słuchaczy.

— Czy widziałeś kiedyś Gedemondianina?!

Uśmiechnął się, pociągnął z kufła i przyjrzał się jej z uznaniem.

— Tak, ślicznotko, wiele razy — odparł. — Kilkakrotnie chcieli mnie załatwić, zrzucając lawiny. Widziałem ich też z daleka po drugiej stronie doliny oraz słyszałem dziwne dźwięki jakie wydają, odbijające się echem od skał.

Wątpiła, czy Gedemondianie chcieli go kiedykolwiek załatwić. Orientowała się, że gdyby tak było, to już by nie żył.

Naprowadziła go jednak na właściwy temat. Rozejrzał się wokół i zapytał:

— Czy ktoś jeszcze widział Gedemondianina? Jeżeli tak, to chciałbym się o tym dowiedzieć.

Nareszcie.

— Ja widziałam! — zawołała. — Widziałam ich mnóstwo. Byłam w jednym z ich miast. Rozmawiałam z nimi.

Asam o mało nie zadławił się piwem.

— Miasta? Rozmawiałaś z nimi? — powtórzył.

Następnie nachylił się do barmana.

— Kim jest ta dziewczyna? — zapytał przyciszonym głosem.

Barman zerknął w jej stronę. Tak jak i wszyscy pozostali, którzy zastanawiali się, czy szaleństwo nie jest przypadkiem zaraźliwe.

— To nowo przybyła — wyszeptał barman. — Jest tu dopiero od kilku dni. Wydaje mi się, że jest trochę stuknięta.

Asam ponownie zwrócił ku niej swoje zielone oczy.

— Jak masz na imię, złotko?

— Mavra. Mavra Chang.

Ku jej zdumieniu pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Mavra Ortegi?

— Niezupełnie — odpaliła nieco zirytowana, że myślano o niej w ten sposób. — Nie żywimy do siebie zbytnej sympatii.

Asam roześmiał się wesoło.

— Widzę, dziewczyno, że mamy sobie wiele do powiedzenia. Przepraszam państwa, ale sprawy służbowe przede wszystkim — rzekł, dopijając piwo i ruszając ku wyjściu.

Bar od strony ulicy nie miał ściany, jak wszystkie tego rodzaju lokale. Lecz obydwójce z trudem przepchnęli się do wyjścia. Młodzi tłoczyli się, patrząc za nimi. Wygląda to jak popłoch w zwolnionym tempie — pomyślała ze śmiechem.

Asam korzystał z szałasów myśliwskiego. Zbudowano ich kilka dla przybyszów. Zmierzali do takiego właśnie domku z bali, którego drzwi dawały się zamknąć.

Gdy byli sami, Asam nieco się rozluźnił, westchnął i wydobył fajkę.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli zapalę? — zapytał spokojnym, swobodnym tonem, zachowując jednak nieco akcentu, który był tak wyraźny w barze.

— Proszę. Jesteś pierwszym palaczem, jakiego tu spotkałam.

— Trzeba mieć odpowiednie kontakty — odparł. — Tytoń jest cholernie kosztowny, a dobre gatunki są uprawiane jedynie w kilku odległych sześciokątach. My, Dillianie, uwielbiamy tytoń. Nie wiem, ale to chyba związane jest z naszymi procesami biochemicznymi. Lecz tylko nieliczni mogą sobie na to pozwolić.

— Uważaj — powiedziała żartobliwie. — Twoje wychowanie zaczyna się ujawniać.

Roześmiał się.

— Więc trzeba coś z tym zrobić. Nie można przecież dopuścić, żeby nasza sztuczka się nie udała.

Z kolei roześmiała się ona. Zaczynała lubić pułkownika. Należał do ludzi jej pokroju.

— A teraz — odezwał się po chwili milczenia — powiedz mi o Gedemondas.

— Byłam tam. Dawno, dawno temu. To prawda. Może wyglądam na młodą, ale mam prawie tysiąc lat. Jeżeli znasz Ortegę wystarczająco, by rozpoznać moje imię, to wierzysz chyba i w to.

Skinął twierdząco.

— Znam sprawę z zapisów historycznych. Wykonuję od czasu do czasu jakieś roboty dla niego. Poznaliśmy się dość dobrze.

Nagle obudziły się w niej podejrzenia.

— Ale teraz dla niego nie pracujesz?

— Nie, nie pracuję — roześmiał się. — Ale szczerze mówiąc, kontaktowałem się ze mną. Ze mną i przypuszczam, że jeszcze z wieloma innymi. Prosił, żebym uważał, czy ty i inni się nie pojawicie. Chciał, żebym go zawiadomił.

— I zawiadomiłeś?

Potrząsnął głową.

— Nie. Nie mam zamiaru. Prawdę mówiąc, nie widzę w tym żadnej korzyści dla siebie. Robię to, co mi się podoba. Poza tym dopiero przed kilkoma minutami dowiedziałem się, że jesteś w Dillii i że jesteś Dillianką. Lecz założę się, że dowie się o tym, jak tylko plotka się rozejdzie. To było coś w rodzaju generalnego ostrzeżenia. Chciałbym wiedzieć, o co w ogóle chodzi, zanim podejmę jakąś decyzję. Najbardziej jednak chciałbym usłyszeć coś o Gedemondas.

Zrozumiała, że uwagi o jego obsesji nie były żartem. Tym lepiej.

— Przede wszystkim — zaczęła — czy wiesz, kto to jest Nathan Brazil?

— Stary dowcip w Świecie Studni — zaśmiał się. — To jakaś istota nadnaturalna, legenda, mit...

— Ani mit, ani legenda — odparła, kiwając głową. — Przybywa ponownie do Świata Studni. Musi dotrzeć do Studni Dusz.

Omówiła pokrótce ważniejsze wydarzenia, rozdarcie w przestrzeni, zniszczenia w Świecie Studni, a w rezultacie wypaczenia rzeczywistości oraz zamiar Brazila udania się do Studni, wyłączenia jej, naprawienia i powtórnego jej uruchomienia.

Słuchał uważnie. Jego zielone oczy, jak kocie, odbijały migocące światło gazowej lampy. Nie przerywał jej, chociaż od czasu do czasu coś pomrukiwał albo kiwał głową. Nie omawiała szczegółów planu ani powstających problemów. Przyjdzie na to pora później, gdy ustalą, po czyjej stronie opowie się Asam. On wybiegał jednak myślami naprzód.

— Widzę wielką bitwę — powiedział, gdy już skończyła. — Jeżeli Brazil wyłączy Studnię, wszystko przestanie istnieć. Skasuje całą pamięć. Nie dziw się. To, że Dillia nie jest rozwinięta technologicznie, nie znaczy, że nie umiemy posługiwać się nowoczesnymi urządzeniami. Nie czynimy tego tutaj. To po prostu kwestia współpracy. Jest jej więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Kiedyś wybuchła zaraza i ludzie nie umieli jej opanować. Ich technologia na to nie pozwalała. Odległy sześciokąt, dysponujący laboratoriami i komputerami, zajął się tą sprawą. Opracowali surowicę dla ludzi, którzy zrobić jej nie potrafili. Wyprodukowali jej tyle, że z miejsca oddalonego stąd ponad cztery tysiące kilometrów ledwie mogłem ją przewieźć. Uratowaliśmy wiele istnień. Za to zyskałem mój tytuł.

— Dlaczego jego właśnie używasz? Przecież zyskałeś też wiele innych tytułów.

Uśmiechnął się słabo. Jego oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń.

— To był jedyny tytuł, jaki kiedykolwiek otrzymałem za ratowanie życia — powiedział cichym głosem.

Otrząsnął się z zamyślenia i powrócił do tematu.

— Obydwoje znamy zasady — zaczął. — Jeżeli Brazyl zamierza przebudować wszechświat, będzie potrzebował żywych modeli. Nas. Nie wygląda na to, żebym miał u was jakieś szanse, podobnie jak inni na tym naszym świecie.

— Nie zniszczy Świata Studni — zapewniła go. — Niedługo nasza armia wleje się tu przez Studnię. Być może to się już zaczęło. Pojawi się mnóstwo przybyszów. Oni stworzą nasze siły zbrojne i staną się prototypami dla nowego wszechświata, nie wy.

— A ty? Co się stanie z tobą, kiedy on tego dokona?

— Chciałabym wiedzieć — uśmiechnęła się poważnie. — Ale po kolei. Nie wiem, czy dożyję do tej chwili, a jeżeli tak, to zajmę się tym problemem, kiedy zaistnieje. Najpierw Gedemondas. Muszę się tam dostać. Muszę z nimi porozmawiać, wyjaśnić sytuację, zobaczyć, którą stronę wybiorą.

— Przyjmuję tę odpowiedź — skinął głową. — A co z tym procentem?

Zrozumiała, że pytał o korzyści dla siebie.

— Co będzie później? Dobrze byłoby stać po stronie Brazyla, kiedy ten dotrze do Studni. W każdym razie wolałabym być po jego stronie niż po stronie nieprzyjaciół.

— Dobrze, działajmy po kolei — zastanowił się chwilę. — Zajmijmy się Gedemondas. Czy myślisz, że zechcą z tobą rozmawiać?

— Myślę, że tak — odparła. — Wcześniej rozmawiali. Jestem jedyną osobą, która tam była i której pozwolono zapamiętać dokładnie wszystko, co się wydarzyło i wszystkich, z którymi się zetknęła.

— Słusznie. Cóż by z tego wyniknęło, gdybyśmy tam się udali, a potem nie pamiętali nic z tego, co się wydarzyło.

— Żadnych gwarancji — wzruszyła ramionami. — Jestem zaskoczona tym, że mi wierzysz. Inni nie uwierzyli.

— Ortega uwierzył. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby nie sprawdzić. Było dosyć drobnych niezgodności w zeznaniach innych, że zawsze się pojawiały wątpliwości. W twoich opowieściach tego nie znalazł. Doszedł do wniosku, że mówiłaś prawdę. Użył nawet kiedyś twego opowiadania jako przynęty dla mnie. Wiedział, że nie będę zdolny odmówić.

— Muszę tam się udać — powiedziała zdecydowanie. — I to szybko. Mam też inne zadania, ale nie znam tego sześciokąta, nie znam ścieżek, nie mam przewodnika ani kredytu na zapasy czy cokolwiek innego. Bardzo potrzebuję pomocy. Jestem też twoją najlepszą szansą na spotkanie z Gedemondianami.

— Dobrze — zgodził się. — Zorganizuję wszystko, czego ci będzie trzeba.
Możesz się do nas przyłączyć.

Odetchnęła z ulgą. Jej misja była już częściowo wypełniona.

— Ilu was jest?

— Cztery osoby. Ty będziesz piąta. Wszyscy są Dillianami. Pozostali to mężczyźni. Czy ci to nie przeszkadza?

— Dam sobie radę — odpowiedziała zdecydowanie.

Uśmiechnął się i pokiwał głową z uznaniem.

— Założę się, że tak.

Ambasada Uliku, Strefa Południowa

— Zebrała się Wielka Rada Południa — oświadczył Ortega uroczyście ze swego biura.

Był to jednak tylko rytuał. Oznaczało to po prostu, że wszystkie ambasady w Strefie zostały połączone skomplikowaną siecią łączności. Istoty oddychające w wodzie, oddychające różnymi mieszaninami gazów i nie oddychające wcale mogły teraz rozmawiać. Nie wszystkie sześciokątne półkuli południowej Świata Studni były reprezentowane. Niektóre, jak Gedemondas, nigdy nikogo nie przysyłały i biura ich stały puste. Pokażną liczbę ambasadorów, podobnie jak Ortega, stanowili przybysze pochodzący z innych światów i ras, którzy przypadkowo wpadali w bramę Markowa. Ich doświadczenia pozwalały lepiej radzić sobie z nowo przybyłymi.

— Zebranie to zostało zwołane na moją prośbę, ponieważ uważam za konieczne, abyśmy wszyscy zrozumieli, co się dzieje i uzgodnili wspólną politykę.

Ortega wyjaśnił w skrócie sytuację, tak jak ją rozumiał, nic nie ukrywając. Wreszcie przeszedł do konkretów.

— Mamy kilka możliwości. Pierwsza: nie robić nic. Doprowadzi to do czasowego podwojenia ludności Świata Studni. Będzie to stanowiło poważne obciążenie naszych zasobów, ale tylko przez krótki czas. Jeżeli nie będziemy mu przeszkadzać, Brazyl uda się do Studni, zrobi, co ma do zrobienia, a następnie zmniejszy ludność w tej samej proporcji w ramach swego ogólnego programu zasiedlania. Spowoduje to pewne kłopoty, ale nie takie, z którymi nie moglibyśmy sobie poradzić.

— Jeżeli wykorzysta do zasiedlania tylko przybyszów — zauważył ktoś. — Jeżeli wykorzysta wszystkich albo kogo popadnie, przybyszów czy stałych mieszkańców, to koniec.

Ortega machinalnie skinął głową mówiącemu, chociaż obwody telewizyjne nie były włączone.

— Na tym dokładnie polega problem. Znam Brazylię. Wiem, że dotrzymuje słowa. Będzie chciał jednak dokonać samotnie czegoś, czego Markowianie dokonali jako cała rasa. Ten system nie był tak zaplanowany. Nie wiemy też, czy Brazyl posiada wystarczającą wiedzę i pewność. Będzie to robił po raz pierwszy i

nie wie dokładnie, co się stanie. Jest z pewnością Markowianinem. Widziałem go w jego prawdziwej postaci. Lecz jeżeli przyjmiemy jego twierdzenie — a mimo że gotów jestem wierzyć mu w wielu przypadkach, jednak chciałbym zobaczyć jakieś dowody — to według jego własnych słów był technikiem w sześciokacie 41. Technikiem, a nie twórcą. Ponadto to, że obwołał się bogiem, istotą, która nadała pierwszy impuls Najwyższemu Stwórcy Wszechświata, powinno pozwolić nam zrozumieć, co należy o nim myśleć.

— Jestem skłonny mu wierzyć — zabrzmiał inny obcy głos.

Obwody były skonstruowane tak, że pierwszy, który nacisnął przycisk „Mowa”, blokował pozostałe aparaty, wobec czego mówić mogła tylko jedna osoba. Inaczej powstałaby nowa Wieża Babel.

— Że jest bogiem? — Ortega był zaszokowany.

— Nie, oczywiście, nie — odparł ambasador. — Na tym właściwie cała sprawa polega. Jego twierdzenia są niesamowite. Utrzymuje, że jest bogiem lub myśli, że nim jest. Ktoś, kto tak twierdzi, gdyby zechciał zmyślać, prawie automatycznie twierdziłby również, że był twórcą sześciokąta, a nie pracującym tam technikiem. Brazil tak nie zrobił. Mogę więc zgodzić się z opinią, że był kimś znacznie niższym w hierarchii. To mnie, oczywiście, niepokoi jeszcze bardziej. Tu, w Ramagin, mamy komputery, które są dość skomplikowane. Gdyby niewielka naprawa była konieczna, zaufałbym technikowi. Gdyby jednak konieczne było zaprogramowanie od początku, a nie dysponowałbym kopią oryginalnego programu, wezwałbym eksperta. Brazil nic nie programował, nawet sześciokąta 41. Jak można zatem ufać, że wie, co robi ze Studnią, która jest tak skomplikowana, iż żaden umysł nie zdoła tego pojąć?

— Słusznie — przerwał mu Ortega. — Wiem, że jeszcze wielu z was chciałoby coś powiedzieć, ale pozwólcie mi kontynuować, bo inaczej nasze spotkanie potrwa ze trzy tygodnie, a czas nagli.

Umilkł, czekając, aż wygasną małe lampki na znak, że uczestnicy narady zgadzają się z nim. Po chwili kontynuował:

— Drugą możliwością, jaką mamy, jest skontaktować się z Brazilem i spróbować się z nim porozumieć. Jeżeli dotrze do Studni, a będzie z nami skłócony, możemy przyczynić się do spełnienia się przepowiedni. Jeżeli będzie musiał walczyć, żeby dotrzeć do Studni, z wściekłości będzie gotów się na nas odegrać. Nie wolno nam o tym zapominać. Jeżeli zdoła wykonać tę pracę, to może wykorzystać tylko nowo przybyłych, pod warunkiem że łatwo dotrze do Studni. Może wykorzystać też nas, gdy będziemy z nim walczyli, gdy wyrzadzimy krzywdę jego ludziom.

— Czy potrafimy jednak z nim się porozumieć? — zapytał ktoś.

— To jest prawdopodobne — odparł Ortega. — Możemy uzyskać jego zapewnienie, co w przeszłości było wystarczające. Lecz nie wymusimy porozumienia. Kiedy był tu ostatni raz, próbowano to zrobić. Dotarliśmy do Studni, ale wtedy,

podobnie jak i teraz, nic z tego nie mogliśmy pojąć. Co gorsza, przybrawszy postać markowiańską, był w stanie zrobić praktycznie wszystko, nawiązując swego rodzaju kontakt psychiczny z komputerem.

— Czy zaufałyś mu? — ktoś znów zapytał.

— Zaufałbym — odparł Ortega po chwili zastanowienia. — Chociaż nie do wierzałbym, czy będzie w stanie dotrzymać obietnicy z powodów, o których mówiliśmy przed chwilą. Uruchomienie Studni dla kilku pojedynczych osób to jedno, a naprawa i uruchomienie komputera dla całego wszechświata to co innego. Jest zbyt pewien siebie. Podejrzewam, iż on uważa, że potrafi to zrobić. Ja mam wątpliwości.

Przez moment na tablicy kontrolnej nie zapłonęło oni jedno światełko. Zastanawiali się nad tym, co powiedział Ortega. Potem wszyscy naraz chcieli zabrać głos. Znowu musiał im przerwać.

— Trzecie rozwiązanie — i tego Brazil się spodziewa — będzie takie, że mu się przeciwstawimy, że za wszelką cenę postaramy się uniemożliwić mu dotarcie do Studni. Jego agenci już tu są. Organizują nowo przybyłych i rozgrywiają interesy narodowe kilku sześciokątów, które mogą się za nimi opowiedzieć. Jego armia już tu przybywa, gotowa do grupowania się wokół organizatorów. Jeżeli będziemy próbowali go powstrzymać, staniemy wobec kilku nieprzyjemnych spraw. Po pierwsze, możemy go schwycić, uwięzić, znęcać się nad nim, ale nie możemy go zabić. Studnia na to nie pozwoli, niezależnie od tego, czego byśmy nie zrobili. Zawsze zdarzy się coś, co pozwoli mu znaleźć wyjście. Możemy zatem mówić tylko o dożywotnim uwięzieniu go. Po drugie, stajemy wobec naprawdę zaciętej walki. Nie wiemy, gdzie Brazil jest. Jeszcze się nie ujawnił. To może dobry znak, ponieważ wiemy, że jest typem 41, znamy jego wygląd. Wcześniej czy później wypłynie. Wykrylibyśmy go, gdyby nie był w bezpiecznym miejscu, powiedzmy na oceanie; schwytalibyśmy go bardzo prędko. Musimy zakładać, że jest gdzieś w okolicach Glathrielu albo Ambrezy, mimo że już tam szukaliśmy na próżno. Nie jest tak głupi, żeby nie przygotować sobie kryjówek. Musimy zatem czekać na jego pierwszy ruch. Nie wychyli się z ukrycia, dopóki jego armia czy armie nie dotrą do niego i nie stworzą warunków do marszu na północ. Oznacza to, że nasze armie muszą być wielonarodowe, wielorasowe i rozmieszczone w szeregu miejsc strategicznych, gotowe do stawienia oporu. Ponieważ to on będzie wybierał drogę, w porównaniu z nim znajdziemy się w niekorzystnej sytuacji logistycznej. Będziemy jednak dysponować przewagą liczebną i możliwością wyboru terenu. I po trzecie, oczywiście — dodał po chwili milczenia — postępując tak, skazujemy się na to, że możemy pozostać jedynymi ocalałymi formami życia spośród wszystkich stworzeń.

Tablica kontrolna pozostała ciemna. Głośnik również milczał przez długą chwilę, a potem znowu wszyscy chcieli mówić równocześnie. Dyskutowali godzinami, kłócili się, spierali, starali się znaleźć inne rozwiązania. Ortega pozwalał im

na to, nagrywając wszystkie wypowiedzi i robiąc notatki na mapie Świata Studni, jeżeli można było rozeznaczyć sympatie przemawiających. Wyniki były interesujące. Z około siedmiuset reprezentowanych sześciokątów jedna trzecia nie mogła odegrać większej roli, ponieważ ich mieszkańcom nie wolno było opuszczać rodzinnych miejsc, jak istotom roślinnym nie posiadającym zdolności ruchu. Część sześciokątów była niezdecydowana. Kilkakrotnie zauważył, że niektóre z sześciokątów byłyby zdolne przyłączyć się do sił Brazila, gdyby miały taką okazję. Było też jasne, w których sześciokątach zaczęli już działać agenci Brazila. Stało się oczywiste, że Marquoz przekabacił cały Hakazit. Dillianie, niezbyt wojowniczy lud, nie zajmowali oficjalnego stanowiska. Właściwie przecież pozbawieni byli rządu centralnego. Obywatele podejmowali decyzje indywidualnie.

Wyglądało na to jednak, że zdecydowana większość nie przejmowała się ani trochę resztą wszechświata, nie przejmowała się niczym poza własnym bezpieczeństwem i była gotowa walczyć. Wiedział, że tego należało oczekiwać. Kiedy naród stawał przed wyborem pomiędzy abstrakcyjnymi zasadami a własnymi interesami, zawsze wybierał własny interes.

Będą walczyć, a przynajmniej będzie walczyć wystarczająca ich ilość. Nie mógł ich powstrzymać i dopiero kiedy dyskusja zeszała na stosunek do nowo przybyłych, jeszcze raz zabrał głos.

— Nie zalecałbym masowego likwidowania przybyszów! — ostrzegwał gwałtownie. — Pamiętajcie, że musicie brać pod uwagę całkiem realną możliwość, iż pomimo naszych usiłowań Brazyl dotrze do Studni. Każda rasa, która zlikwiduje swoje nadwyżki, stanie wówczas z konieczności wobec totalnej zagłady. Nie możecie sobie na to pozwolić, żeby wszystkich pozabijać! Pamiętajcie o waszych plemionach, o was samych! Gdy schwytały Brazyla, będziecie mogli zrobić, co zechcecie. Dopiero wtedy.

— Ale przecież wszyscy przybysze są po jego stronie! — zaprotestował jakiś głos, odzwierciedlając powszechne przekonanie. — Twierdzisz, że powinniśmy przyjąć nieprzyjacielską armię, która nas pozabija.

— Tu mają nad nami przewagę — przyznał Ortega. — Ale pamiętajcie, że nie musicie tolerować ich na wolności. Trzeba ich kontrolować. Przypuszczam, że wyruszą w kierunku z góry ustalonego punktu zbornego, jeżeli tylko im pozwolicie. Nie pozwalajcie. Ograniczajcie ich liczbę i kontrolujcie wewnątrz waszych granic. Od was zależy, czy zrobicie to sprytnie i subtelnie.

Wiedział, że nie wszyscy zastosują się do jego rad. Wiedział też, że większość jednak się zastosuje we własnym interesie. Zginie mnóstwo niewinnych istnień. Co do tego nie było wątpliwości. Większość jednak zawaha się i powstrzyma od masowych mordów. Miał taką nadzieję.

Doszło wreszcie do głosowania. Spośród 713 sześciokątów uczestniczących w naradzie 431 głosowało za powstrzymaniem Brazila, 184 optowały za negocjacjami, a 98 powstrzymało się, czyli w zasadzie głosowało, żeby nie robić nic.

Wyniki były bardzo bliskie szacunkom, jakich Ortega dokonał na swojej mapie podczas dyskusji.

— A więc wojna — powiedział wreszcie. — Dobrze. Ponieważ nie mamy możliwości zmuszenia tych, którzy głosowali inaczej, do pójścia za głosem większości, muszą już teraz podjąć pewne kroki. Jeżeli ktoś zamierza zmienić sposób głosowania, niech mnie o tym powiadomi. Chciałbym również zwrócić uwagę przedstawicielom mniejszości, że te sześciokąty, które nie zechcą uczestniczyć we wspólnym wysiłku, narażają się na nieprzychylnie reakcje innych, reakcje mogące przybrać różne formy — od sankcji handlowych i bojkotu po zwykłe ignorowanie praw sześciokątów neutralnych lub sprzeciwiających się, które znajdują się w pobliżu terenu działań zbrojnych.

Nie była to czcza pogrożka czy próba szantażu. Uważał, że należało to powiedzieć, gdyż wiedział, że była to prawda. Niezależnie od tego, czy kraje, które zaangażowały się w walkę, zwyciężą czy przegrają, nie będą ustosunkowane pozytywnie wobec tych, którzy stali na uboczu.

Ciekawe, że trzech spośród tych, którzy wstrzymali się od głosu i dwóch z frakcji optującej za negocjacjami dołączyło do zwolenników wojny, a dwóch spośród wcześniej głosujących za wojną wycofało się. Ostateczne wyniki świadczyły wciąż o tym, że większość jest za wojną, ale rezultat był zaskakujący.

— Dobrze więc — skinął głową w zamyśleniu. — Studnia zostanie podzielona na strefy wojskowe. Każda będzie miała własnego dowódcę. Każdy z uczestniczących w wojnie sześciokątów przeprowadzi mobilizację i wyznaczy własnego dowódcę. Wszyscy będą podlegali dowódcy strefy, nie pochodzącemu z sześciokąta, a zatem nie należącemu do rasy, której oddziałami dowodzi. Nie jesteśmy do wojny przyzwyczajeni. Nasz nieprzyjaciel będzie bardziej zahartowany. Możemy jednak wojnę prowadzić, i to z powodzeniem. Kłopoty związane z zaopatrzeniem spowodowały wygaśnięcie pierwszej wojny Świata Studni. Wtedy jednak chodziło o podboje i poszczególne sześciokąty nie miały wspólnych celów. Druga wojna Świata Studni miała ograniczone cele. Trzeba było dotrzeć do pewnego punktu, zanim dotrą doń armie przeciwnika. Wtedy również nie było współpracy pomiędzy sześciokątami takiej, jaką osiągnęliśmy dziś. Poza tym nasze działania będą reakcją na działania armii nieprzyjaciela. I tu przewaga jest po naszej stronie. Nieprzyjaciel zdąża do określonego celu, a my musimy jedynie uniemożliwić mu jego osiągnięcie. Pod tym względem jest w niekorzystnym położeniu, chociaż sam może wybrać drogę, którą będzie zmierzać do tegoż celu.

Dyskusja jeszcze trwała. Wreszcie wszyscy zgodzili się na zaproponowany plan. Uzgodniono, że dokonane zostaną nominacje dowódców w poszczególnych sześciokątach, a Ortega zostanie o nich powiadomiony. Przy użyciu najnowocześniejszych komputerów w rozwiniętych sześciokątach Ortega wybierze najlepszych na poszczególne stanowiska.

— Powiadomię również Północ i prześlę stenogram z dyskusji, żeby zastanowiła się nad nim ich rada. Brazyl jest człowiekiem podstępny, a podróż na Północ jest możliwa mimo poważnych trudności. To byłaby do niego podobne: rozpętać piekło tutaj, a samemu pojawić się tam. Jeżeli liczba nowo przybyłych będzie wzrastać, to Studnia również tam będzie ich kierować, a oni trafią na trasę z tamtej strony.

Chociaż była to rzecz niesłychana, stawało się coraz bardziej oczywiste, że Studnia Dusz, wielki komputer stanowiący serce tego świata, już kierowała przybyszów o węglowej strukturze organizmów do tych niesamowitych niewęglowych sześciokątów północnych. Nie powinno się to zdarzyć, ale Studnia działała w samoobronie. Musiała podzielić ten niespotykany napływ nowo przybyłych tak równomiernie, jak to możliwe na całej planecie w celu zapewnienia zasobów koniecznych do ich utrzymania. Brazyl liczył na to. Potrzebował podwojonej liczby ludności we wszystkich tysiącu pięciuset sześćdziesięciu sześciokątach, a nie tylko na Południu.

A on sam. . . Ortega rozparł się wygodnie na swoim potężnym, węzowym ognie i w zamyśleniu skrzyżował swoich sześć ramion. Ulik oczywiście pójdzie za większością. Tak głosował. Wiedział, że jego ludzie tak by właśnie głosowali. Sygnał dotrze wkrótce do nich poprzez kuriera, podczas gdy on pozostanie tu w swoim luksusowym więzieniu.

To właśnie było to — zdecydował. Więzienie. Nie pierwszy raz już o tym myślał. Brazyla należy zamknąć w podobnym więzieniu, na przykład w jednej z nie używanych ambasad. Niepokoiło go to, że głosowali, aby postąpić z Brazylem tak, jak kiedyś postąpiono z nim.

Kłopot polegał na tym, że on sam tak się urządził. Zdecydował się na to zimne, sterylne więzienie, a nie na śmierć. Przesuwał po mapach zabawkowe armie, wtykał w nie szpilki. Taka będzie jego walka, jego kampania, jego wojna. Mogłaby toczyć się równie dobrze w odległości miliarda lat świetlnych — pomyślał. A jednak, gdyby to się udało, oznaczałoby śmierć. Pewną i przypuszczalnie szybką.

Przypomniał sobie starożytną legendę swego dawnego plemienia o Fauście. Kiedy rozkazano diabłu Mefistofelesowi wracać do piekła, ten odpowiedział: „Jak to, tu jest przecież piekło. Nigdy go nie opuszczałem”.

Ortega rozejrzał się po swym wygodnym biurze.

Jak to, tu jest przecież piekło — powtórzył stary cytat w myślach, nie wiadomo który już raz. Nigdy go nie opuszczałem.

Nic dziwnego, że Brazyl był stuknięty. Nikt nie rozumie tego człowieka lepiej niż ja — pomyślał. Żałował, że nie może z nim porozmawiać.

Chciałby porozmawiać z kimkolwiek.

Jak to, tu jest przecież piekło. . .

Dahbi

Wielka Sala Świętych Przodków, wykuta w litym granicie głęboko pod powierzchnią, była pusta. Nagi kamień bez żadnych ozdób. Ciemność. Sala stanowiła prawie idealny sześcian o dwustumetrowym boku. Cicha jak grób, czekała.

Nagle fragment jednej ze ścian zaśnił dziwnym światłem i coś, jakaś istota, pojawiała się w sali. Lśniła własnym fosforyzującym blaskiem. Była blada, jakby zamglona. Wyglądała jak strzęp satyny powiewający na niewyczuwalnym wietrze. Jej jedyną wyraźną cechą były czarne jak węgle owale osadzone u szczytu czegoś w kształcie głowy, przypominające rodzaj oczu.

Wydawało się jednak, że istota ta ma swoją masę, jakiś ciężar, bo kiedy już przedostała się przez, zdawałoby się, litą skałę, trzymała się blisko ściany i powoli zeszła na podłogę. Obserwator mógłby przypuszczać, że istota unosi się w powietrzu. Po uważniejszym jednak przyjrzeniu się stwierdziłby, że musiała czegoś dotyczyć, żeby się poruszać i nie była ani marą, ani duchem, na którego na pierwszy rzut oka wyglądała. Inne postacie zaczęły wypływać ze wszystkich czterech ścian, a także z sufitu i z podłogi. Zebrały się w centralnej części Wielkiej Sali. Było ich dwanaście. Identycznych. Lśniące, białe istoty, wysokie średnio na dwa metry, podobne do ludzi odzianych w białą tkaninę — o zaokrąglonych głowach z otworami na oczy, kształtach zwężających się ku dołowi, nieco wybrzuszonych pośrodku, rozrastających się następnie w szeroką, płaską podstawę.

Nie wymieniały żadnych słów ani spojrzeń. Stały w oczekiwaniu na coś albo na kogoś.

Nagle z jednej ze ścian wychynęła kolejna postać, taka jak pozostałe, a jednak inna. Wydawała się większa, wspanialsza i w jakiś niewytłumaczalny sposób starsza.

— Pokój moim braciom — rzekła, stając przed oczekującymi, unosząc przednie odnóża podobne do owadzich zakończone przyssawkami.

Wzdłuż przedramion biegł rząd groźnie wyglądających kolców. Odnóża były niewidoczne, kiedy pozostawały złożone.

Oczekujące postacie uczyniły ten sam gest i odpowiedziały chórem:

— Pokój tobie, czcigodny i święty przywódco.

Przywódca poruszył się, powodując zmiany w swoim wyglądzie. Jego głowa cofnęła się wraz z oczami, odsłaniając inną, o złej i brzydkiej twarzy z jasnymi, owadzimi oczami, zdającymi się świecić własnym światłem. Pod potężnym nochem rysowały się groźne szczęki.

— Czy zapoznaliście się z sytuacją?

Nie było to właściwie pytanie. Wiadomo było, że gdyby któryś z nich nie został poinformowany o ważnych wydarzeniach, musiałby skazać swój personel na śmierć.

— Jak zatem wiecie, wydałem instrukcję, żeby głosować tak jak większość — kontynuował przywódca. — Nasze wyjątkowe zdolności powinny uczynić z nas niezwykle cennych sojuszników w walce. Nie jestem jednak zadowolony, ponieważ zbyt wiele rzeczy pozostawiono przypadkowi. Nasi przodkowie więcej by się po nas spodziewali.

Nie było komentarzy. Wszyscy trzymali głowy pochylone z szacunkiem. Był to po części szacunek, a po części wreszcie to, że nawet oni, którzy dzierżyli absolutną władzę w swoim teokratycznym kraju, panicznie bali się Gunita Sangha.

Każdy Dahbi mógł zostać kapłanem. Jednostki inteligentne i twarde mogły zawędrować wysoko w hierarchii, ale trzeba było jeszcze czegoś, żeby dotrzeć na sam szczyt. W kraju, w którym panował kult przodków, podeszły wiek wymagał najwyższego szacunku. W kraju, w którym najbardziej przebiegli, bezwzględni i całkowicie amoralni byli w stanie osiągnąć szczyty władzy, najstarszy w tej hierarchii był nie tylko przywódcą, ale także największym sukinsynem, jakiego rasa ta wydała.

— A teraz wysłuchajcie moich rozkazów — odezwał się Gunit Sangh. — Po pierwsze, przygotujemy siły do dyspozycji dowództwa Strefy. Udostępnimy wszystko, o co poproszą, po równo z każdej prefektury. Dobierajcie dobrze ludzi. Przede wszystkim tych najmniej potrzebnych, ale też takich, którzy potrafią słuchać rozkazów, walczyć i zabijać.

Pozostałych dwunastu skinęło głowami w milczeniu.

— To jednak nie wszystko — kontynuował Sangh. — Załóżmy, że walki będą toczyć się daleko od Dahbi. Będziemy wtedy bezbronnymi pionkami, walczącymi wprawdzie z tym Brazilem, ale nie mającymi wpływu na wynik walki. To jest nie do przyjęcia. Zilchet, czy masz raport na temat nowo przybyłych do naszego kraju?

Jeden z dwunastu poruszył się i uniósł swoją groźną, owadzią głowę.

— Tak, Wasza Świątobliwość. Jak dotąd dotarło do nas około trzystu przybyszów. Mówię około, gdyż obecnie pojawiają się w tempie mniej więcej jednej osoby na godzinę.

— Czy przesłuchiwałeś nowo przybyłych?

— Tak, Wasza Świątobliwość. Nasi psychologowie stwierdzają, że ich mentalność jest prawdziwie nam obca, czego oczywiście można było oczekiwać, cho-

ciaż nie w aż takim zakresie. Wydaje się, że wszyscy przybysze to kobiety typu 41, czyli tego samego co Brazil. Wyznają one swego rodzaju kult religijny, zgodnie z którym Brazil jest bogiem, ale właśnie tym bogiem, który może zrobić wszystko, co zechce. Innymi słowy, mamy do czynienia z fanatykami pełniącymi swoją misję.

— Czy one chcą wyruszyć z Dahbi?

— Tak, Wasza Świątobliwość. Łatwo uczą się swoich nowych ciał i dostosowują się z zaskakującą szybkością do nowych form i możliwości.

— Tego należało oczekiwać — zauważył Gunit Sangh. — Ktokolwiek zaplanował tę operację, dobrze znał Świat Studnię, zanim tu dotarł. Nowo przybyli byli świetnie przeszkoleni. Wiedzieli, że mają przybrać inne formy, oznaczające inne możliwości. Byli poinstruowani, jak korzystać z tych możliwości i jak się szybko dostosowywać. W swym nowym życiu nie zachowują się jak nieświadome dzieci. Są jak wyćwiczeni żołnierze. Rozumiecie, bracia, co mam na myśli. Tu możemy przegrać.

Zdawało się, że na tę myśl przebiegł ich dreszcz. Niepokoilo to ich tak samo, jak Gunita Sangha.

— Masz ich pod kontrolą?

— Oczywiście, Wasza Świątobliwość. — Zilchet wyglądał na nieco urażonego. — Każdy, kto się pojawi, jest szybko dostarczany do centrum odbiorczego, przesłuchany i zatrzymany w oczekiwaniu na decyzję Waszej Świątobliwości.

— Moja decyzja brzmi: wypuścić ich — powiedział przywódca.

Wielce ich to zaskoczyło. Białe, ulotne kształty poruszyły się gwałtownie.

— Powiedz mi, czy są tej samej rasy, z tego samego świata?

— Tak, Wasza Świątobliwość — odparł Zilchet, który ledwo przyszedł do siebie po szoku. — Są wszyscy tacy sami. Niezwykła jednolitość, powiedziałbym.

— Czy wygląda na to, że wcześniej się znali?

— Nie jest to oczywiste. Nie zauważyłem żadnych oznak, które pozwoliłyby tak sądzić. Nie wykluczam takiej możliwości, ale gdy w grę wchodzi około miliarda osób, będzie to czysty przypadek.

Wiadomość ta zdawała się cieszyć Gunita Sangha.

— Czy twoje rozeznanie jest na tyle dobre, że zezwoliłbyś, powiedzmy, trzystu nowo przybyłym udać się, gdzie im się podoba, ale tak, żeby dotarło tam czterystu? Cały czas podróżujących razem?

— Czterystu? — Zilchet zdawał się nie rozumieć, zawahał się. Nagle jednak zrozumiał.

— Oczywiście! Tak przynajmniej wygląda na pierwszy rzut oka. Wolałbym jednak, aby nie podróżowali w zwartej grupie. Przypadkowe spotkanie, tak — ale nie stały kontakt. Nie. Jest zbyt wiele drobnych szczegółów. Łatwo się potknąć i nigdy tego nie zauważyć. Można by wysłać trzysta osób, a później setkę dziennie. Przygotowanie tak wielu byłoby niewykonalne, ale zdołamy przygotować kilka

osób, powiedzmy sześć czy siedem, spośród nowo przybyłych. Będą przewodziły grupie i nie dostrzegą nic dziwnego, jeżeli nasza grupa się do nich przyłączy. To możemy zrobić bez trudu i z powodzeniem.

— Tak więc uczynimy — polecił przywódca. — Potrzebujemy naszych ludzi po tamtej stronie. Oczywiście nie będziemy jedynymi, którzy tak zrobią. Największą słabością przeciwnika jest to, że nie może wiedzieć wszystkiego o każdym żołnierzu swojej armii ani znać stopnia jego lojalności. Musi zdawać sobie z tego sprawę. Większość będzie działać tam w charakterze zwykłych szpiegów. Nasi ludzie będą mieli jednak inne zadanie.

— Jakie? — Zilchet tak był zaaferowany sprawą, iż zapomniał, że nie powinien ponaglać przywódcy.

Gunit Sangh spojrział na niego zimno, żeby przywołać go do porządku, ale pominął sprawę milczeniem. Problemy do rozstrzygnięcia były zbyt ważne, żeby zakłócać obrady egzekucją. Zapamięta to sobie jednak. . .

— Spośród wszystkich nowo przybyłych jedynie nieliczni nie są żołnierzami. Są również dowódcy. Jest ich kilkoro. Informacje z centralnego ośrodka dowodzenia, który tworzy Ortega, podają, że przynajmniej jedna osoba spośród nich ma szczególne znaczenie dla Brazyla. Jest to kobieta, Mavra Chang, obecnie Dillianka. Traktuje ją jak siostrę. Istniejąca między nimi więź jest charakterystyczna dla osobników niższych ras. Chcę, żeby nasi ludzie zachowywali się jak wzorowi żołnierze, walczyli w oddziałach Brazyla, wykonywali rozkazy, robili wszystko, czego się od nich oczekuje. Gdyby jednak zanosilo się na to, że Brazyl osiągnie swój cel, że wygra, będą mieli do wykonania zadanie specjalne.

— Wasza Świątobliwość?

— Nikt nie będzie w stanie kontrolować Brazyla, kiedy dotrze już do Studni. Jeżeli jednak schwytemy tę Mavrę Chang w tajemnicy i poza Studnią, podczas gdy ja lub jeden z nas wejdzie z nim do Studni, wszystko będzie w porządku.

— A co będzie, jeżeli już w Studni zadecyduje znaleźć ją i wyzwolić? — zapytał Zilchet z powątpieniem.

— Mam poważne wątpliwości, czy jakikolwiek umysł, nawet markowiański, byłby zdolny znaleźć jedną osobę w Świecie Studni, nie wiedząc, gdzie jest, kto ją więzi i w jakim jest stanie. Myślę, że Brazyl może stworzyć rasę, nie może jednak zmienić umysłu, gdy nie zna wszystkich szczegółów. W każdym razie szanse przemawiają za tym, abyśmy podjęli tę akcję. Nie mamy nic do stracenia.

Zilchet wciąż był czymś zaniepokojony. Widać to było po jego drżeniu.

— No, co takiego? — Gunit Sangh popatrzył na niego gniewnie.

— Zastanawiałem się tylko, ile jeszcze ras wpadło na ten pomysł — odparł Zilchet.

— Prawdopodobnie kilka — przyznał przywódca. — Ona będzie głównym celem. Nie ma co do tego wątpliwości. W związku z tym będzie na pewno dobrze strzeżona. To właśnie my musimy ją schwytać, oczywiście, jeżeli działania woj-

skowe zakończą się niepowodzeniem. Gdy tak się nie stanie, te rozważania należy uznać za wyłącznie teoretyczne. Nie zawieziemy. Nasi przodkowie wskazali nam właściwy kierunek. Nie dopuszczą, aby spotkała nas klęska.

Schylili głowy w modlitwie i chociaż nie zdawali sobie z tego sprawy, sami zachowywali się jak fanatycy religijni.

Gedemondas

Szybko zrobiło się nie tylko zimno, ale również bardzo stromo. Błękitnobiałe góry, które tak romantycznie wyglądały z Dilli, przemieniły się w inny, obcy kraj. Już po kilku kilometrach drzewa zaczęły niknąć i las ustąpił miejsca nagiej tundrze, pokrytej jedynie twardą trawą, mchami i porostami. Ale i te rośliny wkrótce zniknęły po dalszych trzech czy czterech kilometrach. Droga wiodła wciąż w górę. Pokazały się płaty mokrego, brudnego śniegu. Wszędzie, gdzie tylko wznosiły się choćby najmniejsze urwiska i stromizny, pojawiały się wodospady. Wszędzie płynęły strumyki wody. Co każde pięćset metrów drogi wzwyż temperatura spadała o dwa stopnie Celsjusza, a wszystkie ścieżki prowadziły ku górze.

Prawie z każdym krokiem Mavra coraz bardziej ceniła sobie ciało centaura. Na pewno dysponowało większym zasobem sił koniecznych do wędrowania i wspinaczki i mogło udźwignąć sporo zapasów, jeżeli były równomiernie rozłożone na grzbiecie. Z początku nosiła luźny żakiet, ale w miarę posuwania się naprzód zmieniła go na grubszy z futra podobnego do norek, taką samą czapkę i grube, futrzane rękawice. Podczas gdy końska część ciała Dillian dobrze była chroniona krótką, ale gęstą sierścią i warstwami tłuszczu nie dopuszczającymi chłodu, część ludzka była niewiele bardziej odporna niż jej dawne ciało i potrzebowała osłony.

Pułkownik Asam był opalony na brąz i jego skóra łatwiej chłonęła ciepło słoneczne. W dalszym ciągu ubierał się lekko i wygodnie i zdawał się nie zauważać chłodu. Nawet kiedy szlak stawał się coraz trudniejszy i jej płuca rzeziły z wysiłku, on prowadził cały czas rozmowę, opowiadając jej o przygodach, jakie przeżył, ludziach, których spotkał i krajach, które zwiedził. Pozwalała mu mówić po części dlatego, że wyraźnie lubił opowiadać, chociaż jego towarzysze wyglądali na dość znudzonych, prawdopodobnie słyszeli jego opowieści już kilka razy, po części zaś dlatego, że był fascynującym mężczyzną. Od czasu do czasu prosił ją, żeby porównali swoje notatki lub żeby opowiedziała o podobnym zdarzeniu ze swojej przeszłości i dopiero w pewnym momencie zorientowała się, że w sposób bardzo subtelnie stara się zebrać więcej informacji na jej temat. Dla kogo były te informacje? — zastanawiała się. Dla niego? Dla zleceniodawcy? Asam był w dużej mierze taki jak ona kiedyś i jak jej mąż dawno, dawno temu. Poszukiwacz

przygód, wolny strzelec, najemnik lojalny wobec każdego, kto dał mu zlecenie. Zadecydowała, że będzie lepiej, jeżeli to on będzie mówił.

— Co to za historia z tą zarazą? — prowokowała go. — O co właściwie chodziło?

Uśmiechnął się zadowolony, że znalazł słuchacza.

— Widzisz, dziewczyno, to było ponad dwadzieścia lat temu. Dwa sześciokąty, Morguhn i Dahbi, położone są obok siebie. Morguhn był bogatym krajem rolniczym i hodowlanym. Produkował mnóstwo owoców i warzyw i eksportował je w zamian za potrzebny mu sprzęt, głównie wyroby gotowe. Był na średnim poziomie rozwoju technologicznego, co pozwalało na wytworzenie energii koniecznej do prac irygacyjnych i rolnych. Ze względu na to, że produkty spożywcze i skóry były wysokiej jakości, Morguhn stał się wielkim targowiskiem, na którym każdy robił zakupy. Pozostałe sześciokąty w ogóle przestały zajmować się rolnictwem, bo nie musiały. Dotyczyło to głównie sześciokątów o rozwiniętej technologii. Większość z nich, niezależnie od tego, do jakiej kultury należą, nie może przejść spokojnie koło kawałka łąki, nie marząc o jej wybrukowaniu lub czymś w tym rodzaju. Produkowano więc specjalne stopy do narzędzi dla Morguhnu i mnóstwo innego sprzętu. Najlepsze maszyny do produkcji najlepszych nawozów sztucznych, prefabrykowane budynki gospodarskie i takie rzeczy. Oferowano również atrakcyjne wakacje dla rolników, gdziekolwiek chcieli. Wszystko grało.

— A Dahbi? — spytała zainteresowana.

— To jest rasa skubańców. Wszyscy. Największe szumowiny na świecie. Dzięki Bogu nie ma ich wielu. Teokracja oparta na kulcie przodków. Reżim brutalny i represyjny. Rytualni kanibale — normalna forma egzekucji. Zostają zjedzeni w czasie nabożeństwa przez wiernych. Oczywiście żywcem. Uważają, że w ten sposób zjadają również duszę, a zatem ofiara nie będzie im się pętać w postaci ducha przodka. Wyglądają jak wielkie świerszcze. Myślę, że to najlepsze porównanie. Świerszcze albinosy. Całe białe. Nie są podobne do ciebie ani do mnie, ani do większości ras, jakie znamy. Jest w nich coś szalonego. Potrafią przechodzić przez ściany.

— Żartujesz!

— Nie. W całym ich sześciokącie nie ma ani jednych drzwi. Oni jak gdyby przesiakają przez szpary, a później schodzą po ścianie po drugiej stronie.

W każdym razie religia przestaje być religią, jeżeli jest tak ściśle przestrzegana przez tak długi czas. Sześciokąty nie są takie wielkie. Prędzej czy później, szczególnie gdy utrzymuje się stosunki handlowe z zagranicą, ludzie zaczynają dostrzegać, że nie musi być wcale tak źle i zaczynają myśleć. Nie są rozwinięci technologicznie. Żeby uzyskać wyroby gotowe, muszą handlować. Eksportują głównie kopaliny. Istota, która może przenikać przez skały, jest urodzonym górnikiem. Wynajmują się więc jako górnicy w innych sześciokątach, szukają studni

i takich rzeczy. A co ich religia im daje? Obiecuje lepsze życie po śmierci? To na pewien czas może wystarczyć. Ale jeżeli widzi się, że ludzie wokół żyją lepiej, niż to obiecuje religia na przyszłość, to człowiek zaczyna myśleć. W Dahbi wielu ludzi zaczęło myśleć, a nie można przecież pozabijać wszystkich. Przywódcy Dahbi są mądrzy. Wstrętni, ale mądrzy. Żeby przetrwać, postanowili rozpocząć produkcję, a to oznaczało otwarcie sąsiednich sześciokątów, takich jak Morguhn, dla osadników z Dahbi, ułatwienie im przejęcia kontroli i zapewnienia sobie dominacji.

— Zdawało mi się, że to niemożliwe — przerwała mu. — Niezależnie od tego, czy można przenikać przez ściany czy nie, trudno oczekiwać, aby technologicznie zacofany sześciokąt zwyciężył w wojnie sześciokąt rozwinięty lub nawet na średnim poziomie.

— Słusznie — zgodził się Asam. — Dahbi o tym wiedzieli. Są jednak świetni w walce wręcz dzięki odnóżom wyposażonym w groźne kolce i potężnym szczękcom. Ich przywódca, największy skurwysyn, jakiego ziemia wydała, Gunit Singh, zawarł porozumienie z rozwiniętym sześciokątem z Północy, który nie potrafił nawet pojąć, jak wygląda sytuacja w krajach takich jak nasze. Dahbi uzyskali syntetyczną bakterię, która rozłożyła cały Morguhn. Ale to był dopiero początek. Planowali, że w pewnym momencie przybędą z pomocą oraz z jakąś formą religii i „ocalą” pozostałych mieszkańców Morguhnu. Miało przybyć ich wielu i przejąć kontrolę.

— I ty temu zapobiegłeś?

— Coś w tym rodzaju. — Skinął głową z dumą. — Widzisz, nikt nie wiedział, że kryją się za tym Dahbi. Zarazy ciągle wybuchają w tym czy innym sześciokącie, a ci przekłenci Dahbi zareagowali, jak zareagowałby każdy zaniepokojony sąsiad. Wiesz... przyjaźń, pomoc. A ponieważ zarazki z jednego sześciokąta nie mogą przenieść się do drugiego, nie oznaczało to dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Ambasador Morguhnu, również chory i bliski śmierci, zwrócił się do rady Strefy o pomoc. Uzyskał ją z Czill, rozwiniętego sześciokąta zamieszkanego przez chodzące rośliny i zajmującego się głównie badaniami naukowymi. To jest jak jeden wielki uniwersytet. Czillianie wyizolowali bakterię, a gdy już to zrobili, udowodnili, że była wytworzona sztucznie. Opracowali szczepionkę. Kłopot polegał na tym, że nie było ani jednego mieszkańca Morguhnu, który mógłby dotrzeć do Bramy Strefy i odebrać tą szczepionkę. Kilka sąsiednich sześciokątów zaoferowało pomoc. Zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Szczepionka nie docierała do celu. Było oczywiste, że ktoś ją przechwytyje.

— A jaka była twoja rola? — zapytała coraz bardziej zainteresowana intrygą.

— Byłem w niezbyt odległym Dhutu. Ortega skontaktował się ze mną i wyjaśnił problem. Dhutu nie są zbyt ruchliwi. Pełzają powoli. Trzeba im całego dnia, żeby przejść na drugi koniec pokoju. Są jednak niezmiernie silni. Stwierdziłem, że nie będzie problemu z dostarczeniem szczepionki. Ale kiedy zebrałem grupę i po-

dążyliśmy w drogę do Morguhnu, która liczyła cztery tysiące kilometrów, zaczęły się nieliczne kłopoty.

Z dwunastu osób, które wyruszyły na wyprawę, przeżyły tylko cztery. Dahbi zatrudnili najemników, którzy mieli wciągnąć ochotników w zasadzkę. Atakowali również sami, pojawiając się ze ścian lub skał, podrzynając gardła śpiącym i następnie znikając w ścianach.

— I jak w końcu ich pokonaliście? — nalegała.

— Właściwie przypadkiem — roześmiał się. — Jeden z nich wychylił się ze skały nie zauważony i byłby mnie załatwił, gdybym nie dostrzegł go kątem oka. Nie miałem przy sobie broni, a tylko duży kubek wody, którą nabrałem ze strumienia, żeby się natrzeć. Odwróciłem się i rzuciłem w niego kubkiem, ale nie trafiłem. Uderzył w skałę tuż nad jego głową. Woda rozprysnęła się i zmoczyła go. Wiesz, to było niesamowite. Jego ciało stało się normalne, jak nasze. Zupełnie nagle. Te części, które ochlapała woda stały się zupełnie gładkie, a następnie odpadły na ziemię. Dahbi wrzeszczał przeraźliwie, a to, co z niego zostało, zniknęło w skałę.

— Woda? — powtórzyła z niedowierzaniem. — Przecież w swoim sześciokątce mają na pewno dużo wody. Jest też oczywiście w kopalniach.

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Może są istotami z krwi i kości, jak ty i ja, a może stają się inni, kiedy przenikają przez skały. Może zmieniają swoją — jak to się nazywa — strukturę molekularną. Mogą być tacy albo tacy, ale nie są w stanie wystąpić w obu formach równocześnie. Kiedy są normalni, reagują na wodę tak samo jak my. Wiem, że piją. Nawet krwawią. — Uśmiechnął się. — Ich krew jest żółta. Gdy zmieniają stan, woda, która jest w nich, zmienia się również. Kiedy już zajdzie taka przemiana, a zetkną się z dużą ilością wody, powracają gwałtownie do stanu normalnego i rozpadają się. Myślę, że to musi być duża ilość wody, ponieważ normalnie woda jest nawet i w skałach. Gdy już to odkryliśmy, to nie rozstawaliśmy się z kubkami i wielu załatwiliśmy. Dotarliśmy do Morguhnu, a Dahbijczycy nic nie mogli powiedzieć. Oficjalnie podziękowali nam za wspaniały wyczyn i uratowanie bliskich przyjaciół. Nieoficjalnie i my, i oni wiedzieliśmy, co było grane. Wiedzieli o tym wszyscy, ale nic nie można było udowodnić. Dahbi potrafili zacierać ślady. Przegrali i siedzieli cicho. Stary Gunit Sangh rzucił na mnie klątwę, więc czym prędzej wróciłem do domu. Od tego czasu nie pokazywałem się w tamtych okolicach i nie mam ochoty tam się pokazywać, dopóki stary Gunit Sangh żyje.

— Minęło tyle czasu. Czy myślisz, że wciąż cię nienawidzi?

— O, tak! Teraz bardziej niż kiedykolwiek. To już zapiekła nienawiść. Jego chłopaki próbowali dopaść mnie wiele razy w ciągu tych dwudziestu lat. Ostatnio trochę się uspokoili, ale to nie znaczy, że Sangh zapomniał. Gdyby mógł, rozdarłby mi gardło i pożarł mnie. Gdyby mnie się zdarzyła okazja, też pokroiłbym go na małe kawałeczki. Nie sądzę, by któremuś z nas kiedykolwiek nadarzyła się taka sposobność, chociaż — kto wie?

Zrywał się wiatr. Pojawiły się chmury, przysłaniając co chwila słońce. Temperatura gwałtownie się obniżyła. Wszędzie leżał śnieg. Było około zera stopni, może nawet zimniej, a powiewy wiatru powodowały, że powietrze wydawało się wręcz lodowate.

— Schronisko jest nieco dalej na szlaku — powiedział Asam. — Jeżeli nie jest zajęte, zostaniemy tam na noc. Jest już późno i wiatr się nasila.

Na głównych szlakach Gedemondasu Dillianie zbudowali całą sieć schronisk dla myśliwych. Jeśli mieszkańcy gór mieli coś przeciwko temu, nie dali o tym znać nikomu, a podróżnych nie niepokoili.

Schronisko zbudowane z bali, z wystającym w głębi kominem, wyglądało spokojnie. Jeżeli wcześniej goście nie zużyli zapasów, powinno być zboże, naczynia kuchenne, a nawet drewno na opał uzupełniane regularnie przez patrole z Dillii.

— Nie ma dymu — zauważył Asam. — Mamy szczęście.

W dalszym ciągu jednak zastanawiał się nad czymś i kiedy Mavra ruszyła naprzód, powstrzymał ją. Rozejrzała się i spostrzegła, że pozostali członkowie grupy rozbiegli się i sięgnęli po łuki.

— Co się stało? — szepnęła bardziej zaskoczona niż przestraszona.

— Tam. — Wskazał ruchem głowy. — Trzy, cztery metry za budynkiem, na samym skraju. . .

Popatrzyła we wskazanym kierunku. Było tam coś ciemnego. Nie, nie całkiem ciemnego — pomyślała. Trudno było cokolwiek dostrzec w gasnącym świetle pochmurnego dnia, szczególnie przez okulary przeciwsłoneczne, które założyła, jak tylko dotarli do pierwszych śniegów, ponieważ jej niebieskie oczy były podatne na śnieżną ślepotę.

Ostrożnie zsunęła okulary, żeby się lepiej przyjrzeć. Czerwona. . . purpurowa plama na śniegu i ślady, jakby coś wleczono. . .

— Może zdarzył się jakiś wypadek — powiedziała z wahaniem — albo są to resztki po upolowanym zwierzęciu.

— Może — zgodził się, ale broń trzymał w pogotowiu. — Zapomniałem cię spytać, czy umiesz posługiwać się bronią?

— Najlepiej chyba potrafiłabym władać mieczem — odrzekła nieco zaskoczona tym pomysłem.

— Czemu nie — zgodził się, wzruszając ramionami i sięgając do juków na grzbiecie.

Wyciągnął stamtąd miecz nie w zwykłej, prostej pochwie, ale w potężnej, pokrytej przedziwnymi ozdobami i ornamentami. Był to prawdziwy miecz rycerski z rękojeścią zapewniającą dobry, mocny chwyt i również zdobioną rzeźbami przedstawiającymi jakieś przedziwne istoty.

— Wszystko się przyda prędzej czy później — powiedział, wręczając jej miecz.

Przypasała go w miejscu, w którym jej ludzkie ciało przechodziło w końskie, i wydobyła klingę z pochwy. Miecz był dobrze wyważony i pasował do ręki. Po kilku próbach stwierdziła, że może posługiwać się nim jedną ręką. W walce jednak, gdyby przyszło do rozbijania głów przeciwnika, lepiej było używać go oburącz.

— Pułkowniku? — szepnął Jodl, jeden z członków grupy.

Asam skinął głową bez słowa i Jodl ruszył powoli naprzód, trzymając kuszę w pogotowiu oraz wpatrując się w drzwi schroniska.

Wszyscy zrzucili pakunki. W walce bagaże utrudniałyby utrzymanie równowagi. Idący przodem stapał lekko i ostrożnie, nie usiłując jednak wcale się ukryć. Miał ostatecznie dwa i pół metra wzrostu i ponad trzy metry długości. Ważył około siedmuset kilogramów, nie był więc istotą, która mogłaby podkraść się niepostrzeżenie.

— Jak myślisz, kto to może być? — zapytała szeptem. — Czy to ktoś spośród twoich dawnych nieprzyjaciół?

Wzruszył ramionami, nie odwracając wzroku od drzwi. Do przodu ruszył drugi centaur, trzymając się w pewnej odległości za pierwszym. Zamierzali zbliżyć się do schroniska ze wszystkich stron, działając tak, że gdyby nastąpił jakikolwiek atak, byłby skierowany tylko przeciwko jednemu z nich.

— Wszystko może się zdarzyć. Wynajęci mordercy, bandyci lub inni kryminaliści z Dillii albo z zagranicy. Trudno powiedzieć.

Zaskoczyło ją, że można było myśleć o Dillianach jako o przestępcach albo mordercach. Byli nieokrzesani, ale mimo to rozsądni i dawali się lubić. Uświadomiła sobie jednak, że i wśród nich musieli się trafiać przestępcy. Wszędzie się trafiają.

Otoczyli już schronisko ze wszystkich stron. Zatrzymali się jakieś dziesięć metrów przed drzwiami. Nie przejmowali się zbyt mocno możliwością ataku z innego miejsca. Skalisty występ zasłaniał ich przed napaścią z terenu powyżej nich, widoczność wzdłuż szlaku była całkiem dobra, samo schronisko stało na brzegu stromego urwiska. Przypomniała sobie opowiadanie Asama o Dahbi i pomyślała, że zaniedbanie rejonu skał było błędem. Jeżeli istniały na tym świecie istoty, które mogły wyłonić się z litej skały, musiały być też i takie, które umiały poruszać się po pionowych skałach lub ukryć tak, że były niezauważalne. Kiedyś w odległej przeszłości w dalekim Glathrielu jedna z takich istot omal nie pozbawiła jej życia.

Jeden z centaurów dotarł do miejsca, w którym dostrzegli plamę na śniegu. Mavra pozostała nieco z tyłu, czując się trochę rozdrażniona tym, że była bezradna w tej sytuacji. Poza tym, mimo całej swej wagi, była mniejsza od mężczyzn, chociaż tak samo zwinna.

Pozostała w tylnej straży z mieczem w pogotowiu. Znowu założyła okulary, ponieważ już zaczynały ją piec oczy.

— Pułkowniku! — zawołał centaur stojący nad urwiskiem, i głos jego odbijał się echem od pobliskich skał. — Trzech, nagi myśliwi. Strasznie poharatani.

Zabito ich na górze i zrzucano ze skały. Leżą czterdzieści, pięćdziesiąt metrów niżej, u stóp urwiska.

Nie usiłował ściszać głosu. Jeżeli zabójcy byli w pobliżu, i tak już pewnie wiedzieli o ich obecności.

Asam zastanawiał się przez chwilę, a potem cofnął się i wrócił do Mavry.

— Czy mogli to zrobić mieszkańcy Gedemondasu?

— W żadnym razie — zaprzeczyła gwałtownie. — Jeżeli zechcą, byś umarł, wskazują na ciebie palcem, a ty po prostu padasz trupem.

— Tak też myślałem — mruknął Asam i zawrócił w stronę schroniska.

— No, dobrze, chłopaki. Zajrzyjmy do środka.

Zbliżali się do schroniska bardzo wolno i ostrożnie. Najbliższy z nich był już o kilka metrów od drzwi. Mavra właśnie zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy wszyscy znaleźli się na otwartej przestrzeni dwadzieścia, trzydzieści metrów od wznoszącego się nad nimi występu skalnego. Tam coś było, jakiś cień, coś nie tak...

— Asam! — wrzasnęła. — Z tyłu, z góry!

W tym momencie napastnicy zeskoczyli z półek skalnych i zaczęli spadać ku nim. Było ich ponad tuzin. Niektórzy uzbrojeni w dzidy, inni w kusze i miecze. Ubrani byli w brudnordzawe mundury.

Nie potrafili fruwać. Było to raczej kontrolowane opadanie. Mogli dokonywać pewnych manewrów. Wydawali niesamowity pisk, jak wysokie, wibrujące tony kobzy.

Dwóch z nich, uzbrojonych w kusze, wystrzeliło swoje pociski w locie, strzały jednak nie sięgnęły celu i zaryły w śniegu. Jodl i jeszcze jeden centaur, stojący nieco z boku, odwrócili się i unieśli kusze. Nie chybili. Siła pocisków dilliańskich była tak duża, że dwaj trafieni napastnicy jakby cofnęli się w locie. Uderzyli o skalną ścianę i dalej już spadali bezwładnie.

W tym samym czasie, pozostali napastnicy byli już na dole. Dwaj rzucili się na Asama. Byli mali, ale niezmiernie silni. Jeden zaatakował głowę, drugi grzbiet. Pułkownik wspiał się na tylnych nogach i odwrócił się, strącając napastnika z grzbietu. Odrzucił łuk, chwycił drugiego za groźne, wyciągające się ku niemu szpony i całą siłą swych potężnych ramion cisnął nim o skałę.

Zanim Mavra zdążyła zorientować się w tym, co się dzieje, któryś z atakujących zwrócił się ku niej. Odczekała chwilę, a następnie ruszyła do przodu, unosząc oburącz miecz.

Napastnik nadział się na nastawione ostrze. Trysnęła gęsta, czerwona ciecz. Stwór nie zginął jednak od razu. Na jego wykrzywionym, obrzydliwym pysku malowała się przemożna nienawiść. Zdołał jakoś unieść prawą rękę zbrojną w ostrą dzidę, podczas gdy ciężar jego ciała, nadzianego na miecz, spowodował, że Mavra straciła równowagę. W ułamku sekundy musiała podjąć decyzję. Przewra-

cając się mogła uczynić tylko jedno: przyspieszyła upadek i przetoczyła się. Dzida przebiła jej grubą, futrzaną kurtkę. Poczowała przeszywający ból w lewym boku.

Była zbyt wściekła, żeby zwracać na to uwagę. Zerwała się tak szybko, jak tylko potrafiła, i zobaczyła, że istota przebita mieczem wciąż wyla się i coś bełkotała. Opanowała ją furia. Uniosła się na zadnich nogach i opadła przednimi, uzbrojonymi w ciężkie podkowy, raz, drugi i trzeci, miażdżąc przeciwnika.

Tymczasem wszyscy napastnicy byli już na ziemi i włączyli się do walki. Walczyli skutecznie. Dwa centaury leżały martwe, a z ich ciał sterczały dzidy i groty kusz. Asam wciąż się bronił, chociaż z długiej rany na lewym boku obficie ciekła mu krew. Stawał dęba, obracał się, atakował, wznosząc bojowe okrzyki. Jednemu ze stworów udało się uskoczyć i starał się wzbić w powietrze, równocześnie celnie rzucając dzidą. Ale rozszalały pułkownik tylko się skrzywił, bardziej z furii niż z bólu. Odwrócił się, wyszarpnął ostrze ze swego boku i cisnął dzidą w unoszącego się już w powietrzu napastnika. Broń ugodziła przeciwnika, który zachwiał się w locie, a następnie runął jak kamień w dół urwiska.

Mavra zapomniała o bólu w bitewnym zamęciu. Nagle skórzaste skrzydła uderzyły ją w twarz i otrzymała tak potężny cios, iż zdawało jej się, że mózg jej wibruje wewnątrz czaszki, po czym ogarnęła ją ciemność. Nawet nie czuła, że pada.

* * *

Miała wrażenie, jak gdyby topiła się w morzu gęstego płynu, nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nie widziała nic poza mokrą, wirującą masą otaczającą ją wokół. Starła się walczyć, starała się pokonać ten przemożny, przyniatający ją ruch, nie mogła jednak nic zrobić. Pojawił się ból. Tępe pulsowanie, przerywane ostrymi, ukłuciami, przed którymi nie potrafiła się obronić. Było jej na zmianę gorąco i zimno. Walczyła z wirującą, mokrą masą, starała się ją odepchnąć.

Zdawało jej się, że w tej masie był ktoś jeszcze, dziwne kształty i twarze na przemian ukazujące się i znikające. Niektóre były straszne jak maskary, zbliżające się i oddalające, ale zawsze pozostające poza jej zasięgiem. Coś jazgotały i przedrzeźniały ją. Inne zjawy były bardziej znajome, choć nie mniej straszne.

Ogromne istoty podobne do kotów z rozplamionymi ślepiami, małe istotki podobne do mułów z cierpieniem w oczach, miniatury, ogromne skorpiony, majaki z przeszłości.

Wśród tego wszystkiego pojawiła się drobna, bezbarwna postać odwrócona do niej tyłem i nieświadoma tych okropnych rzeczy, które działy się dookoła. Sięgnęła ku niej, starała się ją przywołać, ale ciecz, w której zdawała się unosić, zupełnie to uniemożliwiała.

W końcu udało jej się krzyknąć. Był to krzyk przerażenia i bezradności. On musi usłyszeć! Musi! Skoncentrowała cały swój umysł na tym osobniku.

Zatrzymał się. Chyba ją usłyszał i odwrócił się powoli. To była twarz Nathana Brazila. Patrzył na nią bardziej znudzony niż współczujący.

— Brazil! Musisz mi pomóc — wyszeptła, wyciągając ku niemu rękę.

Uśmiechnął się, wyjął z kieszeni monetę i rzucił ją w jej stronę.

— Cieszę się, że mogę ci pomóc — odparł lekko. — Zawsze do usług. Teraz muszę już iść. Wiesz przecież, że jestem bogiem. Mam zbyt wiele do roboty...

Odwrócił się i zanurzył we mgle, nie słysząc jej krzyku oburzenia. Pochłonęły go wijące się, mleczne opary i zniknął jej z oczu.

Pozostała sama. Znowu sama, pogrążona w gęstej cieczy, wśród przepływających wokół potworów, przedrzeźniających ją, atakujących.

Sama.

— Pomocy! — zawołała w przestrzeń. — Czy ktoś mi pomoże?

Pojawiły się jakieś postacie. Sympatycznie wyglądające postacie ludzkie. Przystojny mężczyzna w średnim wieku i zaskakująco piękna kobieta. Wyciągnęli do niej ręce, przyzywali ją, zachęcali, aby się u nich schroniła. Ruszyła w ich kierunku, ale nagle ukazał się czarny cień, wyłonił się z wiru i stanął pomiędzy nimi a nią. Pojawił się ogromny anioł w białych szatach, uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę.

Zawahała się, ale ruszyła naprzód. Przyjazna postać zaczęła jednak podlegać przerażającym zmianom. Przeobraziła się w jakąś okropną, obrzydliwą żabę, która bełkotała coś, ślinała się, odwróciła się od niej i pożarła jej rodziców, pękając ze śmiechu.

Czuła, że spada coraz niżej i niżej do jakiejś sztolni, wciąż zanurzona w płynie, który teraz wydzielał smród gnijących odpadków.

Walczyła dalej z tym odrażającym fetorem, chciała się czegoś złapać, ale wokół nie było nic i nikogo. Zapadała się. Zapadała się coraz głębiej w brud i szlam i te okropne istoty pływały ciągle wokół niej, śmiejąc się, przedrzeźniając, żartując i dokuczając.

Pojawiła się twarda, żółtawa twarz otoczona białymi włosami. Uśmiechnęła się i podała jej rękę. Ręka jednak rozplynęła się, jak tylko Mavra jej dotknęła. Pozostały jedynie kości. Rozkład ogarniał powoli całą postać. Mavra czuła, że zapada się coraz głębiej w mule. Czuła się coraz bardziej samotna, coraz bardziej pewna, że już na zawsze pozostanie w tej bezdennej głębi rozpaczy i zgnilizny.

Pojawiła się nowa twarz. Dobra twarz, twarz symbolizująca wszystkie rasy Starej Ziemi, przystojna twarz, mówiąca, że chce udzielić pomocy. Postać wyciągnęła rękę, chwyciła Mavrę i zaczęła ciągnąć w górę i w górę, wyzwalać ją z błota i mazi i przez chwilę Mavra myślała, że już została oswobodzona. Widziała czyste powietrze, gwiazdy i miliony mrugających, kłujących oczy światła wszędzie przed sobą.

Ciszę przerwał jakiś dźwięk. Głośna eksplozja gdzieś w pobliżu. Mavra patrzyła ze zgrozą, jak twarz jej zbawcy nagle rozpada się rozniesiona wybuchem. Chwył zelżał.

— Gimball — krzyknęła. — Nie! Nie! Mój mąż. . .

On jednak zniknął i znów była sama i znów zapadała się w maź i znów nie mogła wyzwolić się z wirującej ciszy. Zdawało się jej, że wśród otaczających ją, bełkocących istot zapanowała jeszcze większa radość.

Jakieś ciemne kształty zbliżyły się, związały ją i pocięły na kawałki. Uczyniły z niej zdeformowaną, bezradną poczwara. Nadal jednak walczyła. Zmagała się z tymi ciemnymi siłami, wtłaczającymi ją głębiej i głębiej w bagno. Inna podobnie zniekształcona i zmasakrowana postać zbliżyła się, gdy dręczące ją istoty już, już miały ją udusić. Jakaś maskara z płonącymi nienawiścią oczami, podniosła dzi-dę, żeby ją ugodzić. Zbliżająca się istota zareagowała szybko: wyrwała potworowi dzi-dę i znowu zniknęła wśród pokładów zgnilizny.

Rozbłysło mętne, purpurowe światło. Usłyszała wzywający ją głos Obiego i wyszła na oświetlony teren.

— Jestem twoim dobrym duchem — powiedział jej. — Dokąd we wszechświecie chcesz się udać?

— Wszędzie! — krzyknęła i przemierzyła cały wszechświat w szeregu krótkich, migawkowych scen.

Coś było jednak nie w porządku, coś było bardzo nie w porządku. W każdym miejscu, jakie odwiedziła, było więcej wstrętnej zgnilizny niż w miejscu, z którego uciekła. Wszędzie było coraz więcej śmierdzącego, gnijącego śmiecia.

Czerwone światło zgasło i znowu pojawił się Nathan Brazil. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

— Ostatecznie, czego oczekiwałaś? Przecież stworzyłem to cholerne miejsce na obraz i podobieństwo swoje.

I znowu był tylko wirujący, wszystko ogarniający płyn, smród i zgnilizna, dreszcze i żar, ból i nic poza tym. Nic, nic.

Samotna. Była samotna. Na zawsze samotna w bagnie. . . Nienawidziła tego bagna. Nienawidziła tego smrodu, a przede wszystkim nienawidziła wszechświata tętniącego życiem, w którym była tak ogromnie samotna. Jeżeli taki miałby być wszechświat, to lepiej, żeby uległ zniszczeniu — pomyślała ze złością. Oczyszczyć tę zgniliznę, usunąć śmieci, oczyścić, oczyścić. . . Ale teraz jest tu tak pusto, tak samotnie. . . tak straszliwie samotnie. . .

A jednak jakimś dziwnym sposobem samotna nie była. Nie w tej chwili. Zdawało jej się, że ktoś ją przytula, promieniuje ciepłem i troską, że jest przy niej. Chciała koniecznie otworzyć oczy, spojrzeć, kto to jest i wreszcie udało jej się, ale nic nie mogła zobaczyć. Jakaś sylwetka, tylko sylwetka i nic więcej. Sylwetka schylająca się nad nią, zaniepokojona, zatroskana. Zniszczona, twarda, przystojna

twarz; oczy, w których widać było odwieczną mądrość i łagodność, skrywaną, ale nieskutecznie.

Nagle poczuła się strasznie zmęczona, strasznie wyczerpana. Rozluźniła się i pogrążyła nie w omdleniu, nie w bagnie, lecz w głębokim, pozbawionym marzeń śnie.

* * *

Obudziła się i rozejrzała wokół zamglonymi oczami. Spróbowała się poruszyć. Była jednak związana i nie mogła się uwolnić.

Na kominku płonął trzaskający ogień. Dwóch członków grupy tkwiło w bokсах przeznaczonych do spania i, podobnie jak ona, było przytrzymywanych skomplikowanym systemem pasów, skleconym naprędce z różnych pasków, sznurów, kawałków futra i wszystkiego, co było pod ręką.

Dwa inne centaury krzątały się w pomieszczeniu. Jeden podsyczał ogień w kominie i zajmował się wiszącym nad nim kociołkiem. Drugi stał przy niewielkim stole i przeglądał leżące na nim papiery. Obydwa nie wyglądały na tryskające zdrowiem. Ten przy ogniu pokryty był bliznami i fachowo nałożonymi bandażami oraz utykał na przednią prawą nogę. Przy stole stał pułkownik Asam, którego tors pokryty był napuchniętymi sińcami. Miał też kilka starannie założonych opatrunków na innych częściach ciała.

— Asam! — zawołała słabym głosem. — Co się stało?

Oba centaury odwróciły się, a Asam podszedł do niej szybko z uśmiechem na twarzy. Jedno z jego oczu było zupełnie zapuchnięte, a oblicze tak pokaleczone, że aż się przestraszyła. Uśmiechnął się jednak, a po chwili sięgnął do kapciucha i wyciągnął cygaro.

— No, proszę! Witamy w krainie ledwie żywych — zażartował.

Uśmiechnęła się.

— Co... kto to był?

— Tilki. I to tak daleko od domu. Sukinsyny. Gdyby nie to, że jesteśmy w sześciokacie bez technologii, załatwiłyby nas na pewno. Te sukinsyny z rozwiniętych technologicznie sześciokatów są raczej słabe w walce wręcz.

— Bandyci? — zasugerowała.

— Nie — pokręcił głową. — Byli umundurowani. Armia. Przygotowali zgrabną zasadzkę.

— W takim razie... zabójcy? — zapytała ostrożnie, wciąż pamiętając opowieść Asama o zemście.

— Tak, zabójcy — zgodził się. — Nie chodziło im jednak o mnie. Załatwiliśmy wszystkich. Tak mi się przynajmniej zdaje. Może było jeszcze kilku, którzy pozostali z tyłu i którzy zwiali, jak zaczęliśmy zwyciężać. Jednak wątpię. Gdyby było ich o jednego lub dwóch więcej, mogliby nas wykończyć.

— Nie o ciebie im chodziło?

— Mam translator, pamiętasz? Zrozumiałem, co Tilki szwargotały. Nie ulega wątpliwości, że polowały na ciebie. Powtarzały twoje imię kilkakrotnie. Gdyby było nas mniej albo gdyby nie pomyliły się z wcześniejszą grupą myśliwych, pewnie by im się udało. Miejsce wybrały świetnie. Nadawało się doskonale na pierwszy obóz. Lecząc można się było tu dostać bez pokonywania wysokich szczytów. Kłopot polegał na tym, że kiedy tu dotarły, myśliwi już byli w schronisku. Wiedziały, że ciebie wśród nich nie było. Nie myślę jednak, żeby wiedziały dokładnie, jak wyglądasz, ale tamci byli wszyscy mężczyznomi, one zaś orientowały się, że jesteś kobietą. Przypuszczam, że zrobiły to, żeby nie zostawiać świadków. Przypuszczam, że wywabiły myśliwych, którzy nie mieli powodu niczego się obawiać i prawdopodobnie byli cholernie ciekawi, co robią Tilki właśnie tu. Myślę, że załatwiły ich tak szybko, iż nawet nie spostrzegli, co się stało.

Mavra zastanawiała się przez chwilę.

— Mówisz, że to było wojsko. Dlaczego polowano akurat na mnie?

— Dużo powiedziałaś mi o tym, co się dzieje — uśmiechnął się. — Myślę, że Rada Strefy zdecydowała się na wojnę. Przeanalizowała informacje, żeby zlokalizować przywódców przeciwnika. Poluje na nich, zanim jeszcze wszystko się zacznie. Może się również niepokoić tym, co robi Gedemondas. To jest niewiadoma. Jeżeli ty do nich nie dotrzesz, nie włączą się.

Skinęła głową i rozejrzała się dookoła.

— A co z innymi?

Asam spoważniał.

— Tylko my ocaliliśmy. Malk i Zorn potrzebują lepszej opieki medycznej, niż zdołamy im tutaj zapewnić. Mieliśmy szczęście, że zaatakowali nas tu, a nie na pograniczu Dillii. Tu infekcja jest znacznie mniej groźna. Walczymy tylko z własnymi bakteriami.

— W jaki sposób zamierzasz dostarczyć ich do szpitala? — zastanawiała się.

— Grupa myśliwych przechodziła tędy wczoraj. Zaniósł wiadomość do Dillii i zorganizują pomoc. Myślę, że ranni wytrzymają tu jeszcze dzień lub dwa, zanim nadejdzie ratunek. Jak dotąd nie jesteśmy w prawdziwie trudnym terenie. Będzie można odtransportować ich bez specjalnych kłopotów.

— No, tak. Rozumiem, ale... czy powiedziałaś, że grupa myśliwych przechodziła tędy wczoraj?

Uśmiechnął się i skinął głową.

— Byłaś nieprzytomna przez trzy dni. Myśleliśmy już, że cię stracimy. Większość twoich ran jest powierzchowna. Nic poważnego. Najgroźniejszy był wstrząs mózgu. Ten sukinsyn uderzył cię łamigłówką.

— Czym?

— Łamigłówką. To kula ołowiana obciążona twardą skórą. Można tym naprawdę rozbić głowę. Tym razem jednak nie udało im się, ale miałaś ogromnego guza. Byłaś też w szoku.

— Dlaczego... dlaczego mnie tak związałeś?

— Rozwiążemy cię, jeżeli czujesz się na siłach.

Sięgnął i zaczął rozplątywać supły.

— Jak wiele innych dużych istot na tym świecie, oddychamy tak, że gdybyśmy zbyt długo leżeli na boku, dłużej niż parę godzin, moglibyśmy się udusić pod naciskiem własnej wagi. Musieliśmy postawić cię na nogi i utrzymać w tej pozycji, a to nie było łatwe, możesz mi wierzyć. My dwaj sami ledwo trzymaliśmy się na nogach, ale byliśmy w nie najlepszej formie.

— Widziałem, jak cię zranili dzidą — zaczęła.

— Potrzeba znacznie więcej, żeby mnie załatwić. Nie uszkodzili mi żadnych organów wewnętrznych i boli mnie tylko wtedy, kiedy się śmieję. Mamy szczęście, że tak spieszyli się ze swego rodzinnego sześciokąta, iż nie zdążyli się dobrze przygotować. Cała ich broń była nasączona czymś, co uważali za śmiertelną truciznę — taniną. Następnym razem, jak zetkniemy się z tymi skubańcami, może będziemy musieli oblewać ich herbatą.

Roześmiała się i wtedy poczuła wszystkie rany, stłuczenia i obtarcia, jakich się nabawiła. Było ich mnóstwo na całym ciele, ale dawniej zdarzało się jej, że czuła się tak samo i nigdy nie trwało to długo. Było to nieprzyjemne, ale nic poza tym.

Uwolniona od podtrzymujących ją pasów, stała przez chwilę, a następnie próbowała wyjść z zagrody, w której się znajdowała. Natychmiast poczuła zawrót głowy i słabość w nogach i musiała się czegoś podtrzymać.

— Jestem jeszcze słaba — mruknęła do siebie.

— Spokojnie — ostrzegł Asam. — Ten cios w głowę był naprawdę mocny. Zaczynaj pomalutku.

Spróbowała powtórnie, tym razem znacznie ostrożniej. Stwierdziła, że jeżeli mogła się czegoś podtrzymać, szło jej całkiem nieźle. Asam podszedł do niej i pozwolił jej oprzeć się o siebie. Razem przeszli do głównego pokoju.

— Jesteś głodna? — zapytał. — Powinnaś coś zjeść.

Spojrzała na stos pokarmu podobnego do słomy, leżący w drugiej części schroniska. Nie miała apetytu, ale uznała, że Asam wie, co mówi.

Smakowało okropnie, ale kiedy już zaczęła, nie mogła przestać. Asam roześmiał się i poradził, żeby się nie powstrzymywała.

— Nie masz pojęcia, jak dużo my, Dillianie potrzebujemy jedzenia. Tego się nie zauważa, kiedy jemy regularnie. Kiedy jednak zabierzesz się do jedzenia po kilku dniach przerwy, wygląda to na prawdziwe obżarstwo.

Obżarstwo to mało powiedziane — pomyślała, kiedy już skończyła. Jedząc bez przerwy, pochłonęła prawie dwudziestokilogramową belę pożywienia.

Gdy potem poczuła się lepiej, udało jej się znaleźć niewielkie lustro, w którym się przejrzała. Miała podsinione oczy. Na dodatek odnosiła wrażenie, że sama sobie pogryzła wnętrze swoich ust. W sumie jednak uszkodzenia nie wydawały się groźne. Rany na jej końskiej części ciała były bolesne, a nieznaczne obrażenia wewnętrzne nie na tyle poważne, by zwątpiła w to, że da sobie radę.

Odporność, jaką zademonstrował Asam, potwierdziła jego reputację. Po tym, jak widziała go w walce, zdecydowała, że nie będzie podawać w wątpliwość żadnych jego opowiadań. Tak mu też powiedziała.

— Sama się dobrze spisałaś — stwierdził z uśmiechem. — Nie znam wielu ludzi, mężczyzn czy kobiet, którzy potrafiliby się tak stawiać.

Przyjrzał się jej raz jeszcze i jego uśmiech nieco osłabł.

— Pamiętasz, zapytałaś mnie kiedyś, po której jestem stronie. Po tym wszystkim już nie musisz mnie pytać. Rozumiesz? I nie tylko mnie. Ci idioci odwalili za ciebie połowę roboty. Z zimną krwią zabili niewinnych Dillian, którzy nie zajmowali się polityką, którzy nie zajmowali żadnych ważnych stanowisk, po prostu zwykłych, dobrych Dillian. Znam swoich rodaków, Mavro. Będą chcieli się odegrać. Jeżeli zaś o mnie chodzi — uśmiechnął się znowu szeroko — obserwowałem cię w różnych sytuacjach. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zawsze ci służyć.

Uśmiechnęła się i ścisnęła go za rękę. Chciała przytulić starego awanturnika, ale oboje byli na to zbyt poobijani. Wciąż myślała o swoim śnie, tym niepożądanym dziecku zrodzonym gdzieś w najgłębszych pokładach jej umysłu pod wpływem uderzenia. Zapragnęła być tak samo pewna, że słuszność leży po jej stronie, jak on był w tej chwili.

— Co teraz zrobimy? — zapytał ją. — Nie tkwiłbym tutaj zbyt długo. Istnieje zawsze możliwość, że zostawili obserwatora albo że agenci w Dillii prześlą wiadomość. W każdym razie dokonają następnego ataku, jak tylko uda im się zgromadzić nowy oddział. Myśl ta niepokoiła mnie przez parę ostatnich dni. Jak się czujesz?

— Nędznie — odparła ponuro — ale czy mamy jakiś wybór?

Rozejrzała się po schronisku przemienionym w szpital.

— Nie możemy czekać, aż nadejdzie pomoc. Powinna tu dotrzeć w ciągu kilku godzin. Żaden oddział ratunkowy nie wyruszy przeciw z Dillii, zabierając ze sobą jedynego uzdrowiciela z rejonu jeziora. Myślę, że specjalna grupa przybyła dziś parowcem i pewnie już jest w drodze. Będzie jednak potrzebowała sprzętu pomocniczego i to ją trochę opóźni.

Wrócić. Chciała wrócić do tej spokojnej wioski, gdzie w atmosferze przyjaźni popijano piwo i gdzie szumiały niewielkie wodospady.

— Gdyby ktoś chciał nas zaatakować, byłaby to najlepsza pora po temu — zauważyła. — Poza tym ewentualny obserwator już dokładnie wie, jak wyglądam.

— Możemy zatem tylko ruszyć dalej — stwierdził Asam. — Żadne z nas nie jest na tyle silne, żeby zabrać pełen łądunek na tak forsowną wędrowkę. Być może

za kilka dni, ale nie dziś. Ledwo trzymasz się na nogach, a szlak od tego miejsca staje się bardzo trudny.

Podeszła do stołu, przy którym stał Asam, kiedy odzyskała przytomność. Leżała tam mapa Gedemondasu pokazująca szlaki, miejsca obozowisk i schroniska. Łatwo było się zorientować, gdzie w tej chwili się znajdowali. Było to pierwsze schronisko powyżej linii śniegów. Przyglądała się mapie. Asam zbliżył się do niej i spojrzał jej ponad ramieniem.

— Czego szukasz? — zapytał.

— Wygasłego wulkanu — odpowiedziała. — Wysoko w górach. Ogromnego krateru otoczonego wysokimi szczytami.

— Większość Gedemondasu to góry wulkaniczne. Jest też dużo czynnych wulkanów. Nie są zbyt niebezpieczne. Przeważnie można uciec przed lawą. Jednak większe wulkany wybuchają często.

— Gedemondianie żyją w jaskiniach wulkanicznych. Wykorzystują również ciekły lawy do poruszania się pod powierzchnią. Sieć tych połączeń jest ogromna i bardzo skomplikowana. Wykorzystują też ciepło wulkanów do ogrzewania i jako źródło prymitywnej energii. Mimo że jest to sześciokąt pozbawiony technologii, wykorzystuje się w nim naturalną, a nie sztucznie uzyskaną parę. Jest tam też przyjemne ciepło.

— Wykorzystuje się parę? — Asam uniósł brwi ze zdumieniem. — Do czego się ją wykorzystuje?

— Nie mam pojęcia — odparła szczerze. — Słyszeliśmy odgłosy jakby pracujących przekładni i ramion jakiejś wielkiej maszyny i doszliśmy do wniosku, że dzieje się tam mnóstwo rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Zobaczyliśmy jednak tylko to, co nam pokazano. Wówczas też trudno mi było prowadzić obserwacje. Myślę jednak, że wszystkie wejścia są znacznie wyżej, bliżej szczytów.

— Przy starych lub mało używanych szlakach?

— Nie, nie. — Potrząsnęła głową przecząco. — Nieważne gdzie, byle było najwygodniej. Musimy jednak wspiąć się wyżej. . .

Umilkła, wpatrując się w mapę. Jej uwagę przyciągnął dziwny układ koncentrycznych kręgów, trzech pierścieni górskich z pustą przestrzenią pośrodku.

— Musimy iść w tym kierunku — powiedziała. — Wiem, że do tego krateru są dojścia z głównego kompleksu.

— Albo były setki lat temu — mruknął z niepokojem, przyglądając się mapie.

— Pójdziemy tam. Małymi etapami. Zgoda?

— Wiesz, że zgoda — uśmiechnął się. — Ale czy ci się podoba, czy nie, myślę, że powinniśmy ruszyć jutro rano, a nie teraz. Potrzebujemy jeszcze odpoczynku i musimy się trochę podkurować. Musimy też upewnić się, że nasze chłopaki wrócą bezpiecznie. Powinniśmy przynajmniej poczekać na ekipę ratunkową.

Nie chciała czekać, ale w głowie czuła bolesne pulsowanie i była bardzo słaba oraz zmęczona.

— Dobrze. Ruszymy rano.

* * *

Chociaż szlak był dobry i niezłe oznakowany, wszystkim wędrowniaki sprawiała wiele trudności. Wiatr dął ostro, a pakunki, nawet zmniejszone, zdawały się przesuwac i uwierac w kazde zadrapanie i okaleczenie. Asam, jak mozna bylo tego oczekiwac, krzywil sie tylko od czasu do czasu, ale nigdy sie nie skarzil. Mavra tez nie mowila nic. Przesladowaly ja jednak ponure mysli i watpliwosci. Czy byla po wlasciwej stronie? Dlaczego powinna byc po jakiegokolwiek stronie?

Znala odpowiedz na te pytania. Brazil odmowi naprawienia Studni, jezeli jej przy tym nie bedzie, jezeli nie wyda takiego polecenia. Zastanawiala sie, kto wyda taki rozkaz, gdy ona zginie w tej szalonej walce umyslów. Chyba nikt. Pewnie Brazil wejdzie po prostu do Studni, przeniesie sie do normalnego swiata, do miejsca, ktore sobie wybierze, i bedzie spokojnie czekac na ostateczne zniszczenie wszystkiego. Ona bedzie za to odpowiedzialna, nie on. Wlasciwie to on tak powiedzial.

Nie prosila o taka odpowiedzialnosc i wcale jej nie pragnela. To bylo niesprawiedliwe. Nic w calym jej przeklętym zyciu nie bylo sprawiedliwe. W kazdym razie jednak sprawowala nad nim kontrolę. Teraz pozbawiono ja nawet i tego.

Ogarnialy ja tez watpliwosci co do swojej roli w tym wszystkim. Miala sie zaszyc w swoim szesciokacie i czekac na instrukcje. Tyle jej powiedziano. Tyle i jeszcze to, ze nowo przybyli zbiora sie pod jej rozkazami, by utworzyc wielorasowe sily zbrojne, jedna z wielu armii, ktore na dany sygnal zgrupa ja w ustalonym miejscu, gdzie powstanie jeszcze potężniejsza, moze najwieksza armia, jaka kiedykolwiek Swiat Studni ogladal. Armia ta w marszu przez rózne szesciokaty miala byc zasilana imigrantami dzieki zaprzyjaznionym dyplomatom, ktorzy, jak sie zakladalo, zawsze znajdaja sie tam, gdzie beda potrzebni. Wygladalo to dosc ryzykownie.

A jednak jezeli Asam mial racje, Dillia pojdzie za nia. Poszlaby juz teraz. Oczywiscie nie cala, ale dosc, by uformowac znaczne sily. To wlasnie miala osiagnac. Dlaczego byla w Gedemondasie? Zwyczajny pomysl? Czy tez podszepty podswiadomosci, ktore kazaly jej zachowac asa w rekawie, zeby jak zwykle mogla kontrolowac sytuacje?

Następna noc, następne schronisko. Czuli sie lepiej, spali lepiej, w miare jak posuwali sie naprzód. Dzieki wspólnej walce od pierwszego dnia rozwinela sie ich przyjazn.

To tez ja martwilo. On, Asam, byl wielkim czlowiekiem i dobrym przyjacielem. Taka byla prawda. Urodzil sie jednak w Swiecie Studni. Byl centaurem z Dillii i nie mógł Swiata Studni opuscic. Ona byla Dillianka tylko powierzchow-

nie. Wewnątrz pozostawała nadal tą samą Mavrą Chang, tą samą kobietą z zupełnie odmienną rasą, a ponadto z odmienną kulturą i innego czasu. Zakończenie tej sytuacji było nieznane i nie do poznania. Może Brazil je znał, ale gdzie się podziewał?

Odrzuciła zatem uczucia Asama delikatnie, ale zdecydowanie, a ponieważ poznała, że go to zabolalo, cierpiała również. Lecz inne postępowanie nie byłoby uczciwe ani wobec niego, ani wobec niej.

Czwartego dnia byli bliscy wyczerpania. Marsz po oblodzonych stokach okazał się niezmiernie trudny. Śnieg nigdy tu nie tajał. Przełęcz trafiały się rzadko, ale były ciężkie do pokonania. Wiedziała, że żadne z nich nie wytrzyma tego dłużej. Dotarli do schroniska. Było znacznie mniejsze niż zwykle, przeznaczone jedynie dla popasu w drodze do innych dolin, a nie na obóz-bazę. O zmierzchu zaczęli szykować się na spoczynek. W kominie płonął wesoły ogień. Byli tak zmęczeni, że prawie się do siebie nie odzywali. Wraz z zapadnięciem zmroku zapanała absolutna cisza, tak zupełna, że wydawała się aż nienaturalna. Słyszeć było jedynie trzask ognia na kominku i powolne oddechy zasypiających wędrowców.

Mavra mimo skrajnego wyczerpania nie mogła zasnąć. Usłyszała skrzypnięcie śniegu pod ciężarem jakiegoś dużego, ciężkiego zwierzęcia. Nie była jednak pewna, czy słyszy ten hałas naprawdę, czy tylko jej się śni. A może było to echo jej nadziei? Nie wiedziała i była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc rozgłośnie, żaden z centaurów jednak się nie poruszył. W Gedemondasie tubylcy decydowali o tym, czy ktoś może się poruszyć.

Gedemondianin stał wyprostowany jak człowiek albo jak małpa. Wzrostem sięgał prawie trzech metrów i głową niemal dotykał powały. Twarz miał podobną do psiego pyska, długiego i szpiczastego, zakończonego czarnym nosem. Jego oczy były bardzo podobne do ludzkich albo dilliańskich — duże, w kolorze zamglonego, bladego błękitu.

Cały pokryty był białym, lśniącym futrem, kędzierzawym jak u owcy. Duże płaty uszne zwisały mu po obu stronach głowy.

Gedemondianin nie zwrócił z początku uwagi na śpiących. Podeszedł do ich bagaży i przejrzał je pobieżnie. Trafił na cygara Asama, wyciągnął jedno i przyjrzał mu się uważnie, jakby chciał zorientować się, co to jest. Polizał cygaro długim, cienkim, różowym językiem, przekrzywił nieco głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. Następnie wzruszył lekko ramionami i wsunął cygaro do niewidocznej jak u kangurów torby na brzuchu.

Wydawało się, że wreszcie zaspokoił swoją ciekawość. Wtedy zauważył mapę Gedemondasu. Rozwinął ją i przyglądał jej się przez kilka chwil. Potem gdzieś z głębi gardła wydał dziwny, szybki, kłaskający odgłos, który mógł być śmiechem. Zwinął mapę swymi dziwnymi dłońmi o trzech palcach i kciuku i odłożył ją

na miejsce. Kiedy nie posługiwał się dłońmi, związał je i wówczas wyglądały jak małe, zaokrąglone poduszeczki.

Teraz Gedemondianin odwrócił się i ruszył w głąb pomieszczenia, tam gdzie Mavra i Asam spokojnie spali. Najpierw obejrzał Asama, a później podszedł do Mavry. Obydwoje spali głęboko, jakby odurzeni narkotykiem.

Ujął głowę Mavry w poduszeczki dłoni i zdawał się ją gładzić. Następnie jedna dłoń rozwinęła się i delikatnie rozsunęła długie blond włosy tak, że mógł dokładnie obejrzyć brzydko wyglądającego, ogromnego guza. Dillianie nawet go nie zabandażowali, mając nadzieję, że sam zniknie.

Dłoń znów zmieniła się w poduszeczkę, a na jej różowej, pokrytej srebrnym puszką powierzchni pojawiła się lepka wydzielina. Gedemondianin przyłożył poduszeczkę z wydzieliną na opuchliznę, przytrzymując włosy kobiety drugą ręką.

Wyglądało na to, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż zabandażowane miejsca oznaczają inne rany. Ostrożnie zdjął opatrunki i obejrzał skaleczenia. Miał trudności, żeby przepchnąć się w ciasnej zagrodzie i zbadać Mavrę od tyłu. Musiał ją wyprowadzić na zewnątrz, ale ani Mavra, ani Asam się nie obudzili.

Pojawił się drugi Gedemondianin i popatrzył na oboje śpiących. Skinął na pierwszego, który akurat zajmował się Mavrą. Zrozumiał natychmiast, że wędrowcy byli poranieni i zaopiekował się Asamem, gdyż jego rany, znacznie głębsze i bardziej niebezpieczne, niż Mavra przypuszczała, sprawiały mu dużo większy ból.

W czasie zabiegów leczniczych jeden z Gedemondian chrząknął i wskazał na gardło Asama. Drugi skinął twierdząco, a następnie wskazał na Mavrę i pokręcił głową. Znaczenie tych gestów było oczywiste. Asam miał translator. Mogli z nim rozmawiać, lecz nie mogli rozmawiać z Mavrą. A najwyraźniej właśnie z nią chcieli się porozumieć.

Stanęli wobec problemu, który obydwaj rozumieli. Potrzebowali tłumacza, a nie mieli nikogo pod ręką. Musieli gdzieś przenieść rannych, lecz zastanawiali się, jak daleko zdołają ich zaprowadzić. Byli przecież w schronisku przy publicznej drodze w czasie sezonu łowieckiego. Żaden z nich nie chciał pozostawać tutaj dłużej, narażając się na odkrycie.

Obaj się nad tym zastanawiali. Narada odbywała się w zupełnej ciszy. Nie posługiwali się nawet telepatią. Znali po prostu słowa, jakie należało wypowiedzieć, fakty, o których należało wspomnieć, wobec czego poza kilkoma oszczędnymi gestami dialogu prawie nie było.

Jeden z nich podjął wreszcie decyzję, podszedł do wciąż śpiącego Asama i zaczął wydawać dźwięki podobne do skamlenia małego pieska. Ciągłe będąc pod wpływem jakiejś siły, którą władali Gedemondianie, Asam przemówił.

— Wysłuchaj nas, Mavro Chang.

— Słucham — odpowiedziała jakby w narkotycznym odurzeniu, oddychając spokojnie z nadal zamkniętymi oczami.

Asam powtarzał jej słowa.

Gedemondianin skinął głową z zadowoleniem. Drugi intuicyjnie zrozumiał jego odczucie. Nie było to idealne rozwiązanie, ale trzeba było skorzystać z dostępnych możliwości.

— Studnia jest uszkodzona — powiedział Gedemondianin za pośrednictwem Asama. — Wiemy o tym. Czuliśmy, kiedy to się stało. Oczywiście to jest maszyna, ale ma pewne cechy żywego organizmu. Cierpi. Udzieliliśmy wam pomocy lekarskiej. To było łatwe. Studnia też potrzebuje pomocy. Sama się nie może naprawić. To także rozumiemy. Pomożemy, gdyż sytuacja ta wywiera wpływ również i na nas, na nasze umysły, na nasze rozumowanie i jesteśmy w pewnym stopniu ze Studnią zestrojeni. Teraz mów ty.

— Brazyl chce naprawić Studnię — odrzekła. — Narody zamierzają go powstrzymać. Będzie wojna. Rozpaczliwie oczekujemy każdej pomocy.

— Rozumiemy ten plan — stwierdził Gedemondianin. — Do nas również zaczęli docierać przybysze, ale w odróżnieniu od innych sześciokątów nasi nowo przybyli nie będą dla was wielką pomocą. Oczywiście wyglądają tak jak my, ale naszą moc w dużym stopniu uzyskujemy poprzez intensywne szkolenie, studia, ćwiczenia koncentracji wdrażane jeszcze przed urodzeniem, a nawet przez selektywny dobór. Tego nie można nauczyć się natychmiast. Na to potrzeba całego życia. Teraz mów.

— Jednak potrzebujemy waszej mocy. Bardzo potrzebujemy.

— To jest dla nas oczywiste. Musisz jednak zrozumieć, że my dwaj jesteśmy tylko wysłannikami. Dowiedzieliśmy się o waszej obecności dopiero wtedy, kiedy wyczuliśmy zamęt spowodowany atakiem na was. Byliśmy najbliżej. Spieszyliśmy się, jak tylko było można. Nie jesteśmy tymi, których potrzebujecie, którzy podejmują decyzje. Możemy najwyżej przekazać uzyskane od was dane mądrzejszym od nas. Teraz mów.

— Musimy zatem spotkać się z tymi, którzy decydują.

— To niemożliwe. Za mało czasu. Zwołano spotkanie. Musicie w nim uczestniczyć. Teraz mów.

— Nic nie wiem o żadnym spotkaniu. Kto je zwołał i po co?

— Zwołali je wasi ludzie w celu omówienia ogólnej strategii. Ma się odbyć w miejscu, które nazywa się Strefą, w pomieszczeniu przeznaczonym dla nas, ale z którego nie korzystamy. Teraz mów.

— Ambasada Gedemondasu? — mruknęła, okazując pewne zaskoczenie nawet pomimo snu hipnotycznego. — Muszę zatem udać się do Bramy Strefy.

— Wasza Brama jest bardzo daleko. Musisz udać się tam najszybciej, jak to tylko możliwe. Po spotkaniu będziemy gotowi skontaktować się z wami powtórnie. Teraz mów.

— Wasza Brama Strefy jest znacznie bliżej — zauważyła. — Zaprowadźcie nas tam.

Gedemondianin patrzył na nią przez chwilę wyraźnie zaskoczony. Było oczywiste, że to nigdy nie przyszło do głowy tej wielkiej, białej istocie. Ich Brama Strefy nie była używana, jak daleko sięgano pamięcią, więc nie wziął pod uwagę takiej możliwości.

— Możesz skorzystać z naszej Bramy?

Mimo otumanienia wywołanego przez Gedemondian Mavra nie bez satysfakcji wyczuła ich zdumienie. Gdzieś w najgłębszych pokładach jej podświadomości została zakodowana informacja, że Gedemondianie nie są ani wszystkowiedzący, ani wszechpotężni.

Pierwszy z Gedemondian podszedł do pakunków Asama i jeszcze raz wyciągnął mapę. Rozwinął ją, przyjrzał się uważnie, następnie skinął głową na swego towarzysza. Mavra miała rację. Ich Brama była znacznie bliżej, szczególnie jeżeli wybrzeże się drogę tunelami, które znali tylko tubylcy.

Decyzję podjęto natychmiast. Mavra i Asam zostali wprowadzeni w jeszcze głębszy sen hipnotyczny i nakazano im wyruszyć. Gedemondianie pomogli nałożyć im ciepłe ubrania. Nie zainteresowali się ich bagażami. Następnie wyszli powoli na zewnątrz, a dwa uśpione centaury kroczyły posłusznie za nimi.

* * *

Mijały godziny, a oni szli coraz głębiej w góry. W pewnym momencie skalna ściana, zagrządzająca im drogę, rozstała się i weszli do ciepłego tunelu. Teraz już wędrowali płataniną korytarzy tego nieznanego sześciokąta, godzina po godzinie, bez przerwy i bez skargi. Hipnoza czyniła ich bardziej posłusznymi, niż gdyby byli skrupowani sznurami i mieli przystawione pistolety do głów. Nie zdawali sobie zupełnie sprawy z tej wędrówki. Nie wiedzieli, że maszerowali zatłoczonymi arteriami komunikacyjnymi i przemierzali ośrodki działalności Gedemondian. Ich przewodnicy zmieniali się kilkakrotnie, a oni szli wciąż dalej i dalej.

Dotarli wreszcie do starego, zawałonego kurzem pomieszczenia. Było oczywiste, że nikt tu nie wchodził od bardzo długiego czasu. Położone tuż przy głównym tunelu, prowadziło do obszernej, pustej sali. Wyglądało na to, że Gedemondianin i dwa towarzyszące mu centaury byli jedynymi istotami, które weszły do tej sali w całej historii Gedemondasu. W drugim jej końcu znajdowała się sześciokątna, idealnie czarna płaszczyzna. Wydawała się nienaturalna, nie pasująca do otaczających ją skalnych ścian i kamiennej posadzki.

Mavra Chang obudziła się, a widząc tuż przed sobą Gedemondianina, w głębi zaś czarny sześciokąt Bramy, uśmiechnęła się. Nie pamiętała, jak się tu dostali ani tej rozmowy, którą przeprowadziła, ale wiedziała, że jej się udało. Co więcej

umysł miała jasny i nic ją nie bolało po raz pierwszy od czasu bitwy przy schronisku. Była też okropnie głodna. Spojrzała na Asama i natychmiast zrozumiała, że został sztucznie uśpiony.

— Przepraszam, że nie mogliśmy dostarczyć żadnego pożywienia — odezwał się Gedemondianin czystym, miłym głosem — ale wszystko było załatwiane w takim pośpiechu.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie używał translatora i syntetyzował w jakiś sposób dźwięki w gardle, które właściwie nie mogło ani wytwarzać takich dźwięków, ani formułować słów. Zastanawiała się, jak to osiągnął. Jeszcze bardziej interesujące było to, że nie mówił w języku Dillii, ale w bardziej wyrafinowanym języku Kom.

— Tak, mówię w języku Kom — przyznał, jakby czytając w jej myślach. — Mamy tu wielu nowo przybyłych z Komlandów z powodów nam obydwojgu znanych. Kilku spośród nas zaczęło uczyć się tego języka. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

— Skądże — odparła w języku Dillii.

Zaczęła się koncentrować, żeby przypomnieć sobie język, którym dawniej się posługiwała.

— Nie przejmuj się — powiedział Gedemondianin. — To za duże obciążenie. Możesz mówić po dilliańsku. Ja będę mówić w języku Kom, a jeżeli natrafimy na jakieś pojęcia, które lepiej będzie wyrazić w twoim dawnym języku, to je zrozumiem.

Rozejrzała się dookoła.

— Przepraszam za to wszystko, ale nie korzystamy z tego pomieszczenia zbyt często. Myślę, że jednak będziemy musieli tu posprzątać. Przybysze są dla nas nieprzydatni, ale zarówno oni, jak i nasi ochotnicy będą potrzebni, jeżeli ponownie zechcemy wprowadzić naszą rasę do wszechczasów.

Zamyśliła się ze smutną miną.

— Wiesz, że nas we wszechświecie w tej chwili nie ma. Nasi wysłannicy wymarli podczas ostatniej próby.

— Właśnie z tego powodu o was pomyślałam — potwierdziła.

— Dobrze wiemy, o czym myślisz, może nawet lepiej od ciebie. Tak, oczywiście pomożemy. Pomogliśmy, nawet gdybyś do nas nie dotarła... Ale ten nieusprawiedliwiony atak na was już w naszych granicach był nie do przyjęcia. To się drugi raz nie powtórzy.

Popatrzyła na Asama. Zauważyła, że zniknęły zarówno bandaże, jak i prawie całkowicie ślady okaleczeń. Nawet jego twarz odzyskała dawny wygląd i zabarwienie. Instynktownie pomacała tył głowy. Wyczuła tam jedynie niewielki, miękki punkt, nic więcej.

— Dziękuję za pomoc lekarską, jakiej nam udzieliliście — powiedziała szczerze i jeszcze raz spojrzała na Asama. — Przez całe życie marzył, żeby was spotkać i porozmawiać. Szkoda, że nie możecie rozbudzić go chociaż na chwilę.

— To byłoby wbrew przepisom — Gedemondianin wzruszył ramionami. — Znacznie trudniej spowodować zapomnienie niż sen. Musicie udać się do Strefy tak szybko, jak to tylko możliwe. Spotkanie rozpocznie się wkrótce. Posłuży mu nasza ambasada. Jeszcze nie skończyliśmy analizy dostarczonych przez was informacji i naszych danych i nie podjęliśmy decyzji, co do form pomocy. Proszę zrozumieć, że chociaż dysponujemy dużą potęgą, jesteśmy również narażeni na atak, nie mamy możliwości ukrycia się. Trzeba to wziąć pod uwagę. W tych górach jesteśmy nie do pokonania. Gdzie indziej jednak nie jesteśmy aż tak skuteczni. Poważnie wątpię, czy jakkolwiek Gedemondianin mógłby prowadzić taką walkę, o jakiej myślicie. Podejmiemy decyzję i wkrótce się z wami skontaktujemy. Jedną rzecz mogę obiecać: że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby wam pomóc.

— To właśnie chciałam usłyszeć — powiedziała radośnie — i dziękuję.

Gedemondianin stał przez chwilę, milcząc i przyglądając się jej z zafrasowaną miną i lekko przekrzywioną głową.

— Masz kłopoty. Cierpisz — powiedział zmartwiony.

— Nie. Czuję się świetnie — potrząsnęła głową. — Niepokoi mnie przyszłość, owszem, ale to wszystko.

— On cię kocha, wiesz o tym. — Gedemondianin wskazał na wciąż śpiącego Asama.

— Domyślam się — westchnęła.

— A jednak odtrąciłaś go. Dlaczego?

Była speszona. Nie podobała jej się nagła zmiana tematu i przejście do spraw bardziej osobistych. To nie powinno go interesować.

— On cię tak samo pociąga — stwierdził Gedemondianin stanowczo. — Wyczuwam to.

— To... to jest zbyt skomplikowane, żeby się teraz tym zajmować — odparła, starając się zmienić temat.

— Mylisz się. Myślisz o nim jak o obcej istocie, ale przecież on nie jest obcy. On jest taki sam jak ty.

— Jest Dillianinem — zauważyła coraz bardziej zirytowana.

— Ty też jesteś Dillianką — odpowiedział. — Niezależnie od tego, kim byłaś wcześniej, teraz jesteś Dillianką. Jeżeli umrzesz na tej planecie, umrzesz jako Dillianka. Jeżeli będziesz żyć, będziesz Dillianką. Tego nie możesz zmienić. Nawet gdybyś poddała się odtworzeniu w Studni Dusz, zostaniesz odtworzona taką, jaką jesteś teraz. Jesteś Dillianką teraz i na zawsze.

Wyciągnął ręce, ujął jej głowę w poduszeczki dłoni i trzymał delikatnie przez moment.

— Tak — powiedział. — Niepokój. Brak poczucia bezpieczeństwa. Tu też się mylisz. Jeżeli miałabyś umrzeć jutro, pamiętaj, że jest jeszcze dziś. Jeżeli ktoś z was umrze, nie przekreśli to czasu, jaki spędzicie razem. Wciąż bolejesz nad śmiercią męża, która nastąpiła tysiąc lat temu. Dlaczego?

Czuła się zniewolona. Musiała patrzeć mu w oczy. Musiała odpowiedzieć.

— Bardzo go kochałam.

— Czy kochałaś go dlatego, że umarł?

— Oczywiście, że nie!

Chciała, żeby już przestał.

— Widzisz! Bolałaś nad jego śmiercią, bo wiedliście razem dobre życie. To tylko życie ma znaczenie, a nie śmierć, moje szalone dziecko. Pozwól, pomogę ci, na ile potrafię.

Umysł jej nagle się zaciemnił. Poczowała coś, jakąś energię, coś obcego, a jednak ciepłego, dobrego, nie grożącego niczym. Nie była to hipnoza czy zawładnięcie jej umysłem, ale coś wzmacniającego znaczenie słów wypowiedzianych przez Gedemondianina.

Potężna, biała istota podeszła do ściany w pobliżu Bramy i starła z niej warstwę kurzu. Było go tyle, że cała jego ręka stała się szara. Ku zaskoczeniu Mavry spod kurzu wyłoniła się gładka jak szkło, chociaż naturalna powierzchnia.

— Obsydian. Wygładzony i wypolerowany w początkach istnienia naszego sześciokąta. Spójrz i powiedz mi, co widzisz.

Ciekawa i lekko rozbawiona tym, zdawać by się mogło, tanim zabiegiem psychoterapeutycznym, podeszła do ściany i spojrzała. Zobaczyła swoje idealne odbicie w lustrzanej powierzchni.

— Osłabiam działanie niektórych powiązań neuronowych w twoim mózgu. Nie ograniczy to możliwości myślenia lub zdolności oceny. Raczej wytłumi działania obcych czynników, które nadają zbyt ostre barwy myślom. To proste, ale przydatne. Wątpię, czy dalibyśmy tu sobie radę, nie posiadając tej umiejętności. Możemy cię łatwo tego nauczyć. Polega to po prostu na świadomej kontroli funkcji umysłu. Umysł wykonałby te funkcje i tak, ale w wielu przypadkach mniej skutecznie.

Zniknęły senne koszmary i potwory z zakamarków myśli, pojawiło się bez specjalnej przyczyny uczucie niezwyklej wolności. Wydawało się dziwne, że przytłumienie działania czegoś w umyśle powodowało, iż umysł ten stawał się bardziej rzeński i jakby czystszy.

Ponownie spojrzała na swoje odbicie i pomyślała prawie z ciekawością: to ja. Twarz, piersi, długie, płynnie opadające blond włosy i pokryte złocistą sierścią końskie ciało, które zdawało się mieć idealne proporcje i wspaniale pasowało do reszty, było częścią całości. Dawniej zawsze myślała o centaurach z Rhone czy Dillianach jako o ludziach, z końską częścią dołączoną z tyłu. Teraz stwierdziła, że to wcale nie była prawda. Była odrębną, logicznie ukształtowaną istotą, obda-

rzoną ciałem pod wieloma względami przewyższającym to, w którym się urodziła. Zdała sobie sprawę, że Gedemondianin miał rację. Ta osoba, którą pamiętała, nie była właściwie nią. Już nie była, a w zasadzie nigdy nią nie była. Kształt i forma tak starannie ukształtowane, tak dawno temu, nie były wcale bardziej autentyczne niż jej obecna postać.

A cóż ów kształt właściwie oznaczał? Tylko coś, co ułatwiało lub utrudniało życie zależnie od punktu widzenia. Wewnątrz jednak, czyli tam, gdzie to się najbardziej liczyło, w tych oczach, którymi wyrażała najgorętsze uczucia, była najistotniejsza prawda. Uświadomiła sobie, wpatrując się w zwiny kształt odbity w gładkim obsydianie, że przez całe życie albo żyła przyszłością, albo żałowała przeszłości. Siedem lat, siedem krótkich lat tak dawno temu było jedynym lśnią-cym klejnotem. Nie ze względu na jej osiągnięcia. Tych miała wiele i była z nich dumna. Tamte lata były tak ważne, dlatego że żyła, dlatego że odczuwała wtedy radość życia.

— Tak. — Odwróciła się do Gedemondianina. — Chciałabym się kiedyś tego nauczyć. Myślę, że moglibyście nas wszystkich wiele nauczyć. Może właśnie taką rolę powinniście odegrać.

— Rozpatrzmy to.

— Myślę, że jesteśmy gotowi wyruszyć — powiedziała po chwili. Podeszła do Gedemondianina i przytuliła się. Gdyby umiał się uśmiechać, na pewno by się uśmiechnął.

— Wasza rasa wydaje się tak bardzo mądra — rzekła wreszcie — i znacznie bardziej zaawansowana niż inne rasy, jakie poznałam. Chciałabym, aby więcej ludzi mogło poznać waszą wiedzę.

— Zobaczmy. — Gedemondianin wzruszył ramionami. — Ale pamiętaj, my i Dillianie wyruszyliśmy razem w kosmos. Wasza rasa przetrwała, rozrosła się, budowała i rozwijała się, my zaś wyginęliśmy.

Skinął na Asama, który podszedł do Bramy Strefy i zniknął w jej czerni. Odwróciła się i ruszyła za nim.

Gedemondianin stał przez chwilę, a następnie podszedł do ściany i spojrzał na swoje odbicie w czystym obsydianie. Powierzchnia była idealna i odbicia dokładne. Bardzo jednak zaniepokoiło go spostrzeżenie, iż w odbiciu pojawiała się nieuchwytna skaza.

Ambasada Gedemondasu, Strefa

Przeszli korytarzem, przepychając się przez tłumy ludzi w poszukiwaniu właściwego miejsca. Aż trudno było uwierzyć, że mogli zetknąć się z taką masą ludzką. Nie tylko Asam był zaszokowany, ale także Mavra. Rzeczywistość przerastała wszelkie oczekiwania.

Znacznie więksi niż ludzie wędrujący korytarzem, musieli przedzierać się przez tłum. Mavra patrzyła na ludzi jak na jakiś nieznany gatunek. Są tacy mali, delikatni i słabi — pomyślała.

Przybysze, którzy jeszcze nie przeszli przez Studnię, spoglądali ze zdumieniem i obawą na potężne centaury, które ostatecznie przecież nie były dla nich aż taką nowością, bo wcześniej widywali mieszkańców Rhone, jednak wydawały im się istotami niezwykłymi.

Mavra zatrzymała się nagle w miejscu, w którym panował szczególny ścisk. Asam spojrział na nią,

— O co chodzi?! — krzyknął wśród zamętu.

— Właśnie pomyślałam, że zacznam tracić kontakt — odkrzyknęła.

Skoncentrowała się, starając się przetłumaczyć prostą myśl na słowa, które tłum mógł zrozumieć. Dziwne jej się wydało, że myślała wciąż w języku Kom. Myśli jej jednak przechodziły przez jakiś rodzaj filtra w mózgu i przemieniały się w język Dillii. To samo działo się, kiedy słyszała język Dillii, chociaż, jak udowodnił jej Gedemondianin, łatwo mogła rozumieć mowę Kom. Teraz, myśląc w swoim rodzimym języku, zmuszała usta, żeby dostosowały się do mowy Kom.

— Jestem Mavra Chang! — krzyknęła. — Pamiętajcie mnie!

Niektóre ze stojących najbliżej kobiet usłyszały ją i zaczęły powtarzać jej imię. Rozbrzmiewało ono coraz dalej i dalej. Przepychała się przez tłum, krzycząc od czasu do czasu: „Mavra Chang!”, co było wymawiane w ten sposób w języku Kom i Dillii. Chociaż wymawiała słowa z obcym akcentem i niezbyt wyraźnie, wydawało się, że ludzie ją rozumieją.

Może popełniła błąd, bo w wielu przypadkach poruszanie się stało się jeszcze trudniejsze. Ludzie, słysząc jej imię, chcieli ją o coś zapytać albo chociaż dotknąć, żeby się upewnić, czy to właśnie ona.

Dotarli jednak wreszcie do celu. Drzwi w kształcie sześciokąta otworzyły się przed nimi, a gdy weszli, zamknęły się, odcinając ich zupełnie od zamętu na zewnątrz. Nagła cisza była prawie ogłuszająca.

— Uf! — Asam odetchnął z ulgą. — Przeszliśmy przez piekło, żeby się tu dostać. To samo będzie z drogą powrotną. Czy jesteś pewna, że postąpiłaś słusznie tam, na ulicy?

— Szkoda, że nie mogłam pojawić się wcześniej i powiadomić wszystkich — odparła bez wahania. — Wszystkim będzie łatwiej, gdy dowiedzą się, że jestem Dillianką i gdzie mnie należy szukać. W każdym razie wiadomość ta rozejdzie się wśród tłumu.

— Może — powiedział z powątpiewaniem.

— Przypuszczam też, że niewiele nam zaszkodzi. Ostatecznie wiemy, że nieprzyjaciel orientuje się gdzie nas szukać.

Rozejrzała się wokół. Pomieszczenie było zupełnie puste. Gładkie ściany o zaokrąglonych narożnikach, gładka podłoga i nic poza tym.

Asam przyglądał się drzwiom.

— Myślałem, że otwierają się tylko wtedy, kiedy życzy sobie tego członek rasy, do której należy ambasada. Tak przynajmniej jest u nas.

— Myślę, że byliśmy oczekiwani.

— Gedemondianie? — Popatrzył na nią z wyrzutem. — Do diabła, wciąż nie rozumiem, jak się tutaj dostaliśmy. Od momentu gdy zasnąłem w schronisku, nie pamiętam nic do chwili, kiedy wyszliśmy z Bramy Strefy. Do diabła, to nieuczciwe, Mavro!

— Cóż mogłam zrobić? — Wzruszyła ramionami. — To oni ciebie kontrolują, a nie ty ich. Prawdę powiedziawszy, ja też nie pamiętam wiele aż do momentu, kiedy doszliśmy do Bramy. Wszystko wcześniej jest zamglone jak sen. Oni mają naprawdę niezwykle umiejętności. Wiem, że wyciągnęli od nas wszystkie informacje i pamiętam, że pod koniec rozmawiałam z jednym z nich.

Asam mruzczał coś pod nosem, a następnie zapytał:

— I nie dowiedziałaś się nic konkretnego, co? Czy dlatego jesteśmy tutaj, w tej opuszczonej ambasadzie?

— Nie — potrząsnęła głową. — To nie Gedemondianie. Ktoś inny zwołał to spotkanie, o którym oni się dowiedzieli. Nie wiem kto. Ktoś wybrał też tę ambasadę, bo wiadomo, że jest pusta.

— Nie wygląda na to, żeby przyjęcie już się zaczęło. — Rozejrzał się dookoła z ponurym wyrazem twarzy.

— Poczekamy.

Podeszła do niego i objęła go.

— Wiesz, jest kilka bardzo przyjemnych sposobów zabicia czasu, a tu jest dużo miejsca.

Wyglądał na zaskoczonego, ale i na zadowolonego.

* * *

Marquoz mimo swych wielkich rozmiarów nie miał kłopotów z przedarciem się przez tłum. Widząc jego płonące czerwonym ogniem ślepią w demonicznej twarzy, potężne mięśnie, szpony i zbrojny ogon, ludzie rozstępowali się pospiesznie, podobnie jak prowadzący ich Strażnicy Studni.

Napawał się poczuciem własnej potęgi, jakie mu to dawało. Mieszkańcy Hakazitu byli rzeczywiście potężni. Dawniej ludzie uważali go za łagodnego albo egzotycznego jak niezwykle domowe zwierzątko i musiał ziać ogniem, żeby ich do czegoś przekonać. Teraz byli po prostu przerażeni i to mu się bardzo podobało.

Drzwi otworzyły się zaraz, gdy się do nich zbliżył. To też był miły gest. Wszedł do pustego pomieszczenia.

— Och! Przepraszam! — mruknął i zatrzymał się jak wryty. — Zdaje się, że wam przeszkodziłem.

Dwoje Dillian przerwało swe czynności i odwróciło się. Wcale nie wyglądali na zakłopotanych.

Kobieta rozluźniła się, przeciągnęła, potrząsnęła głową, żeby dojść do siebie, i popatrzyła na niego.

Marquoz, nie bardzo wiedząc, co robić, gapił się na nią.

— Chętnie bym zapalił — powiedział wreszcie.

— Ja też, choć z innych powodów — przyznał się Asam. — Obawiam się jednak, że moje cygara zostały gdzieś w Gedemondasie.

— Myślisz, że to ty masz kłopoty — mruknął Marquoz. — Moje ciało jest tak zbudowane, że w ogóle nie mogę się dobrze zaciągnąć. Przykre.

Sposób bycia i wystawiania się kojarzył jej się z kimś dobrze znanym.

— Marquoz? — zawahała się. — Czy to ty, Marquoz?

— Na twe usługi, moja pani — odparł, zginając lekko jedno kolano.

— To ja, Mavra. . . Mavra Chang.

— No, no — zachichotał. — Nie bardzo zmieniłaś się od czasu, kiedy cię widziałem po raz ostatni. Chyba tylko maść.

— Byłaś kiedyś Dillianką? — Asam patrzył ze zdumieniem.

— Przez krótki czas, ale nie w sposób naturalny. To długa historia. To jest Asam — zwróciła się ponownie do Marquoza. — Tubylec. . . po naszej stronie.

— W każdym razie po twojej stronie, nie mówiąc już o grzbiecie. Teraz widzę, że otrzymałem właściwą wiadomość. Kto wysłał zaproszenia?

— Wiem tyle samo co ty. Ja dostałem wiadomość od Gedemondian. A ty?

— Przez posłańca. Zostawił je w ambasadzie, żeby mi je przesłano. Niewiele więcej mi przekazano. Ambasador stwierdził, że posłaniec był typem 41. Przypuszczam, że to Brazyl.

— Mam nadzieję, że tak — powiedziała bez entuzjazmu.

— Muszę przyznać, że wyglądasz całkiem nieźle jak na kogoś, kto nie żyje — zauważył Marquoz.

— Co takiego? — Oba centaury aż podskoczyły.

— Naprawdę. Były doniesienia, że patrol jakichś małych wstręciuchów spadł was w zasadzce i poszatkował na kawałeczki.

— Próbowali — odparł Asam. — Potrzeba jednak czegoś więcej, żeby nas załatwić.

— Mogę sobie wyobrazić — przyznał Marquoz z uznaniem. — W każdym razie mi ulżyło.

— Zaraz, zaraz, Marquoz. . . W jaki sposób zdobyłeś ten raport? Od kiedy to ambasador przekazuje ci prywatne zaproszenia? — zapytała Mavra.

Potężny wojownik wzruszył lekko ramionami.

— Śmiertelnie boją się tajnej policji Hakazitu, a ja jestem jej szefem. Im się tylko zdawało, że mają tajną policję, dopóki nie objąłem rządów. Moje wypadki do Komlandów nie poszły na marne. Do diabła! Jestem pierwszym szefem tajnej policji, który odważył się pokazać publicznie.

— Nie będę się więcej dopytywać — mruknęła do siebie Mavra, kiwając głową z uznaniem.

— Teraz rozumiem, dlaczego możemy rozmawiać — stwierdził Asam. — Masz translator.

— Pierwsza rzecz, jaką sobie załatwiłem po przejęciu władzy. Mavra chyba nie ma?

Kiedy miało się wszczepione to małe krystaliczne urządzenie produkowane przez jeden z północnych sześciokątów, było czasami bardzo trudno zauważyć, że inni go nie mieli, chyba że się bardzo uważnie obserwowało i jeszcze uważniej słuchało.

— Będę potrzebować translatora, i to szybko — przyznała Mavra.

— Niech ci go założą w Dillii — poradził Marquoz. — Najlepiej, żeby zrobili to ci, którzy dobrze znają twój mózg i system nerwowy. Niech kosztami obciążą rząd Hakazitu.

— Załatwię to — powiedział, śmiejąc się Asam. — Miałem zamiar zrobić to na mój koszt. Dziękuję, że pozwoliłeś mi trochę zaoszczędzić.

Dostawy translatorów były drastycznie ograniczone. Ich cena była taka, że tylko najwyżsi urzędnicy mogli sobie na nie pozwolić. Operacja kosztowała jeszcze drożej.

— Lubię wydawać cudze pieniądze — powiedział Marquoz, wzruszając ramionami, jak gdyby rzeczywiście tak myślał.

Zamierzali kontynuować dyskusję, kiedy drzwi ponownie się otworzyły i weszła dziwna istotka cała pokryta szarym futerkiem. Na widok Marquozza zatrzymała się i rozejrzała niepewnie.

— Podaj nam swoje imię, a powiem ci, czy dobrze trafiłaś — powiedziała Mavra.

Istotka podniosła się, ukazując obfite fałdy skóry łączące wszystkie jej członki, i podparła się rozłożonym ogonem. Spoglądała na nich bacznie, a na jej twarzyczce gryzonia malowała się niepewność; potem z głębi gardła odezwała się w sposób, który Mavrze wydał się podobny do cmokania i klekotania.

Pozostali dwaj zrozumieli jednak natychmiast i Marquoz zareagował od razu.

— No, no, Jua, witamy w klubie.

— Też nie ma tłumacza — zauważyła Mavra.

— Dodatkowe obciążenie dla skarbcza Hakazitu — westchnął Marquoz. — Brak tłumaczy komplikuje jednak spotkanie na szczycie.

— Widzę, że wszyscy już tu są — odezwał się głos za nimi.

Odwrócili się zaskoczeni. W kącie pokoju — tam gdzie zdawało się nie być żadnego wejścia ani wyjścia i który, jak mogli przysiąc, przed chwilą był pusty — stał...

— Cygan! — ryknął Marquoz i ruszył ku niemu.

— Spokojnie, Marquoz! — Cygan zasłonił się rękami. — Mógłbyś skrócić mi kark, witając się!

Wielki bojowy jaszczur ryknął śmiechem, ale nie podszedł bliżej.

— Już się obawiałem, że podróż ci się nie udała — powiedział po chwili. — Nie było cię wśród nowo przybyłych.

— Jestem tutaj i tylko to się liczy — odparł Cygan lekko. — Zwołałem to zebranie, podobnie jak mnóstwo innych.

Przerwał na chwilę, widząc ich zdumienie.

— Chyba nie myślicie, że jesteście pępkiem wszechświata. Jest mnóstwo spraw do załatwienia. Jesteście jednak bardzo ważni, szczególnie teraz, kiedy przetrwaliście wstępny okres i jakoś znaleźliście się w nowej sytuacji. Ty przede wszystkim. — Uśmiechnął się do Marquoza. — Musisz mi kiedyś opowiedzieć, jak tego dokonałeś. Nie teraz — dodał pospiesznie spostrzegłszy, że Marquoz miał wielką ochotę natychmiast spełnić tę prośbę.

— Zmieniłeś się tak samo jak my — zauważyła Mavra. — Och, wyglądasz wprawdzie tak samo jak dawniej, lecz zmienił się twój sposób bycia i postawa. Nawet twój sposób wysławiania się jest inny. Rozumiem, że mówisz w języku Kom?

Skinął głową i zapalił papierosa. Ponieważ ten rodzaj wyrobów tytoniowych nie był znany w Świecie Studni, niejedno z nich zastanawiało się, gdzie je zdobył.

— Rozgośćcie się i zaraz przejdziemy do rzeczy — powiedział Cygan, wskazując na podłogę. — Dillianie i Marquoz mogą patrzeć na mnie z góry. Ja siadam.

To mówiąc, rozsiadł się na podłodze i stracił niedbale popiół z papierosa.

— Przede wszystkim — ciągnął dalej, kiedy już wszyscy się zbliżyli — spotykamy się tu, w ambasadzie Gedemondasu, po prostu dlatego, że Ortega nigdy

nie zwracał na nią większej uwagi. Była oczywiście nafaszerowana podsłuchami, ale wraz z kilkoma dobrymi fachowcami z Szamozanu wyszukaliśmy je i unieszkodliwiliśmy. Jestem pewien, że to miejsce jest bezpieczne, mimo że Szamozan jest po przeciwnej stronie. Dla pewności nasi ludzie później jeszcze raz wszystko sprawdzili.

— O co właściwie chodzi? — nalegał Marquoz. — Z tobą jest coś nie w porządku. Oczekiwałem raczej, że i ten kłopot przesiedzisz gdzieś w cichym kącie jak zawsze. Nigdy nie lubiłeś walczyć.

— To prawda — przyznał Cygan — ale teraz jest inaczej. Nie chciałbym tego wyjaśniać. Dzięki temu działam bardziej skutecznie. Musicie mi jednak uwierzyć, kiedy powiem, że jestem zaangażowany w tę sprawę nie dlatego, iż potrafię robić niektóre rzeczy, że mogę działać jako pośrednik, ale dlatego, że jestem osobiście zainteresowany. Nam wszystkim byłoby łatwiej, gdybyście wy albo Brazyl zdołali załatwić sprawy, które mogę załatwić ja. Niestety nie zdołacie i na tym problem się kończy. Nie mogę też was niektórych rzeczy nauczyć. Nawet gdybym chciał, nie udałoby się to. Zostawmy to także. Obecnie liczy się to, że jestem jedynym posłańcem, który może przedostać się na linie przeciwnika, skontaktować się z wami, gdziekolwiek będziecie, a również spotkać się z Brazilem.

— Brazyl! — wykrzyknęła Jua, gdy usłyszała nazwisko.

Nie miała translatora i jej struny głosowe nie były dostosowane do wymówienia tego dźwięku, ale wszyscy zrozumieli, o co chodzi.

— Tak. — Cygan skinął głową. — Przedostał się tu. Ortega za późno się zorientował. Zastosowaliśmy najprostszy wybieg, jaki można sobie wyobrazić. Przedostał się tutaj przed wami. Jest tu już od ponad miesiąca.

— To niemożliwe! — wykrzyknęła Mavra. — Przecież osobiście pilotował nas na Serachnusa, kiedyśmy się tu wybierali. Odprowadził nas, życzył szczęśliwej podróży. Ty też tam byłeś, nie pamiętasz?

— Przykro mi, ale musieliśmy was oszukać — uśmiechnął się Cygan. — Tak naprawdę Brazyla tam nie było. Ja odegrałem obydwie role. Wiem, że widzieliście nas razem. To taka sztuczka. Polega na tym, że widzicie to, co chcę, żebyście widzieli. Kilka ras w Świecie Studni ją zna. Prawda, pułkowniku Asam?

— Widziałem coś takiego. Ostatecznie dopiero co obudziłem się z kilkudniowego snu hipnotycznego. — Asam ciągle był niepokieszony.

— Tak, jest to odmiana sposobu, który pozwala mi wchodzić i wychodzić z różnych miejsc niezależnie od tego, czy są strzeżone, czy nie. Nie sprawdza się w stu procentach. Obie pomógł mi stworzyć prawdziwego sobowtóra.

— Zaczynam rozumieć! — wykrzyknęła Mavra. — Obie zwykł stosować rozmaite sztuczki tego rodzaju. Skopiował cię, kiedy wszedłeś do maszyny. Twój sobowtór wyszedł, a my myśleliśmy, że to ty. Ty natomiast zostałeś przesłany gdzie indziej, na przykład na Olimp.

— Coś w tym rodzaju — przyznał Cygan. — Brazil wyjechał jeszcze przed ostatnimi naradami sztabu. Zajmowałem jego miejsce. Udawałem go. Omal nie popełniłem strasznego błędu, zostawiając was na tej zapomnianej przez Boga skale. Strasznie chciało mi się papierosa, a Brazil palił tylko cygara.

— Ale dlaczego nic nam nie powiedzieliście? — zapytała Jua, czując, jak gdyby nie darzono jej pełnym zaufaniem.

— Nie wiedzieliśmy, jakie tu was spotka przyjęcie — odrzekł Cygan z westchnieniem. — Nie widzieliśmy nawet, czy Brazil się przedostał. Gdyby jednak się przedostał, a przedostał się, moglibyście być poddani na przykład hipnozie, sondowaniu umysłu, czemukolwiek. Musieliśmy zyskać na czasie, a to wymagało żebyście wszystkim się pokazywali, trwając w przekonaniu, iż Brazil jeszcze nie przybył. To zdało egzamin.

— A wtedy, to drugie „ty”, weszło do Bramy Studni i po prostu zniknęło — powiedziała Mavra w zamyśleniu.

Teraz wszystko było bardziej zrozumiałe. Takie stwory, nie zbudowane na wzór istoty żyjącej, nie mogły przetrwać. Dlatego właśnie stworzono Świat Studnię i dlatego konieczne były żyjące prototypy niezbędne do ich odtworzenia. Nie wyjaśniało to, dlaczego Cygan, wyglądający jak Brazil, przedostał się tutaj, nie tracąc życia, ani też dlaczego teraz wyglądał tak, jak dawniej. Miała właśnie o to zapytać, ale Cygan jej przerwał.

— Brazil jest gotów do działania. Mogę was zapewnić, że jest dobrze ukryty, ale kiedy wyruszy, stanie się oczywistym celem. Ortega i reszta zdają sobie z tego sprawę. Brazil niecierpliwi się. Szczerze mówiąc, ta kryjówka jest bardzo niewygodna. Brazil zaufał ludziom na stanowiskach i jest gotów. Ja zorganizowałem dywersję, która pozwoliła osiągnąć mu to, co do tej pory osiągnął. Teraz wy musicie kontynuować tę grę.

Sięgnął pod marynarkę i wydobył starą, pogniecioną mapę. Przedstawiała wycinek półkuli południowej. Wszyscy zaczęli się w nią wpatrywać. Cygan wskazał na jeden sześciokąt.

— To jest Glathriel. Dzikusy tu żyjące są prototypami istot, którymi wszyscy, z wyjątkiem Asama, byliśmy, nim przeszliśmy przez Studnię. Marquoz, zaczniesz pierwszy. Wyruszysz z Hakazitu na południowy zachód, bo tamtędy prowadzi najtrudniejsza droga. Mimo to nic nie przyjdzie ci łatwo, chociaż nigdzie oprócz Ambrezy nie powinienes natknąć się na większy opór. Ambrezańczycy nie będą chcieli, żeby ich dobrze urządony świat został zniszczony. Po drodze zyskasz sojuszników. Następnie ruszysz przesmykiem. Jedyne Ginzin ma nieprzyjemny klimat. Wiadomość, że się przedarłeś dotrze do nas natychmiast. Z kolei twoje siły, Mavro, wyruszą prosto na zachód i spotkacie się z Marquozem, zaś twoje, Juo, przygotowują się do drogi i będą czekać, dopóki główne siły do nich nie dotrą. Wtedy razem powędrujecie w kierunku trasy Verion-Ellerbanta i kiedy się do niej zbliżycie, otrzymacie dalsze instrukcje.

— Zakładam, że utrzymujemy jakieś kontakty dyplomatyczne z tymi naszymi braćmi, czy też wciąż będziemy z nimi walczyć? — zapytał Marquoz.

— Wątpię w jakiegokolwiek kontakty — odparł Cygan. — Dopóki się nie połączycie, natkniecie się na kilka gniazd oporu. Będzie to jednak opór symboliczny. Dopiero gdy ruszycie w kierunku trasy, rzucą przeciwko wam wszystkie siły. Wtedy naprawdę będzie ciężko, ale my też przygotowaliśmy kilka niespodzianek.

— Jednak to oni będą wybierać czas i miejsce — zauważył Asam. — My ich nie obchodzimy. Chcą Brazila. Nawet jeżeli Brazyl się uratuje będzie w zupełnie obcym terenie, gdzie wszyscy będą go poszukiwać.

— Słuszne stwierdzenie — przyznał Cygan.

— Ale nieprawdziwe — powiedziała Mavra z przekonaniem. — Myślę, że ten problem rozwiązałam. Brazila tam nie będzie. Wszyscy będą się uganiać za nami, on zaś ruszy w zupełnie innym kierunku.

— Możliwe — zgodził się Cygan, uśmiechając się zagadkowo.

— W takim razie nie oszukamy Ortegi — stwierdziła. — Rozszyfruje ten plan w dziesięć minut po tym, jak rozpoczniemy jego realizację.

— Prawdopodobnie masz słuszność — przyznał. — Zorganizujemy jednak przynętę, której nie będzie mógł zignorować. Jeżeli Brazyl będzie widziany wśród waszych sił, a szczególnie wśród was tu obecnych, nie będzie wątpliwości. Ortega wie, jak działa Studnia. Widział tylu fałszywych Brazilów, którzy ostatnio przez nią przeszli, że gdyby spotkał tu, w Strefie, prawdziwego Brazila, też pewnie kazałby mu po prostu spieprzać. Tak oczywiście jest przed przejściem przez Studnię. Zgodnie z istniejącym systemem tylko Brazyl będzie wyglądał jak Brazyl po przejściu przez nią. Nikt inny tego nie dokona, zaś techniki medyczne stosowane w Komlandach nie są tu znane. Bo i po co? Nie ma potrzeby.

— Jak zorganizujecie dwóch Brazilów? — chciała dowiedzieć się Jua.

— Patrzcie uważnie — rzekł Cygan z uśmiechem i zamknął oczy.

Przez moment nic się nie działo. Nagle kontury jego ciała zaczęły migotać, zacierać się i jakby się kurczyć. Powoli, bardzo powoli Cygan stał się fizycznym obrazem Nathana Brazila.

— Nigdy mi nie powiedziałeś, że to potrafisz — żalił się Marquoz. — Do diabła, gdybym wiedział, oszczędziłoby mi to wielu kłopotów.

Rozparta na podłodze postać Nathana Brazila, obecnie już całkiem solidna i konkretna, uśmiechnęła się uśmiechem Cygana.

— Jest wiele rzeczy, o których ci nie powiedziałem. No, jak? Myślicie, że to się uda?

Z wyjątkiem Asama, który nigdy Brazila nie widział, wszyscy gapili się na siedzącego na podłodze osobnika. Był to najprawdziwszy Brazyl. Idealnie dokładny co do najmniejszego włoska. Nawet brzmienie głosu i wymowa były takie same.

— Uda się — powiedziała Mavra. — Mógłbyś nawet mnie przekonać, a przecież widziałam, jak to robisz.

Gdzieś w głębi duszy jednak odczuwała poważny niepokój. To nie Obie dał mu tę umiejętność, mimo że Cygan tak twierdził. Obie mógł wiedzieć o zdolnościach Cygana i poczynić odpowiednie przygotowania, ale nawet Obie nie byłby w stanie obdarzyć go takim talentem. Umiejętność stawania się kim innym, pojawiania się i znikania musiał zyskać całkiem gdzie indziej. Istniało tylko jedno sensowne wyjaśnienie.

— Hipnoza może wprowadzić w błąd obserwatora — zauważyła — ale nie oszuka kamery.

— To nie hipnoza — odparł Brazil, który nie był Brazilem. — To jest prawdziwe. Można mnie sfotografować. Można nawet przeprowadzić autopsję, czyż to nie przyjemna myśl? Jestem kopią Brazila, komórka po komórce. Dopóki będziecie mnie traktować, jakbym był Brazilem, będę pamiętał, żeby zachować się jak Brazil. To zda egzamin. Będą się do nas garnać jak muchy do miodu.

Jua przyglądała mu się przez chwilę.

— Jesteś potężniejszy niż Brazil — stwierdziła stanowczo. — Jak to możliwe?

— Chciałbym, żeby to była prawda — zaśmiał się Cygan niepewnie. — W jakimś sensie jestem potężniejszy, ale tylko w odniesieniu do mojej osoby. Was nie mógłbym w nic przemienić, nie mógłbym was zahipnotyzować czy zmusić do zrobienia czegoś, na co nie macie ochoty, chyba żebym was zanudził i zagadał na śmierć. Nie, Juo, posiadam umiejętności, których nie ma Brazil w swojej obecnej formie. Jeżeli zastanowicie się, to stwierdzicie, że wy też takie umiejętności posiadacie. To wszystko. To tylko sztuczka. Ale pamiętajcie jedno: mogą mnie zabić tak samo jak każde z was. Przypuszczam, że zginę. Może wszyscy zginiemy. Ale nie Brazil. On nie umrze. Studnia do tego nie dopuści.

Przerwał na chwilę, zastanawiając się nad swymi słowami, jak gdyby się namyślał, czy powiedzieć coś jeszcze. Wreszcie odezwał się znowu:

— To są tylko moje przypuszczenia, ale wydaje mi się, że Brazil chce umrzeć. Myślę, że on planuje swoją śmierć.

— Przed chwilą powiedziałeś, że on nie może umrzeć — zauważył Marquoz.

— Nie tutaj i nie teraz. Tam, wewnątrz Studni, może. Jest jej strażnikiem. Jego zadanie było ogromnie trudne. Musiał trwać chyba przez miliardy lat, patrząc, jak wszyscy starzeją się i umierają, przeżywać wszystko, co było do przeżycia. Mogę się założyć, że jest śmiertelnie znudzony. Dokumenty wskazują, że kiedy był w Świecie Studni po raz ostatni, nie wiedział, że był tu już poprzednio. Nic nie pamiętał. Zablokował to całkowicie w swoim umyśle dla samoobrony, jak powiedziałby psychiatra. Chciał zapomnieć i zapomniał. Trzeba było całego Świata Studni, żeby go odblokować i myślę, że do tego czasu znowu chciał wszystko zapomnieć.

— Ja chyba mogłabym to wytrzymać — mruknęła Mavra. — Ostatecznie wcale się nie nudzę od tysiąca lat.

— Możesz mieć taką szansę — ostrzegł ją Cygan. — Ty lub ktoś inny spośród was. Przypuszczam, że Brazil zamierza, kiedy już zrobi, co ma do zrobienia, wybrać kogoś innego, przeszkolić go, a następnie umrzeć. Gotów jestem się nawet o to założyć.

— Nie wierzę w to. — Jua przerwała długą chwilę milczenia, jaka nastąpiła po stwierdzeniu Cygana. — On nie mógłby tego zrobić. On jest bogiem.

— Nie musisz wierzyć. — Cygan wzruszył ramionami. — Przypuszczam jednak, że czujecie, iż jest w tym ziarenko prawdy, chociaż wymyślił to psycholog-amator taki jak ja. Wszyscy analizowaliście jego osobowość, wszyscy go spotkaliście, wszyscy z nim rozmawialiście. Jestem również całkiem pewien, że wiem, kto został wybrany na następcę.

Mavra dostrzegła jego spojrzenie i prawie niezauważalnie skinęła głową. Pamiętała, że Brazil odmówił wzięcia na siebie odpowiedzialności za wyłącznie maszyny dla dokonania napraw i tym samym za skazanie tych miliardów istnień na zapomnienie. Nalegał, aby ona wydała to polecenie jemu, a zatem przejęła na siebie odpowiedzialność. Teraz w coraz większym stopniu zaczynała pojmować to jako formę przekazania obowiązków. Ale czy naprawę tego chciała?

Zrozumiała, że ma przed sobą wiele bezsennych nocy, by się nad tym zastanowić, jeżeli oczywiście przeżyje.

Ambasada Uliku, Strefa Południowa

Serge'a Ortege równocześnie opanowały furia i frustracja. Zachowywał się jak szalony.

— Po pierwsze — wrzeszczał do interkomu — ten idiotyczny zamach na Marwę Chang! Idioci! Gorzej niż idioci! Partacze! Przemieniliście sześciokąt, który był skłonny pozostawać na uboczu, we wroga. Przy okazji zraniliście i wrogo do nas usposobiliście ich bohatera narodowego! A teraz to! Spotkanie najwyższych przywódców nieprzyjacielskich właśnie tu, nie dalej jak tysiąc metrów ode mnie, w Strefie Południowej! I nic o tym nie wiedzieliśmy! A dlaczego? Bo wynajęli naszych ludzi, żeby wyeliminować podszuch! Naszych ludzi! Wolna przedsiębiorczość... bzdura!

Nie dopuścił do udzielenia odpowiedzi. Nikt też nie oczekiwał, że mu na odpowiedź pozwoli. W rzeczywistości większość słuchających ambasad wyciszyła jego ryki, dopóki się nie uspokoił, a to wymagało wiele czasu. Podświadomie Ortega zdawał sobie z tego sprawę. Poczul się jednak lepiej i o to mu głównie chodziło.

— Możecie się znowu włączyć — powiedział wreszcie normalnym głosem. — Musimy poważnie popracować.

Trzeba było jeszcze dwudziestu minut, żeby wszyscy zostali powiadomieni, że mogą znowu włączyć swą aparaturę łączności i zająć się bieżącymi sprawami.

Przez okres dłuższy, niż jakikolwiek mieszkaniec Świata Studni pamiętał, Serge Ortega był jego uwięzionym tyranem. Nie to, żeby w rzeczywistości panował. Nikt nie mógł tego osiągnąć. Był już starcem bliskim śmierci z przyczyn naturalnych, kiedy odkrył, że istnieje przynajmniej jedna rasa, i to na Południu, która jest w stanie przedłużyć mu życie. Nie było to żadne osiągnięcie naukowe ani jakieś wyjątkowe minerały. Nic z tych rzeczy.

To była magia.

Magia istniała w Świecie Studni. Poważnie rozproszona, ale istniała. Niektóre rasy nią dysponowały. Cały ten świat był jednym wielkim laboratorium. Przeprowadzono tu zespół eksperymentów, które pradawni Markowianie wykorzystywali do uzyskania i testowania ras, zanim je gdziekolwiek we wszechświecie osiedlono. Ponieważ największe laboratorium miało w najszerszym miejscu 614,4 kilo-

metra, należało wprowadzić pewne różnice, i to nie tylko w dziedzinie technologii, ale często idące dalej. Magia. Możliwość dokonania czegoś, czego nie potrafiły inne rasy, i to zdawałoby się z niczego. Oczywiście, co było magią dla jednych ras, dla innych zyskiwało to miano tylko dlatego, że nie wiedziały one, jak to zrobić albo po prostu nie były w stanie zrobić. Oznaczało to jedynie, że poszczególne rasy czerpały swą moc z wielkiej maszyny, utrzymującej wszystko w ruchu, czyli ze Studni. Cała otoczka zaklęć pojawiła się dopiero później.

Jedna z ras posiadała moc, która mogła go utrzymać przy życiu w nieskończoność i uchronić przed starzeniem się. Skłonić ją, żeby to uczyniła, było stosunkowo łatwo. Miał szpiegów rozmieszczonych w całym Świecie Studni, a we wszystkich ambasadach — założone podsłuchy. Znał sekrety wszystkich, a jeżeli któraś z ras nie chowała trupa w szafie, był w stanie go jej podrzucić, gdyby zaszła potrzeba. Magia jednak też miała swoje granice.

Akurat ta działała tylko w rodzinnym sześciokącie rzucającego czar. Inne rodzaje magii nie nosiły tego charakteru — działały wszędzie. Ta jedna nie. Był to sześciokąt wodny, a ponadto głębinowy. Nie mógł więc przenieść się i tam zamieszkać. Czary działały przeciwko starzeniu się, a nie przeciwko utopienia się.

Jedynym innym miejscem, gdzie magia też skutkowała, była Strefa, więc w Strefie pozostał. Nie przeszkadzało to Ulikowi, czyli jego ojczystemu sześciokątowi. Ulik korzystał z tego w dwójnasób. Jego ambasador był najpotężniejszym i najbardziej przewrotnym (ale nie skorumpowanym) politykiem Świata Studni, a zatem korzyści wiązały się ze strachem i szacunkiem, jaki wzbudzał. Ulik nie musiał się też obawiać, że ta potężna osobowość pojawi się w sześciokącie i zacznie mieszać się w sprawy wewnętrzne. Ortega nie mógł opuścić Strefy. Załamałoby to czar, a on był przecież bardzo stary.

Pozwalano mu zatem wrzeszczeć i wściekać się i pozwalano również udzielać sobie instrukcji w sporadycznych sytuacjach kryzysowych. Nienawidzono go też za to, a on doskonale o tym wiedział i wcale się nie przejmował.

— A zatem, panowie ambasadorowie, mieliśmy nasz mały wstęp — zaczął słodko, kiedy zorientował się, że wszyscy już go słuchają. — Spójrzmy na to racjonalnie. Sami dziś mogliście stwierdzić, jak negatywne skutki przynosi samowolne działanie. Przysparza nieprzyjacielowi zwolenników i pomnaża jego siły. Nawet gdyby zamach na Chang się udał, wplątanie pułkownika w sprawę wystarczyłoby do wywołania wrogości Dillii, nie mówiąc już o śmierci tych niewinnych centaurów. Co gorsza, pułkownik wyświadczył nam wszystkim wiele przysług i intensywnie z wieloma z nas współpracował. Wielu z was, zdecydowanie głosujących swego czasu za wojną, teraz zaczęło skłaniać się ku neutralności, a wszyscy wiemy, co to oznacza. Inni angażują się w programy przybyszów mimo naszych wcześniejszych uzgodnień. To już wasza sprawa. Jeżeli jednak zgadzacie się na prowadzenie wspólnej polityki, a następnie naruszacie swoje zobowiązania, jakie mamy szansę na polu bitwy? Zdecydujcie się, po której stronie stoicie. Albo je-

steśmy przyjaciółmi i to oznacza, że każdy działa jako część całości i stosuje się do wspólnych ustaleń i postanowień, albo jesteśmy wrogami. Czy jest ktoś, kto chce przejść na stronę nieprzyjaciela? Niech zdeklaruje się teraz. W przyszłości nie będziemy tolerować odstępstw.

Nikt się nie odezwał.

Ortega odczekał pewien czas, a po chwili ciągnął dalej:

— Dobrze zatem. Zabijanie musi ustać. Natychmiast. Traktujcie ich jak zakładników, a nie jak zwierzynę łowną, przynajmniej na razie.

— Łatwo powiedzieć — odezwał się niezadowolony głos. — Nie mamy miejsca dla nowych. Nadają się jedynie na nawóz. A może przesłać ich wam?

— Czemu nie? — odparł Ulik po chwili namysłu. — Jest szereg sześciokątów dysponujących wolną przestrzenią, a nawet takie, gdzie powierzchnia nie jest w ogóle używana. Można tam utworzyć odpowiednie obozy pilnowane przez nielicznych strażników. Jeżeli wymieszymy nowo przybyłych, otrzymamy zbiorowisko obcych sobie istot, które nawet nie będą zdolne się porozumieć. Co na to ambasador z Kornfuszun? Kent Lucas, czy mnie słyszysz?

— Słyszę — odpowiedział niezbyt zachwycony głos z interkomu.

Kornfuszun leżał w rejonie podbiegunowym, a jego mieszkańcy wyglądali jak dziwne, wirujące dyski, ślizgające się po lodzie. Temperatura w okolicy zera była dla nich zabójcza.

— Kent, też kiedyś przybyłeś z Komlandów. Najlepiej sobie z tym poradzisz. Czy mógłbyś ustanowić komitet, żeby się tym zająć?

— Spróbuję — odparł Lucas niezbyt entuzjastycznie.

Ortega nie mógł mieć do niego pretensji, ale uważał, że jako stosunkowo niedawny przybysz z Komlandów będzie bardziej skłonny ratować życie, szczególnie życie swej dawnej rasy.

— Na froncie wojskowym zorganizowaliśmy strefę wodną i lądową na całej półkuli — poinformował Ortega. — Mobilizacja postępuje dobrze, zwłaszcza w rejonach najbardziej zagrożonych. Mam na myśli szlaki wiodące do Glathrielu, gdzie naszym zdaniem Brazyl najpierw się skieruje. Wy, sześciokąty wodne i kultury żeglarskie, jesteście teraz najważniejsi. Jeżeli Brazyl będzie usiłował przepłynąć się morzem, nie dysponujemy marynarką wojenną, żeby go zatrzymać, a mamy zbyt mało czasu, by marynarkę wojenną utworzyć. Jeżeli jednak będziemy wiedzieli, że jest na okręcie i gdzie ten okręt się znajduje, bez problemu zdołamy go zatopić, a następnie zdjąć Brazyla z góry lodowej, która na pewno znajdzie się w pobliżu, nawet w sześciokącie tropikalnym. Wkrótce sytuacja obróci się na naszą korzyść. Spotkanie sztabu, które się odbyło, świadczy o tym, że wnet wykonają ruch. Kiedy zorientujemy się, gdzie ten ruch nastąpi po koncentracji w Ambrezie-Glathrielu, która jest ich pierwszym logicznym posunięciem, wszystko zacznie rozwijać się na naszą korzyść.

— Czy naprawdę w to wierzysz? — zapytał jakiś głos.

— Wierzę — odparł zdecydowanie. — I byłoby lepiej, gdybyś i ty uwierzył.

— Przechytrzył nas, dostając się tutaj — stwierdził inny głos. — Co skłania cię do przypuszczenia, że nie użyje innych sztuczek?

— Może użyje — przyznał Ortega. — Nie mam pojęcia. Musimy w związku z tym być bardzo uważni. Pamiętajcie jednak, że będziemy mieli naszych agentów również i w jego siłach. Kiedy już zaczną swój plan wprowadzać w życie, stanie się oczywiste, jakie mają zamiary.

Mówił głównie dla dodania im otuchy. Kiedy skończył, pozwolił im klócić się między sobą i wściekać, po czym wyłączył interkom. Pomyślał nie bez złośliwości, że to i tak nie miało większego znaczenia.

Z szuflady biurka wydobył złożony arkusz papieru. Wyglądził go i przeczytał powtórnie. Ktoś położył go na blacie nie tak dawno temu, kiedy wyszedł do łazienki. Nie było żadnych śladów, żeby ktokolwiek wchodził do biura, a jednak dokument leżał na biurku. Przypatrzył mu się kilkakrotnie, jakby to był jakiś duch z przeszłości, co w pewnym sensie było prawdą. Napisany był w języku Kom wyraźnym pismem przy użyciu pióra gęsiego albo może wiecznego.

Drogi Serge!

Żałuję, że nie spotkałem się z Tobą zaraz po przybyciu, ale chyba zrozumiesz, dlaczego nie zatrzymałem się na pogawędkę. Chciałem jednak szybko dostarczyć Ci ten list, żeby położyć kres tym wszystkim niepotrzebnym zabójstwom sobowtórów Nathana Brazila. Już tu jestem. Nie trzeba więcej zabijać. Jak Ci pewnie już powiedziano, wcale nie czynię tego dobrowolnie. Szczerze mówiąc, cała ta sprawa pociąga mnie jedynie dlatego, że jest zapowiedzią jakiejś rozrywki, jakiejś odmiany — chyba mnie rozumiesz?

Muszę przyznać, że nie pojmuję Ciebie. Wydaje mi się, że siłą chcesz nakłonić mnie do tego, co sam uczyniłeś sobie dobrowolnie — zamknąłeś się w luksusowym więzieniu. Nie jest to podobne do dawnego Serge'a, z którym obijałem się po barach na kilkunastu światach. Nie jest podobne nawet do starego pierdoły, który chciał mnie oszukać podczas mojego ostatniego pobytu tutaj. Chcesz wyjść z tego więzienia, to wyjdź i przyłącz się do mnie, jeśli możesz. Wbrew Twoim przypuszczeniom magia nie spowoduje, że przemienisz się natychmiast w tysiącletniego, wyschniętego trupa. Zacznieś po prostu od tego momentu, w którym po raz pierwszy poddałeś się magii. Jeżeli zatem chcesz uczestniczyć w wielkim finale, przyjdź we właściwym momencie. Jeżeli wejdiesz ze mną do Studni, mogę nawet rozwiązać Twoje problemy. Daję Ci na to moje słowo.

Powątpiewałeś w moje twierdzenie, że jestem bogiem, podczas gdy większość przyjęła je bez zastrzeżeń. Jesteśmy do siebie podob-

ni. Rozumiemy się nawzajem. Niezależnie jednak od tego, czy jestem bogiem czy nie, umiem obsługiwać te maszyny. Wiesz o tym przecież, wiesz więc także, że mogę się z tego zadania wywiązać. Przemysśl to. Nawet jeżeli zmieniłeś się aż tak bardzo, że się już nie spotkamy, z przyjemnością będę z Tobą współzawodniczył. Jeżeli jednak i tym razem wystąpisz przeciwko mnie, pokonam Cię tak skutecznie, że ten Twój długi ogon sam pozawiązuje się w supty.

Bez względu na wszystko przesyłam Ci wyrazy szacunku. Będzie zabawnie, prawda? Jak za dawnych czasów. . . W tym duchu pozostaję, jak zawsze.

Twój Nathan Brazil

Trzymał list i przyglądał mu się długo. Po chwili sięgnął do biurka, wydobył jakieś pudełko, zapalki i niewielką, ceramiczną popielniczkę. Podpałił list i trzymał go w ręce, dopóki nie musiał odrzucić płonącego papieru do popielniczki.

Wkrótce zamienił się on w popiół. Ocalały jedynie małe skrawki zwęglonego papieru, na których pozostały jeszcze ślady liter, dające się łatwo roztrzeć na proszek.

Czy rzeczywiście się zmienił? — zapytywał się nie po raz pierwszy. Jednakże ta sytuacja i ten list spowodowały, że pytanie to stało się ważniejsze, bardziej natarczywe.

Tak — stwierdził. Zmienił się, ale stało się to jeszcze przed Światem Studnią. Całe dziesięciolecie spędził jako przemytnik, pirat, najemnik i na różnych innych zajęciach, a gdy zbliżał się koniec życia, był patologicznie znudzony. Że podbił już wszystkie światy, które mógł podbić, że przespał się już ze wszystkimi pięknymi kobietami, z którymi chciał. Dokonał już wszystkiego i dobrze się przy tym bawił, ale co mu pozostało? Wyruszył więc swoim statkiem, starając się zebrać na odwagę i popełnić samobójstwo. Nie umiał jednak pokonać swego surowego, katolickiego wychowania, na które nie zważał, kiedy był młody, ale które nabrało znaczenia, gdy się zestarzał. Samobójstwo było jedynym grzechem, za który nie można było odpokutować. . . Zagłębiał się coraz bardziej w niezbadane rejony bez map i w czasie wędrówki stwierdził, że pragnie znaleźć jakiś nowy świat, który dostarczyłby mu nowych przeżyć, który przywróciłby znaczenie jego życiu. Wtedy odebrał ten dziwny sygnał wzywający pomocy, pochodzący z pierścienia asteroidów, martwego świata krążącego wokół Czerwonego Olbrzyma i zupełnie nagle znalazł się w Świecie Studni, który stał się spełnieniem jego marzeń.

Czy rzeczywiście? — zastanowił się teraz. Będąc młodym Ulikiem, zaczął wszystko od początku. Nauczył się żyć w nowym społeczeństwie, poznał nową kulturę, przeżył całą gamę nowych doznań zmysłowych i zdobywał władzę. Ale to też było bardzo dawno temu.

Teraz był tu, w tym samym punkcie, w którym tkwił od tylu lat. Nic już nie pozostało do zrobienia. Luksusowe więzienie. Tak powiedział Brazil. Tym razem jednak nie było dziury Markowa, do której można było wpaść i nie czekał na niego żaden nowy świat, gdzie wszystko dałoby się zacząć od początku.

Znowu przyszedł mu na myśl Brazil. Jeżeli był tak stary, jak twierdził, to musiał mieć ponad czternaście miliardów lat. Czternaście miliardów! Tego umysł nie mógł objąć. Wątpił, czy to rzeczywiście było możliwe. Żadnych zmian. Ciągłe takie samo życie. Życie po życiu. Żadnego odrodzenia, żadnych nowych doświadczeń. Ta sama forma. Ciągłe to samo, nawet ograniczone technologią stosowaną przez ludzi, z którymi przebywał. Przesłuchania nowo przybyłych, przynajmniej tych z ostatniego okresu, potwierdziły, że prowadzili badania na jego temat, ponieważ nawet i on pozostawił pewne ślady.

Brazil wcale nie był taki niepozorny. Wyglądało na to, że był zamieszany we wszystkie wojny, we wszystkie ruchy na Starej Ziemi, zawsze w czołówce, zawsze na ustach wszystkich, a jednak na tyle sprytnie, że kiedy go rozszyfrowano, powstawały tylko nowe legendy. Latający Holender, Żyd Wieczny Tułacz, Gilgamesz.

Tylko Ortega zadawał sobie sprawę, że Brazil starał się uciec przed ostateczną nudą i szaleństwem. Ale co, u diabła, można zrobić, kiedy zrobiło się już wszystko i nie ma już nic do zrobienia? Pilotuje się statek towarowy pomiędzy Nudą a Znudzeniem i stara się zapomnieć, kim i czym się jest, wyłączając się psychicznie.

Brazil napisał, że będzie zabawnie. Ładna zabawa! Ale to miało sens tylko dla Ortegi.

Dla niego to był problem. Czy powinien jeszcze raz wystąpić przeciwko Brazylowi i sprawdzić, czy w dalszym ciągu jest mistrzem podstępów i niespodziewanych ciosów i zawsze sprawuje nad wszystkim kontrolę? To z pewnością było nęcące, a nawet mogło być zabawne, jak powiedział Brazil.

Ale jeżeli on, Ortega, wygra, czy będzie to zwycięstwo? Gdyby chociaż znał odpowiedź na to pytanie...

Dillia

Asam i Mavra Chang patrzyli na swoją armię. Z punktu widzenia historii wszechświata nie była wielka. Była jednak ogromna, jak na warunki Świata Studni.

— Sześć tygodni — mruknął Asam do siebie. — To wszystko w sześć tygodni.

Usłyszała go, odwróciła się i uśmiechnęła.

— Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy mieli więcej czasu — rzekła. — Ale nowi wciąż napływają.

Armia rzeczywiście składała się głównie z przybyszów, a były to stwory latające, pełzające, turlające się, a nawet przelewające się. Po stu pięćdziesięciu do dwustu przedstawicieli z około osiemdziesięciu sześciokątów, czyli około ośmiu tysięcy przedziwnych istot. Do tego doszło około tysiąca Dillian dobranych przez Asama do obrony naruszonego honoru Dillii i może około tysiąca rodowitych mieszkańców Świata Studni, którzy w wyniku własnej decyzji lub na polecenie swoich rządów powiedzieli się po stronie Brazila.

Armia tego rodzaju napotykała oczywiście na szereg problemów głównie w zakresie łączności i zaopatrzenia, chociaż wyposażenie przywódców każdej z grup w translator i możliwie powszechne używanie języka Kom w poważnym stopniu rozwiązały problemy porozumiewania się.

Co do żywienia tego tłumu, to zabiorą ze sobą, co się da, a resztę będą pozyskiwać w drodze. Nie byli armią zdobywców, ale armią w marszu. Niemniej jednak świadomość celu skłaniała ich do zapomnienia wielu zasad dotyczących praw własności. Ponad połowa sił była roślinożerna, jak Dillianie, i mogła żywić się wszędzie, nawet jeżeli pożywienie nie było zbyt apetyczne. Dla reszty zaś wieziono pewne zapasy. Wiadomo jednak było, że nie wystarczą i nie przetrwają długiego marszu. Problem żywności najbardziej niepokoił Mavrę, ponieważ dobrze wiedziała, że niektóre rasy stanowią doskonałe pożywienie dla innych.

Istotnym problemem, z jakim musieli sobie poradzić, było to, że napływało zbyt wielu ochotników z zachodu, ochotników niepotrzebnych, którzy przyłączali się do nich po drodze, a którzy bardziej nadawali się do przygotowywania trasy przemarszu. Wielu nie stosowało się do zaleceń. Wielu nie mogło się zastosować. Trudno jednak było szczegółowo poinformować ponad miliard ludzi.

Były również problemy związane z uzbrojeniem. Niektóre nawet bardzo poważne. Sześciokąty nietechnologiczne potrzebowały kusz, mieczy, toporów i dzid. Tu Dillianie byli samowystarczalni, a przedstawiciele innych sześciokątów szkolili się w czasie marszu. Oprócz Dillian niektóre inne rasy potrafiły posługiwać się bronią palną. Nie trzeba było dłuższego szkolenia, żeby nauczyć ich skutecznego posługiwania się pistoletem maszynowym. Wystarczyło trochę dyscypliny.

Najbardziej obawiano się sześciokątów rozwiniętych technologicznie. Dillia nie była w stanie dostarczyć tego rodzaju uzbrojenia, a tylko niewiele można było kupić czy ukraść dla nowo utworzonej armii, która powstała bez żadnego wyposażenia. Niewiele też można było zorganizować w ciągu zaledwie sześciu tygodni.

— Jestem zdumiona, że tyle spośród sześciokątów, które głosowały przeciwko nam, jest tu reprezentowanych — zauważyła Mavra. — Spodziewałam się znacznie większych kłopotów.

— Wcale nie tak wiele sześciokątów będzie gotowych ryzykować życiem swoich obywateli — powiedział Asam, wzruszając ramionami — i to niezależnie od stanowiska politycznego. Panuje całkiem powszechne przekonanie, że jak tylko sobie pójdziemy, od razu będzie lepiej, a przecież właśnie to chcemy zrobić. Przekonanie to nasili się, gdy przekroczymy granicę. Łatwo jest potrząsać szabelką, gdy nieprzyjaciel daleko.

Skinęła głową.

— Niektórzy jednak będą walczyć — powiedziała z nadzieją.

— Niektórzy będą — zgodził się Asam — a decydująca bitwa, którą będą chcieli wymusić, okaże się zacięta. Tu nie ma się co oszukiwać. Wielu spośród tych ludzi zginie, zanim sprawa zostanie zakończona.

Była to przykra myśl i Mavra milczała przez chwilę.

— Słyszałam też, że formuje się armia głębinowa — powiedziała wreszcie. — Wiesz coś o tym?

— Spodziewałem się tego. Cygan twierdził, że nie jesteśmy jedyni, a każdy sześciokąt otrzymuje jednakową liczbę przybyszów. Pamiętaj o tym, że Brazil wezwał wielu swoich starych znajomych, no i jest przecież ludność z waszej planety. Myślę, że armia głębinowa również będzie potrzebna.

Wyjął mapę i zaczął się jej przyglądać.

— Czy myślisz, że wybierze drogę morską? — zapytała. — Trasę Josela-Wahaca?

— To wydawałoby się logiczne — odparł Asam. — Mogę się założyć, że istnieje jakieś logiczne rozwiązanie. Wasz komputer, który to wszystko zaplanował, wydaje się znać mnóstwo różnych sztuczek.

— Tak, to był dobry zespół — zgodziła się. — Obie, Brazil i Cygan. Ten Cygan... — dodała po chwili. — Chciałabym wiedzieć o nim coś więcej. Kim on

jest. Czym jest. On mnie przeraża, mimo że jest po naszej stronie. Jest zupełnie jak sam Obie. Takie wielkie możliwości skoncentrowane w jednej osobie.

— Wasz komputer robił to z innymi ludźmi — zauważył Asam. — On potrafi to robić tylko ze sobą.

— Tak mówi. Jednak nie jestem pewna, czy można mu ufać.

— Wasz komputer mu zaufał.

— Tak, ale jeżeli ma taką samą moc jak Obie, to znaczy, że komputer mógł zostać oszukany. On jest zbyt sprytny, żeby być szczerym.

— Ale nic nie możemy w tej sprawie uczynić — stwierdził Asam filozoficznie. — Dowiemy się, kiedy przyjdzie czas i wtedy zrobi my z tym, co się da. Cóż innego nam pozostaje?

Skinęła głową. W tej operacji było mnóstwo rzeczy, które śmierdziały. Zastanawiała się, czy to wystarczy, żeby wprowadzić w błąd Ortegę i Radę. Kto kogo oszukiwał?

Armia ruszyła. Z początku wszystko szło łatwo. Maszerowali przez Gedemondas dobrze wytyczonymi szlakami. Obozowali na szlaku. Istotom nocnym powierzano wówczas pilnowanie obozu. Na terenie Gedemondasu nie spodziewano się oporu. Niepokoiło jednak Asama, że armia rozciągnięta wzdłuż szlaków była szczególnie podatna na atak w zimowych temperaturach i wysoko w górach. Nikt jednak im się nie przeciwstawił. Cygan się nie omylił. Nikt im nie będzie przeszkadzał, dopóki nie pojawi się Brazyl.

Mavra miała nadzieję, że w czasie przejścia przez Gedemondas Gedemondia nie przyłączą się do nich lub przynajmniej nawiążą kontakt. Pozostawali jednak w ukryciu. Tylko czasami widywano ich w oddali lub słyszano przenikliwe okrzyki tych wielkich, białych istot, odbijające się echem od skał i urwisk. Nic ponadto. Była bardzo rozczarowana. Czowała, że cała jej wcześniejsza podróż obróciła się na marne.

Na zachodnich stokach gór gedemondiańskich rozciągała się równina, jedyny płaski teren w całym sześciokącie. Gdy patrzyła na nią z wysoka, z górskiego szlaku, pojawiły się pierwsze niejasne wspomnienia.

Ta równina obecnie tak pusta i spokojna... Pamiętała inny czas, czas, kiedy zupełnie inne armie spotkały się na tej równinie, by stoczyć krwawą bitwę tak dawno, dawno temu.

Wrażenia te stały się jeszcze silniejsze, gdy zeszli na równinę. Pamiętała, że przybyli tu, zanim jeszcze nadciągnęły główne siły.

Tu właśnie spotkali swego przewodnika z Dillii, przy tym szafasie. Nie, nie przy tym szafasie, ale przy szafasie, który stał tu kiedyś dawno temu. I tutaj nadleciał z północy Jaxa, unosząc się na swych potężnych, pomarszczonych skrzydłach.

Rozmawiała o tym często z Asamem, który stał się jej najbliższym przyjacielem i powiernikiem. Był serdeczny, dobry, wyrozumiały i zafascynowany jej

wspomnieniami wielkich wydarzeń, o których posiadał jedynie mgliste informacje z podręczników historii.

Z zadowoleniem ominął położony na południu Alestol z jego mięsożernymi roślinami, wydzielającymi trujące i odurzające gazy. Mieszkańcy Alestolu zgromadzili się na granicy, lecz nie mogli zaatakować armii, dopóki nie wkroczyła na teren ich sześciokąta. Potrafili się poruszać, ale byli roślinami i musieli od czasu do czasu zakorzeniać się w glebie zawierającej odpowiednie składniki mineralne i związki gazów niezbędne im do egzystencji.

Spowodowało to, że Palim stał się centrum ożywionej działalności dyplomatycznej. Rada i siły Mavry zabiegały o przychylność potężnych, podobnych do słońi istot. Zamieszkiwały sześciokąt wysoko rozwinięty technologicznie, a każda z nich ważyła ponad tonę.

Były to łagodne olbrzymy. Trzymały się na uboczu, kiedy zbliżały się siły uczestniczące w wojnie o Studnię. Zachowywały neutralność, chociaż zezwoliły na swobodny przemarsz jednej ze stron. W całym Palimie nie mieszkało ich więcej niż dwadzieścia tysięcy. Była to więc nieliczna rasa. Nie widzieli żadnych korzyści w prowadzeniu walki, a w Radzie wstrzymali się od głosu.

Lecz dwudziestu jeden z nich, przybysze będący dawniej mieszkańcami Olimpu, przyłączyło się do oddziałów Mavry. Były to istoty roślinożerne, ich wyżywienie nie sprawiało więc problemów, mogły bez specjalnego wysiłku dźwigać ładunek dziesięciokrotnie większy od ładunku przewidzianego dla Dillian, zaś sam ich widok budził przerażenie.

Następnym sześciokątem na ich drodze był Olborn. Do tej pory Mavra widywała ten sześciokąt wśród nocnych koszmarów. Teokracja, której magia potrafiła przemienić wrogów, dysydentów, a nawet przypadkowych podróźnych w zwierzęta pociągowe, chciała zrobić to także i z nią.

Wiele lat przez to cierpiała, będąc na pół człowiekiem, na pół osłem. Jedyną dla niej pociechą było to, że dawne wojny nie obeszły się z nimi łagodnie.

A jednak w Radzie głosowali za wojną. Zastanawiała się, czy pomimo upływu tylu stuleci jej imię wciąż było przeklinane w Olbornie.

I rzeczywiście, kiedy zbliżali się do granicy, powietrzni zwiadowcy powiadomili ich, że liczne siły zbrojne Olbornu już na nich czekają. Dostarczyli nawet fotografie zgromadzonych oddziałów, składających się z wielkich kotów, poruszających się na dwóch tylnych łapach i odzianych w jednolite stroje, co świadczyło o istnieniu dobrze zorganizowanej armii.

— To powinno być stosunkowo proste — skomentowała Mavra, oglądając zdjęcia. — Wygląda to tak samo jak wtedy, kiedy przegrali tysiąc lat temu z sojusznikiem Makiem. Oskrzydlimy ich i rozbijemy w puch.

— No, no. — Asam kręcił głową z niepokojem. — Przemysł to dobrze. Dla mnie i dla większości Świata Studni może to być zamierzchłą przeszłością, ale dla nich to najważniejsze wydarzenie w historii, nie wspominając już o tym, że

najbardziej upokarzające. Nie myślę, żeby byli aż tak głupi, by to powtórzyć. Obawiam się, że kryje się w tym podstęp.

— Nie wiem... — odpowiedziała z wahaniem.

— Zbliżyliśmy się do granicy, ale nie przekroczymy jej od razu — powiedział zdecydowanie. — Chcę lepszego rozpoznania terenu nocą i dniem. Jak dla mnie za bardzo wyglądają na cele ustawione na strzelnicy.

— Mają karabiny maszynowe — wskazała Mavra — a tu są stanowiska ogniowe. To nie jest żadna demonstracja, szczególnie z tym terenem bagiennym, o tu, o szerokości ponad tysiąca pięciuset metrów. Oczyszczili go z krzewów, widzisz? Będziemy zbliżać się do nich po otwartym, podmokłym, a może nawet bagnistym terenie.

— Zbyt intensywnie myślisz kategoriami z przeszłości — skarcił ją. — Znam trochę tę historię. Do diabła, kobieto, ta wojna była dla mnie najciekawszym rozdziałem w podręcznikach historii. Po tym, jak te kociska zostały rozniesione w puch przez sojusz Trelig, zaszyły poważne zmiany w ich religii. Mam tu na myśli kwestię, jak można być wybraną rasą Świata Studni, a następnie zostać pokonanym z taką łatwością, z jaką ja odpędzam ogonem muchę. Obrócili się przeciwko kapłanom. Była masakra i prawdziwa rewolucja. Oczywiście pojawili się z czasem nowi, silni przywódcy. Garstka pozostałych wojskowych znowu wprowadziła rządy silnej ręki. Zostali pokonani, ponieważ nie utrzymywali stosunków z innymi rasami. Nikt nie chciał im pomóc. Teraz postępują pragmatycznie. Mogę się o to założyć. Rozwijali również swoją magię. Myślę, że wplączemy się w kłopoty, jeżeli postąpimy tak, jak tego po nas się spodziewają. Chcę znacznie lepszego rozpoznania i narady sztabowej.

— Dobrze, dobrze — ustąpiła. — Ty tu dowodzisz.

* * *

— Ilu wysłaliśmy zwiadowców? — zapytał Asam, z zatroskaniem przyglądając się fotografiom.

— Chyba piętnastu — ktoś odpowiedział. — Był to zwiad powietrzny.

— Ilu wróciło?

— Wszyscy — odrzekł jeden z oficerów dilliańskich. — Nie słyszałem nawet, żeby ktokolwiek do nich strzelał.

— Tego się spodziewałem — mruknął Asam. — Do diabła! To wszystko nie ma sensu. Zupełnie. Pięć tysięcy kotów ustawionych w równych rzędach, żeby łatwiej było je zaatakować. A do tego stałe pozycje ogniowe tak widoczne, że moglibyśmy zniszczyć je wszystkie w czasie jednego nalotu. I czy strzelają? Siedzą sobie i z uśmiechem pozują do kamery. Mówię wam, to śmierdzi! Śmierdzi bardziej niż Susafryt... przepraszam. — Skłonił się w kierunku jednego z uczestników narady.

Jeden z dowódców, dziwna, kulista istota, cała pokryta sztywnymi, grubymi włosami, wykonał obojętny ruch. Był do tego przyzwyczajony. Jego rasa po prostu śmierdziała, jeżeli tylko miała takie życzenie. Smród ten był nieznośny dla wszystkich oprócz członków plemienia. Ulatniał się z porów ich skóry.

— Dobrze — kontynuował Asam. — Spójrzmy jeszcze raz. Jakie, waszym zdaniem, byłoby normalne, tradycyjne postępowanie taktyczne w tej sytuacji?

— Użycie sił powietrznych i bombardowanie — odpowiedział jeden z dowódców. — Gdy rozbiegną się na stanowiska, wysłanie oddziałów w sile jednego lub dwóch tysięcy ludzi z każdej strony i podciągnięcie głównych sił. Następnie okrążenie i po wszystkim.

Brzmiało to zupełnie prosto.

— A ostatnia rzecz jaką byś zrobił? — nalegał Asam.

— Atak na wprost — odparł inny dowódca. — Prawdziwe samobójstwo.

Asam pokiwał głową.

— A jednak dokładnie to mam właśnie zamiar zrobić. Przeprowadzimy ograniczony atak z powietrza, trzymając resztę sił w rezerwie dla osłony skrzydeł. Potem wyślemy do boju naszych największych, najgroźniej wyglądających żołnierzy, takich, którzy nie ugrzęzną w tym błocie. Chciałbym również, żeby jakiś latający oddział, na przykład grupa nietoperzy, zrzucił przed świtem duże ilości kamieni i śrutu w to bagno. Mnóstwo i to z dużej wysokości.

Mavra obserwowała go z rosnącym podziwem i fascynacją. Była to jego pierwsza wielka bitwa, a jednak postępował jak wszyscy wielcy generałowie w przeszłości — w sposób zwięzły, fachowy, analityczny.

— Śrut? — zapytał ktoś.

— Tak. Teren musi być zaminowany. Rozkazę artylerii położyć zapórę ogniewą od samej granicy i przesuwać się w głąb całego terytorium, zanim nasze oddziały ruszą. Trzeba uzmysłwić naszym, że mają iść do przodu, dopóki nie usłyszą sygnału do odwrotu. Zrozumiano? Odwody ruszą za pierwszą falą. Artyleria też musi ruszyć do przodu tak szybko, jak to tylko możliwe. Należy oczekiwać ataków ze skrzydeł. Jak dojdziecie do tych drzew, to...

Mavra ze zdumieniem słuchała jego szczegółowych rozkazów. Kiedy dowódca rozeszli się do swoich oddziałów i zostali sami, powiedziała:

— Zginie wielu ludzi, jeżeli się mylisz.

— Zginie także wielu ludzi, jeśli mam rację — odpowiedział z powagą. — To będzie próba. Sprawdźmy naszą dyscyplinę. Zobaczymy, jak współdziałają nasze oddziały. Jeżeli zaś mam rację, a na pewno mam, będę geniuszem, który wygra bitwę.

* * *

Asam nie pomylił się w sprawie min. Zapora ogniowa nie okazała się jednak potrzebna. Mieszkańcy Olbornu byli tym razem lepiej zorientowani w sprawach wojennych, ale od tysięcy lat nie mieli żadnej praktyki. Wychodząc z założenia, że im więcej min, tym więcej strat poniesie nieprzyjaciel, rozmieścili w bagnie setki min. Kiedy kamienie i śrut zaczęły się sypać z nieba, eksplozja jednej miny powodowała eksplozję sąsiednich. Ta łańcuchowa reakcja stworzyła niesamowite widowisko na tle przedświt. Wyglądało, jakby cały świat wylatywał w powietrze. Odgłosy wybuchów słycać było na wiele kilometrów w różnych kierunkach. Wszyscy byli ogluszeni, a podmuch eksplozji o mało nie strącił na ziemię kilku latających istot.

Asam, który nie spał przez całą noc, dał natychmiast sygnał artylerii, aby przerywała stawianie zapory ogniowej i rozszerzyła pole ostrzału. Nabrał już pewności, że miny zostały założone zbyt blisko siebie i trafienie jednej powodowało eksplozję wszystkich w tym samym rzędzie.

Mavra, która nic podobnego nigdy nie oglądała, patrzyła z niepokojem na bagno gotujące się od wybuchów.

— Chcesz, żeby ludzie tędy atakowali? — zapytała przerażona.

— Tak, biegiem i prowadząc ogień przez cały czas.

O świcie dał sygnał do ataku. Równocześnie latające istoty dzienne uniosły się w powietrze, żeby chronić skrzydła posuwających się oddziałów. Inne zrzuciły śmiertelne ładunki między drzewa.

Mieszkańcy Olbornu, chociaż zszokowani wybuchami, zorientowali się, że nadciąga atak i zajęli stanowiska ogniowe. Swoją linię obrony dobrze zorganizowali. Z powietrza widać było, że pobudowali bastiony i gwiazdźście rozplanowali reduty, które mogły nawzajem wspierać się ogniem. Żeby zająć teren i utrzymać się na nim, trzeba było równocześnie zdobyć trzy reduty, przy czym dwie zewnętrzne wciąż znajdowałyby się pod ogniem ze stanowisk położonych dalej.

Artyleria Olbornu — nim otworzyła ogień ze swych dobrze wycelowanych dział — odczekała, dopóki pierwsza fala atakujących nie dotarła do połowy otwartego terenu. Palimowie, Dillianie, Slongornianie, Dymekowie i Susafryci zaczęli ponosić straty.

Istoty podobne do krabów pomagały istotom owadopodobnym. Istoty podobne do słoni osłaniały centaury. Następne fale atakujących wypełniały luki powstałe po padłych towarzyszach.

Asam badał sytuację przez lornetkę i kiwał głową z uznaniem.

— Trzymają się ci twoi dawni przeciwnicy.

— To fanatycy — odparła cynicznie. — Kochają umierać za sprawę.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że w głębi duszy czuje wielki podziw dla odwagi, jaką okazywali.

Długa na metr istota o pierścieniowatym ciele, z tuzinem nóg i sześcioma parami przezroczystych skrzydeł nadleciała z brzękiem i zrzuciła kolejną partię fotografii do nóg Asma. Aparaty fotograficzne umieszczone na jej tułowiu dostarczały mu informacji, o których mieszkańcy Olbornu mogli jedynie marzyć.

— Obrona załamuje się — zauważył z zadowoleniem. — Na Boga! Cofają się!

— To znaczy, że ich mamy — powiedziała z uśmiechem.

— Nie, nie — zaprzeczył gwałtownie. — Zorientowali się, że rozszyfrowałem ich gierkę i chcą nas wciągnąć w głąb, wysyłając równocześnie do skrzydeł sygnał o zmianie taktyki. Nasze zwycięstwo zależy będzie od tego, czy organizacja dowodzenia jest na tyle sprawna, że nasi zrobią, co rozkażą, kiedy dotrą do drzew.

Skinął na sygnalistę, który stał przy reflektorze skierowanym w stronę pola bitwy.

— Uformować kolumny — warknął i rozkaz został przekazany. — Rozdzielić się i przejść do obrony.

Nie każdego jednak mogła powstrzymać żelazna dyscyplina. Dla żołnierzy była to też pierwsza bitwa, a widząc, że nieprzyjaciel się cofa, oddziały operujące w wielkim napięciu popadły w euforię. Lecz oddziały drugiego rzutu, które nie były bezpośrednio narażone na ogień nieprzyjaciela, okazały się bardziej posłuszne rozkazom. Dillianie przejęli inicjatywę i w poprzek otwartego terenu powstała linia obronna, przez którą nadal przelewały się zbrojne grupy. Niektóre parły wciąż do przodu, ale większość rozchodziła się w prawo i w lewo.

Nagle las zaroił się jakimiś postaciami. Mieszkańcy Olbornu, tak, ale tylko. Zdawało się, że to ziemia otwiera setki i setki olbrzymich paszcz wypełnionych niezliczonymi rzędami ostrych zębów.

I znowu oddziały pierwszej linii zostały zaskoczone. Jednakże oddziały przepływające przez nową linię obrony rozsypały się w lewo i w prawo i udzieliły wsparcia zaatakowanym towarzyszom.

Mavra popatrzyła przez lornetkę i pokręciła głową.

— Za daleko — westchnęła. — Kto to jest?

— Ci, którzy zeskakują z drzew, to oczywiście mieszkańcy Olbornu. Zdaje mi się też, że teraz widzę mnóstwo dobrze ukrytych stanowisk strzelców wyborowych na drzewach. Wykorzystali las i naturalny kolor swoich sojuszników, aby ukryć główne siły.

— Sojuszników? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

— Olbrzymie jaszczurki z największymi paszczami i największymi żołądkami, jakie można sobie wyobrazić. Potrafią całymi dniami leżeć zupełnie bez ruchu. Kiedy się jednak ruszą, to działają błyskawicznie. Widziałem Zhonzhorpian biegnących na dwóch nogach z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Na czterech nogach pędzą nawet dwukrotnie szybciej. Umieją też błyskawicznie wspinąć się na drzewa i na pionowe ściany.

Znow spojrzał przez lornetkę.

— O, widzisz? Zapomnieli, że karabin maszynowy nie działa jak promień śmierci. Nie zdoła położyć wszystkich, lecz tylko tych, których trafi, a nie może trafić każdego! Wszystkie rezerwy na skrzydło! — zwrócił się do sygnalisty.

Niemal w momencie wydania rozkazu resztki ich sił, liczące około tysiąca żołnierzy, przeszły mniej więcej pięć metrów od miejsca, w którym toczyła się główna bitwa — i ruszyły na nieprzyjaciela. Asam westchnął i opuścił lornetkę. Wyglądał, jakby się nagle postarzał, jakby był bardzo zmęczony.

— Mamy ich — westchnął po raz drugi. — Zwyciężyliśmy. Walka będzie się jeszcze toczyć, ale zwycięstwo jest nasze.

— W dalszym ciągu niczego nie rozumiem — powiedziała Mavra zupełnie zagubiona.

Sięgnął po manierkę, odkręcił korek i pociągnął długi łyk. Płyn w manierce był znacznie mocniejszy od piwa, ale pił go jak wodę.

Odkaszlnął, wytarł usta wierzchem dłoni i puścił manierkę, która zwisała na łańcuszku u pasa.

— Sojusznicy — powiedział. — Jakich sojuszników mogli sobie zapewnić? Nie Alestol. Oni nie mogą się ruszyć ze swego sześciokąta. Oczywiście nie Palim. Pozostał Zhonzhorp, położony na zachodzie sześciokąt o rozwiniętej technologii. To tam wyprodukowano te doskonałe karabiny i armaty. Mieszkańcy Zhonzhorpu także głosowali przeciwko nam i woleliby, ażeby bitwy toczony były na cudzym terytorium. Unika się w ten sposób zniszczeń.

Odwody rozpoczynały właśnie atak.

— Olbornczycy zawrócą teraz i spróbują nas zaatakować, ale nic im to nie da. Widzisz? Nasze siły powietrzne dopadły ich tam za lasem. Kiedy nasze oddziały połączą się, nie pozostanie wielu nieprzyjaciół w tym rejonie, a wtedy odepchniemy resztę armii Olbornu. I to wszystko. Skończymy przed wieczorem.

— Nadal nie rozumiem. Dlaczego atakowałeś w ten sposób?

— Widzisz — uśmiechnął się. — Gdybyśmy rozdzielili się na trzy oddziały, mielibyśmy dwa, a najwyżej trzy tysiące żołnierzy, żeby przejść przez otwarty teren. Kotów byłoby mniej więcej tyle samo po bombardowaniu lotniczym, czyli siły byłyby równe. Oni czują się silniejsi na swoim terenie, choć my lepiej nadajemy się do wojaczki — trudniej pozabijać nas niż ich. Teraz, gdyby skrzydła ruszyły na pomoc, natknęłyby się na Zhonzhorpian. Znowu siły byłyby mniej więcej równe, ale oni, znając teren, mieliby przewagę, walcząc z zaskoczenia. Ich trzy oddziały byłyby w stałym kontakcie, zaś nasze wojska — rozdzielone. Oparliby się nam.

Podbiegła do niego, przytuliła się i ucałowała go.

— Och, Asam! Co ja bym bez ciebie zrobiła!

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Znalazłabyś innego frajera — powiedział sucho.

Nie była pewna, czy żartował, czy mówił poważnie.

Na granicy Bahabi-Ambreza

— Ludzie są niezadowoleni, Wasza Wysokość — powiedział gorzko hakazyjski generał. — Nie o to im chodziło, kiedy wstępowali do naszych sił. Do diabła! Ja też jestem rozczarowany! Przeszliśmy prawie dziewięćset kilometrów i jeszcze nikogo nie zabiliśmy!

— Cóż mogę zrobić? — Marquoz wzruszył ramionami. — Cała armia Durbi-su zasadziła się na nas. Generatory promieni, bojowe helikoptery i cała reszta, a kiedy przekroczyliśmy to wzgórze, uznali, że dla ich zdrowia będzie lepiej, jeżeli udadzą się nad morze. Przyznaję, że jak dotąd wszystko idzie znacznie łatwiej, niż się spodziewałem. Trzeba im powiedzieć, że przejście przez przesmyk nie będzie spacerkiem.

— Lepiej, żeby tak było — mruknął generał. — Inaczej załatwią nas obydwóch i sami wyruszą na hulankę.

Marquoz zaśmiał się cicho i powrócił do obserwowania granicy. Dzieci — pomyślał — jak małe dzieci bawiące się w wojnę. Chwała zdobyta w walce i tak dalej. W głębi ducha cieszył się, że siły liczące piętnaście tysięcy wojowników Hakazitu, maszerujące ławą przez kraj, śmiertelnie przestraszyły wszystkich mieszkańców. Będzie potrzebował tych sił później. O tym wiedział, ale wcale nie był pewien, czy kiedy sojusznicy zostaną wokół zdruzgotani na miazgę, lojalność Hakazyjczyków pozostanie niezachwiana.

Stwierdził, że wokół czystej genetyki stworzył religijną otoczkę. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że bożek nie okaże się fałszywy.

Był przekonany, że Ambreza stanie się kolejnym łatwym łupem. Chcieli go mieć w Glathrielu i byli gotowi zrobić wszystko, żeby tam dotarli. Jednak wydostanie się stamtąd może się okazać problemem.

Jak wśród wielu innych ras i w większości sześciokątów, tak i tu biała flaga oznaczała „nie strzelać”. To było logiczne. Po prostu było ją lepiej widać z oddali. Myślał czasami z niepokojem, co by się stało, gdyby kiedykolwiek zetknął się z armią, której flaga narodowa ma kolor biały.

Przywiązując flagę do drzewca, ruszył ciężko w dół stoku ku grupie czekającej pod podobnym sztandarem. Stało się to już rutyną.

Mieszkańcy Ambrezy byli ogromnymi gryzoniami przypominającymi przerosnięte bobry. Mieli nawet wielkie siekacze i płaskie, podobne do wiosł ogony. Chodzili wyprostowani na potężnych tylnych nogach, podpierając się ogonami. Ich poczciwy wygląd mógł jednak mylić. Kiedyś rejon ten należał do Glathrielu, wysoko rozwiniętego technologicznie sześciokąta, którego mieszkańcy utworzyli potężną cywilizację, a nie do Ambrezy. Jednakże w wyniku lenistwa lub bezmyślności tubylców cywilizacja Glathrielu nie mieściła się już w swoim sześciokącie i zdecydowano zdobyć żyzne pola uprawne sąsiedniej Ambrezy dla utrzymania wygodnego poziomu życia. Ambreza zamiast prowadzić z góry przegraną walkę, rozpaczliwie poszukiwała rozwiązania i tak jak to dawniej bywało, znalazła je na Północy wśród ras tak innych i obcych, że można je było skłonić do zrobienia wszystkiego, jeżeli tylko zaoferowało się im w zamian odpowiednie wartości. Rasy te nigdy się nie domyślały, że dysponują bronią, groźnym gazem, nieszkodliwym dla wszystkich z wyjątkiem typu 41.

W trakcie ostatecznych przygotowań ludzie zgromadzili się przy granicy Ambrezy, kiedy w całym sześciokącie otwarto kanistry z gazem. Ambreza mogła być sześciokątem bez technologii, ale wcale nie znaczyło, że zamieszkiwali go ignoranci. To ich własna delegacja na rokowaniach pokojowych pojemniki otworzyła elektronicznie.

Gaz był bezbarwny, bez zapachu i bardzo skuteczny. Działał na korę mózgową w sposób, którego Ambrezjanie nawet nie rozumieli. Ludzie powoli stawali się coraz mniej sprawni umysłowo, niezdolni do rozumowania. Wielkie małpy były prototypem dla typu 41 i typ 41 zamienił się rzeczywiście w wielkie małpy, przynajmniej pod względem umysłowym. Co gorsza, gaz nie ulotnił się. Wsiąknął w skały, w glebę, we wszystko i oddziaływał na następne pokolenia. Wielu umarło. Reszcie przypadła rola zwierząt domowych mieszkańców Ambrezy po ich ekspansji na tereny Glathrielu.

Brazil odmienił to wszystko, kiedy był tu ostatnim razem. Wprawdzie, przebywając w Studni, nie usunął gazu, lecz dokonał subtelnych zmian w tych częściach mózgu typu 41, na które gaz oddziaływał. W okresie wygnania Mavry Chang tubylcy z Glathrielu byli myślącymi dzikusami. Marquoz zastanawiał się, jak wyglądają teraz.

Ambrezjan było pięciu. Każdy z nich nosił na szyi medalion, który Marquoz uznał za oznakę zajmowanego stanowiska lub rangi. Towarzyszyło im kilku przedstawicieli innych ras. Jeden z nich wyglądał zdecydowanie dziwnie. Wysoki, szczupły kształt odziany w nieskazitelną biel, w której widoczne były jedynie dwa ciemne owale.

Marquoz zatrzymał się kilka metrów przed oczekującą na niego grupą i wbił niesioną flagę w miękką ziemię.

— Jestem Marquoz z Hakazitu — powiedział groźnym głosem.

— Jestem Thoth, szambelan tego regionu — odparł jeden z Ambrezjan. — Towarzyszą mi przedstawiciele władz centralnych oraz przedstawiciele sił Rady wraz z ich dowódcą, Gunitem Sanghiem z Dahbi — dodał, wskazując na białego ducha.

Na Marquozie wywarło to pewne wrażenie. Słyszał o Gunicie Sanghu, chociaż Dahbi położony był na drugim końcu świata. Przypominał sobie niejasno, że Sangh próbował kiedyś tej samej sztuczki, którą Ambreza zastosowała wobec Glathrielu, jednak ktoś mu w tym przeszkodził.

— Przejdę do sprawy — powiedział, nie zwracając uwagi na innych. — Nie mamy zamiaru wyrządzać krzywdy nikomu ani niszczyć żadnych terenów, w tym i waszego. Chcemy jedynie przejść przez tereny podlegające waszej jurysdykcji, czyli przez Ambrezę i Glathriel, i to tak szybko, jak to możliwe, w drodze na północ.

— Jesteście tu mile widziani — odparł Thoth — ale Glathriel to bardzo delikatne miejsce i nie chcielibyśmy, żeby wkraczały tam duże siły. Mogłoby to zachwiać równowagę ekologiczną.

— Jak dobrze wiesz, musimy przejść tamtędy w drodze na północ — upierał się Marquoz. — Przez Ginzin można przejść jedynie wzdłuż wybrzeża północno-wschodniego. Przejście przez Glathriel jest zatem konieczne. Zniszczenia będą minimalne.

— Glathriel jest zamknięty — upierał się Ambrezjanin.

Marquoz poczuł w żołądku narastające napięcie. Odwrócił się i wskazał na wzgórze.

— Jak wiecie, jest tam piętnaście tysięcy moich rodaków. Zwykła, konwencjonalna broń nie może zrobić nam żadnej krzywdy. Wiem, że dysponujecie również nowoczesnym uzbrojeniem, które jest skuteczne przeciwko nam, szczególnie promieniami, ale pamiętajcie, że my też pochodzimy z rozwiniętego technologicznie sześciokąta i mamy własną broń. Poza tym towarzyszą nam oddziały sojusznicze w liczbie siedmiuset żołnierzy, wśród nich są latający, a nawet jadowici. Moja rasa jest wyhodowana do walki. Nie interesują nas ani straty, ani argumenty. Jeżeli odmówicie, przemaszerujemy i tak, używając wszelkiej broni, jaką dysponujemy, żeby utorować sobie drogę. Jeżeli napotkamy na opór, zniszczymy całkowicie i bezlitośnie wszystkich żołnierzy, cywilów, rośliny i zwierzęta, jakie staną na naszej drodze.

— Mówisz „my” — włączył się Gunit Sangh głosem, który nawet przez translator brzmiał nieprzyjemnie i groźnie. — Nie pochodzisz z naszego świata. To nie są twoi rodacy. Jestem skłonny przypuszczać, że gdybyśmy zrezygnowali z dyplomatycznej grzeczności i zabili cię od razu tutaj, twoja armia utraciłaby chęć do walki.

Uwaga ta wcale nie zwiększyła wewnętrznego napięcia, jakie odczuwał. Zachował swoją obojętną postawę i ton.

— Mylisz się. Właśnie przed chwilą spierałem się ze swoimi generałami, ponieważ żołnierze są niezadowoleni. Dotarli aż tu, nie zabijając nikogo i niczego i są nieszczęśliwi z tego powodu. Chcą walczyć. Jeżeli cokolwiek mi się w tej chwili stanie, spowodujecie, że nic ich nie powstrzyma. Wszyscy zginiecie natychmiast, a Ambreza pozostanie jedynie wspomnieniem. Dokładnie w tym momencie dwóch mieszkańców Jorgasnovaru unosi się w powietrzu nad największymi ośrodkami miejskimi Ambrezy. Są wyposażeni w bomby, których plany ja dostarczyłem. To stara broń, pochodząca z mojej części przestrzeni kosmicznej. Łatwo było ją wyprodukować, kiedy już odkryłem, że w Hakazicie jest uran. Są to bomby atomowe. Każda z nich zniszczy całe miasto i na wiele pokoleń skazi teren promieniowaniem radioaktywnym. Możemy skutecznie sobie poradzić z każdymi siłami zbrojnymi, które jeszcze pozostaną. Zdecydujcie się teraz, tak albo nie. Mam zamiar wydać rozkaz wymarszu natychmiast. Sposób, w jaki to zrobimy, będzie zależał od waszej odpowiedzi.

Ambrezjanie wyglądali na zaszokowanych.

— Czy taka broń jest możliwa? — spytał jeden drugiego szeptem.

Zapytany tylko skinął głową.

Thoth, słysząc to, zadrżał i zwrócił się ponownie do Marquoza.

— Musimy mieć trochę czasu, żeby sprawę przedyskutować. Przynajmniej kilka minut.

— Nie macie czasu. Tak czy nie? Domagam się odpowiedzi natychmiast — naciskał Marquoz.

Do pewnego stopnia żal mu było Ambrezjan. Byli tak naiwni politycznie. To stanowiło jego kartę atutową, jego asa w rękawie. Kraj obeznany z intrygami politycznymi i militarnymi nie dałby się nabrać tak łatwo.

— On blefuje — warknął Gunit Sangh. — Mamy tu potężne siły. Wykorzystajmy je i połóżmy kres sprawie.

Oczywiście, przyznał w duchu Marquoz, zdarzają się wyjątki.

Ale Ambreza już się załamała. Po krótkiej, prowadzonej szeptem naradzie wszyscy zaczęli zgodnie kiwać głowami, a Thoth odezwał się do dziwacznej, białej postaci.

— Dowódco, to nasz sześciokąt.

Następnie zwrócił się do Marquoza.

— Macie prawo tranzytu — powiedział chrapliwie, przełykając kilka razy ślinę. — Nikt wam nie będzie przeszkadzał w marszu.

Gunit Sangh wyprostował się. Była to jeżąca włos na głowie istota o trzech parach macek i twarzy wyraźnie przystosowanej do pożerania ofiar żywcem. Na mackach miał ostre, odbijające promienie światła grzbiety kostne, które z pewnością mogły ciąć jak noże. Cała istota o wysokości prawie trzech metrów była niemal tak skuteczną maszyną bojową, jak mieszkaniec Hakazitu, ale w odróżnieniu od tego drugiego sprawiała wrażenie, że nie zatraciła praktyki w zabijaniu.

— Nie mogę zrobić nic, jeżeli ten kraj zgadza się was przyjąć — powiedział Sangh, jakby splunął. — Ale twoja niedoświadczona armia będzie musiała jeszcze spotkać się z moją, nowo przybyłą. Zapamiętaj moje słowa. To ja jestem tym wrogiem, na którego natkniesz się wkrótce.

— Jestem gotów — odparł Marquoz z całą swobodą, na jaką potrafił się zdobyć. — A jeżeli myślisz, że jestem niedoświadczony i łatwo sobie ze mną poradzisz, to przyjmij pozdrowienia od pułkownika Asama.

— Ach, Asam — zasyczał Dahbi. — Zjedzenie was obu będzie największą przyjemnością mego bardzo długiego życia.

Mówiąc to, ku zdumieniu wszystkich Gunit Sangh stał się jeszcze bielszy, aż lśniący i wreszcie nieco przezroczysty, kurczył się i już bez słowa zapadł się, jakby wsiąkł w ziemię.

Marquoz był usatysfakcjonowany, chociaż wiedział, że wojsko nie będzie zachwycone ponownym uniknięciem walki. Przeciwstawił się Ambrezie i wyeliminował kolejne, poważne zagrożenie, zneutralizował znaczne siły wielorasowe oraz przygadał dowódcy sił nieprzyjaciela, wszystko za jednym zamachem. Był szczególnie zadowolony, że przypadkowo spotkał pułkownika Asama w Strefie. Inaczej nigdy nie poznałby jego historii.

Odwrócił się i skinął na podwładnego; wystrzelono zielone rakiety. Armia ruszyła. Marquoz i jego oficerowie stali na wzgórzu i patrzyli na maszerujące wojsko wyglądające groźnie oraz imponująco. Ambrezjanie i ich sojusznicy szybko im się usuwali z drogi. Przypuszczał, że większość udała się do pobliskich namiotów łączności w celu przekazania depesz.

Jeden z oficerów Hakazitu przysunął się do niego i zapytał, przekrzykując hałas wywołany przez maszerujące oddziały:

— Wasza Wysokość?

— Tak?

— Te bomby... lub superbomby... Czy to prawda?

— Generale — powiedział Marquoz, prostując się. — Nie blefowałbym tak samo, jak nigdy bym nie skłamał.

I tym stwierdzeniem zamknął sprawę.

Minął pewien czas, zanim generał zorientował się, że nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

* * *

Przemarsz przez Ambreżę był szybki i łatwy. Oczyszczono dla nich drogi, a nawet dostarczono pojazdy. Omijali większe miasta. Marquoz uznał, że lepiej unikać prowokacji. Wojska Ambrezji i jej sojuszników tylko im się przyglądały i czasami robiły zdjęcia. Chłodne, rześkie powietrze spowodowało, że maszerujące

oddziały, otoczone mgłą oddechów sprawiały jeszcze groźniejsze wrażenie, co podobało się Marquozowi. Było to bowiem świetne widowisko.

Nietrudno było się zorientować, gdzie kończyła się Ambreza, a zaczyna Glathriel. W Ambrezie panowała zima. Drzewa były pozbawione liści, a ziemia zmarznięta. Teraz przed nimi rozpościerał się żyzny, zielony świat, drżący lekko w ciepłym powietrzu. Odnosiło się wrażenie, jakby minęło się niewidzialną kurtynę, przechodząc z późnej jesieni w środek lata. W tropikalnym Glathrielu nikt nie przejmował się maszerującą armią.

Istoty, które z wyglądu przypominały ludzi dominujących w świecie z Kom, można spotkać wszędzie. I nic dziwnego. Były to przecież prototypy, mniejsze niż ludzie z Kom, ale mogło to być wynikiem klimatu, diety czy kombinacji różnych czynników. Miały również ciemniejszą skórę, niemniej jednak wyglądały jak ludzie. Większość chodziła nago. Część nosiła przepaski na biodrach i oczywiście obroże.

Znajdowały się tu wielkie plantacje, z których pochodził tytoń ambrezański i owoce tropikalne; wszędzie widać było kobiety, dzieci w różnym wieku i mężczyzn pracujących na polach, harujących jak niewolnicy pod nadzorem ambrezańskich panów. Od czasu do czasu przerywali pracę i gapili się na maszerującą armię, ale nie przyglądali jej się długo i kulili się z przerażenia.

Ponad tysiąc lat — domyślał się Marquoz. Wytępilli w nich całą agresję, rozwinięli zaś cechy potrzebne do wykonywania pracy.

Z przodu wybuchło jakieś zamieszanie i Marquoz pospieszył poznać jego przyczynę. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że były to trzy bardzo młode kobiety. Wyraźnie o coś prosiły i nerwowo rozglądały się wokół. Były nagie, miały miedziane obroże i niczym nie różniły się od reszty z wyjątkiem tego, że odważyły się zbliżyć do maszerującej kolumny, gdzie nikt ich nie rozumiał, a nawet prawie nie zauważał.

— O co tu chodzi? — zagrzmał.

— Słysz nas! — wrzasnęły kobiety, jakby nagle oszalały. — Możesz nas zrozumieć! Bogu dzięki!

Skinał głową twierdząco, a następnie rzekł do najbliższego dowódcy:

— Przekazać rozkaz. Wszyscy mieszkańcy Glathrielu, którzy się do nas zwrócą, mają być wzięci pod opiekę i oczekiwać inspekcji. Zrozumiano?

Rozkaz przekazano. Nie można przeoczyć żadnej okazji. Nie można rezygnować z żadnych ochotników, choćby byli mali i słabi. Poza tym jeden z nich może być Cyganem albo Nathanem Brazilem — poprawił się w myślach. Nie byłoby dobrze, gdyby został gdzieś w tyle po tych wszystkich zabiegach, żeby się z nim spotkać — pomyślał sardonicznie.

Gdy zatrzymali się na nocleg, polecił przyprowadzić kobiety do siebie. Okazało się, że po drodze dołączyło do nich około dwudziestu ludzi, w tym tylko dwóch mężczyzn. Resztę stanowiły kobiety. Wszyscy byli przybyszami, którzy

obudzili się w Ambrezie. Studnia nie uznawała zmiany sześciokątów. Nowych przeznaczonych do Ambrezy kierowała do dawnej Ambrezy, czyli Glathrielu. Z ludźmi działało się odwrotnie. Łatwo ich było zatem wyłapać i wywieźć do Glathrielu, gdzie ich zmuszano do pracy na polach i gdzie zakładano im obroże. Nikt z nich nie mógł uwierzyć, że panuje tu taki okropny system. Nie mogli również zrozumieć, że mieszkańcy tak bezwolnie poddają się tyranii.

Marquoz miał dotrzeć do północno-zachodniej granicy Glathrielu, przedostać się wzdłuż niej do wybrzeża, a następnie ruszyć prosto na północ do Ginzinu w celu połączenia się z armią Mavry, zmierzającą ku zachodowi. Jego system łączności był dobry. Dzięki obecności Jorgasnovarian, wielkich, brzydkich, płaskich istot z zawsze otwartymi paszczami, które potrafiły latać jak ptaki i mknąć setki kilometrów do najbliższej zaprzyjaźnionej Bramy Strefy, szybko uzyskiwał informacje. Wiedział o bitwie stoczonej w Olbornie oraz o wydarzeniach, jakie po niej nastąpiły, zaledwie w ciągu kilku godzin od jej zakończenia. Mógł również wysyłać sygnały.

Sześciokąt Ginzin położony nad Morzem Turagin wznosił się już przed nimi, ale wciąż nie było żadnych wiadomości od Brazila. Był to niegościnnie, gorący kraj wulkaniczny, tak niedostępny dla większości ras składających się na jego armię; można go było jednak przejść wzdłuż samej granicy, gdzie ląd stykał się z morzem.

Marquoz zaczął się obawiać, czy nie zdarzyło się coś złego.

Marsz wzdłuż wybrzeża był powolny. Szczególne trudności sprawiał sprzęt ciężki. Kłopoty te pozwalały mu zapomnieć o nurtującym go niepokojem. Oczekiwał pojawienia się Brazila w każdej chwili, a raczej podobizny Brazila, o czym tylko on będzie wiedział. Gdzie on się podział?

Wreszcie ostatniego wieczora, jaki spędził w Ginzinie, obozując nie opodal wybrzeża, coś zaczęło się dziać. Słońce zachodziło. Marquoz siedział beczynie, obserwując grę światła na falach. Był zwrócony plecami do zniżającego się słońca. Wiedział, że zniknie ono za grzbietem górskim, zanim rzeczywiście zajdzie. Wtedy właśnie wydało mu się, że coś dostrzegł na morzu. Wpatrywał się w narastający mrok, pragnąc zorientować się, co to jest. Okręt! Tam był okręt!

Waynir był technologicznie rozwiniętym sześciokątem. Teraz mógł już dostrzec dym buchający z kominów. Wielki okręt płynął w kierunku północno-zachodnim. Dość ryzykownie zbliżał się do brzegu. Było tam pełno raf, mielizn i płycizn powstałych z lawy wypływającej z Ginzinu do morza, porośniętych koralami i będących siedliskiem wielu morskich organizmów. Schwycił lornetkę podobną do narciarskich gogli, specjalnie skonstruowaną dla jego dziwacznych oczu.

Prowadził obserwację tak długo, jak pozwalało mu gasnące światło. Z pokładu tajemniczego okrętu, który wcale nie zwolnił, spuszczone niewielką łódź. Skierowała się ku brzegowi.

Marquoz pełen podejrzeń zawiadomił strażę i zarządził ogólne pogotowie. Tu, w nierozwiniętym technologicznie sześciokącie, na brzegu morza, przyparciu do wulkanicznych skał, byli zbyt wystawieni na niespodziewany atak.

Patrzyli i czekali. Mała łódź przybiła do brzegu i dwie ciemne postacie wyskoczywszy z płytkiej wody wciągnęły ją na plażę. Trzecia osoba czekała w łodzi, wreszcie wstała i wyskoczyła na piasek. Wymieniła uściski dłoni z pozostałymi dwoma, którzy wyglądali, jak zauważył Marquoz, na typ 41. Ci zaś zepchnęli łódź na wodę, wgramolili się do niej i odpłynęli. Pasażer łodzi odwrócił się i ruszył w kierunku oczekujących żołnierzy, którzy wyraźnie się uspokoili.

Marquoz usłyszał, jak otaczający go ludzie wydali westchnienie, gdy rozpoznali nadchodzącą postać. Po raz pierwszy poczuł się raźniej. Wyruszył gościowi na spotkanie.

— Witamy na wojnie... Brazil! — zawołał.

Człowiek zatrzymał się, wpatrując się przez chwilę w potężną sylwetkę, na wpół ukrytą w ciemnościach, o oczach płonących czerwonym blaskiem.

— To ty, Marquoz? — zapytał.

— Tak, to ja. Chodź. Już myśleliśmy, że się nie pojawisz.

Wszystkie ogniska wygaszono, kiedy Marquoz zarządził pogotowie. Rozpalano je więc na nowo. Przybysz podszedł do najbliższego. Wieczorny chłód powodował, że lekko drżał. Teraz pokiwał głową z zadowoleniem.

Był ubrany w jasnozieloną kurtkę i spodnie tego samego koloru. Na nogach miał sandały. Długie włosy opadały mu na ramiona. Na twarzy, starszej, niż pamiętał Marquoz, malowało się zmęczenie. Minęło sporo czasu od ich ostatniego spotkania.

Marquoz domyślał się, że prawdziwy Brazil wyglądał dokładnie tak samo, nawet w najdrobniejszym szczególe ubioru.

— Były jakieś kłopoty? — zapytał Brazil obojętnie.

— Nic takiego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić — odparł Marquoz. — Głathriel bardzo by ci się nie podobał. Wyjątkowo nieprzyjemny. Plantacje oparte na pracy niewolniczej. Przymaszerowaliśmy jednak bez wystrzału ku niezadowoleniu niektórych. Później pomówimy o szczegółach.

— Dobrze — skinął głową Brazil. — Wkrótce jednak dojdzie do walki. Gdybym był naszym przeciwnikiem, starałbym się wprowadzić wojsko pomiędzy armię twoją i Mavry, żeby nie dopuścić do połączenia się naszych sił. Może być ciężko, jeżeli się nie pospieszymy.

Marquoz przyglądał mu się podejrzliwie. Przez chwilę zastanawiał się, czy to na pewno był Cygan. Sposób bycia, ton, akcent, wszystko to znamionowało Brazila. Czy możliwe, że...?

W tym momencie Brazil sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl papierosa. Schylił się i wziął z ogniska płonącą gałązkę. Zapalił.

Marquoz poczuł się lepiej.

Brazil skrzywił się i zaciągnął dymem.

— Miejscowy tytoń — mruknął z niezadowoleniem. — Nadaje się na cygara i do fajki. Do papierosów nie.

— Cóż, wojna. Wszyscy ponosimy ofiary — zauważył Marquoz z udanym współczuciem.

W tym momencie ludzie, którzy wcześniej się do nich przyłączyli, nie mogli już dłużej się powstrzymać, zaczęli biec w stronę drobnej postaci przy ogniu. Brazil zerknął w kierunku powstałego zamieszania z wyrazem szoku i odrazy na twarzy. Oni zaś padli przed nim na kolana i zaczęli wołać:

— Nathan Brazil! Panie! To my, twoi słudzy! Rozkazuj! Będziemy ci posłuszni!

Popatrzył na nich. Na jego obliczu malowały się sprzeczne uczucia. Podeszedł wreszcie do klęczących.

— Spójrzcie na mnie — powiedział łagodnie.

Przyglądał się w zadumie ich młodym ciałom i twarzom. Wreszcie mruknął do siebie.

— Może wcale nie jest tak źle być bogiem. . .

Spojrzał na Marquoz.

— Ilu?

— Osiemnaście kobiet i dwóch mężczyzn — odparł Hakazityjczyk.

Brazil pokiwał głową.

— Może ta wyprawa nie będzie aż tak zła — mruknął. — Osiemnaście. . .

Jednak widać, że to Cygan — pomyślał Marquoz.

Strefa

— Widziano Brazila.

Doniesienie to przestraszyło Ortegę. Nie przypuszczał, że pójdzie aż tak łatwo.

— Gdzie? — zapytał ostro.

— Z siłami południowymi. Wydaje się, że przez cały czas był na okręcie na Morzu Turagin. Wsiadł na brzeg i przyłączył się do wojsk na południe od granicy Ginzinu.

— Czy jesteś pewien, że to był on? — Ortega zmarszczył oblicze podejrzliwie. — Te sukinsyny, z którymi mamy do czynienia, znają mnóstwo sztuczek.

— To on — zapewnił go posłaniec. — Kilku z naszych ludzi w jego siłach widziało go, rozmawiało z nim, a nowi zachowują się, jakby sam bóg złożył im wizytę.

Ulik skinął w głowę zamyśleniu. Brazyl. Zauważony, łatwy do zlokalizowania i do schwytania. Pozostało mu jeszcze ponad trzy tysiące kilometrów do najbliższej trasy. Było w tym coś nie w porządku. To zbyt oczywiste, zbyt bezczelne. Zbyt głupi błąd w operacji, która, jak dotąd, była świetnie zaplanowana i prowadzona. Wszystko szło po jego myśli, a tu nagle pojawia się i woła: „Tu jestem! Złapcie mnie!”

Przecież był narażony na niebezpieczeństwo. Mogło mu się przydarzyć wszystko z wyjątkiem śmierci. Odczuwał ból. Mógł być wydany na tortury lub przesłuchiwany za pomocą urządzeń hipnotyzujących i magii. Ortega włączył przycisk łączności.

— Kwatera Główna — zabrzmiał głos nacechowany barwą tłumacza.

— Mówi Ortega. Co zamierza zrobić Sangh po otrzymaniu wiadomości o Brazylu?

— Nie przypuszczam, żebyśmy mogli to ujawnić... — oficer łączności zaważał się. — Nawet panu...

— Idę do was — warknął Ortega. — Coś tu jest nie w porządku. Chcę się upewnić, czy nie popełniamy żadnego błędu.

Wyłączył się, wyslizgnął się zza biurka w kształcie litery „V” i wypełznął na zewnątrz.

W korytarzach wciąż było ciasno. Przybyszom nie było końca. Widział, że nie uda mu się chronić ich dłużej. Gdyby schwytano Brazila lub gdyby nawet przypuszczano, że Brazil został schwytany, wiele hamulców przestałoby działać.

Kwatera Główna mieściła się w ambasadzie Czill po prostu dlatego, że Czill miał najlepsze, najnowocześniejsze komputery i bazy danych, do których był łatwy dostęp. Sprzęt w ambasadzie był kompatybilny ze sprzętem w Czill i informacja mogła być łatwo przekazywana poprzez łączność modułów pamięci między sześciokątem a ambasadą.

W ambasadzie panował tłok. Znajdowali się tam przedstawiciele wszystkich ras, których oddziały rozmieszczono w krytycznym rejonie. Ortega ze swym wielkim cielskiem musiał uważać, żeby nie zostać przypadkowo zraniony przez jakąś kolczastą lub — co gorsza — jadowitą istotę, które właśnie usuwały mu się z drogi.

Zobaczył Sadira Bakha, zastępcę dowódcy Dahbi i przedstawiciela Gunita Sangha w Strefie. Ortega niezbyt lubił mieszkańców Dahbi, chociaż przy rasowym przemierzaniu dowództwa było ich tutaj najwyżej pół tuzina. Gdyby Brazil ruszył w przeciwnym kierunku, Sangh nie zostałby głównodowodzącym, ale wówczas Dahbi znalazłby się na szlaku przemarszu.

— Bakh! Co dowódca ma zamiar zrobić z tym wszystkim? Gdzie on się, do diabła, podział?

Zgięty wpół Dahbi odwrócił się, wyglądając zupełnie jak duch i westchnął.

— Jego wysokość poleciał do Cebu z dowódcą sił tego sześciokąta zaraz po tym, jak skończyła się sprawa Ambrey — powiedział chłodno. — Jeszcze tam przebywa. Mamy tam mieszane siły, liczące dwadzieścia tysięcy ludzi, gotowe do wymarszu. Kolejna armia, licząca dwanaście tysięcy, jest transportowana poprzez Laibir z Conforte do Suffok. Te siły powinny wystarczyć, żeby przeciąć trasę Ellerbanta-Verion. W tej chwili nieprzyjaciel podzielony jest na trzy grupy. Siły awbryjskie składają się z około sześciu tysięcy krajowców i około dwóch tysięcy przedstawicieli innych ras. Parmiter oficjalnie pozostał neutralny, ale mamy podstawy wierzyć, że został przekupiony przez nieprzyjaciela i oddziałom Awbri dostarcza nowoczesną broń.

— Dlaczego więc nie zbombarduje ich fabryk z Cebu? — odburknął Ortega.

— Jak pan ambasador na pewno wie, Parmiter oficjalnie jest po naszej stronie. Czy możemy ryzykować przemianę domniemanej kolaboracji w otwartą wrogość na podstawie podejrzeń, że niektórzy Parmiterianie, a pamięta pan przecież, że to są urodzeni anarchiści, działają na naszą szkodę?

Ortega ponuro skinął głową. Do cholery, dobre karty zawsze trafiały się przeciwnikom.

— Spychacie ich zatem w kierunku trasy Yaxa-Harbigor — zauważył, przyglądając się mapie sytuacyjnej.

— Nasze siły są w pełni gotowe i wyekwipowane. Odnosimy wrażenie, że oni cofną się na północ wzdłuż Morza Burz, żeby uniknąć technologicznie rozwiniętych sześciokątów. Kiedy już znajdą się na północ od Boidolu, będziemy stanowić jednolity front, podczas gdy oni znajdą się na terenie wrogich sześciokątów przyparci do morza. Doprowadzi to do skutecznej izolacji ich wojsk południowych i wschodnich od oddziałów Awbri, które — żeby się połączyć — staną wobec konieczności przełamania silnie bronionych i głęboko rozbudowanych pozycji przygranicznych. Zanim to osiągną, nasze siły z rejonu Ellerbanta-Verion ruszą na południe i wejdą do walki, i to będzie koniec naszych wrogów.

Ortega przeanalizował informacje i stwierdził, że to całkiem dobry i rozsądny plan. Wyglądało też na to, że nie może się nie powieść. To go niepokoiło. Przeciwnicy również studiowali mapy i dysponowali dużą ilością informacji wywiadowczych, na podstawie których mogli dojść do tych samych wniosków. Im dokładniej analizował ten plan, tym bardziej stawał się przekonany, że coś przeoczył, ale nie wiedział co. Coś było nie w porządku.

Zwrócił się do szefa wywiadu, siedzącego przy konsolcie komputera.

— Czy przysłała jakaś niezwykła wiadomość z terenu walk? — zapytał z niepokojem. — Czy były jakieś doniesienia o dziwnych wydarzeniach lub posunięciach?

— Nic nadzwyczajnego — odparł szef. — Wyśledziliśmy ten okręt, z którego korzystał Brazil na Morzu Turagin. Był jego właścicielem, a w każdym razie kupił go za ciężkie pieniądze. Zapłacił dziewięć razy więcej, niż był rzeczywiście wart. Kupił go co najmniej na dwa tygodnie przed przybyciem tutaj i zaangażował wielorasową załogę składającą się z piratów i obwiesiów.

— Skąd oni biorą na to wszystko pieniądze? — zastanawiał się na głos.

Świat Studnia posługiwał się wspólnym pieniądzem. Niektóre sześciokąty wcale pieniędzy nie używały, wiele też prowadziło handel wymienny.

— Złoto, diamenty, cokolwiek — szef wywiadu wrzucił ramionami. — Mają wszystko, nawet towary na handel, żywność, sprzęt. Szczerze mówiąc, nie możemy wyśledzić, skąd oni to biorą. Powiem jedno: jeżeli czegokolwiek potrzebują, to zamawiają i płacą, ile się od nich zażąda.

— Poproszę o szczegółową analizę wywiadowczą za ostatnie dwa tygodnie — polecił szefowi wywiadu. — Gdzieś tu, ale nie wiem gdzie, jest pułapka. Ktoś w tej chwili śmieje się ze mnie, a to wcale mi się nie podoba.

Mowrey na Oceanie Cieni

— Żagiel!

Stopy zadudniły po pokładzie. Wszyscy biegali na stanowiska.

Był to duży, mocno zbudowany statek. Miał mały silnik pomocniczy do użycia jedynie w razie nagłej potrzeby, w czasie ciszy i w innych podobnych okolicznościach; jego główną siłą napędową był wiatr.

Załogę stanowiła normalna mieszanina ras. Jednakże jedna rasa znacznie przeważała, rasa nigdy dotąd nie oglądana na Oceanie Cieni, rasa, która nie miała najmniejszego powodu, żeby po oceanie żeglować.

Młoda kobieta, typ 41, wybiegła ze sterówki, dudniąc stopami po deskach pokładu. Skierowała się ku kabinom załogi na rufie. Zatrzymała się przed pierwszymi drzwiami, wahając się chwilę, i zapukała.

Ze środka dobiegł jakiś niewyraźny dźwięk.

— Panie, dostrzegliśmy statek. Duży! — zawołała.

Z kabiny dobiegły dalsze niewyraźne odgłosy. Ktoś się w niej poruszał. Po upływie może pół minuty drzwi otworzyły się.

— O co chodzi, Lena? — zapytał zaspanym głosem Nathan Brazil, przecierając oczy, żeby się zupełnie rozbudzić.

— Statek! Statek! — powtarzała, z podnieceniem pokazując na morze.

Westchnął, cofnął się do kabiny, nachylił nad miednicą i opłukał twarz.

— Do diabła! Ledwo człowiek zaśnie, zaraz dzwoni telefon — narzekał i wrócił do dziewczyny czekającej na pokładzie. Razem poszli do sterówki.

Przy sterze znajdowała się olbrzymia, galaretowata masa, zdająca się pokrywać cały mechanizm sterowniczy. Była prawie przezroczysta. Wewnątrz widać było ciemniejsze pasma, splecione jak pędy winorośli, zaś w samym środku pulsowało różowe jądro.

— Co się dzieje, Torry? — zapytał Brazil sternika.

Dwa czułki wyrosły z górnej części stwora. Na ich końcach uformowały się kulki podobne do oczu. Jedno z nich skierował na Brazila, drugie ku morzu.

— Parowiec — odparł. — Wygląda jak zwyczajny statek handlowy, ale nigdy nic nie wiadomo. Lornetka jest tam.

Kolejny czulek wychynął z masy i wskazał na stół.

Brazil podszedł do stołu, wziął lornetkę i spojrział. Było wciąż zbyt daleko, żeby rozpoznać szczegóły, ale po układzie smugi dymu łatwo było się zorientować, że statek się zbliżał.

— Trzymać kurs — polecił. — Wygląda na to, że go miniemy. Jakiegokolwiek nietypowe zachowanie może wzbudzić podejrzenia. Pamiętaj, że to jest sześciokąt o wysoko rozwiniętej technologii. Normalna procedura. Henny zajmie się wszystkim.

Podszedł do jednej z tub, dmuchnął w nią, a następnie zawołał:

— Henny! Biegiem do sterówki! Mamy towarzystwo!

Zanim jeszcze można było rozróżnić dokładne zarysy wielkiego frachtowca, Henny pojawiła się na pokładzie, klnąc na czym świat stoi. Dopiero co rozłożyła się w swojej kałuży po odbytej wachcie, kiedy wezwano ją z powrotem.

Henny była ogromna. Zwały tłuszczu zwieszały się nie tylko z jej wielkiego, brązowego ciała, ale również przysłaniały jej prawie całą twarz. Wyglądały spośród nich dwa małe, czarne oczka. Trzeba też było bliżej się przyjrzeć, żeby dostrzec malutki jak guziczek, czarny nosek oraz żeby stwierdzić, iż kolejna fałda tłuszczu pokrywała ogromną paszczę. Ostre płetwy sterczały jej z grzbietu. Podpierała się dwiema wielkimi płetwami piersiowymi, które zbudowane były z szeregu chwytnych, długich palców ułożonych w dwa rzędy. Była jedyną istotą, jaką Brazil kiedykolwiek widział, która miała sześć palców i sześć kciuków. Brazil uważał, że Henny nadała nowe znaczenie słowu brzydki, chociaż twierdziła, że w swym rodzinnym Achrin była uznaną pięknoscią. Nie było możliwości sprawdzenia tego faktu.

Patrzyła na zbliżający się statek. Brazil wiedział, że działanie jej słabych oczu wspiera naturalny system sonarowy, tak samo skuteczny pod wodą, jak i w powietrzu.

— Wygląda normalnie — zauważyła.

— Normalnie, możliwe. — Skinął głową. — Jednakże jakiegokolwiek kontakty są w tej chwili niebezpieczne. Wiesz o tym dobrze.

— Sygnał! — zawołał Torry. — Odczytuję: „Jaki statek i dokąd płyniecie?”

Brazil odwrócił się do czekającej cierpliwie kobiety.

— Lena, weź lampę sygnałową — polecił.

Brazil usiadł na podłodze koło sterówki, zasłonięty przed wzrokiem ciekawskich na pokładzie nadpływającego statku, ale cały czas kontrolował sytuację.

Kobieta zapaliła lampę, odczekała chwilę, dopóki nie zapłonęła jasnym płomieniem. Spojrzała na Brazila z gotowością.

— Nadaj następujący sygnał — polecił. — „Niszczyciel Wichru pod banderą Achrin, w drodze do Betaredu”.

Stukała rączką lampy sygnałowej przez nieco ponad minutę, wysyłając konieczne impulsy świetlne. Wreszcie skończyła.

— Dodaj: „Kto wy jesteście?”

Zrobiła to szybko. Był to sygnał standardowy.

— „Królowa Czanduru — przekazywał Torry Brazilowi — w drodze do Makiem”. Zdaje mi się, że przewozi wojsko!

— Tego można się było spodziewać — potwierdził Brazil. — Oddziały specjalne i mnóstwo sprzętu wojennego. Szkoda, że nie mamy czym go zatopić. Jesteśmy jak komar, który chce zaatakować olbrzyma.

— Może ja mogłabym coś zrobić? — zaproponowała Henny. — Mowreycy nie są zbyt przyjaźnie usposobieni, ale też nie są zbyt ruchliwi. Mogłabym przesłać wiadomość do swoich, żeby ich zaatakowali, powiedzmy, w Kzucu.

— Nie, to zbyt ryzykowane — pokręcił głową Brazil. — Jeżeli statek zatonie, a ktoś będzie wiedział o naszym spotkaniu, ruszą za nami, nie wiedząc nawet, że jestem na pokładzie. Niech tak zostanie. To i tak nie robi większej różnicy.

— To, co ten statek wiezie, może przyczynić się do zabicia kilku tysięcy ludzi. Pewnie właśnie naszych. . .

— Henny — Brazil wzruszył ramionami — ja muszę to zrobić z kilku kwadrylionami. Zostawmy to.

— Patrzą na nas przez lornetki — zauważył Tony. — To mi się nie podoba. Osobnicy twojego typu stanowią znaczną część załogi. Na pewno o tym doniosą.

Brazil ponownie wzruszył ramionami.

— Cóż takiego mogą donieść? Zresztą, niech donoszą. I tak robimy przesiadkę w Jucapel. Zanim coś wywęszą, dawno mnie już tu nie będzie.

— Tak, ale my będziemy — odparła kwaśno Henny.

Czekali, aż statek, przepłynąwszy na prawo od nich, zniknie za horyzontem. Wtedy Brazil znowu poczuł się bezpieczny na tyle, że wstał i przeciągnął się.

— Nie martwcie się. Oni szukają mnie, nie was. Statek jest zarejestrowany na ciebie, Henny, a załoga oficjalnie została najęta w Ambrezie, teoretycznie jest własnością firmy holdingowej. Będą się głowić, ale nic nie wymyślą. Nie tak prędko.

Wyszedł ze sterówki i skierował się ku rufie. Zszedł po trapie na główny pokład. Kilku marynarzy leżało na pokładzie, wygrzewając się na słońcu. Były to potężne istoty, podobne do ptaków, charakteryzujące się nie tylko brzydkimi, zakrzywionymi dziobami, ale przede wszystkim tym, że miały po trzy głowy na cienkich szyjach.

— Czy któryś z was ma ochotę na dłuższą wyprawę? — zapytał Brazil.

Środkowa głowa jednej z istot uniosła się i spojrzała na niego wielkimi, żółtymi oczami.

— Ja.

Brazil roześmiał się i pokręcił głową ze zdumieniem.

— Nigdy nie mogę się zorientować, do której głowy gadać.

Doskonale jednak wiedział, że istoty te miały tylko po jednym mózgu, i to wcale nie w głowie.

— Siły Awbri znajdują się teraz dokładnie na północny zachód od nas. Jua ma być gotowa do wyruszenia w każdej chwili. Powiedz jej, że zostaliśmy zauważeni przez nieprzyjacielski parowiec płynący do Makiem. Wygląda na to, że Makiem jest ich bazą zaopatrzeniową. Będzie wiedziała, co należy zrobić.

Istota podniosła się i przeciągnęła swoje wielkie skrzydła.

— Co będzie, gdy spróbują cię złapać? — zapytała.

— Jeżeli spróbują, to bądź pewien, że inni też o tym będą wiedzieli. — Brazil uśmiechnął się zagadkowo.

Spojrzał na pozostałe trzygłowe istoty w pobliżu. — W razie czego jest przecież jeszcze Rupt.

— Dobrze, w takim razie lecę — powiedział posłaniec. — Uważajcie, żeby nie podłożyli bomby pod kadłub czy coś w tym rodzaju.

— Wiesz przecież, że mamy ochronę z naszych ludzi płynących pod statkiem. Poza tym oni nie wysadziliby statku w powietrze. Nigdy nie miałiby pewności, że byłem na pokładzie. No, leć!

Istota zerwała się do lotu. Pęd powietrza wywołany trzepotaniem wielkich skrzydeł omal nie zwałił Brazila z nóg.

Makiem

Bitwa była krwawa i zaciekła. Wojownicy Hakazitu zasmakowali już walki i udało im się rozwiać wszelkie wątpliwości, jakie Marquoz wobec nich żywił. Szli cały czas jak na zabawę. Trudno było ich powstrzymać, nawet kiedy było już jasne, że odnieśli zwycięstwo. Zaczynał się obawiać, że będą zabijać nadal, wiedzeni żądzą krwi. Świadomość, że jest jednym z nich, rozbudziła w nim poczucie bezpieczeństwa.

Mieszkańcy Makiem, nie znający technologii, przypominający ogromne żaby, byli zajadli i zdecydowani. Wspomagało ich trzy tysiące sojuszników spośród innych ras, a wśród nich dysponujący szokiem elektrycznym Agitarianie na swych skrzydlatych rumakach. To jednak nie wystarczyło. Gunit Sangh rozmieścił większość swych oddziałów daleko na północy, zakładając, że siły Hakazitu połączą się z armią maszerującą z Dillii i ruszą wzdłuż wybrzeża na północ. Nie stało się tak głównie dzięki wiadomości przesłanej przez Brazila. Teraz sami Hakazityjczycy zajęli Makiem wraz z jego kluczowymi portami i czekali na armię Dillii, żeby ich dogoniła.

W czasie bitwy nastąpiła okropna rzeź. Lecz obecnie oddziały rozbiegły się po kraju, rabując, paląc i niszcząc to, co się im nie podobało, po prostu dla zabawy. Marquoz chciał je pohamować, ale stwierdził, że nie posiada aż tak nieograniczonej władzy. Jediną dobrą rzeczą, jaka mogła z tego wyniknąć, była właśnie ta świadomość. Sześciokąty, które zezwoliły im na swobodny przemarsz, pozostały prawie nietknięte. Także większość zapasów, które zyskali po drodze, została w rzeczywistości zakupiona. Makiem, który postanowił walczyć, płacił za to straszliwą cenę. Wiadomość o tym szybko się rozejdzie.

Nie podobało mu się również czekanie. Im dłużej będzie się czekać, tym większe będą rozboje i tym bardziej jego siły staną się podatne na atak. Zwyciężyli, ponieważ mieli do czynienia z niedoświadczonymi rekrutami, starcami i źle zorganizowanymi cywilami. Gdyby zetknęli się z głównymi siłami Rady zgrupowanymi w Godidalu, zostaliby pokonani, Sangh musi teraz już wiedzieć, że wyprowadzono go w pole. Niechybnie wyruszy ze swoją armią, która potrafi maszerować tak samo szybko jak siły Marquozza. Ten wolał zatem wcześniej przejąć inicjatywę.

Jeżeli chodzi o Cygana-Brazila, jak Marquoz zaczął już o nim myśleć, to trzymał się na uboczu otoczony nowymi. Nie mieli więc wiele okazji do rozmowy. Marquoz czuł się tym rozczarowany. Chciał mu zadać mnóstwo pytań, ale po prostu nie mógł. Jeden błąd, jedna pomyłka, ujawniająca, że to nie Brazyl, mogła zdruzgotać cały misterny spisek. Miał nadzieję, że potem, kiedy obie armie się połączą, będzie im łatwiej.

Połączenie wojsk nastąpiło w trzy dni później.

Widział, że Mavra i Asam byli przerażeni dokonanymi zniszczeniami. Sytuacja już się jednak nieco uspokoiła. Większość mieszkańców Makiem skryła się w morzu, zaś wszystko, co było do zrabowania, już zrabowano. Mavra i Asam wyglądali dobrze, lecz widać było po nich napięcie spowodowane obecnością tysięcy bojowych jaszczurów.

— To są urodzone maszyny do zabijania — Marquoz wzruszył ramionami. — Nigdy jednak nikogo nie zabijali. Dopiero teraz. Trudno ich o to winić.

Dotarli do miejsca, gdzie Dillianie ustanowili swój punkt dowodzenia. Mavra i Asam wyraźnie się uspokoiли.

— Gdzie jest. . . Brazyl? — chciała się dowiedzieć Mavra.

— Wkrótce się pokaże — zapewnił ją Marquoz. — Wysłałem do niego wiadomość. Nie jest też osamotniony. Towarzyszy mu osiemnaście kobiet, które myślą, że jest bogiem i gotowe są zrobić wszystko, o co poprosi.

Jej śmiech pozbawiony był wesołości, kiedy pomyślała o tych wszystkich zniszczeniach, o walkach, o wielu zabitych i rannych. Taki rozlew krwi. . . a Cygan baluje. Nie mogła się powstrzymać od wyrażenia swojej opinii na ten temat.

— Nie wiń go za to — zaprotestował Marquoz. — Ostatecznie gra swoją rolę. Robi to, co zrobiłby Brazyl, a my go odpowiednio traktujemy. Nie zapomnij też, że jest głównym celem nieprzyjaciela.

— Słusznie — zgodził się Asam. — Przecież te wszystkie armie polują tylko na niego, i to od chwili jego pojawienia się tutaj. Grotów jestem się założyć.

Zamierzała właśnie coś na ten temat powiedzieć, kiedy przedmiot ich rozmowy pojawił się u wejścia do namiotu. Był niski i wydał się jeszcze mniejszy w porównaniu z innymi obecnymi w namiocie. Rozejrzał się nerwowo wokół.

— Czuję się jak krewetka — zauważył. — Boże, można nabawić się kompleksu niższości.

Wszyscy roześmiali się i rozluźnili, czując, że pierwsze lody zostały przełamane.

— Myślę, że powinniśmy wyruszyć stąd o świcie. Parmiter nie stanowi większego zagrożenia. Nie znajdzie bardziej zagorzałych piratów, ale i po piracku postępuje. Nie zaatakuje tak dużych sił jak nasze. Nie ma bohaterów wśród jego mieszkańców. Będą jak zwykle graли na dwie strony.

— Pamiętam — powiedziała Mavra zimno. — Jeden z tych małych sukinsynów próbował zabić albo porwać mnie dawno temu w Glathrielu.

Cygan-Brazil nie skomentował tej uwagi.

— Będziemy tam zabezpieczeni przed atakami z powietrza, ponieważ Cebu nie zaryzykuje nalotów w sytuacji, kiedy działać będzie nasza obrona laserowa.

— Rozumiem ten plan — powiedział Asam, kiwając głową. — Nie mogę jednak powiedzieć, żeby mi się podobał. Powolny marsz spowoduje, że będziemy stanowić doskonały cel.

— Przecież właśnie o to nam chodzi — przypomniał im Cygan. — Przypuszczam, że Sangh wykorzysta swoje siły do pilnowania trasy Yaxa-Harbingor. Rozłokuje je w Lamotienie i przy pomocy Yaxa będzie się starał nie dopuścić nas do trasy.

— Są jeszcze te siły, które wylądowały na zachód od nas — przypomniał Marquoz. — One już ruszyły.

— Tak — przyznał Cygan-Brazil. — To jest właśnie problem. Albo nam się uda, albo nie. Siły te prawdopodobnie będą strzegły trasy Ellerbanta-Verion. Jeżeli będą starały się postępować ostrożnie i tam się umocnią, sprawią nam kłopoty. Jeżeli jednak zdecydują się ruszyć na nas, wówczas odniesiemy sukces. To i trochę szczęścia by się nam przydało.

* * *

Cygan-Brazil przeniósł się do obozu Dillian, twierdząc, że tam czuje się lepiej i bezpieczniej niż w obozie Hakazitu.

Przez większość czasu, a szczególnie w marszu odnoszono się do niego z szacunkiem należnym Nathanowi Brazilowi. Żołnierze czuli się zaszczytzeni jego obecnością i faktem, że powierzył im swoje bezpieczeństwo. Podniosło to morale, zwłaszcza oddziałów Dillii, których zapał nieco osłabł po zwycięskiej bitwie i wyczerpaniu się żądzy zemsty. Teraz Dillianie uważali, że zaufano im w doniosłej sprawie i byli zdecydowani nie zawieść.

Wieczorami, kiedy odpoczywali i usiłowali trochę się przespać, Cygan czasami pozostawał sam z Mavrą Chang.

— Nie przepadasz zbyt za Nathanem Brazilem, prawda, Mavro? — zapytał kiedyś przy takiej okazji. — To widać. Za każdym razem kiedy wymawiasz jego imię, brzmi to jak przekleństwo.

— Dlaczego miałabym go lubić? — uśmiechnęła się słabo. — Co takiego kiedykolwiek dla mnie zrobił?

Cygan uniósł brwi.

— Słyszałem, że ocalił cię od czegoś gorszego niż śmierć, kiedy twój świat przyłączył się do Kom i zaczęto cię poszukiwać.

— Wielkie mi poszukiwania! — parsknęła wzgardliwie Mavra. — Wcale nie żywił do mnie żadnej sympatii. Zrobił to dla moich dziadków ze względu na dawne czasy. Gdybym rzeczywiście go obchodziła, czy oddałby mnie Makki Chang?

— Może nie wiedział, co z tobą zrobić? Pomyślał pewnie, że kobieta, która miała dziewięcioro dorosłych dzieci, będzie wiedziała, jak cię wychować.

— A kiedy policja złapała Makki, zostałam sama w brudzie i z żebraczki wyrosłam na kurwę. Ładna mi pomoc!

— Nie skończyło się tak źle — zauważył. — To z pewnością przygotowało cię do życia. Stałaś się zupełnie niezależna, bystra i w pewnym sensie niebezpieczna, w dobrym sensie...

— Ale nie dzięki niemu. Dokonałam tego sama.

— Co miał zatem dla ciebie zrobić? Nie znał cię. Myślę, że nie znał nawet twoich rodziców. Co by się stało, gdyby wychowywał cię osobiście? Wydałby cię dobrze za mąż? Do diabła, Mavro, przecież nic ci nie był winien. W czym problem?

Zastanowiła się nad tym. W czym tkwił problem? Gdyby ktoś poprosił ją, żeby uratować wnuczkę dawnych przyjaciół, oczywiście by to uczyniła. Co by jednak zrobiła z dzieckiem? Czy wychowywałaby je sama? Mało prawdopodobne. Ograniczałoby ją, zmieniałoby jej życie, skrępowало. Nawet teraz nie potrafiłaby wychować dziecka.

— Właściwie ja go nie... nienawidzę — powiedziała, jakby się broniąc. — Powiedzmy, że żywię sprzeczne uczucia wobec niego. Dawniej czułam do niego sympatię. Z latami jednak minęło. Trudno mi to wyjaśnić.

— Jeżeli sama nie umiesz tego wyjaśnić, tym bardziej ja nie mogę tego zrobić. Prędzej czy później, kiedy spojrzysz w siebie, sama zrozumiesz. A kiedy się to stanie, może uznasz, że skoro musiałaś sama tego poszukiwać, to pewnie było coś, o czym on nigdy by nie pomyślał.

— Chciałbyś mi to wytłumaczyć? — powiedziała, patrząc na niego dziwnie.

— Nie ja — odparł, kręcąc głową. — Myślę, że całe twoje życie było poszukiwaniem czegoś, sama nie wiedziałaś czego. Jeżeli zorientujesz się, czego szukałaś, może to i znajdziesz. Tymczasem zmienmy temat. Czy są jakieś wiadomości z Dahiru?

— Tak. Cofają się. Dają nam wolną drogę. Raczej niechętnie. Mogą być kłopoty i to mnie niepokoi. Wiesz, w Dahirze mają magię.

— Dobrze o tym wiem. Możliwe, że nie będą walczyć, ale Gunit Sangh jest gotów użyć wszelkich sztuczek, a to dobre miejsce na to.

— Będziemy cię stale pilnie strzegli — zapewniła go. — Nie jesteśmy też wcale tacy bezbronni. To prawda, że nie posługujemy się magią, a nawet gdybyśmy mieli takie możliwości, to brak nam wystarczającej praktyki. Magia zresztą działa tylko w niektórych sześciokątach. Mamy jednak pewne środki zapobiegawcze. Myślę, że do ciebie się nie dobiorą.

— Nawet jeżeli tak jest — odpowiedział powoli. — Nawet jeżeli tak jest, to mi się nie podoba. Czegóż się jednak można spodziewać, jeżeli wybrało się rolę żywego celu?

Strefa

— To jest to!

Serge Ortega zmiął w rękę kawałek papieru i zmarszczył brwi.

W jego głosie brzmiała jednak nuta satysfakcji.

Dhabi podniósł głowę i przyjrzał się kartce. W raporcie wywiadu zakreślona była jedna wiadomość:

„Parowiec Królowa Czanduru natknął się na bryg Niszczyciel Wychru płynący pod banderą Achrinu. Załoga składała się z różnych ras. Na pokładzie widać było jednego mieszkańca Achrinu. Duża liczba gładkoskórych istot podobnych do małp, pasujących do rysopisu Brazyla”.

— Tak? — zapytał z powątpiewaniem Dahbi. — Wygląda zupełnie normalnie... Tylko ten opis załogi...

— Ludzie typu 41 — zauważył Ortega. — Robotnicy rolni, niewolnicy należący do Ambrezji. Posłuszni. Umysł dziecka. Nie posiadają własnego rządu. Kupuje się ich i sprzedaje. Dlaczego na jednym statku jest ich tylu? I jeszcze jedna ważna rzecz. Kto ich nauczył żeglować i po co?

— To wygląda podejrzanie — przyznał Dahbi po chwili zastanowienia. — Czy sprawdzono w Achrinie i w Ambrezji?

— Oczywiście — odparł Ortega podenerwowany. — W Ambrezji były dokumenty świadczące o sprzedaży grupy trzydziestu niewolników firmie żeglugowej do pracy na żaglowcach. Podobno lepiej obsługują żagle i sprawiają mniej kłopotów niż płatni marynarze.

— To brzmi logicznie — stwierdził Dahbi.

— Tu chodzi o czas — wyjaśnił Ortega. — O czas i fakt, że firma holdingowa to dżungla, w której trudno dociec, kto co posiada, a nawet, z jakiego pochodzi sześciokąta. Achrin to sześciokąt wodny. Nie ma zatem rejestru statków godnego zaufania. Interesujące jest również to, że spotkanie nastąpiło w Mowrey. Założmy, tylko założmy, że mają sobowtóra Brazyla.

— Sobowtóra? Tłumaczenie jest niezrozumiałe — przerwał Dahbi.

— Drugiego. Kopię. Nie wiem, jak to robią, ale posłużyli się tą sztuczką, kiedy go tu przeszmyglowali. Można wystawić sobowtóra na cel i wtedy my zaczniemy się za nim uganiać i staczać wielkie bitwy, żeby go pojmać. A tymczasem prawdziwy Brazil, ukryty na statku w grupie innych osobników tej samej rasy, przepłytnie, powiedzmy, trasą Josele-Wahaca. Rozumiesz, co mam na myśli?

— No... nie wiem...

— Przez cały czas robili z nas łatwowiernych idiotów. Pobili nas w walce. Zmusili do pościgu za niczym, teraz zaś postępują zupełnie inaczej, niż oczekiwaliśmy, a mogą zrobić jeszcze więcej niespodzianek. Te siły Awbri, na przykład. Po co one są? Tkwią w miejscu. Nie starają się połączyć z pozostałymi. Myślę, że dobrze by było, gdybyśmy zatrzymali ten statek i przesłuchali załogę. Zgadzasz się?

W głosie białej istoty brzmiało teraz powątpiewanie, ale i poczucie bezradności.

— Mam poważne wątpliwości, czy możemy to zrobić tak od razu — odparł Dahbi po chwili zastanowienia. — To wielki ocean i jak pan na pewno wie, większość mieszkańców tych sześciokątów to istoty głębokowodne. Wyjątki zdarzają się wzdłuż wybrzeży. Jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą, to najprawdopodobniej zatarli ślady, zmieniając wygląd statku czy nawet przesiadając się na inny. Myślę, że najlepsze, co możemy uczynić, to poprosić ambasadora Laibiru o zamknięcie sześciokąta dla żeglugi. To mogą zrobić. Wtedy zmusimy ich do przybicia do brzegu wcześniej. W ten sposób nie osiągną celu.

Ortega wydobyl mapę i przyjrzał się jej dokładnie.

— Teraz wszystko zaczyna być jasne. Ponieważ wiedzieli, że zorientujemy się, iż będą musieli dotrzeć do jednej z tras, wiedzieli też, że jeżeli już ruszą w jakimś kierunku, będą mieli tylko niewielką ilość tras do wyboru. Zbierają zatem potężne siły i ruszają w ogólnym kierunku trasy Yaxa-Harbigor i Brazil jest wśród nich. To wiąże nasze główne siły i zmusza do wymarszu przeciwko ich siłom. Co więcej, powstanie pokusa ściągnięcia z zachodu sił Khutiru, strzegących trasy Ellerbanta-Verion, i okrążenia głównych sił nieprzyjaciela wraz z Brazilem. Co z tego wynika? Trasa Ellerbanta-Verion pozostaje praktycznie nie strzeżona i Brazil po zejściu ze statku będzie musiał przejść osiemset kilometrów, żeby dotrzeć do celu. Tak! Oczywiście! To wyjaśnia nam też rolę tkwiących w miejscu sił Awbri pod dowództwem tej Juy. Jeżeli Khutir się zorientuje w sytuacji i pozostanie na miejscu, jej armia może rozpocząć walkę, a tymczasem Brazil się prześlizgnie. Może również chronić i wspierać Brazila, jeżeli wybieg zostanie zdemaskowany zbyt wcześnie. Gdyby zaś ich plan się powiódł, siły Awbri będą stanowić rezerwę dla sił głównych. To jest idealne! Dzieło geniusza! Bardzo przebiegłe!

— Zdaje się, że pan ich podziwia — powiedział Dahbi zdetonowany.

— Tak — potwierdził Ortega. — Piękne wprowadzenie w błąd. Magiczna sztuczka dokonana przy użyciu całych armii. Można to docenić lepiej, kiedy pa-

trzy się na ten cały bałagan i widzi się, że armia walczy przeciwko armii, podczas gdy w rzeczywistości wcale tak nie jest. To nie jest tak, nie jest. To nie jest wojna. Chodzi tylko o to, że jeden człowiek ma się znaleźć w określonym miejscu i w określonym czasie. O nic więcej.

— Wynika z tego, że w jakiś sposób uzyskali duplikat Brazila, zaś prawdziwy Brazyl jest na tym statku — zauważył Dahbi. — A to trzeba sprawdzić.

— On tam jest — powiedział Ortega z naciskiem. — Jeżeli nie na tym statku, to na innym. Wyślemy ostrzeżenie do wszystkich sześciokątów w tym rejonie, żeby zdwoiły czujność. Brazyl ma ograniczone możliwości ukrycia się na otwartym terenie i w obcym środowisku. Wcześniej mógł się prześlizgnąć niespostrzeżenie, ale nie teraz, kiedy wszyscy będą na niego uważać.

— A armia Khutiru?

— Powinna zostać na miejscu, gdy zrozumie, że to najlepsze rozwiązanie — polecił Ortega. — Gunit Sangh też powinien być powiadomiony o nowej sytuacji.

— Oczywiście powiadomimy go — zapewnił go Dahbi. — Nie jestem jednak wcale pewien, jak Jego Świątobliwość to przyjmie.

Yongrem, na granicy Betared-Clopta

Niewielka łódź zbliżała się do brzegu na falach przyboju. Wzburzone przez sztorm morze i skalisty brzeg, gdzie każdy błąd groził katastrofą, utrudniały lądowanie.

Nadchodził świt. Było już dość jasno, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zbyt jednak wcześnie, żeby na brzegu znajdowali się jacyś ciekawscy. Tu, przy granicy, i tak żadnych istot się nie spodziewano. Mieszkańcy Betaredu i Clopty nie żywili do siebie zbyt wielkiej sympatii. Powody wzajemnej niechęci sięgały tak daleko w przeszłość, że nikt właściwie ich nie pamiętał, ale jak we wszystkich tego rodzaju waśniach brak racjonalnych powodów jeszcze bardziej rozpałał namiętności.

Brazil nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział tak wyraźną różnicę na granicy sześciokątów. Po jego lewej stronie Betared spał skutym lodem. Z drzew zwisały sopte, wokół pni wiatr uformował przyzmy śniegu wysokie jak morskie fale. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby ktoś powiesił obok siebie dwa różne obrazki. Po prawej rozciągał się żyzny, zielony, ciepły kraj pełen drzew kuczukowych, palm i innych roślin tropikalnych. Sama granica wydawała się tutaj zjawiskiem fizycznym. Powietrze drżało na styku ciepła i zimna i kaskady wody spływały głęboko wyorany korytem ku morzu, wijąc się między skałami. Taki widok był możliwy jedynie z trzeciego sześciokąta. Fale Yongremu uderzały w oba brzegi z jednakową siłą.

Pomiędzy obydwoma sześciokątami była niewielka bariera termiczna, nie utrudniająca przejścia z jednego sześciokąta do drugiego, ale tworząca pewien rodzaj izolacji między dwoma tak różnymi miejscami. Mimo to wzdłuż granicy powstawały formacje chmur rozciągające się po obu stronach. Rejony przygraniczne były zatem ciemne i zamglone, i o to im właśnie chodziło.

Jego czterej strażnicy czekali na niego, kiedy sprawna załoga przy czwartej próbie przeprowadziła łódź przez rafy i dobiła do brzegu zaraz po cieplejszej stronie Clopty. Wskoczył szybko z łodzi. Pokiwał ręką załodze, która z kolei równie szybko wskoczyła do łodzi, żeby rozpocząć jeszcze niebezpieczniejszą drogę powrotną. Brazil podszedł do strażników.

Dwaj pochodzili z Punrettu. Byli często widywanymi tu sąsiadami Clopty. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak ogromne, czarne kule bilardowe, podparte na potężnych, ptasich nogach, pokrytych karbowaną skórą. Na głowach dominowały ogromne dzioby w kształcie nożyczek. Oczy na końcu dwóch krótkich słupków wyrastały bezpośrednio z dzioba tuż u jego nasady, ale były prawie niewidoczne. Poniżej dzioba zwisało osiem płaskich fałd podobnych do liści jakiejś rośliny albo do fragmentu jakiegoś ubioru. Brazil domyślał się, iż są to macki.

Dwaj pozostali byli mieszkańcami Quilstu. Wyraźnie rzucali się w oczy, mimo że ich obecność tutaj nie była niczym nadzwyczajnym, ponieważ Quilst graniczył zarówno z Cloptą, jak i z Betaredem. Ich wzrost przekraczał dwa metry, kiedy stali wyprostowani na płaskich, grubych, okrągłych nogach podobnych do pni drzewnych. Ich potężne ramiona wyglądały podobnie, ale zakończone były płaskimi, masywnymi, humanoidalnymi dłońmi, których najbardziej dziwną cechą było to, że każdy palec zakończony był płaskim kikutem pokrytym płytką podobną do paznokcia. Na krótkich, prawie nie istniejących szyjach wznosiły się ogromne głowy z wielkimi paszczami i ogromnymi ryjami. Pary małych, świńskich oczek, umieszczone koło równie małych uszu, poruszały się bezustannie. Z wyglądem stworów dziwnie kontrastowały pasy z nabojami i pistolety u boku, których rozmiar pozwalał na rozłupanie niewielkiej góry.

Grupą dowodziła mieszkanka Awbri, wyraźnie źle czująca się na ziemi i prezentująca się bardzo niepozornie na tle swych potężnych towarzyszy.

— Kapitanie Brazil — nerwowo zaczęła Awbryjka. — Cieszymy się z tego spotkania. Jestem Foma z Awbri, a to Squom i Dutrik z Punrettu i Manganong oraz Sugongong z Quilstu.

Brazil każdemu z nich skinął głową.

— Wszyscy jesteście tubylcami? — zapytał.

— Tak, wszyscy — potwierdziła. — Obawiam się, że będę musiała sama prowadzić rozmowę, ponieważ żadna z tych ras nie komunikuje się w normalny sposób. Mogą jednak nas zrozumieć, bo mają translatory. Mogą rozmawiać z mieszkańcami Betaredu i Clopty, jeżeli będzie trzeba.

— To powinno wystarczyć. Mam co prawda ciepły płaszcz, ale wolałbym pozostać po tej stronie granicy z uwagi na cieplejszy klimat. Obawiam się, że stałem się mniej zahartowany. Przebywałem za mało na świeżym powietrzu.

— Rozumiem — odparła Foma. — Nam też to odpowiada. Mamy tu statek powietrzny, który szybko dowiezie nas do granicy Quilstu. Dalej pójdziemy pieszo.

— Dobrze — westchnął. — Jaka jest obecnie sytuacja?

Przeszli przez krzaki, za którymi duża platforma z brezentowym dachem i dźwikiem sterowniczym zdawała się unosić kilka centymetrów nad ziemią. Podtrzymywały ją tysiące malutkich „nózek” niewidzialnej energii i pływała na nich jak poduszkowiec. Chociaż nie była skonstruowana z myślą o wygodzie ludzi, po-

myślał, była bardziej nowoczesna od większości środków komunikacji lokalnej, jakie widział w Kom.

— Kobiety z Awbri wyzwolone od ucisku po tak długim czasie są wszystkie po twojej stronie — odpowiedziała Foma. — Przyłączyło się do nas wielu przedstawicieli innych ras. Wszyscy pochodzą jednak z twojej części świata. Nasze siły są zgromadzone przy granicy z Agonem. Proszę pamiętać, że większości terenu Awbri nie można pokonać pieszo.

Nie pamiętał o tym, ale skinął głową twierdząco.

— Również w tym rejonie jesteś poszukiwany — dodała Foma.

— Co? — Brazil był zaskoczony. — Jak to możliwe? Czy mój... partner przebywający z innymi oddziałami już uciekł?

— Nie — zapewniła go. — Wygląda na to, że ktoś z naszych albo przypadkowo odkrył prawdę i za dużo gadał, albo Rada przeanalizowała sytuację i zdecydowała się nie przeoczyć żadnej możliwości.

— To ten przeklęty parowiec — westchnął. — Wiedziałem. Rada nic tu nie wymyśliła. To Ortega. Tylko on mógł się zorientować w tym wszystkim.

Mówił bardziej do siebie niż do towarzyszy. Potem zwrócił się do Fomy.

— Musimy sobie z tym radzić. Czy siły Khutira w dalszym ciągu strzegą trasy?

— Jeszcze się nie ruszyły. Ich główna koncentracja jest w Quilst. To spowodowało, że zyskaliśmy nowych sojuszników. Właśnie Manganonga i Sugongonga. Chociaż Quilst oficjalnie opowiedział się po stronie Rady, pobyt armii nie był dla sześciokąta lekki. Zaistniały poważne kłopoty.

To zdołał zrozumieć. Armia składająca się z kilku tuzinów ras o różnorodnych potrzebach mogła być bardzo uciążliwa i bardzo trudna do kontrolowania nawet dla tego starego sukinsyna, Khutira.

— Uważamy, że powinneś ruszyć wzdłuż granicy — powiedziała Foma. — Do Lieveru, a później do Ellerbanty, gdzie z powodu gór żadna armia nie będzie w stanie strzec dostępu do trasy.

Pokiwał głową niepewnie, zdając sobie sprawę, jakie czekają go trudności. Oczywiście oni nie mogą wiedzieć, że wcale tego nie zamierzał robić. Chciałby jednak, żeby reszta dokonała już przełomu i była w drodze do celu. W tej chwili wszystko zależało od tego, czy Rada będzie wciąż wprowadzana w błąd, a tradycyjny sposób myślenia jej przywódców ciągle wystawiany na próbę. W rzeczywistości Ortega rozszyfrował plan i udało mu się innym o tym przekonać. Mogło to opóźnić realizację programu. Wkrótce sytuacja stanie się bardzo niebezpieczna.

Pędzili przez Cloptę z szybkością prawie stu kilometrów na godzinę i dotarli do granicy Quilstu w niecałe trzy godziny. O ile mógł się zorientować, pozostali nie zauważeni. Na razie wszystko szło dobrze. Teraz zaczynały się trudności. Siły Awbri, które dotąd pozostawały na miejscu, właśnie wyruszyły prosto w kierunku trasy Ellerbanta-Verion. Były jednak jeszcze bardzo daleko. To powinno zmusić

Khutira, by zagroził im drogę. W ten sposób siły Sangha pozostałyby odcięte na północy, pilnując trasy Yaxa-Harbigor, dokąd według wszelkiego prawdopodobieństwa zmierzał prawdziwy Brazil. Było już tak blisko, tak blisko. . . Wszystko tak dobrze się układało. Jeszcze dzień, dwa i wszystko będzie pod kontrolą. Jeszcze dwa dni. . .

* * *

Quilst okazał się chłodniejszy niż Clopta, ale też dość wilgotny. Panował w nim przyjemny, umiarkowany klimat. Szli pieszo, trzymając się blisko granicy mroźnego Betaredu. Ich marsz był jednak bardzo powolny.

Mimo chłodnej pogody Quilst sprawiał wrażenie kraju podmokłego, pokrytego drzewami i zielskiem, poprzecinanego błotnistymi stawami. Te wielkie istoty, które stanowiły część jego ochrony, pochodziły stąd, mimo że miejsce to z pozoru nie nadawało się do życia.

Cieszył się, że mu towarzyszyły. Znały ten kraj i pomagały unikać nieprzyjemnych przygód, spotkań z niebezpiecznymi zwierzętami, roślinami oraz mieszkańcami sześciokąta. Dwaj mieszkańcy Punrettu okazali się mniej przydatni, ale Brazil wiedział, że potrafili napęcznić, powiększając się czterokrotnie, a w czasie walki byli nie tylko groźni, ale też zdolni pożerać prawie wszystko, co ich pożreć nie zdołało. Nie zawsze można było dobrać sobie najlepszych sojuszników. Czasem zachodziły sytuacje, w których nie miało się zbyt bogatego wyboru.

Przez wiele godzin nie spotkali nikogo. Niepokoiło go to nieco. Wszystko wydawało się zbyt łatwe. Właśnie okrążali jeden z wielkich błotnistych stawów, kiedy woda w nim jakby się zagotowała. Na powierzchnię wypłynęło ponad dwadzieścia głów Quilstian prychających wodą, a następnie całe postacie jakby wypchnięte spod wody i błota na niewidzialnych szczudłach.

Manganong i Sugongong parsknęli, nozdrza rozdęły im się gniewem i wyciągnęli swoje pistolety, zanim zdali sobie sprawę, że w sześciokącie technologicznym nie były więcej warte niż tej samej wielkości maczugi.

Dwaj mieszkańcy Punrettu zagdakali głośno i nadęli się jak balony podłączone do zbiorników gazu. W rękach napastników mignęły kusze i kiedy dwa dziwaczne ptaszyska pęczniały, w ich kierunku poleciało kilka strzał.

Nagle owe kuliste ptaszyska zerwały się do lotu. Strzały przemknęły dołem, a obydwie stwory spadły na głowy najbliższych wrogów, wbijając groźne szpony w ich ogromne łby. Trysnęła krew, rozległy się okrzyki bólu.

— Nathanie Brazilu! — rozbrzmiał wśród drzew donośny głos, na którego dźwięk wszyscy przypadli do ziemi. — Ty i twoi strażnicy macie pozostać na miejscu! Aresztuję was w imieniu Rady.

Dwaj zaatakowani żołnierze Quilstu, uczestniczący w zasadzce, wciąż krzyčili. Wydawało się, że bojowe ptaszyska z Punrettu zaraz zabiją obu olbrzymów.

Brazil, który wraz z Fomą ukrył się wśród pobliskich drzew, zwrócił się ku niej. Wiedział, że dwóch żołnierzy Quilstu, należących do jego grupy, podniosło bezradnie ręce do góry wobec skierowanych na nich kusz, zaś obydwaj ptaszyska puściły swoje ofiary i wróciły na brzeg stawu. Dalsza walka była samobójstwem.

— Foma — szepnął. — Uciekaj. Opowiedz, co się stało. Powiedz, żeby Jua ruszyła ze swoją armią, nawet gdyby miała poganiać ich kijem!

— Złapią cię. — Foma wciąż się wahała.

— Nie złapią — zapewnił ją. — Nie mnie. Powiedz, żeby Jua ruszyła z armią. Dołączę do was tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Nic nie rozumiem. — Foma patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Uciekaj — polecił.

Foma zniknęła wśród drzew.

— Nathanie Brazilu! Wychodź albo natychmiast zabijemy twoich towarzyszy. Nie możesz uciec! Patrole Betaredu obserwowały was od wielu godzin. Wychodź, a uratujesz swoich towarzyszy!

Westchnął, wstał i wyszedł spośród drzew, zaskakując wyraźnie zarówno swoją nieskuteczną ochronę, która przyjęła jego pojawienie się z pewną ulgą, jak i napastników.

— Dobrze, dobrze! — zawołał. — Skończmy z tym. Nie ma sensu przedłużać sprawy.

Spomiędzy drzew wypłynął ogromny motyl. Jego pomarańczowe skrzydła prawie się nie poruszały, kiedy lądował nie opodal na ośmiu cienkich nogach. Jego czarna głowa, podobna do czaszki z dwoma czerwonymi plastrami owadziej oczu, zwróciła się ku Brazilowi z ciekawością, z jaką kierownik ogrodu zoologicznego ogląda nowy okaz. W tym momencie Brazil mógł myśleć jedynie o tym, że stał się przedmiotem zemsty gatunkowej za wszystkie kolekcje motyli, które tworzyli ludzie.

— Jestem Jammer z sześciokąta Yaxa — powiedział motyl. — Aresztuję cię w imieniu Rady. Jako mój więzień będziesz towarzyszył mi do najbliższej Bramy Strefy. Opór jest bezcelowy.

Przednia część ciała Yaxy uniosła się i para przednich odnóży zaczęła pełnić funkcję rąk. Sięgnęły do torby przytroczonej do grzbietu Yaxy, wydobywając stamtąd małą buteleczkę i strzykawkę, dopasowaną kształtem do szponiastej części chwytnej odnóży motyla. Brazil westchnął. Miał nadzieję, że zgodzą się, by poszedł z nimi dobrowolnie. Zwycięzcy nie chcieli jednak podejmować żadnego ryzyka. Do tego nie mógł dopuścić.

Wszystkie kusze skierowane były już na niego. Yaxa zaczął się zbliżać z napełnioną strzykawką. Zatrzymał się może metr przed nim i spojrzał w dół.

— A więc to ty jesteś Nathanem Brazilem? — zapytał szyderczo.

Brazil zachichotał. Chichot przemienił się w śmiech a śmiech w nieopanowany paroksyzm wesołości, aż łzy spłynęły mu po twarzy. Zaskoczony Yaxa i wo-

jownicy Quilstu patrzyli, jak ciało Brazila jęło drżeć i przekształcać się. Stał się jakby wyższy, zmieniły się rysy twarzy, skóra pociemniała. Cała sylwetka uległa metamorfozie. Nawet ubranie było inne.

Śmiejąc się prawie histerycznie, nowa postać skinęła na Yaxę.

— Goń mnie! — udało jej się wyksztusić.

I stała się rzecz jeszcze bardziej niemożliwa. Cygan zniknął w jednej chwili i tylko echo jego śmiechu brzmiało wciąż na polanie.

Lamotien

Czerń Bramy Strefy została zmacona. Jakaś sylwetka nabierała w niej kształtów i po chwili wyszła z Bramy. Wyglądała jak niewielka małpa, ale niczym takim nie była.

Była natomiast kolonią składającą się z dwudziestu siedmiu Lamotieńczyków.

Istoty te miały niewiele ponad dwadzieścia centymetrów długości. Były bezkształtnymi masami plazmy, lecz tak umiały kontrolować swoje ciała, że zdolne były istnieć praktycznie w każdym środowisku, błyskawicznie pokryć się włosami o dowolnej długości i kolorze i przybrać dowolny kształt i cechy. Mogły się również łączyć w kolonie takie jak ta, która przeszła przez Bramę Strefy, funkcjonujące jako jeden organizm, kierowany jednym umysłem. W ten sposób potrafiły naśladować prawie każdy żywy organizm.

Lamotieńczyk nie skinął żadnej z osób znajdujących się przy Bramie Strefy i szybko odszedł. Wokół Bramy, wpasowanej w zbocze wzgórza, znajdowało się wiele budynków należących do władz sześciokąta. Przeznaczone dla Lamotieńczyków, wyglądały jak przypadkowe zbiorowisko elementów budowlanych, żaden nie przekraczał objętością metra sześciennego. Przez ich niewielkie okienka przebijał blask lamp elektrycznych.

Gunit Sangh i jego sztab nie zdołali się pomieścić w żadnym z tych budynków, rozbito więc na głównym placu wiele namiotów. Warunki życia w nich nie były jednak prymitywne. Wyposażone zostały w światło elektryczne, ogrzewanie i inne udogodnienia, jakie mógł zapewnić sześciokąt rozwinięty technologicznie.

Kolonia Lamotieńczyków udała się do namiotu Gunita Sangha, gdzie wielki Dahbi odpoczywał, medytując, jak sam mawiał; wisiał u sufitu jak nietoperz uciepiony belki podtrzymującej dach. Lamotieńczycy wcale nie byli tym zaniepokojeni.

— Wodzu Sangh! Złe nowiny! — zawołała podobna do małpy postać, patrząc do góry.

Czekała, ale zwisająca pod dachem namiotu biała istota nie wydała żadnego odgłosu ani nie wykonała żadnego ruchu.

— Wodzu! Człowiek, który wygląda jak Nathan Brazil, został schwytyany przez nasz patrol w Quilst nie dalej jak dwie godziny temu. Lecz był to jakiś duch albo demon. Wcale nie Nathan Brazil.

Wydawało się, że Dahbi nie zwraca na nic uwagi, ale po chwili drgnął. Przeciągnął się lekko, wywołując niesamowite wrażenie, uniósł głowę, spoglądając w dół i kierując swą straszliwą twarz ku spokojnie stojącej, niewielkiej istocie.

— O co chodzi? — zapytał. — Co to za historia o duchu albo demonie?

— To prawda, panie — odparli Lamotieńczycy w podnieceniu. — Działając zgodnie z sugestiami kwatery głównej w Strefie, wzmocniono czujność na zachodnim wybrzeżu i schwymano kogoś, kto wyglądał jak Brazil. Towarzysząca mu ochrona była również przekonana, że to Brazil. Przesłuchiwano ich pod działaniem narkotyków. Kiedy jednak Yaxa, dowódca patrolu, zbliżył się do niego, ten zaśmiał się straszliwie, jak twierdzi raport, a następnie zmienił się w kogoś zupełnie innego i zniknął im przed oczu!

Sangh był teraz całkowicie rozbudzony.

— Zmienił się w kogoś innego, nie w coś innego, tak jak ty to potrafisz?

Lamotieńczyk przez chwilę był zmieszany, bardziej charakterem pytania niż czymkolwiek innym.

— Tak twierdzi raport. Yaxa dotarł wraz z dwoma więźniami do Bramy Strefy w Quilst i przybył do Strefy.

— Ale on zmienił się w istotę typu Glathriel, nie w cokolwiek innego? — nalegał Sangh.

— Tak powiedzieli — odparli Lamotieńczycy.

— To ciekawe — mruknął Dahbi do siebie.

Teraz zaczął się poruszać i Lamotieńczycy patrzyli zafascynowani, jak przeslizgnął się wzdłuż wspornika dachowego i w dół po ścianie namiotu na podłogę.

— Zebranie sztabu za dziesięć minut, powiadomcie innych — polecił Lamotieńczykom. — W moim namiocie. Upewnijcie się, że przyjdą.

— Wkrótce wracamy do Strefy. Czy są jakieś rozkazy? — Mała istotka skłoniła się lekko.

— Powiedzcie im, że będziemy starali się poradzić sobie z sytuacją — rzekł po chwili namysłu Gunit Sangh. — Muszą jednak być przygotowani na przegraną.

Lamotieńczycy patrzyli na niego w milczeniu. — Na przegraną?

— Gdzie jest jeden fałszywy Brazil, może być ich dwudziestu lub dwustu — zauważył Gunit Sangh, kiwając poważnie głową. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Nic więcej zrobić nie możemy. Powiedzcie im, że jeżeli mają jakieś dobre pomysły, to czas je wykorzystać.

Mali Lamotieńczycy wyszli. Poruszali się jak w szoku.

* * *

— Główna armia jest tu, w Bache — poinformował go oficer. — Wygląda na to, że przeprowadzają koncentrację. Uważamy, że ruszą przez Koorz i będą próbowali stoczyć decydującą bitwę w Yaxa. Lamotien będzie dla niej nie do zdobycia z powodu tych strasznych burz i trzęsień ziemi oraz ze względu na samych Lamotieńczyków. Unikali również walki w rozwiniętych technologicznie sześciokątach. Często nawet nakładali drogi, żeby tego uniknąć.

— Mogą przecież pójść do Bahaidu — zauważył Dahbi. — Stamtąd do Verionu. W Bahaidzie nie ma prawie żadnych sił. Mimo że jest to sześciokąt technologicznie rozwinięty, tamtejsi mieszkańcy nie są ani zbyt ruchliwi, ani zbyt groźni.

Oficer należący do rasy Yaxa pokręcił swą owadzią głową.

— Nie. Byłbym zszokowany, gdyby tego spróbowali, ale również zadowolony. Verion wygląda łatwo tylko na mapie. To bardzo górzysty rejon, prawie nie do przebycia dla większych sił. Małe grupy zaś będą wystawione na atak krajowców. Mieszkańcy Verionu są bardziej dzicy, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni. To są robaki żywiące się skałami. Mogą wychynąć spod ziemi w każdym miejscu i udusić lub pożreć nieprzyjaciela. Jesteśmy pewni swojej strategii, ponieważ jakakolwiek zmiana będzie działać na naszą korzyść.

Gunit Sangh skinął głową. Odczuwał tę samą pewność co do rozwoju sytuacji jak ten oficer.

— A siły Awbri?

— Posuwają się wolno, ale zdecydowanie w kierunku Ellerbanty i Verionu — odpowiedział ktoś. — Wygląda na to, że jest to celowa dywersja, żeby unieruchomić siły generała Khutira w Quilst.

— Może masz rację — odparł Sangh. — Co jednak może powstrzymać główne siły od zawrócenia i połączenia się z tamtymi, powiedzmy, w Quilst?

— Zbyt duża odległość — zapewnił go oficer. — Potrzeba by im było tygodnia. Będziemy mieli dość czasu, żeby temu przeciwdziałać. Jednak chciałbym dodać, że w Quilst podnosi się coraz większy szum, żeby wyrzucić stamtąd Khutira. Armia nie była, powiedzmy, zbyt delikatna, a teraz mieszkańcom wydaje się, że ich sześciokąt stanie się polem bitwy pomiędzy siłami Awbri a Khutirem.

— Może mają rację — zauważył Dahbi. — Będziemy w trudnej sytuacji, jeżeli Quilst odwróci się od nas i przyłączy do sił Awbri. Trzeba rozkazać generałowi Khutirowi, żeby ruszył na południe i jak najprędzej zaatakował siły Awbri, możliwie poza granicami Quilstu. Niechaj Quilst pełni straż u wejścia na trasę. Należy też sprawdzić, czy możemy zapewnić sobie współpracę Ellerbanty jako dodatkowe zabezpieczenie. Tymczasem musimy przygotować własne oddziały do wymarszu przeciwko głównym siłom przeprowadzającym koncentrację w Bache. Przez cały czas stosowaliśmy strategię obronną i zostaliśmy wyprowadzeni w po-

le, albo nawet gorzej. Musimy skończyć z tym sami, przy użyciu własnych sił i w wybranym przez nas miejscu!

— Tak jest! — odpowiedzieli uczestnicy narady.

W ich głosach brzmiały podniecenie i niecierpliwość. Podobnie jak Sangh, mieli już dość bezczynności i chcieli działać.

Sangh, wychodząc z narady, polecił jednemu z oficerów, aby wezwał do niego zastępcę. Ten przybył niezwłocznie i po kilku chwilach obaj Dahbi pozostali sami.

— Wasza Świątobliwość — zastępca skłonił się z szacunkiem.

— Sagrah, ta sprawa, o której rozmawialiśmy już dawno temu, jeszcze w naszej ukochanej ojczyźnie, teraz odżyła — powiedział zagadkowo.

— Tak?

— Musimy uznać fakty, Sagrah. Zostaliśmy pokonani przez nieprzyjaciela, który rozumiał nas lepiej, niż my sami siebie. Musimy uznać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Brazil dotrze do Studni.

— Ależ Wasza Świątobliwość. — Sagrah nie był jeszcze w pełni przekonany. — Jeżeli tamten Brazil realizował plan dywersji, to prawdziwy jest teraz wraz z armią. Jeżeli ją rozgromimy, to albo będziemy go mieli, albo będzie uciekał poprzez nasze terytorium.

— A jeżeli to nie jest prawdziwy Brazil? — odparł Sangh. — To i tak musi stać się, jak mówisz. Musimy ich zaatakować, musimy walczyć. Temu nie można zapobiec. Ale w naszym interesie, w interesie Dahbi, a ja przecież jestem jednym z przywódców opozycji, leży to, aby mieć na Brazila haczyk. Udaj się do Strefy. Przekaż naszym, aby uruchomili plan awaryjny. Tylko tyle. Rozumiesz?

— Tak, Wasza Świątobliwość — skłonił się zastępca. — Uruchomić plan awaryjny.

— I, Sagrah — kontynuował przywódca Dahbi — przekaz naszym ludziom, żeby upewnili się, czy ten Brazil przy siłach głównych nigdzie się nie ruszył. Nie życzę sobie żadnych nagłych zniknięć, żadnych sztuczek. Chcę, żeby był w takim miejscu, gdzie może być pod naszą obserwacją. Rozumiesz?

— Wszystkiego wysłuchałem, Wasza Świątobliwość, ale nie jestem pewien, czy rozumiem.

— Nie musisz — odparł Gunit Sangh. — Jeżeli jednak już zamierzasz przejmować się takimi rzeczami, to spróbuj odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego podejmuje się tyle trudu, żeby ukryć istnienie fałszywego Brazila? Dlaczego z takim nakładem wysiłku i kosztów przemyca się go, skoro stanowi wyłącznie element dywersji? Przecież złapaliśmy go przypadkiem. To ma tylko jeden sens, Sagrah.

— Jeżeli był jedynie elementem dywersji, to musiał ujawnić się prędzej czy później — powiedział Sagrah z zastanowieniem. — Jeśli tak, to miał być odkryty, kiedy się przekradał w ustalonym z góry miejscu i czasie.

— Bardzo dobrze — pochwalił Sangh. — A ponieważ został wykryty wcześniej... Rozumiesz? Upewnił się w obu tych sprawach. Upewnił się, że ten drugi Brazil pozostanie przy głównej armii. Musisz uruchomić nasz plan awaryjny. Jeszcze możemy zwyciężyć, Sagrah. Mamy jeszcze dwie możliwości. Teraz idź!

Zastępca odszedł, pozostawiając Gunita Sangha pochylonego nad stołem z mapami. Coś się nie udało w misternych planach nieprzyjaciela. Tego był pewien. Coś się nie udało, kiedy patrol napotkał i zdemaskował fałszywego Brazila w tym właśnie momencie.

Im bardziej skomplikowany i zawiły jest plan, tym większe szanse, że coś się nie powiedzie — myślał. Gdyby tylko można było osiągnąć w związku z tym jakieś korzyści, to zwycięstwo byłoby jeszcze możliwe.

Jeżeli prawdziwy Brazil znajdował się wśród głównych sił, był wciąż bardzo daleko od trasy i Studni.

Bardzo daleko.

Może nigdy tam nie dotrze.

Bache

Podróż przez Dahir była dziwna. Kraj ten wyglądał zarówno na spokojny, jak śmiertelnie niebezpieczny. Cichy pejzaż, pełen zielonych lasów i wielkich gospodarstw rolnych, nie pasował zupełnie do tutejszych mieszkańców, nieodgadzionych, potężnych i groźnych.

Tubylcy siedzieli na grzbietach ogromnych, rogatych zwierząt nie jak przypadkowi gapie lub zainteresowani czymś widzowie, lecz jak zdyscyplinowani żołnierze, w karnych szeregach, a z ich oczu nie można było niczego wyczytać.

Byli wysocy, podobni do insektów, choć o humanoidalnych kształtach ciała. Mieli duże, szerokie stopy zakończone pazurami, a metalicznie lśniące korpusy podparte na gładkich, smukłych nogach. Ich zewnętrzne szkielety, stanowiące pancerz, były tak wypolerowane, że przypominali roboty ze stylizowanych, wyidealizowanych rysunków. Mieli owalne głowy z licznymi otworami. Poniżej oczu, wyglądających, jakby były wykonane ze złotych płytek, widniały silne szczęki; nad oczami zaś sterczały niedługie, drżące czułki. Ciała tych istot były różnokolorowe, połyskiwały metalicznie błękitem, zielenią, złotem, czerwienią i srebrem. Ich dłonie wyglądały, jakby przywdziali bojowe, rycerskie rękawice.

Mieszkańcy Dahiru kipieli gniewem, co dało się natychmiast wyczuć. Nie podobała im się ta bezczynność.

Wierzchowcom, których dosiadali, wyrastały ze środków głów, podobnych do końskich, rogi o kształcie skręconych muszli, niczym legendarnym jednorożcom. Na tym się jednak kończyło podobieństwo tych stworów do koni. Ich tylne nogi były potężne, o wielkich, płaskich stopach takich jak stopy ich jeźdźców. Podpierając się tymi nogami, mogły siedzieć wyprostowane jak kangury. Potrafiły też biegać na czterech kończynach. Przy bliższym przyjrzeniu się można było stwierdzić, że głowy ich były węższe i mniejsze niż końskie.

Tubylcy nie demonstrowali nic ze swoich rzekomych mocy magicznych, ale maszerujące oddziały wyczuwały zagrożenie z tej strony. Żołnierze Brazila byli zadowoleni, że mogli tędy przemaszerować. Zdecydowano, że reorganizacja i przegrupowanie wojsk nastąpi w rozległej dolinie rzecznej w Bache. Teraz, tak już blisko celu i głównych sił przeciwnika, wszystko musiało być w idealnym porządku.

Było dopiero późne popołudnie, ale namioty dowództwa zostały już rozbite. Brazil opuścił swój, stojący na uboczu, i udał się do głównego, który zajmowali Asam i Mavra. Również Marquoz pozostawił swoje oddziały, żeby do nich dołączyć. Miało to być ostatnie spotkanie dowództwa, chociaż tylko Brazil, który je zwołał, zdawał sobie z tego sprawę.

Jedli spokojnie, rozmawiając głównie o dziwnej atmosferze panującej w Bache i o swoim zmęczeniu i zapominając na chwilę o wszystkim innym. Brazila ogarnął nawet nieco nostalgiczny nastrój.

— Wiecie — powiedział — tam wśród gwiazd tryliony ludzi zajmują się swoimi codziennymi sprawami. Nawet w Komlandach, gdzie sytuacja stawała się ostatnio zupełnie zwariowana, większość ludzi również zajmuje się swoimi sprawami. Wszystko to jest niesamowite. Nigdy nie czułem się dobrze w Świecie Studni. Jest zbyt fantastyczny, oderwany od rzeczywistości, od reszty wszechświata. Jest jak odległa wyspa.

— Ja uważam, że jest odświeżający — sprzeciwił się Marquoz. — Lubię tę różnorodność. Różne istoty, różne systemy społeczne, różne sposoby życia. To jest mikrokosmos, tak, ale unikalny. Wydajesz się zakładać, że odrębność jest zła.

— Racja — włączył się Asam. — Ostatecznie ta nasza wojna jest pierwszą od tysiąca lat, a trzecią w historii. Pozostałe dwie też wywołane były przez nowo przybyłych. To nie jest wcale takie złe miejsce.

— Nie byłeś na zewnątrz — zauważył Brazil. — Nie byłeś nigdzie poza Światem Studnią. Powiedz mi, Asamie, czy nigdy nie patrzyłeś na gwiazdy i nie pragnąłeś ich odwiedzić, latać od jednej do drugiej?

— Cóż — powiedział wreszcie Asam po namyśle. — Byłem zbyt wielkim realistą, żeby oddawać się marzeniom. Do diabła, przecież nawet tutaj wszystkiego nie widziałem, a obejrzałem więcej chyba niż ktokolwiek inny. A cóż tam takiego jest? Wielka pustka i światy podobne do tego, a każdy zamieszkały przez jedną rasę. Wielka pustka, w której każdy walczy z każdym, kogo spotka. Nie... tu mi się bardziej podoba.

Brazil spojrzął na Mavrę.

— Ty byłaś i tu, i tam. Gdy ostatni raz byłaś tu, zrobiłaś prawie wszystko, żeby się stąd wydostać. Czy zmieniłaś zdanie?

— Nie wiem... — odpowiedziała szczerze. — Naprawdę nie wiem. Asam pokazał mi inne życie. Takie, jakie tu jest możliwe. Mim teraz dało, które pasuje do tego świata, które mi daje wolność. Nie jestem rannym zwierzęciem jak wtedy. Ale ostatecznie — dodała ze smutkiem po chwili namysłu — to przecież i tak nie ma znaczenia, prawda? Upłynie chyba jeszcze wiele czasu, zanim powrócą loty kosmiczne. Chyba że lubisz pocieranie patyków, by rozpalić ogień i kulenie się po jaskiniach. Wkrótce tylko to nam pozostanie.

— Może tak — odparł ostrożnie, przyglądając się jej. — Może nie. Wszystko jest relatywne, kiedy ma się do czynienia ze Studnią Duszą, a to, co mówisz, jest prawdą tylko dla tego wszechświata.

— To jedyny wszechświat, jaki mamy — odparła.

— Nie — potrząsnął głową. — To jest jakiś wszechświat, a nie ten wszechświat. Energia potrzebna do jego rozpoczęcia pochodziła z innego wszechświata. Musi istnieć równowaga. Tego wymaga fizyka. Wewnątrz każdej czarnej dziury, na przykład, jest coś wyjątkowego. Co się tam dzieje? Czy to się kiedykolwiek ujawni? Energia i materia nigdy nie przestają istnieć. Nie mogą być ani stworzone, ani unicestwione. Takie jest prawo. Mogą być tylko zmienione. A przeciwwaga musi być gdzieś w innym wszechświecie. Gdzieś muszą być białe dziury. Taki jest stan rzeczy. To, że Studnia wygląda jak coś magicznego, nie znaczy wcale, że jest magią. Nie jest. Jest to po prostu tak skomplikowana technologia, że nie możemy jej obecnie pojąć.

Marquoz patrzył na niego z podziwem.

— To nie brzmi jak wypowiedź człowieka, którego znałem, który zarabiał na życie grą na flecie gdzieś na peryferiach Komlandów. To zupełnie do ciebie niepodobne. Czy rzeczywiście jesteś Cyganem? — zapytał, spoglądając na niego podejrzliwie.

Cygan westchnął i poprawił się na krześle, jakby się zastanawiając. Wreszcie odpowiedział tak cicho, że trudno było go usłyszeć:

— Jeżeli nie jestem Cyganem, to kim jestem?

— Nie jesteś Cyganem! — wykrzyknęła Mavra, patrząc na niego z nagłym przerażeniem. — Jesteś Brazilem! Te wszystkie rozmowy o mnie, o Brazilu. . . — Kręciła głową z obrzydzeniem. — Ale musiałeś się ze mną naśmiewać! Ty skubańcu!

Odwróciła się i wybiegła z namiotu.

Reszta trwała przez chwilę w ciszy, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie Marquoz przerwał milczenie:

— A zatem jesteś Brazilem. Dlatego tak mnie unikałeś.

— Tak — skinął głową. — Teraz wszystko się ujawniło. I cóż z tego? Co to za różnica?

— Duża, jeżeli reakcja Mavry coś znaczy — stwierdził Asam.

Brazil westchnął.

— Mavra ma problemy. Uważa, że została pozbawiona wszystkiego, opuszczona, porzucona we wczesnym dzieciństwie, pozbawiona miłości. Podejrzewam, że jej tęsknota za miłością, za ojcem przemieniła się w nienawiść do mnie. Czemu nie? Byłem istotą najbardziej zbliżoną do idei ojca. Dorastanie, będące jej udziałem, i samotność spowodowały, że wytworzyła się w niej skorupa zgorzknienia, która rzadko pęka. Jeżeli odczuwasz brak czegoś, to wmawiasz sobie, że jest ci to

niepotrzebne. Jesteś dumny ze swojej samotności. Za każdym razem, kiedy Mavra pozwoliła zniknąć tej skorupie, bywała boleśnie raniona.

— Jeżeli potrzebuje miłości, mogę jej ją dać — powiedział Asam szczerze.

— To może nie wystarczyć — ostrzegł Brazil. — Spotykało ją tyle bólu, kiedy się z kimkolwiek wiązała, że będzie się bronić przed powtórzeniem się tej sytuacji. Możesz sobie z tym nie poradzić. Mimo to pozwolę jej wybrać. Gdy będę już w Studni, mogę dokonać wielu rzeczy. Jeżeli zechce pozostać tutaj, z tobą, będzie mogła to zrobić. Wybór będzie należał do niej.

Marquoz kręcił się niepewnie w czasie dyskusji na temat Mavry. Uznał, że lepiej będzie zmienić temat.

— W porządku, Brazil. Może byłoby dobrze, byś wyjaśnił, co właściwie tu robisz zamiast Cygana i w związku z tym — co my tu robimy. Jak sobie teraz wyobrażasz przedostanie się do Studni?

— Nie zwalajcie na mnie winy za wszystko — odpowiedział, jakby się broniąc. — Pamiętajcie, że wcale nie chciałem tu być. To ten piekielny komputer opracował cały plan, od samego początku. Znalaziono mnie i doprowadzono do Obiego wbrew mojej woli. To komputer przekonał was do podjęcia działań zgodnie z planem. Przyznaję, że ta maszyna zupełnie zwariowała. Podejrzewam, że pod wpływem Mavry. Ale jest to ostatecznie komputer i gdy już wprowadzono wszystkie dane, zdecydował, że to ja muszę naprawić Studnię; opracował plan w oparciu o otrzymane dane.

— Dotyczące także ciebie — zauważył Marquoz.

— Tak, dotyczące także i mnie — przyznał kwaśno. — Niewiele to jednak dało. Omal go nie załatwiło, i mnie też. W każdym razie Obie był kiedyś połączony ze Studnią i wie, jak działa, jak jest programowana, a to jest więcej, niż ja wiem. Zdecydował się przebadać całą ludność Olimpu, żeby sprawdzić, kto sprosta jego wymaganiom. Nas też sprawdzono. Obie zaplanował, że ty, Mavra i Jua po przejściu przez Studnię macie stać się tymi konkretnymi istotami. Podobnie stało się z prawie całą załogą Nautiliusa, która została wysłana wcześniej dla podjęcia pierwszych przygotowań. Musieliśmy zakupić statki, zbadać teren i tak dalej. Kluczową postacią planu okazał się Cygan, który poza innymi rzeczami potrafi przemieniać się w idealnego sobowtóra dowolnej osoby.

— Kim albo czym jest ten Cygan? — dopytywał się Marquoz. — Myślałem, że to ja znalazłem go gdzieś na prowincji, ale zawsze wydawał mi się dziwny.

— Wiem, wiem, — odparł Brazil, z wolna kręcąc głową. — Naprawdę jednak nie mam najmniejszego pojęcia. Sam chciałbym wiedzieć. Myślę, że Obie wiedział, ale nikomu tej informacji nie przekazał. Wiemy przynajmniej tyle, że Cygan jest po naszej stronie i że jest kluczową postacią planu. Jego mocą, jeżeli tak można powiedzieć, jest umiejętność korzystania z potęgi Studni wyłącznie za pomocą siły woli. Tyle przynajmniej się domyślam. Może korzystać z tej potęgi

podobnie jak Obie, ale jedynie na swój użytek. Nie może przenieść ani ciebie, ani mnie w inne miejsce, ani też zmienić naszego wyglądu.

— Jak mały Markowianin — wtrącił Asam. — Wygląda mi na to, że właśnie o coś takiego im chodziło.

— Masz do pewnego stopnia rację — przyznał Brazil po chwili zastanowienia. — Może robić mniej więcej to, co mógł robić przeciętny Markowianin, a gdyby miał do swojej dyspozycji kompletny mózg Markowa, mógłby prawdopodobnie robić wszystko, co potrafili oni.

— Ma przecież całą Studnię Dusz — zauważył Marquoz.

— Nie — zaprzeczył Brazil. — Ona tak nie działa. To inny rodzaj urządzenia. Działa inaczej i używana jest w innym celu.

— Mavra wykombinowała, kiedy dowiedziała się, że to nie ty odprowadziłeś nas na tę planetę Markowa, że Obie wykonał kopię Cygana, podczas gdy Cygan udawał ciebie — powiedział Asam.

— Tak być nie mogło — odparł Brazil. — Obie mógł wprowadzić, stworzyć postać wyglądającą jak Cygan, ale nie zdałaby ona egzaminu wśród przyjaciół i współpracowników. Nie. Podejrzewam, że kiedy oglądaliście Cygana, widzieliście to, co on chciał, żebyście zobaczyli. Myślę, że tego rodzaju moc posiada. Kiedy dotarł do planety Markowa, miał dość mocy rezerwowej z własnego komputera, żeby utrzymać iluzję... Nie — pokręcił głową Brazil. — To nie jest chyba właściwa odpowiedź. Jest to możliwe, ale wysoce nieprawdopodobne. Mam podświadome uczucie, że rozwiązanie zagadki, jaką stanowi Cygan, jest proste, logiczne i oczywiste i mamy je przed nosem, ale nie umiemy go dostrzec. Nie ma to właściwe znaczenia, ale obawiam się, że niewiedza doprowadzi mnie któregoś dnia do szaleństwa. Fakt pozostaje faktem, że Cygan posiada pewne umiejętności i Obie je wykorzystał.

— Jeżeli Cygan potrafi robić pewne rzeczy, dlaczego nie potrafisz ich robić ty? — zapytał Marquoz, przyglądając się dziwnie małemu człowieczkowi.

— Ponieważ nie jestem Markowianinem i nie mam pojęcia, jak ten system działa — odparł szybko Brazil. — Nie znaczy to wcale, że nie umiem rozwiązać problemu. Wiem, które guziki naciskać. Właściwe tylko to różni mnie od was. Nie potrafię dostrzec energii Markowa, nie potrafię wyczuć nic nadzwyczajnego, nie potrafię użyć mocy. Moja moc pojawia się tylko kiedy jestem wewnątrz maszyny, a nawet tam jestem człowiekiem obsługującym komputer, nie jego projektantem. To duża różnica.

— Wygląda na to, że pomniejszasz swoje znaczenie — zauważył Asam. — Mnóstwo ludzi walczyło za ciebie i zginęło.

— Albo za coś — odparł ponuro Brazil. — Naprawdę nie jestem nikim nadzwyczajnym. Nie mogłem nawet wziąć na siebie odpowiedzialności w przypadku Mavry. Po prostu wepchnąłem ją komu innemu. Myślę, że słusznie ma do mnie żal.

— Czujesz się winny? — dopytywał się centaur.

— Nie, właściwie nie — odparł Brazil z uśmiechem. — Prawda polega na tym, że gdybym czuł wyrzuty sumienia za różne rzeczy, pewnie bym oszalał. Może już jestem szalony, ale właściwie w ogóle nie mam wyrzutów sumienia. Po prostu żyję za długo. O wiele za długo.

— Jesteś zgorzkniały? — zapytał Marquoz.

— Nie zgorzkniały, tylko zmęczony. Bardzo, bardzo zmęczony. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co to znaczy żyć dzień po dniu, rok po roku, stulecie po stuleciu przez niezliczone wieki. Jestem człowiekiem szalonym, Marquoz. Sam sobie jestem winien. Sam wybrałem taki los bez chwili namysłu, bez wahania. Ale nikt, absolutnie nikt nie może sobie wyobrazić, jaką to oznacza ogromną samotność. Samotność i nudę. Rasy nie dojrzewają w ciągu jednej nocy. Dojrzewają przez tysiące lat. Ty tymczasem czekasz, obserwujesz najbliższych, jak się starzeją i obracają w proch w ciągu stulecia czy dwóch. Stwierdzasz wreszcie, że masz dosyć, że chcesz z tym skończyć, ale nie możesz. Jesteś w pułapce.

— Cygan powiedział nam, że być może się zabijesz, gdy już naprawisz Studnię — powiedział Asam niepewnie. — Wygląda na to, że się nie mylił.

— To zależy. — Brazil uśmiechnął się gorzko. — To jest jedyne miejsce, gdzie mogę to zrobić. Nie będę jednak mógł tego uczynić, jeśli nie znajdę nikogo, kto przejmie straż i odpowiedzialność.

Dillianin pochylił się nagle i chwycił Brazila w stalowy uścisk.

— Tylko nie Mavra. Nie zrobisz jej tego.

Brazil zdjął delikatnie ręce centaura ze swych ramion.

— Nie zrobię tego nikomu — powiedział łagodnie. — Nie mógłbym. Jedyne, co mogę zrobić, to zaproponować możliwość wyboru. To i tak jedyna rzecz, jaką każdy osiąga w życiu. Możliwość wyboru. Jestem jedyną osobą w całym wszechświecie pozbawioną tej możliwości.

Teraz właściwie nie pozostało już nic do powiedzenia. Marquoz postanowił zatem zmienić temat:

— Jak będziemy działać?

Brazil patrzył jednak na Asama.

— Pułkowniku, czy ma pan jeszcze swoje cygara? Myślałem, że dostanę szalu od palenia tych papierosów, udając Cygana.

Asam podszedł do swoich pakunków, grzebał w nich przez chwilę i wyciągnął dwa cygara. Jedno rzucił Brazilowi, drugie wsadził do ust. Marquoz ponuro przyglądał się im obu, jak palili. Chciałby się do nich przyłączyć, jednak budowa jego paszczy wykluczała tę możliwość.

— Będę wahał wasz dym — powiedział żałośnie.

Brazil usiadł wygodniej i kontynuował przerwane wywody.

— Za dwa dni Cygan ujawni się jako ja, co doprowadzi przeciwników do słusznej konkluzji, że ten Brazil, o którym wiedzą, jest prawdziwy. Ja zaś wciąż będę tutaj.

— Chyba rozumiem. — Marquoz skinął głową. — Cygan użyje swej mocy, żeby się tu natychmiast pojawić. Brazil będzie tutaj w dalszym ciągu, tyle że to nie będziesz ty. Oni zaś będą myśleli, że zlokalizowali prawdziwego Brazila i rozpoczną akcję przeciwko nam.

— Ja zaś wyruszę z jednodniowym wyprzedzeniem — przytaknął Brazil. — Zamierzam uczynić to jutro wieczorem. Ci nowo przybyli Agitarianie, których spotkaliśmy kilka dni temu, nie byli zwykłymi przybyszami. Są to członkowie załogi Nautiliusa. Mają też swoje pegazy. Jestem mniej więcej ich wzrostu i wagi, a pegazy mogą przecież unieść dwukrotnie większe ciężary. Dwóch Eflików zabierze Mavrę w specjalnie przygotowanym urządzeniu. Nie denerwuj się, Asam. Wypróbowaliśmy je. Jest zupełnie bezpieczne, a Efliki doskonale dadzą sobie radę z jej ciężarem, jeżeli nie będziemy lecieli dłużej niż kilka godzin.

— Nie o tym myślę — mruknął centaur ponuro.

Brazil westchnął.

— Powiedziałem wam, że nikogo do niczego nie zmuszam. Nie patrz tak na mnie. Nie mam zamiaru nic robić. Wszystko zależy od Mavry. To jej sprawa.

— Będzie jednak musiała zmienić plany — od drzwi dobiegł czyjś głos.

Wszyscy odwrócili się zdumieni. Przy wejściu stał Cygan.

— Zaskoczyli mnie, zanim byłem gotów — rzekł z niezadowoleniem. — Nic nie mogłem zrobić. Chcieli mnie uspić jakimś narkotykiem.

— Cholera — zaklął Brazil. — Myślę, że musimy ruszać zaraz. Wszystko jeszcze może się udać.

— Czemu nie? — zauważył Marquoz. — Będziecie musieli lecieć nieco dłuższymi etapami. Mała niedogodność.

— Eflikom będzie ciężko — odparł Brazil — co dla wszystkich oznacza zwiększenie ryzyka. Będziemy musieli lecieć nocami i kryć się za dnia. Przez najbliższych kilka dni Verion będzie nie do przebycia. Trwa tam okres rui i te robale lśnią nocą jak lampy elektryczne. Możemy być dostrzeżeni. A jeżeli już coś się spostrzeże, to się o tym melduje, gdzie trzeba — i możemy być zastrzeżeni. Trzeba będzie ruszyć drogą południową, a siły awbryjskie Juy nie posunęły się jeszcze dość daleko, żeby odciągnąć armię Khutira od trasy lub spowodować wystarczającą dywersję.

— O tym pomyślałem — poinformował Cygan. — Byłem u Juy i wyjaśniłem sytuację. Ruszyli niezwłocznie. Rzeczywiście wyprawa będzie bardziej ryzykowna teraz niż za dwa dni, ale wciąż mamy duże szanse. Myślę, że trzeba ruszać.

Brazil skinął głową i spojrzał na Asama.

— Poproś Mavrę.

Przez chwilę Dillianin wahał się. Może myślał, że gdyby nie ruszyła w drogę, nie groziłoby jej niebezpieczeństwo.

— Chyba nie zmieniłeś zdania, Asamie? I nie chcesz przejść na stronę przeciwnika? — zwrócił się Marquoz do centaury. — Jeżeli to zrobisz i tak ją utracisz.

Pułkownik westchnął i udał się na poszukiwanie Mavry.

Brazil odezwał się do Cygana:

— Ty stary skubańcu, jeszcze mi się z tego wy tłumaczysz, zanim to wszystko się skończy.

— Może — uśmiechnął się Cygan. — Zanim to się skończy — dodał żartobliwie. — Hej, Marquoz, znowu jesteśmy razem. Utworzymy świetną drużynę!

— Być może — odparł z namysłem Hakazityjczyk. — Być może...

— Co zatrzymuje Asama? — Brazil kręcił się niespokojnie. — Do diabła, mamy jeszcze tyle do zrobienia, zanim ruszymy. A musimy to zrobić niezauważenie. Cygan, będziesz nas krył?

— Przez krótki czas. Tyle, ile będzie trzeba. To duża armia i będzie rozciągnięta w długą linię. Mogę ukazać się jako Brazil tu i ówdzie. Mogę też od czasu do czasu wystąpić jako Mavra, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

— Dobrze. Do diabła! Co tam się dzieje? Czy Mavra jest aż tak na mnie wściekła, że nie zamierza przyjść? Czy może Asam...? — Brazil nie dokończył myśli.

Wszyscy nagle poczuli zaniepokojenie i zdenerwowanie. Zaczęli krążyć po namiocie. Brazil spojrział na Cygana.

— Ucharakteryzuj się jakoś. Pójdziemy zobaczyć, co się dzieje.

Cygan zaczął wibrować i migotać i upodobił się do Marquoza.

— To jest Hakazityjczyk — zażartował Marquoz.

— Muszę jakoś podtrzymać twoją reputację — odciął się Cygan.

Wyszli. Rozdzielili się i rozglądali po płaskim dnie doliny. Obozowały tu tysiące istot z wielu różnych ras. Ogniska rozciągały się we wszystkich kierunkach. Nie było jednak nigdzie śladu Asama ani Mavry.

Brazil wezwał do siebie swoją gwardię złożoną z ludzi i polecił im przeszukać teren. Cygan szybko zanotował w pamięci ich twarze i imiona, podczas gdy Brazil wydawał im instrukcje.

Mimo upływu czasu nie nadchodziły żadne wiadomości.

— Wcale mi się to nie podoba — Brazil zwrócił się do Cygana.

— Mnie też — przyznał Cygan. — Czy nie myślisz, że już za długo wszystko nam się udawało?

— Obawiam się... — zaczął Brazil.

Przerwał mu okrzyk jednego z ludzi. Brazil pobiegł w tamtym kierunku. Cygan ciężkim krokiem podążał za nim.

Nad brzegiem niewielkiej rzeczki rósł zagajnik. Tam właśnie skierował ich goniec. Brazil dotarł pierwszy do rzeczki i spostrzegł tam Marquoza przygląda-

jącego się jakimś śladom na błocie. Obok niego stał Asam, który wyglądał jak rażony piorunem.

— W samym środku całej armii! — warczał Marquoz. — Boże! Byliśmy zbyt pewni siebie! Skubańcy!

Brazil obejrzał wilgotny piasek. Widać było wyraźnie odciski kopyt, zmierzające ku kępie drzew. W tym miejscu część brzegu osunęła się i właśnie tu ślady stawały się splątane i niewyraźne. Dalej żadnych nie było.

— Do diabła! W jaki sposób można porwać pięćsetkilogramową Dilliankę sprzed nosa dziesięciu tysięcy żołnierzy?! — wściekał się Marquoz.

Asam spojrział na Brazila. Twarz jego była blada. Malowały się na niej rozpacz i zdumienie.

— Zniknęła — wyszeptał zduszonym głosem. — Mają ją.

Zbliżył się Cygan, zatrzymał się i natychmiast zrozumiał, co się stało.

— Cholera! — powiedzieli równocześnie Cygan i Brazil.

Bache, tej samej nocy

Badali sytuację, węszyli, wypytywali, prowadzili dochodzenie prawie przez całą noc, ale bez skutku. Paru Dillian obozujących w pobliżu odniosło wrażenie, że słyszało jakąś szamotaninę. Kilku wojowników Hakazitu, przebywających nieopodal zagajnika, przypominało sobie niejasno, że widziało jakieś ciemne kształty unoszące się w powietrzu. Nikt jednak nie wiedział nic konkretnego. Żołnierze, podobnie jak ich przywódcy, czuli się w obozie bezpiecznie i uważali, że byle jakie zamieszanie to nie ich sprawa, w każdym razie dopóki nie był to atak nieprzyjaciela.

— Dlaczego ona? — jęczał Asam. — Dlaczego nie ty, Brazil? Przecież chcieli ciebie.

— Ale nie mogli się do mnie dobrać. To musiała być niewielka operacja. Zaledwie kilku ludzi. Większość pochodziła pewnie z naszego obozu, więc ich obecność nie rzucała się w oczy. Teraz są spłoszeni. Przypuśćmy, że chcieliby porwać mnie. Ja tymczasem roześmiałbym się im w nos, przemienił w kogoś innego, a następnie zniknął. Co by się z nimi stało? Tak, porwanie Mavry to zupełnie coś innego. Dillianie uwielbiają ją, nie mówiąc już o tobie. Spowoduje to demoralizację wojsk i dowódców. Znają jej historię, prawdopodobnie od Ortegi. Wiedzą, że ona dla mnie też coś znaczy. Można by powiedzieć, że to jedyny członek rodziny. Może też wiedzą od jakichś jeńców, iż planowałem, że wejdzie ze mną do Studni Szantaż. To ma sens.

— A ty? Co teraz zrobisz? — Asam patrzył na niego gniewnie.

— Nie wiem. — Brazil pokręcił głową. — Naprawdę nie wiem, pułkowniku. Wszystko, co w tej chwili mogę zrobić, to zająć się tą sprawą. Czasu mamy mało. Jutro przed wieczorem muszę podjąć ostateczną decyzję. To jedno jest pewne. Wciąż myślę, że będę w stanie dotrzeć do Studni. Jest jednak oczywiste, że nie podjęliby tej akcji, gdyby już nie maszerowali przeciwko nam. Nie mogę dłużej zwlekać, bo zostanę odcięty. I, do diabła, to niesprawiedliwe! Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za wyłączenie maszyny. Wszyscy ci ludzie, tam... znikną, jak gdyby nigdy ich nie było. Wszyscy, mali i duzi. Wszyscy. Nie wiem, czy się na to zdobędę.

— Weź ze sobą kogoś innego — zaproponował Asam.

— Kto jeszcze ma odpowiednie kwalifikacje? Cygan? Musi zostać tutaj, by nasz plan mógł się ogóle powieść. W przeciwnym razie stanę się oczywistym celem. Nie jestem także pewien, kim on właściwie jest. Reszta wszechświata może go w ogóle nie obchodzić. Jua? Ona wierzy, że zniszczę wszechświat i stworzę raj. Marquoz? Wydaje mi się, że Cygan jest jedynym człowiekiem, który go w głębi duszy obchodzi. Ty? Do diabła! Przecież ty nie będziesz nawet wiedział, co zamierzasz zniszczyć. Jedynie Mavra w pełni rozumie ogrom odpowiedzialności.

Asam spoglądał na niego z powagą.

— Wielu dobrych ludzi walczyło za ciebie i zginęło. Nie czujesz się za nich odpowiedzialny?

— Widzisz? — Brazil uśmiechnął się krzywo. — Ty rzeczywiście nic nie rozumiesz. Cywilizacje, niezliczone miliardy ludzi, ich wielkość, ich osiągnięcia, ich idee... To wszystko jest dla ciebie abstrakcją. Tylko ci nieliczni, co zginęli tutaj, mają dla ciebie znaczenie, bo należeli do twojego świata. Świat Studnia jest zbyt ograniczony. Tu nie ma Michała Anioła, Leonarda da Vinci, nie ma Homera, Tołstoja ani nawet Marka Twaina. Nie ma Haendla, Beethovena ani Strawińskiego. A pomnóż to przez wszystkie rasy istniejące we wszechświecie ze wszystkimi ich zdumiewającymi osiągnięciami. Ty rzeczywiście nie rozumiesz, co to znaczy wymazać to wszystko.

— Nie rozumiem, o czym mówisz. To prawda — przyznał Dillianin. — Myślę jednak, że ciebie potrafię zrozumieć całkiem dobrze. W rzeczywistości nie chodzi ci wcale o wszystkie te dziwaczne imiona, które wymieniasz. Tak przynajmniej myślę. Niepokoi cię to, że nie możesz znaleźć frajera, który przejąłby od ciebie te wszystkie sprawy, żebyś mógł spokojnie umrzeć.

Brazil popatrzył na niego wzrokiem wyrażającym mądrość tysiącleci, wzrokiem pełnym bólu i cierpienia większych niż ból.

— Jeżeli tak uważasz — powiedział wreszcie — to zupełnie mnie nie rozumiesz.

Asam odwrócił się i ruszył w kierunku swego namiotu. Było w nim przerażająco pusto. Sam nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Czuł jedynie przemożną chęć zniszczenia czegoś. Niczego jednak nie roztrzaskał. Zamiast tego sięgnął do swych juków, wydobył dużą flaszkę i pociągnął z niej długi, długi tyk.

* * *

Asam nigdy nie miewał snów, a jeżeli nawet, to nigdy ich nie pamiętał poza nielicznymi marami sennymi z dzieciństwa. Teraz jednak zdawało mu się, że śni, ponieważ nie znajdował lepszego wytłumaczenia.

Wydawało mu się, że obudził go jakiś szelest, ale z początku nie mógł nic dostrzec w ciemności. Powoli jednak namiot zaczął wypełniać się niesamowitym, białym światłem.

To alkohol — pomyślał. To musi być alkohol. Jednak to właśnie zmęczenie i alkohol przyćmiły jego umysł, ponieważ nie rozpoznał natychmiast tego, co zobaczyły jego oczy. Lecz w końcu zrozumiał, co się dzieje i jego ręka sięgnęła po miecz. Broń palna zadawała tym istotom jedynie powierzchowne rany, ale pokračując je można było tak samo jak każdego innego.

— Odłóż miecz, pułkowniku. Jestem tutaj po to, żeby rozmawiać, a nie walczyć — powiedział Dahbi, kończąc wyłaniać się z podłogi i stabilizując się nie dalej jak trzy metry od niego.

Asam nie wypuścił miecza, ale nie wyciągnął go też z pochwy.

— Czego, u diabła, chcesz? — wychrypiął.

— Już powiedziałem: rozmawiać. Nic więcej. Zadałem ci znacznie boleśniej-
szy cios, niż gdybym wbił ci nóż w serce. O tym chyba już wiesz. Nigdy nie dowiesz się, jaką mi to sprawiło przyjemność, ani też, jaką przykrość sprawia mi oferta zwrócenia jej tobie.

Asam nieco się rozluźnił, ale po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

— Sangh. Sam Gunit Sangh! — wyszeptał. — Jesteś odważny. To muszę przyznać.

— Nie ma większego niebezpieczeństwa — odparł Dahbi. — Wiesz przecież, że mogę przeniknąć nawet przez skałę. Poza tym chciałem, żebyś się dowiedział, iż sam nadzorowałem naszą małą operację wczorajszego wieczora. Dodaje to wymowy i, powiedzmy, sprawiedliwości temu wszystkiemu.

— Sprawiedliwości! Tfu! Co za bezczelność!

— Gdzie twoje maniery, pułkowniku? — powiedział Gunit Sangh szyderczo. — Mam coś, czego ty chcesz. Ty masz coś, czego ja chcę. To, co mam ja, nie może być, oczywiście, zbyt daleko. Mieliśmy za mało czasu, a wasza rasa jest, powiedzmy, dość duża. Mimo to nigdy jej nie znajdziecie. No, może by się to wam w końcu udało, gdybyście mieli kilka tygodni czasu. Nasza armia maszeruje jednak przeciwko wam i wkrótce zabraknie wam czasu na poszukiwania. Ponadto odnalezienie jej byłoby równoznaczne z wydaniem na nią wyroku śmierci.

— Ty skubańcu! — wściekł się Asam. — Skąd mogę wiedzieć, czy ona jeszcze żyje?

Dahbi wyglądał na oburzonego.

— Czy moje słowo ci nie wystarczy? No, może rzeczywiście nie wystarczy. Ale potrzebuję jej żywej. Martwa nie jest nikomu potrzebna. Żywa jest naszą zakładniczką.

— Dla Brazila to nie ma znaczenia — powiedział Asam, uśmiechając się kwaśno. — On przestał przejmować się kimkolwiek już miliony lat temu. Jest tak samo zimny jak ty.

— Przykro mi to słyszeć — odparł Dahbi, starając się nadać swojej wypowiedzi ton szczerości. — Z drugiej strony czyni to sprawę prostszą. Jeżeli nie czujesz do niego sympatii, moja prośba będzie łatwiejsza do spełnienia.

— O co ci chodzi? — Asam przyglądał mu się podejrzliwie.

— O transakcję. Brazil ci ufa. Mogę zakładać, że zamierza przed bitwą opuścić armię, licząc, że wasza śmierć odwróci naszą uwagę. Może podstawi sobotóra, żeby nas zmylić. To jednak nie zda egzaminu. Będziemy czujni. Wygląda na to, że Brazil nigdy nie dotrze do trasy, a tym bardziej do Studni.

— Więc czego chcesz ode mnie? — warknął Asam.

— Możemy go nie złapać. Jest to mało prawdopodobne, ale jednak możliwe. Brazil zna przecież mnóstwo sztuczek. Ty wiesz, kto jest prawdziwym Brazilem, prawda? — dodał po chwili milczenia.

— Wiem — przyznał pułkownik.

— A zatem sprawa jest prosta. Mavra Chang za Brazila. Jutro. Najpóźniej za dwadzieścia cztery godziny. Doprowadzi to nie tylko do osiągnięcia głównego celu, ale także zapobiegnie dalszym walkom. Nie będzie już powodu do kontynuowania wojny i skończą się ofiary.

— Nie ufam ci ani na jotę, Sangh — powiedział Asam, marszcząc brwi. — Od kiedy to tak przejmujesz się cudzym życiem? Nie dajesz żadnych gwarancji.

— Gwarancji otrzymasz kilka — odparł Gunit Sangh. — Sprowadzisz Brazila do Bramy Strefy. W Strefie obowiązuje immunitet dyplomatyczny. Rada nie pogwałci statusu Strefy, nawet jeżeli jest przeciwko wam. Zabierz go do swojej ambasady. Tam dokonamy wymiany. Albo lepiej nie przeprowadzaj Brazila przez Bramę Strefy, dopóki goniec nie doniesie wam, że Mavra Chang jest w ambasadzie w Strefie.

Asam uspokoił się już zupełnie i zamyślił się. Wreszcie zapytał:

— Dlaczego to robisz, Sangh? Dlaczego zgodziłeś się objąć dowództwo? Co z tego masz?

— Zastanów się — odparł Dahbi. — Jakie zaszczyty osiągnie ten, kto schwyta Nathana Brazila? Zaszczyty, potęgę, wpływy. Zastanów się nad idealnym więzieniem kilkaset metrów w głąb granitowej skały. Tunel, którym się go wprowadzi, zostanie zawalony poza wąskim szybem do podawania żywotności i wody. Rada nie dostanie Brazila. Będą go mieli Dahbi. Ja. Będzie zakładnikiem. Wszyscy mi będą wdzięczni. Wszyscy, którzy nie zginęli w tych zwariowanych bitwach. Zastanów się, jaki to będzie miało wpływ na Ortegę. Ludzie przestaną się go bać. Jego władza zmaleje. Zajmę jego miejsce i ten stary, tłusty wąż w końcu zdechnie. Jego wpływy na Radę Świata Studni ustaną. Już mówi się, że nie można mu ufać, jako staremu przyjacielowi Brazila. Pojawi się wiele nowych możliwości.

Asam poczuł, że przebiegł go dreszcz na myśl, iż Gunit Sangh zdobędzie nieograniczoną władzę. Dziwne jednak, że po wysłuchaniu tego ponurego planu nabrał pewności siebie.

Sangh był szczery. Szczerość ta po części wynikała z pewności, że dźerży w rękę wszystkie karty, a po części z arogancji. Dawał do zrozumienia, że obecnie stawka jest zbyt wysoka, aby ryzykować oszustwo.

— Przerzucimy ją do Strefy jutro po zmierzchu — powiedział. — W naszej ambasadzie w Strefie przyjmujemy każdego wysłannika, którego wyznaczysz dla sprawdzenia, czy wszystko jest w porządku. Od tej chwili będziesz miał osiem godzin na wypełnienie swojej części transakcji.

— A co potem?

— Będziecie mogli wrócić do Dillii — wyjaśnił Sangh. — Oczywiście nie załatwia to starych spraw pomiędzy nami. One jeszcze poczekają na rozwiązanie. Gwarantuję jedynie bezpieczny powrót dla ciebie i dla niej do Dillii. Porozumienie dalej nie sięga.

— Zastanowię się nad tym — westchnął Asam. — A jeżeli się nie wywiążę?

— Wtedy Mavra będzie przeznaczona na rytualną ucztę dla personelu naszej ambasady. Nie pozostanie po niej żaden ślad — powiedział Dahbi zimno.

— Ty skubańcu! — zaklął Asam. — Ty wstrętny skubańcu! Któregoś dnia cię dostanę!

— Któregoś dnia — zgodził się Dahbi. — Ale nie w ciągu najbliższych dwóch dni.

Sangh powrócił do swego mlecznobiałego stanu i wsiąknął w ziemię bez śladu.

— Ty skubańcu — powtórzył Asam w ciemnościach.

Jego umysł pracował już jednak na pełnych obrotach. Tworzył plany, wymyślał podstępny. Zastanawiał się nad udziałem Cygana. Nie miał pewności, czy może zaufać temu dziwnemu, małemu człowieczkowi. Coś mogło się nie udać. Mogli zostać zdradzeni. Sangh spodziewał się ucieczki Brazila i na pewno będzie czujny. Nie, to powinno być załatwione inaczej. Musiał wybierać pomiędzy Mavrą a Brazilem. Na tym polegała sprawa, a wybór był prosty.

Dahir

Gospodarstwo rolne położone było zaledwie dwadzieścia kilometrów od granicy. Leżąc na uboczu i niezbyt daleko, nadawało się świetnie do ich celów. Dwóch pochodziło z Dahbi, pozostali zaś byli Krithianami. Ich wielkie skrzydła uderzały rytmicznie, zgodnie z sygnałami podawanymi przez jednego z nich. Pomiędzy sobą, na ogromnej płachcie, nieśli wielki ciężar, Mavrę, nieprzytomną po środkach usypiających wstrzykniętych podczas zasadzki.

Oddychali ciężko, kiedy zbliżali się do granicy, chociaż byli dumni, że udało im się przelecieć taki szmat drogi z tak dużym obciążeniem. Teraz jednak, kiedy przekroczyli granicę Dahiru, wspomagała ich magia miejscowych kapłanów i lot stał się łatwy. Wydawało się, że Mavra nie waży nic i poczuli przypływ nowych sił.

Kapłani galopowali dołem na swoich jednoroźcach hakak, dotrzymując kroku lecącym i zapewniając im właściwy dopływ energii oraz odpowiednią ochronę, na wypadek gdyby natknął się na nich patrol nieprzyjaciela wysłany na poszukiwania.

Dwóch dahiryjskich kapłanów czekało na nich, kiedy wylądowali. Powitali ich uniesieniem ramion. Następnie wszyscy zainteresowali się nieprzytomną zakładniczką, leżącą na ziemi przed wejściem do stajni jednoroźców hakak. Noc była jasna. Świeciło tysiące gwiazd. Ich światło odbijało się od lśniących pancerzy Dahiryjczyków, kiedy te humanoidalne insekty zabrały się do pracy. Najpierw postawiły Mavrę na nogi, po czym z pomocą innych wtaszczyły ją do stajni. Była w dalszym ciągu nieprzytomna i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią działo.

— Czy ją zwiążemy? — zapytał przywódca Dahiryjczyków stojącego najbliższej Dahbi. — Nie byłoby dobrze, gdyby się uwolniła.

— Z więzów też się można uwolnić — odparła biała istota. — Nie możemy ryzykować.

— Zabijemy ją?

— Nie. Obiecaliśmy wymienić ją żywą. Musimy się wywiązać z tej obietnicy.

— Zaczarujmy ją — zaproponował jeden z kapłanów. — To poskutkuje na pewno. Będziemy musieli też odpowiednio ją zamaskować, gdy przywieziemy ją jutro do Bramy.

— Maskowanie jest waszą sprawą — rzekł Dahbi do kapłanów. — Nie powinno być trudne. Gorzej, że wasze czary działają tylko tutaj. Brama je neutralizuje.

— Ale mogą też być powtórzone, jak tylko znajdziemy się w Strefie. Nasza magia działa i tam, chociaż w ograniczonym zakresie.

— Zbyt ryzykowane — stwierdził Dahbi. — Nie możemy dać jej żadnej szansy ucieczki. Nasz pan, Jego Świątobliwość Gunit Sangh, zalecił właściwe postępowanie. Oto u nasady czaszki jest splot nerwów łączących mózg z rdzeniem pacierzowym. Jeżeli się je przetnie, górna część tułowia zostanie sparaliżowana.

Biała istota wyciągnęła swą przednią nogę zakończoną ostrym, chitynowym pazurem i fachowym ciosem wbiła go głęboko. Trysnęła krew. Nie było jej jednak zbyt wiele. Ranę natychmiast obłożono maścią i zabandażowano.

— Tu, u nasady górnej części tułowia, znajduje się drugi, choć niesamodzielny mózg kontrolujący działalność dolnej części tułowia.

Znowu groźny pazur zagłębił się w ciało, wykonał jeden gwałtowny ruch wewnątrz rany i wysunął się z niej cały pokryty ciemną krwią. Rana została szybko opatrzona.

— Dillianka jest teraz całkowicie sparaliżowana — wyjaśnił Dahbi, wycierając swą zakrwawioną przednią nogę. — Paraliż jest niemożliwy do wyleczenia. Spójrzcie, jak nogi i ręce znieruchomiały w określonej pozycji. To automatyczna reakcja organizmu w przypadku uszkodzenia ośrodków nerwowych. Jeżeli centaur przewróci się, może umrzeć. Dlatego nogi i ręce tak sztywnieją, żeby utrzymać pozycję stojącą. Pozostałe funkcje organizmu nie są zatrzymane. Kontrolują je inne zespoły nerwów. Uważałem, żeby ich nie uszkodzić.

— Z tym się nie pogodzą — ostrzegł dahiryjski kapłan ponuro. — Nie wymienia Brazila na osobę w takim stanie.

Dahbi roześmiał się.

— Wasza magia może ją unieruchomić. Czyż nie może zmusić jej do chodzenia?

Dahiryjczyk przechylił nieco głowę i zastanowił się.

— Oczywiście.

— A w Strefie?

— Ach! — uśmiechnął się kapłan.

— Widzisz? Nie ma szansy ucieczki, ponieważ i bez waszych czarów jest nieruchoma jak posąg. Wszystko będzie wyglądało normalnie. Potwierdzą to świadkowie i wymiana zostanie dokonana. Ona zaś zostanie przekazana do Dillii.

— Magia nie działa w Dillii — zauważył kapłan. — Będzie tam kaleką.

— Właśnie — odparł Dahbi. — Mielśmy dostarczyć ją żywą. Nic poza tym. Dotrzymamy słowa skrupulatnie.

— Wydaje się to jednak dość okrutne — skomentował Dahiryjczyk, chociaż nie wyglądał na zbyt zmartwionego.

— Mój pan, Jego Świątobliwość Gunit Sangh, ma do spłacenia pewien dług wobec kogoś, kto ją kocha — wyjaśnił Dahbi. — Zabicie go byłoby zbyt ostateczne, zbyt szybkie. A poza tym nie jest łatwo go zranić. To wyrządzi mu szkodę znacznie większą i bardziej długotrwałą. Będzie kochał kalekę, której nie da się wyleczyć. Dla niej zdradzi sprawę i zawiedzie pokładane w nim zaufanie. Zostanie zapisany jako zdrajca w historii i legendach i nic z tego mieć nie będzie.

Kapłan kiwał głową z zachwytem.

— To niebywałe. Takie wyrównanie długu honorowego jest godne podziwu. Jak dalece jest sparaliżowana? — zapytał, przyglądając się Mavrze.

— Będzie jak kamienny posąg od szyi w dół — zapewnił go Dahbi. — Jej mózg kontroluje oczy, uszy, nos i usta. Reszta jej ciała będzie nieruchoma na zawsze.

— Będzie zatem mogła mówić — zauważył kapłan.

— Tylko jeżeli jej pozwolimy — odparł Dahbi.

* * *

Obudziła się przed świtem i prawie natychmiast zdała sobie sprawę, co się stało. Wściekła, załamana, z urażoną dumą wyszła z narady i włóczęc się bez celu, zeszła nad rzekę; spacerowała nad brzegiem, kopiąc kamienie i patyki i patrząc na gwiazdy.

Nawet się specjalnie nie kryli. Widziała jakieś istoty wśród drzew przed sobą, widziała jakiś ruch, słyszała szepty. Przebywając w otoczeniu dziesięciu tysięcy własnych żołnierzy, nie myślało się o niebezpieczeństwie.

Musieli użyć naboju usypiającego, jakiego używa się wobec dzikich zwierząt, kiedy chce się do nich zbliżyć lub je schwytać nie zabijając ich. Nie miała pojęcia, co to było, w każdym razie działało szybko. Usłyszała strzał, poczuła ukłucie, odwróciła się i chciała krzyknąć, ale zachwiała się i straciła przytomność, zanim jeszcze upadła. Wszystko to musiało trwać nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia sekund.

Chciała się poruszyć, żeby zobaczyć, jakie nałożono jej więzy i gdzie jest, ale nie mogła. Nagle poczuła, że już raz to się jej przydarzyło. Podczas poprzedniego pobytu w tym dziwnym świecie została schwytana, sparaliżowana i zamknięta w stajni. Wtedy miała służyć za ofiarę składaną Studni przez istoty, które ją wielbiły, i w wyniku ich zabiegów została przemieniona w niewydarzonego potwora.

W pomieszczeniu, w którym ją zamknięto, było ciemno. Słyszała jednak jakiś ruch, jak gdyby wraz z nią przebywały tu i inne duże zwierzęta, lecz nie mogła zebrać myśli, co było prawdopodobnie skutkiem środka usypiającego.

Stała tak, nie będąc w stanie nic zrobić i bojąc się odezwać. Ktoś podszedł do drzwi w ścianie bocznej, uchylił je i zajrzał do środka, ale nie wszedł, a ona nie mogła odwrócić głowy, żeby go zobaczyć. Przez bardzo długi czas stała sztywno, starając się zwalczyć ociężałość umysłu.

Teraz jednak usłyszała szelest. Jakieś kroki zbliżały się po słomie. To ją zaskoczyło, bo gotowa była przysiąc, że nikogo oprócz zwierząt w stajni nie było. Czekwała bardziej ciekawa niż przestraszona i zastanawiała się, kto lub co to może być. Myśl, że ją zabiją nie wydała jej się zbyt prawdopodobna. Była przekonana, że potraktują ją jako zakładniczkę.

Nadchodząca istota wychynęła z cienia i zatrzymała się tuż przy niej. Mavra ucieszyła się na jej widok; przybysz zaś przyłożył kosmaty, okrągłutki palec do pyska, nakazując milczenie.

— Musimy działać szybko — wyszeptał Gedemondianin. — Mamy bardzo mało czasu i mnóstwo do zrobienia.

— Jak... jak długo tu byłeś? — zapytała cicho.

— Towarzyszyliśmy ci od czasu twojego pobytu w Gedemondas. Trzymaliśmy się na uboczu i sprawiliśmy, że nie pamiętałaś o nas, co leży w naszej mocy. Myśleliśmy, że spróbują porwać Brazila, a nie ciebie. Dlatego nie udało nam się przeciwdziałać. Uszkodzenie Studni ogranicza nasze zdolności pojmowania.

— Nie mieli pewności co do Brazila — wyjaśniła. — Postanowili szantażować go, używając mnie. Niewielka szansa.

— Jesteś dla niego ważna — zapewnił ją Gedemondianin. — Bez ciebie nie podejmie się naprawy Studni. Może też nie mieć takiej możliwości. Moi bracia i siostry towarzyszący waszym wojskom informują, że to nie on jest szantażowany, ale ten, który cię kocha.

— Kto? — Nie zrozumiała. — Och, Asam? A cóż on może zdziałać?

— Wymienić Brazila na ciebie. Podejrzewamy, że jest gotów to uczynić.

Gedemondianin wyjaśnił w skrócie cały ten sadystyczny spisek ujawniony w czasie rozmowy, którą podsłuchał w tej samej stajni kilka godzin wcześniej.

— I co teraz zrobimy? — zapytała. — Jeżeli to prawda, jestem sparaliżowana całkowicie.

Wypowiedzenie tej myśli wstrząsnęło nią.

— Są dwie możliwości — wyjaśnił Gedemondianin. — Pierwsza, to zabić cię. W ten sposób zostaną pozbawieni zakładniczki, co stworzy Brazyłowi szanse właściwego postępowania.

— Myślę — powiedziała po chwili zastanowienia — że raczej wolałabym umrzeć, niż tak żyć przez dłuższy czas.

Mówiła z pełnym przekonaniem, jednak cały problem wydawał się abstrakcyjny, jak gdyby rozważali zagadnienie teoretyczne dotyczące kogoś innego, a nie jej. Potrzebowała więcej czasu, żeby pogodzić się z myślą, że jest nieruchomym, żywym kawałem mięsa.

— Jest jeszcze inna możliwość, lecz ryzykowna i niesprawdzona — poinformował ją Gedemondianin. — Możesz mi wierzyć, że postąpili z tobą fachowo. Nie ma szansy, żeby przywrócić ci zdolność ruchu. Jedynie magia Dahiru mogłaby tego dokonać.

Poczuła się niepewnie. Przypomniała sobie niejasno małe istoty podobne do osiołków.

— Jaka to możliwość?

— Istnieją takie dziwne praktyki stosowane przez kilka ras Świata Studni, głównie na północy — wyjaśniła biała postać. — Na południu robi się to w jednym sześciokącie. Jest to niebezpieczne zarówno dla wykonawców, jak i dla obiektu. Sprawa polega na przeniesieniu duszy.

— Do innego ciała? — Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Właśnie — potwierdził Gedemondianin. — Intelpekt w pewnych warunkach może być wydobyty z ciała. My też to robiliśmy, ale zawsze wprowadzaliśmy duszę z powrotem do jej ciała. Oczywiście w twoim przypadku to nie jest możliwe. Nie potrafilibyśmy też nauczyć cię tej sztuki w ciągu tych kilku godzin, a może nawet minut, które nam pozostały.

— Czy mam rozumieć, że zmienię ciało? Czy to będzie ktoś z was, Dahiryczyk, czy ktoś jeszcze inny? — dopytywała się zafascynowana.

— Niezupełnie — odparł Gedemondianin ostrożnie. — Jeżeli dwie dusze znajdują się w jednym ciele, może to spowodować tylko szaleństwo. Wymiana dusz jest teoretycznie możliwa, ale nikt tego jeszcze nie dokonał. Coś się nie udaje. Ciało odrzuca duszę, jak odrzuca przeszczep serca albo innego organu.

— Więc o czym my mówimy?

Jej nadzieja zaczynała słabnąć.

— Podczas gdy wymiana dusz bądź zajmowanie jednego ciała przez dwie dusze są niemożliwe, skomplikowana osobowość wyrafinowanej istoty może być przeniesiona do ciała zwierzęcia, którego osobowość jest tak słaba, że się nie będzie opierać.

— Kiedyś Wucklowie przemienili mnie chirurgicznie w świnię. Czy może być coś gorszego?

— Dobrze. Musisz zrozumieć kilka rzeczy. Po pierwsze, dusza zwierzęcia pozostaje. Będzie z tobą walczyć, ale powinnaś łatwo dać sobie z tym radę. Wymusisz jakąś formę współpracy. Po drugie, nie będziesz mogła mówić. Nie będziesz miała translatora, a gdybyś nawet miała, pewnie nie potrafiłabyś z niego odpowiednio korzystać. Pamiętaj także o jeszcze jednym. Wewnątrz Studni Brazil będzie mógł odtworzyć cię zgodnie ze swoją wolą, co, jak jesteśmy pewni, zadowoli i ciebie.

— Tak też zrobimy — powiedziała zdecydowanie.

Gedemondianin skinął głową, odwrócił się, ale nagle powiedział:

— Ktoś idzie!

Zniknął. Patrzyła w to miejsce, w którym był jeszcze przed chwilą. To było niesamowite, podobnie jak u Cygana. Teraz, kiedy wiedziała, że on tam jest, prawie mogła go dostrzec, dosłyszeć jego oddech, zauważyć pewne załamanie przestrzeni. Prawie. Gedemonianie nie stawali się niewidzialni. Potrafili jednak spowodować, że ich nie zauważano.

Drzwi otworzyły się i ukazało się dwóch Dahiryjczyków. Wyglądali dziwnie w świetle niewielkich lamp naftowych. Nie weszli do środka. Rozejrzeli się tylko dookoła.

— Jestem pewien, że słyszałem rozmowę — odezwał się jeden z nich.

Weszli głębiej, zaglądając do każdej zagrody. Od czasu do czasu odzywało się któreś z zaniepokojonych zwierząt. Gdy podeszli do niej, zamknęła oczy i udawała, że jest nadal nieprzytomna.

Oświetlili ją na chwilę.

— Cóż — powiedział drugi Dahiryjczyk. — Nic tu nie ma. Pewnie ona coś bełkoce. Działanie narkotyku ustępuje. Jesteś zbyt nerwowy, Yoghasta.

— Kto by nie był nerwowy, kiedy kręcą się tutaj te upiory — mruknął strażnik i obydwoj ruszyli ku wyjściu.

Wyszli i zamknęli drzwi.

Gedemonianin znowu pojawił się nagle i pozdrowił ją kosmatą łapą. Dwóch innych wyłoniło się z cienia i zatrzymało się koło niego.

— Będzie łatwiej, jeżeli będziesz nieprzytomna, a twój umysł otworzy się na nasze zabiegi — powiedział Gedemonianin.

Podobne do poduszczyków dłonie dotknęły jej głowy z obu stron. Straciła świadomość.

Bache

— Neutralny kurier pod flagą dyplomatyczną dostarczył dla ciebie te wiadomości kilka minut temu — rzekł Asam, podając mu niewielką kartkę.

Nathan Brazil poruszył się na krześle, sięgnął po kartkę i rozłożył ją.

— Nie marnuj czasu — zauważył kwaśno i zaczął czytać.

Kapitanie Brazil!

Jak już na pewno się zorientowałeś, schwytaliśmy Dilliankę, Mavrę Chang, i przewieźliśmy ją w bezpieczne miejsce. Jest cała i zdrowa. Wykorzystaliśmy prosty środek usypiający, jaki stosowany jest wobec zwierząt i nie wywołuje żadnych ubocznych efektów. Jest oczywiście bardzo zdenerwowana i jej uwagi na nasz temat nie dają się często przetłumaczyć, ale poza tym jest w doskonałym zdrowiu. Nie mamy nic przeciwko niej i nie mamy zamiaru jej skrzywdzić. Nasze armie maszerują w tej chwili przeciwko wam. Obserwujemy was bardzo czujnie i dostrzeżemy każdą próbę ucieczki. Wszystkie pobliskie trasy są skutecznie pilnowane. Nie masz nadziei na zwycięstwo. Jeżeli poddasz się teraz i wejdiesz do najbliższej Bramy Strefy, cała sprawa zostanie zakończona bez dalszego przelewu krwi. Jeżeli zignorujesz ten apel, kobieta umrze bardzo przykłą, powolną śmiercią, a walki rozgorzeją na nowo. I proszę, żadnych sztuczek z sobowótarami. Pragnę zapewnić, że każdego stawiającego się w Bramie Strefy poddamy najsurowszym próbom i źle się to skończy dla wszystkich, jeżeli kolejny Twój sobowótór przemieni się w kogoś innego i zniknie. Słyszałem o Tobie tak wiele, że nie mogę doczekać się naszego spotkania. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Szczerze oddany Gunit Sangh z Dahbi,
Głównodowodzący Sił Rady Południa,
Front Centralny.

Brazil zgniótł list i wrzucił go w ogień.

— Grzeczny facet, nie? — powiedział ze złośliwym uśmiechem.

— Jak jadowity pajak albo głodny wąż — mruknął Asam.

— Myślę, że dotąd go nie docenialiśmy — zauważył Brazil, przyglądając się, jak papier płonie. — Myślałem jednak, że Serge Ortega będzie stanowić większy problem, ale ten facet jest podobny do Ortegi, tylko bez... bez...

— Sumienia? — zasugerował Asam.

— Poczucia honoru — dokończył myśl Brazil. — Sumienie to dobro, którym Ortega dysponuje w ograniczonej ilości, ale na swój sposób jest honorowy. Robi to, co według jego opinii jest najlepsze dla wszystkich, niezależnie od tego, czy ma rację, czy nie, czy zabija, czy leczy. Z tego, co wiem o Sanghu, wydaje mi się, że w tej chwili może być najgroźniejszym z żyjących. Spotkałem się z takimi typami wielokrotnie w przeszłości, także wśród ludzi.

— Przyjmiesz jego ofertę? — zapytał Asam, patrząc uważnie na Brazila.

— Zawsze oferuję ci łatwe rozwiązanie. — Brazil uśmiechnął się bez cienia wesołości. — Zrób tylko to, co chcę, a wszystko będzie dobrze, ale... Wiesz, zawsze jest jakieś „ale”. Nie. Nie mam zamiaru poddać się ani jemu, ani Ortedze, ani nikomu innemu. Nie martw się. Nie zabije jej niezależnie od tego, co mówi. Zorientuje się, że jest to jedyny atut, jaki posiada przeciwko mnie, nawet jeżeli dotrę do Studni i oczywiście będzie miał rację. Ale to może być właśnie jego błąd. Kiedy już będę w Studni i dobiore się do komputera, który rządzi tą planetą, nic nie będzie mógł zrobić ani jej, ani mnie, ani komukolwiek innemu. Ja natomiast będę mógł zrobić wiele. Zaczynam zestawiać całą listę osób, z którymi chciałbym wyrównać rachunki i wiesz Asamie, że teraz chyba po raz pierwszy szczerze pragnę dotrzeć do Studni.

— Myślisz, że ci się uda? — zapytał Asam poważnie. — W tym liście facet wyraża się całkiem konkretnie.

— To jest możliwe — odparł Brazil. — Bardziej niż możliwe. Będziemy wraz z Cyganem utrzymywać ich w niepewności. Nie będzie więc mógł wykorzystać swej wielkiej armii maszerującej przeciwko nam, żeby przeciąć mi drogę. Cygan obecnie odwiedza Juę. Nie tylko pouczy ją, co ma robić, ale też pokaże się tu i tam. To ich znowu wprowadzi w błąd na tyle, że Khutir będzie musiał wyruszyć przeciwko niej. Mam jeszcze w zapasie kilka niespodzianek. Tak. Myślę, że dotrę do Studni. Wyruszamy dziś wieczorem, jak tylko wróci Cygan.

— Wieczorem — powiedział sucho Asam po chwili milczenia i ruszył do swego namiotu, żeby przez chwilę pomyśleć.

* * *

Przez większość popołudnia odbywały się narady dowódców, odprawy, przegrupowania oddziałów, co pozwoliło Asamowi oderwać myśli od stojącego przed nim dylematu. Jeżeli się nie ma czasu na myślenie, pewne sprawy pozostają obojętne.

Cały czas jednak problem tkwił gdzieś w jego umyśle jak jakiś tępy, wewnętrzny ból.

Już wiele razy uważał, że jest zakochany, ale teraz uświadomił sobie, że tamte przeżycia były zwykłymi błahostkami, wynikającymi z fizycznego pociągu lub uczuciem, które mylił z miłością. Ponieważ nigdy nie doświadczył miłości prawdziwej, nie potrafił ich właściwie ocenić. Dziś wiedział, że kocha Mavrę Chang. Wiedział w głębi duszy, że Mavra znaczy dla niego więcej niż własne życie, niż własny honor, który najwyżej sobie cenił. Nienawidził siebie za to. Wydawał się sobie w jakiś sposób gorszy, ponieważ padł ofiarą takich uczuć, uczuć, którymi u innych pogardzał.

Najgorsza i najbardziej poniżająca była świadomość tego, że Gunit Sangh odnalazł jego słaby punkt, dotknął go swymi brudnymi łapami i z taką satysfakcją wywierał na niego nacisk.

Przez krótką chwilę żywił nadzieję, że Brazil zdejmie z niego ten ciężar, wstrzyma to całe szaleństwo i zakończy sprawę. Ale nie. To rozwiązanie okazało się niemożliwe. Brazil dzisiejszej nocy będzie starał się dotrzeć do Studni Dusz. To dwa lub trzy dni drogą powietrzną. A Mavra? Brazil był zbyt pewien postępowania Sangha. Jednak on, Asam, znał lepiej tego skubańca. Mavra zostanie wolniutko zjedzona w czasie rytualnego obrzędu. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Ona sama raczej o to zadba. Przekona Sangha, że dla Brazila nie ma znaczenia jako zakładniczka.

Jeszcze jedno uczucie, do którego nie chciał się przed sobą przyznać, a które również wywierało na niego wpływ. Od początku czuł sprzeciw na myśl, że Mavra i Brazil wejdą do Studni tylko we dwoje. Uważał, że przynajmniej teraz kocha go w jakiś sposób. Brazil mówił, że pragnie miłości, tęskniła za ojcem, którego nigdy nie miała, a on był dla niej jak ojciec, a może nawet kimś więcej. Gdyby pozostała taka, jaką jest, czuł, że obydwójce spędziliby resztę dobrego, pełnego, bogatego życia razem w Świecie Studni. Będąc jednak z Brazilem w Studni, mogła zmienić zdanie i wyjść z niej nie jako Dillianka, jeżeli w ogóle zdecydowałyby się wyjść.

Zastanawiał się nad Brazilem i nad sprawą, za którą walczyły wszystkie te istoty pochodzące z tak wielu sześciokątów. Dlaczego walczyli? Głupi, otumanieni nowi, o których nawet Mavra powiedziała, że byli twórcami kultu zakładającego inne zakończenie całej sprawy. Dillianie, którzy wyruszyli na wyprawę z zemsty, a teraz zaspokoiwszy ją, byli jakby w pułapce, i Hakazityjczycy, których nic nie obchodziła sprawa, tylko sama walka, którą traktowali jak zabawę i mieli zakodowaną w swoich potężnych, przerażających genach.

A sam Brazil nie był przecież żadnym bogiem! Znudzony, cyniczny, mały człowieczek, którego właściwie nic nie obchodziło; sam przyznał, że nie zna zasad funkcjonowania Studni, nie robi więc nic poza tym, że zostawi wszechświat takim, jakim on jest albo odtworzy go w tej samej formie. Jest po prostu człowiekiem jak wielu innych. Jedynie ta niewielka wiedza, jaką posiadał, czyniła go

obiektem tak bardzo niesłusznego uwielbienia. Mały, głupi człowieczek, którego cechowało głównie to, że żył zbyt długo. . .

Jeszcze głębiej w podświadomości Asama tkwiło wrażenie, że Brazyl w pewnym stopniu rywalizował z nim i mógłby zaoferować Mavrze coś, czego ona nie będzie w stanie odrzucić.

Podjął decyzję, kierując się, jak uważał, rozsądnymi i realistycznymi przesłankami. A gdy ją podjął, zaczął szukać w apteczce wszystkiego, co mu było potrzebne. Zdobył kilka informacji o dawkowaniu i odporności istot typu Glathriel, a także opracował sposoby i drogi ucieczki. Podobnie jak porywacze Mavry, wybrał drogę powietrzną, co łatwo zorganizował. Cieszył się dobrą reputacją, był jednym z dowódców i nikt nie mógł kwestionować jego decyzji. Mieszkańcy Jorgasnovaru zostali namówieni do udziału w wyprawie przez Marquoza i Hakazityjczyków. Poza tym nie było wśród nich przybyszów. Byli dziwaczni. Wyglądali jak bezkształtne, latające krople plazmy z licznymi, długimi mackami. Nie potrafiliby rozpoznać Brazyla w grupie kilku nagich mieszkańców Glathrielu.

O zmierzchu był gotów. Na szczęście Brazyl wcześniej udał się na spoczynek, żeby wypocząć przed czekającą go podróżą. Wyglądało na to, że wszystko pójdzie nadspodziewanie łatwo. Miał jedynie nadzieję, że Sangh zrozumie ograniczenia czasowe, z jakimi musiał się liczyć i nie zrobi nic pochopnego.

Wszedł do namiotu Brazyla i pozwolił, żeby płachta zasłaniająca wejście opadła za nim. Brazyl leżał na plecach z otwartymi ustami i chrapał z lekka. Ta łatwe. . . Był taki bezbronny. . . Jednak Asam wahał się jeszcze. Miłość i honor walczyły ze sobą. Nienawiść, która w nim tkwiła i twarz Sangha pojawiająca mu się przed oczyma, zdawały się z niego szydzić.

Drżały mu ręce, kiedy wydobyl niewielką buteleczkę i strzykawkę i napełnił ją dwoma centymetrami przejrzystego płynu. W pobliżu nie było nikogo. Za godzinę zrobi się zupełnie ciemno. Wkrótce nadciągną jego siły. W obozie będzie zamęt spowodowany zmianą warty, nocnymi ćwiczeniami i wydawaniem wieczornego posiłku, co sam zresztą zaplanował. Wszystko się uda. Cicho zbliżył się do śpiącego mężczyzny i podniósł strzykawkę.

— Szalony centaur! — zabrzmiał za nim donośny głos.

Odwrócił się gwałtownie, wciąż trzymając strzykawkę w ręce. Brazyl chrapał, obudził się nagle i znieruchomiał, widząc, co się dzieje.

Było ich trzech. Potężne, kosmate, białe istoty tak nie na miejscu w tych okolicznościach. Asam od razu zrozumiał, kim są. Prawie przez całe życie chciał się z nimi spotkać.

— Co, u diabła? — zapytał Brazyl, siadając i przecierając oczy. — Co się dzieje, Asamie? Kim są ci trzej?

— Ona nas zna — powiedział jeden z nich.

— Jesteście Gedemondianami! — wychrypiął Asam.

Głos miał zduszony wstrząsem, jaki przeżył i wstydem, że go odkryto.

Brazil popatrzył z powagą na strzykawkę w ręku Asama.

— Chciałeś mnie zdradzić — powiedział ze smutkiem. — Ty, wielki pułkownik Asam.

— Sangh... przyszedł do mnie tutaj. W środku obozu. On może przeniknąć przez skałę. Nikt nie jest przed nim bezpieczny — powiedział centaur martwym głosem. — Zamierzał ją zjeść żywcem. Wyobraź sobie... zjeść żywcem!

— A ty chciałeś zaufać temu skubańcowi, że dostarczy ją całą i zdrową? — powiedział Brazil, kręcąc głową ze smutkiem. — My się nigdy niczego nie nauczymy. Bardzo dawno temu w moim świecie pojawił się człowiek pokroju Sangha. Wzywał, żebyśmy mu ufali. Zaufaliśmy mu, a on zniszczył całe narody jeden po drugim. Miliony skazał na śmierć i tortury. Trzeba było jeszcze kilka milionów ofiar, żeby go pokonać. Mimo to ludzie powtarzali ten sam błąd znowu i znowu, ufając coraz to nowym skubańcom. A ty szczególnie powinneś wiedzieć, że Sangh nigdy nie dotrzymuje słowa. Mówiliśmy o tym kilka godzin temu. Honor to dla niego obce słowo. Dla ciebie też wydaje się dość rozciągliwe. Z zazdrości zdradziłbyś wszystkich, którzy walczyli i zginęli za sprawę.

— Z zazdrości? Nie, Brazil! Z miłości, tak. Ale nie z zazdrości! — wykrzyknął pułkownik z oburzeniem.

— Tak mało znasz siebie — powiedział Brazil z westchnieniem. — Dobrze, Asamie. Stało się.

— Tak. Stało się. — Asam skinął głową. — Nie będę więcej dla ciebie ciężarem. Ona już na pewno nie żyje, a i ja nie chcę żyć dłużej.

— Ona żyje, szalony — powiedział Gedemondianin.

— Ale jak długo jeszcze?

— Została okaleczona w wyniku okrutnej operacji — wyjaśniła biała istota. — Byłaby na zawsze bezwolną kaleką. Mogłaby się poruszać jedynie pod wpływem magii Dahiru. Odzyskałbyś żywego trupa.

Strzykawka wypadła z ręki Asama i po raz pierwszy w życiu pułkownik rozplakał się. Gedemondianie stali nieruchomo, a Brazil siedział i czekał, aż Asam się wypłacze. Wreszcie po kilku minutach pułkownik uspokoił się i tylko stał z opuszczoną ze wstydu głową. W milczeniu czekał na wyrok.

— Powiedzieliście, że byłaby bezwolną kaleką — zwrócił się Brazil do Gedemondian. — Nie powiedzieliście, że jest kaleką.

— Dwaj bracia i siostra zauważyli porwanie — wyjaśnił Gedemondianin. — Istoty, które ją niosły, zastanawiały się, dlaczego jest taka ciężka, ale nas nie dojrzały.

Gedemondianie zdawali się widzieć w tym coś zabawnego.

— Skontaktowaliśmy się z nią zaraz, gdy to było możliwe. Było już jednak za późno, żeby jej pomóc. Nasza moc słabnie poza naszym sześciokątem. Nie możemy wpływać na bieg wypadków ani ich dokładnie przewidzieć, a chociaż jeste-

śmy potężni, nie potrafilibyśmy przeciwstawić się tajemnym siłom, szczególnie w Dahirze. Magia Dahriu jest tak silna, że nie umiemy jej kontrolować.

— Rozumiem. Ale coś jednak zrobiliście?

— Zrobiliśmy jedyną rzecz wykonalną w tych okolicznościach. Istnieje proces zwany transferem. Chyba nie ma lepszego określenia. Proces ten jest nam znany, chociaż zgodnie z moimi informacjami Gedemondianie przeprowadzili go po raz pierwszy. Chodzi o wydobycie istoty danego osobnika, duszy, intelektu, czy jak to inaczej nazwać, i przeniesienie ich do ciała zwierzęcia.

— Tak! Oczywiście! Znam ten proces! — wykrzyknął Brazil, równocześnie czyniąc sobie wyrzuty, że sam o tym nie pomyślał. — Murniowie zastosowali go kiedyś wobec mnie, kiedy zostałem ciężko poraniony.

— Właśnie — zgodził się Gedemondianin. — Mieszkańcy Murithelu są jedynymi, którzy stosują go na południu i tylko w bardzo nielicznych przypadkach. Pomimo ich dziwaczego trybu życia i zupełnie niezwykłych przesądów kilku z ich mędrców odkryło te same moce i tajemnice, które znamy i my. W rzeczywistości to informacje o ich działaniach naprowadziły nas na ten proces.

Brazil spojrział na Asama.

— Widzisz, pułkowniku, jeszcze jej nie utraciłeś. Żyje, czuje się dobrze i wyrwano ją z rąk nieprzyjaciela. Została im jedynie pusta powłoka.

Asam zdobył się na niepewny uśmiech.

— Cieszę się — wyszeptał.

— Jeszcze jej nie utraciłeś, pułkowniku. — Brazil starał się go pocieszyć. — W tej chwili jest zwierzęciem, ale w Studni może stać się, kimkolwiek zechce. Wybór należy do niej, pułkowniku. Zawsze do niej należał. To mogę ci przysiąc.

— Czy chciałbyś ją zobaczyć? — zapytał Gedemondianin. — Nie przyprowadziliśmy jej tutaj, ponieważ obecność dużego zwierzęcia w obozie pełnym istot mięsożernych byłaby wystawianiem losu na próbę. Możemy cię do niej zaprowadzić.

— Nie — odparł Asam. — W każdym razie nie teraz. Nie... po tym wszystkim. Jeżeli ona zadecyduje, jeżeli zechce, może wtedy będę mógł jej spojrzeć w oczy. Co do mnie, to będę dowodził armią w czasie bitwy i tę bitwę wygram. Będę żył co najmniej tak długo, dopóki osobiście nie zabiję Sangha. Nieważne, ile mnie to będzie kosztować.

Spojrział na Gedemondian, później na Brazila.

— Czy mogę odejść?

— Wracaj do swego namiotu, pułkowniku — powiedział Brazil. — Problem został rozwiązany.

Asam wyszedł pospiesznie. Miotają nim sprzeczne uczucia. Czuł do siebie niewyobrażalną pogardę.

Brazil westchnął, usiadł na swej pryczy, oparł się o ścianę i popatrzył na Gedemondian.

— Z jakiego zwierzęcia skorzystaliście? — zapytał.

— Mieliśmy bardzo mało czasu — wyjaśnił Gedemondian nieco zakłopotany. — Byliśmy w stajni w obcym sześciokącie pełnym magii i obcych mocy i otoczeni przez wrogów. Poza tym, że brakowało nam czasu, nie mieliśmy wielkiego wyboru, jeżeli chodzi o zwierzęta. Musieliśmy również przeprowadzić ją przez siły nieprzyjacielskie bez wzbudzenia podejrzeń.

— Wszystko to rozumiem — powiedział Brazil niecierpliwie. — Mnie przemieśli w ciało jelenia.

— Mieliśmy dwa zwierzęta do wyboru — kontynuował Gedemondianin. — Po pierwsze, dahiryjskiego jednorożca. To stwarzało problemy. One nie żyją na wolności. Są wykorzystywane pod wierzch albo jako zwierzęta pociągowe. Dzikie zwierzę byłoby dostrzeżone i szybko schwytane, bo jest wartościowe. Pozostało więc drugie zwierzę. Wpędza się je na pastwisko, gdzie włóczy się swobodnie, dopóki nie jest potrzebne. W waszym języku nazwalibyście je rodzajem krowy.

Lamotien, tuż przed północą

Gunit Sangh dosłownie chodził po ścianach, po suficie, wsiąkał w podłogę i znów się pojawiał. Jego oficerowie obawiali się nawet zbliżyć do jego namiotu. Zabił pierwszych dwóch posłańców, którzy przynieśli mu wiadomość i zarządził masowe egzekucje. Żadnej nie wykonano, ale nikt nie chciał mu o tym powiedzieć.

Pierwszy wybuch wściekłości nastąpił po otrzymaniu wieści z Dahiru. Powiadomiono go, że kiedy Dahiryjczycy wraz z jego dwoma agentami udali się, żeby rzucić na Mavrę Chang właściwy czar, który zmusiłby ją do chodzenia i umożliwiłby doprowadzenie jej do Bramy Strefy, nic nie mogli zrobić. Po wstępnych oględzinach stwierdzono, że chociaż ciało wciąż funkcjonuje, mózg jest zupełnie martwy. Była właściwie rośliną i nawet magia Dahiru nie działała na ciało, które nie było w stanie zrozumieć polecenia czy wysłać sygnału wzdłuż magicznie odtworzonych nerwów.

Nie potrafiono tego wyjaśnić, ale wokół stajni odkryto ślady, których nikt nie umiał zidentyfikować. Wywnioskowano, że przyjaciele Mavry w jakiś sposób ją zlokalizowali i dokonali z nią czegoś, żeby nie mogła ujawnić żadnych sekretów.

Polecił natychmiast zabić wszystkich, którzy przebywali w tym czasie z Mavrą, ale były wątpliwości, czyjego polecenie zostanie wykonane w odniesieniu do kogokolwiek oprócz dwóch Dahbi. Dahiryjczycy byli pragmatyczni, a że nie byli przy tym głupi, pewnie już nie mieli zamiaru dołączyć do jego wojsk.

Następnie nadeszła wiadomość, że widziano Brazila wśród wojsk Awbri nadciągających od południa. Informacja ta w zestawieniu z raportami wywiadu, że Brazil był wciąż z siłami Dillii i Hakazitu tuż za najbliższym łańcuchem wzgórz w Bache, nie dodała mu pewności siebie. Czuł, że cały piękny świat jego marzeń wali się w gruzy.

W końcu jednak uspokoił się i wyszedł z namiotu. Tłum oficerów różnych ras kłębiący się dookoła cofnął się na jego widok. Sangh wyprostował się na pełną wysokość. Widok ten mroził krew w żyłach.

— Idioci! Nic wam nie zrobię! — warknął. — Musimy działać szybko, bo inaczej wszystko będzie stracone! Przez resztę nocy musimy postawić na nogi całą

armię. Wykonać wszystkie wcześniej wydane rozkazy. Zaatakujemy nieprzyjaciela o świcie. Wykonać!

Rozbiegli się w popłochu.

— Czy są jakieś nowe informacje? — zapytał Sangh, zwracając się do oficera wywiadu. — Przestań się trząść, idioto! Nie zjem cię! Skończyłem z tym.

Oficer wywiadu, mieszkaniec Orarc, mała istotka podobna do łasicy, odezwał się, nie przestając się trząść:

— Dziwna, niewiarygodna wiadomość nadeszła z waszej ambasady w Strefie. Sangh zeszywniał. Kolejnej złej wieści chyba nie przetrzymam — pomyślał.

— Co?

— Zgodnie z informacją. . . — Orarc przełknął nerwowo. — To niewiarygodne. . . ale zgodnie z tą informacją. . .

— No, mów!

— Ambasadora Ortegi nie ma w Strefie.

Gunit Sangh znieruchomiał oszołomiony. Natychmiast zdał sobie sprawę z wagi tej wiadomości oraz z tego, że jest zupełnie nieprawdopodobna. Jeżeli Ortega opuścił Strefę, znaczyło to, że przełamał czar, który powstrzymywał jego proces starzenia się, a przecież już był stary. Był to koniec epoki, która rozpoczęła się ze dwa tysiące lat przed urodzeniem się Sangha, a przecież i on sam nie był już młody, koniec potęgi i osobowości, która przenikała i ubarwiała Świat Studnię, jedyny świat jaki znał Sangh i wszyscy inni żyjący.

— To chyba pomyłka — odparł, uznając wiadomość za fałszywą. — Poszedł do ubikacji albo coś w tym rodzaju.

Odwrócił się i chciał wejść do namiotu.

— To jest pewna wiadomość — upierał się Orarc. — Nasi ludzie widzieli, jak przechodził przez Bramę Strefy. To nie był żaden sobowtór. Nie pomyłono też z nim innego Ulika. Jest nowy, młody ambasador Uliku w Strefie, Ortega zaś odszedł. Mówi się, że wrócił do domu, żeby umrzeć.

— Nie — parsknął Gunit Sangh. — Tu coś śmierdzi. Ortega uczyniłby coś takiego tylko wtedy, gdyby był pewien, że nie umrze i że ma zdecydowaną szansę na zwycięstwo. Chcę się natychmiast dowiedzieć, co zrobił zaraz po powrocie do Uliku. Chcę wiedzieć, gdzie jest w tej chwili i co robi, jeżeli przeżył podróż, a przypuszczam, że przeżył.

— Natychmiast — powiedział oficer wywiadu i ruszył ku wyjściu.

Gunit Sangh był zupełnie spokojny, czuł się jednak niepewnie. Do tej pory walka odbywała się głównie na fortele. Przegrywał, tak, ale zawsze miał szansę wygrać, mając wciąż pełne rozeznanie w sytuacji. Teraz już je tracił. Gdy Ortega włączył się do gry, i to poza Strefą (nie do uwierzenia!), ogarnęło go niepokojące uczucie, że działo się coś groźnego, że w grze pojawiła się jakaś nowa siła, której nie można było ani zrozumieć, ani poskromić.

Zdał sobie nagłe sprawę, że w tej chwili tworzono coś więcej niż historię. Tworzono przyszłość, całą przyszłość. Przyszłość ta była kształtowana przez niewidzialne dłonie, zmieniała się. Nie była już statyczna.

Przez całe życie całą energię poświęcał na utrzymanie status quo, co mu wielce odpowiadało i co wzmacniało jego osobistą przywódczą rolę. Jaki jednak będzie skutek zniknięcia Ortegi? Co się stanie, gdy Brazyl dotrze do Studni?

Rozłożył mapy i starał się skoncentrować nad problemami nadciągającej bitwy. Po raz pierwszy w swoim długim życiu Gunit Sangh bał się.

Bache, przy granicy Dahiru

Cygan głęboko zaciągnął się papierosem, którego blask rozjaśniał jego twarz w dziwny, nadnaturalny sposób. Jedyнным innym światłem był czerwony blask padający z oczu Marquoza.

Nathan Brazil zapalił niewielką latarkę i przyglądał się otoczeniu.

— Myślę, że tu jest dość bezpiecznie — powiedział.

Inni zgodzili się.

Gedemondianin określił Mavrę „rodzajem krowy”. Brazil nie miał jednak żadnych wątpliwości. Odnaczała się wszystkimi cechami krowy. Białe i brązowe łaty, takie same kształty. Może jej sierść była nieco dłuższa, a rogi muszlowato skrzycone, jak u wszystkich zwierząt w Dahirze. Współczuł jej. Gdy rozbłysło światło latarki, odwróciła ciężką głowę i spojrzała ku nim swymi słabymi, krótkowzrocznymi, nie rozróżniającymi kolorów oczami.

Nie wyglądała na mocno wstrząśniętą transferem, jak zapewne zachowywałaby się większość ludzi. Przechodziła różne transformacje już kilka razy przedtem. Nie wszystkie były zamierzone lub bezbolesne. Czekala, aż przyjdą rankiem wypuścić krowy na pastwisko i bez opierania się wyszła wraz ze stadem, pozwalając osobowości krowiej kierować swym postępowaniem. Gdy dotarła do wzgórz, stoczyła walkę z umysłem krowy, starając się przejąć kontrolę w sposób możliwie powolny i naturalny.

Gedemondianie spotkali się z nią w umówionym miejscu przy małej sadzawce, z której korzystały krowy i inne zwierzęta, a położonej z dala od gospodarstwa. Dalej ruszyli już razem, przełamując płot i wybierając opuszczoną drogę wiodącą ku granicy.

Zauważyła, że Gedemondianie wydawali się osłabieni, nieco zdezorientowani i że musieli się często zatrzymywać. Z początku myślała, że to wydarzenia ostatniej nocy spowodowały ich zmęczenie, ale po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że było to coś znacznie ważniejszego. Dokonanie jej transferu do ciała krowy wymagało ogromnej mocy i koncentracji. Wyglądali, jakby się raptownie postarzel.

Ich stan nie poprawił się nawet, gdy zapadły ciemności. Także Brazil i inni, którzy nie stykali się wcześniej z Gedemondianami i nie mieli możliwości przeprowadzenia porównań, zauważyli różnicę. Brazil przypomniał sobie dawną

przygodę z Murithelniami. Pamiętał, że starszyzna, która potrafiła dokonać transferu, uczyła się tej sztuki przez pół życia, a wysiłek związany z jej dokonaniem był zabójczy. Mimo to w jego umyśle zaczęła powstawać niejasna myśl już od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszał o transferze Mavry. Chociaż warto było spróbować, wahał się z zadaniem pytania, ponieważ znał cenę.

— Ilu was jest w pobliżu? — zapytał Gedemondianina.

— Razem dwanaścioro — odparła biała istota. — W tym ja i jeszcze jeden rzecznik.

— By dokonać transferu, potrzeba co najmniej trzech osób?

— Tak, trzech.

Popatrzył na grupę zmęczonych Gedemondian, siedzących na ziemi i opierających się o pnie drzew.

— Czy użycie większej liczby osób do takiej operacji zmniejszyłoby jej skuteczność?

Gedemondianin zrozumiał teraz, ku czemu zmierzają pytania Brazila.

— Nie przypuszczam. Kogo masz na myśli?

Brazil uniósł brwi w zaskoczeniu.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że można dokonać ponownego transferu Mavry? Myślałem, że obciążenie byłoby zbyt duże.

— Teraz byłoby znacznie mniejsze. Mavra nie stanowi naturalnej części nowego ciała. Nie przebywała w nim również dość długo, żeby się z nim w pełni zjednoczyć. Poważnym problemem jest identyfikacja i zgromadzenie wszystkich elementów duszy. Znacznie łatwiej jest, kiedy ma się do czynienia z ciałem obcym niż z ciałem właściwym.

Brazil skinął głową, ale wciąż wahał się, patrząc na zmęczonych, wyczerpanych Gedemondian, którzy dali z siebie tyle, by ratować Mavrę. Nie chciał prosić, żeby inni poddali się temu samemu procesowi.

Komunikator zrozumiał.

— W porządku — pocieszył łagodnie. — Popieramy to, co robicie. Jest to konieczne i ważne. Trzymaliśmy się z dala od Świata Studni i robilibyśmy to dalej, gdyby sprawy toczyły się bezproblemowo. Niestety, tak nie jest. Mimo to byłibyśmy skłonni nie ingerować, podobnie jak czyniliśmy zawsze w przypadku konfliktów, lecz istotny wzgląd każe nam uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby się wam powiodło.

Zdumiony Brazył popatrzył na stworzenie.

— Istotny wzgląd? — spytał.

Gedemondianin skinął głową.

— Rozumie pan, kapitanie, poświęciliśmy całą naszą energię na badanie wszechświata i Studni, ale, co najważniejsze, na badanie najgłębszej części każdej istoty czującej, czyli duszy. Poznaliśmy już wiele, lecz dowiedzieliśmy się również, że istnieją oprócz nas istoty zamknięte podobnie jak my w Świecie Studni.

Istnieje ogromna rasa, która zna i rozumie wojny, przeciwności i rzeczywistość wszechświata leżącego poza tą małą sztuczną bańką — oto jedyna droga ku postępowi, ku rzeczywistym prawdom o nas samych.

— Jedną prawdę już odkryliście — odrzekł Brazil.

— Niestety nie — powiedział Gedemondianin ze smutkiem. — Popełniono błąd. Pominęto jakiś czynnik w trakcie przygotowania naszej rasy do życia we wszechświecie. Szybko wymarła. Nie doczekali nawet drugiego pokolenia.

— Skąd o tym wszystkim wiesz? — zapytał Brazil. — Nawet ja o tym nie słyszałem i nie dowiedziałbym się nigdy, gdybym nie dotarł do wnętrza maszyny. Skąd wy to wiecie?

— Wiemy. Każda istota we wszechświecie ma swój własny skomplikowany kod matematyczny. Umiemy wyczuć te kody i do pewnego stopnia odczytać. Wiemy, że kody te stanowią spójny system, który umożliwia zlokalizowanie we wszechświecie poszczególnych ras na podstawie ich odpowiedników tu, w Świecie Studni. Możemy nawet zidentyfikować wielką liczbę ras, których w Świecie Studni nie ma. Kiedy zaś rasa już nie istnieje, występuje luka, wyraźny brak ciągłości.

Brazil słuchał zafascynowany.

— Czy mam rozumieć, iż rzeczywiście umiecie odczytać kod Studni?

— Tak. Do pewnego stopnia — przyznał Gedemondianin. — Dzięki tej umiejętności jesteśmy w stanie w niewielkim zakresie wykorzystywać potencjał Studni, tak jak to robili Markowianie. W ten sposób możemy choć w części przewidzieć tendencje w przyszłości, zidentyfikować kluczowe postacie, dokonywać transferów i wymazywać pamięć u innych. Czy rozumiesz naszą frustrację? Jesteśmy już tak blisko umiejętności i zrozumienia Markowian, a jednak nie posunęliśmy się ani kroku dalej, ponieważ nie jesteśmy zdolni do rozwoju, do rozrastania się, do spojrzenia na świat z drugiej strony, od strony wszechświata. I właśnie z tego powodu musimy pomóc ci we wszystkim.

Nathan Brazil zastanawiał się nad wypowiedzią Gedemondianina. Pokręcił głową i oskarżycielskim gestem wskazał na białą istotę.

— Chcesz, żebym zaczął wszystko od początku!

Tu się kończy altruizm — pomyślał z goryczą. Ta sama zapatrzona w siebie elita. Zastanawiał się leniwie, czym różniły się społeczeństwa i kultura Gedemondasu od niektórych Komlandów z dawniejszych czasów. To jednak ułatwiało sprawę.

— Widzisz — wyjaśnił. — Mamy tu do czynienia z dwoma problemami. W takiej postaci Mavra nie może podróżować, a jeżeli tu zostanie, najprawdopodobniej ktoś ją przerobi na pieczeń. Drugi problem polega na tym, że Gunit Sangh oczekuje, iż w najbliższym czasie będzie usiłował się wymknąć. Roześle patrole i przyczai się na mnie. Gdyby sytuacja nie rozwinęła się w ten sposób, może by

mi się to udało bez większych problemów. Podstawowy plan jest wciąż aktualny. Jedynym sposobem jego przeprowadzenia jest skorzystanie z drogi powietrznej.

— Może chciałbyś, żebyśmy ucharakteryzowali cię na Agitarianina, a Mavrę przetransformowali w ciało pegaza? To nie jest zły pomysł, jeżeli Mavra się zgodzi.

Mavra podniosła głowę, zamruczała zupełnie jak krowa, ale nie można było z tego nic zrozumieć.

— To byłby dobry pomysł, gdybyśmy wciąż trzymali się oryginalnego planu, ale myślę, że ten plan został już rozszyfrowany. Nie mamy tu na pustkowiu takich udogodnień, jakie stwarzały Komlandy. Żadne przebranie, jakie zdołamy tu stworzyć, nie wytrzyma dokładniejszych oględzin, a Sangh nie jest głupi. Zmusi na wszelki wypadek wszystkie latające istoty do wylądowania. Musimy być bardziej przebiegli. Obydwoje powinniśmy przemienić się w pegazy.

— Nie będziecie mogli się porozumiewać — zaprotestował Marquoz. — Każdy uzna was za zwykłe zwierzęta.

— W takim razie będziemy musieli mieć jeźdźców — odparł Brazil.

— Te wierzchowce, które posiadamy, są przeważnie skradzione. Nie wiem też, czy możemy ufać jeźdźcom z Agitaru.

— Jeźdźcy nie będą z Agitaru — odparł Brazil. — Pojedzie z nami Gedemonianin, ponieważ musimy mieć jakiś sposób komunikowania się, a sądzę, że wy to potraficie. Myślę, że jest to wykonalne?

— Tak, to jest wykonalne przez odpowiednie położenie rąk. Stajemy się wtedy czymś w rodzaju przewodnika umożliwiającego rozmowę. Dlaczego nie dwóch Gedemonianin?

— Mimo swojej przydatności nie jesteście wojownikami — wyjaśnił Brazil. — Powinien być z nami ktoś, kto potrafi walczyć, strzelać, używać różnej broni.

— Nie jesteśmy bezbronni, ale masz rację. Jeżeli chodzi o walkę z istotami myślącymi, to możemy działać tylko w samoobronie — przyznał Gedemonianin.

— Myślę, że jestem trochę za duży i za ciężki dla was — dodał ze smutkiem Marquoz. — Chociaż, prawdę mówiąc, jeżeli byłoby to możliwe, chciałbym być tam z wami, kiedy nastąpi koniec.

— Cóż. Będziemy chyba musieli zaufać jednemu z Agitarian. Wybierz najlepszego i dwa wierzchowce, i niech się tutaj pilnie stawia.

— Ja to załatwię — powiedział Cygan i zniknął.

Wszyscy patrzyli na miejsce, w którym stał jeszcze przed chwilą. Brazil pokręcił głową ze zdumieniem. — Jak on to robi? — zapytał głośno.

— Informuje Studnię o swoim życzeniu i ona to robi — wyjaśnił Gedemonianin.

— Chcesz powiedzieć, że jest posłuszna jego woli? — nalegał Brazil.

Gedemonianin skinął twierdząco.

— Wynika z tego, że jest Markowianinem — odpowiedział obojętnie.
— Nie. — Brazil potrząsnął przecząco głową. — Markowianie w Świecie Studni nie mieli dostępu do głównego komputera. Zepsułoby to cały eksperyment.
— W każdym razie on to robi — upierał się Gedemondianin. — Wyczułem to, prawie widziałem.
Brazil zapatrzył się w ciemność.
— Kto, u diabła, mógł się tego nauczyć i jak? — zastanawiał się na głos.

* * *

Agitarianinem była nowa o imieniu Prola. Pochodziła z Olimpu. Była bardzo pewna siebie i dumna, że wybrano ją do tej trudnej misji. Niezbyt dobrze czuła się w roli mężczyzny z Agitaru, będąc była Amazonką, ale wyprawę tę traktowała jako okazję zesłaną przez Opatrzność.

— Z przykrością muszę przyznać, że nie umiem jeszcze dobrze jeździć na tych zwierzętach.

— Nie przejmuj się — pocieszał Brazil istotę podobną do satyra. — Po prostu trzymaj się, a ja zajmę się lataniem. Mam nadzieję — dodał po cichu.

Zebrawi się po raz ostatni przy świetle latarni. Brazil wydobył mapę i rozłożył ją na ziemi.

— Jest prawie pewne, że Sangh zaatakuje o świecie. Nie chcę, żebyście walczyli. Cygan, powiedz Asamowi, żeby natychmiast po naszym wyruszeniu zebrał całą armię i rozpoczął marsz prosto w kierunku trasy Ellerbanta-Verion. Sangh będzie was ścigać, ale wy powinniście prowadzić jedynie działania opóźniające. Myślę, że twoi ludzie, Marquoz, będą umieli zrobić to skutecznie. Im szybciej będziecie maszerować, tym mniejsze będzie zagrożenie waszych tyłów. Ponieważ nieprzyjaciel spodziewa się, że przyjmiecie bitwę, nie będzie przygotowany do prowadzenia pościgu. Jeżeli będziesz mógł, skontaktuj się z Juą i powiedz jej to samo.

— To spowoduje, że wpadnie wprost na armię Khutira — zaprotestował Cygan. — Dojdzie do masakry. Khutir ma liczniejszą armię i jest bardziej doświadczony.

— Khutir prędko dowie się, że główne siły idą na niego od skrzydła. Założę się, że postara się szybko ustanowić linię obrony na możliwie szerokim froncie i będzie usiłował utrzymać ją dopóki armia Sangha nie wyjdzie na wasze tyły. Musi zablokować obie armie i to go stawia w bardzo trudnej sytuacji. Traci przewagę liczebną i materiałową.

— A tymczasem ty przeleczysz nad jego głową — roześmiał się Marquoz. — Niezłe. Całkiem niezłe.

— Ale i nie takie łatwe — zastrzegł się Brazil. — Może będziecie musieli ratować nas z rąk nieprzyjaciela, ale jest to nasza najlepsza szansa. Jeżeli którejs

armii uda się przebić przez siły Khutira, bardzo dobrze. Niech dotrze do trasy, wybierze dogodną pozycję i prowadzi w miarę potrzeby działania opóźniające.

— Jak... jak dowiemy się, że dotarliście do celu? — chciał się dowiedzieć Cygan.

Brazil roześmiał się.

— Cóż. Gedemondianie powiedzieliby ci o tym. Ale jest łatwiejszy sposób, szczególnie po zmroku.

— Jaki?

— Jeżeli Mavra wyda polecenie, przekręcę wyłącznik. Wszystkie gwiazdy zgasną.

Cygan przełknął nerwowo ślinę.

Bache, przed świtem tego samego dnia

Mavra Chang nie miała wielu możliwości, żeby zabrać głos na temat rozwoju sytuacji. Nie miała też wielkiego wyboru, co sama stwierdziła. Wszystko było lepsze od życia w powłoce krowy, a teraz rozwój wypadków zmuszał ją do udania się do Studni Dusz, czy tego chciała, czy nie. Wolałaby umrzeć, niż pędzić całe życie jako sparaliżowana Dillianka, wolała też żyć jako krowa niż umrzeć. Teraz wolała być raczej latającym koniem niż krową lub czymkolwiek innym, byle nie zwierzęciem oswojonym. Oznaczało to konieczność udania się z Brazilem do Studni Dusz i obecność tam w czasie, kiedy on będzie odprawiał swoje misteria.

Nie miała pewności, jakie uczucia żywi obecnie wobec Brazila, ale wiadomość o zdradzie Asama, którą usłyszała z rozmowy pomiędzy Brazilem a Marquozem, omal jej nie załamała. Nie mogła tego ani zrozumieć, ani sobie wyobrazić, a że czyn ten popełniony został z jej powodu, w jakiś sposób i ją splugawił. Kolejne złudzenie rozwiało się. Znowu coś dobrego przemieniło się w coś brudnego i okropnego. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie ciąży na niej jakieś przekleństwo, jakaś skaza, która wykrzywiała lub niszczyła wszystkich uważanych przez nią za bliskich.

Ten transfer był taki sam jak poprzedni. Zwierzę ustawiono blisko niej. Następnie jeden z Gedemondian położył dwie miękkie łapy na jej głowie, drugi na głowie zwierzęcia, a trzeci położył jedną łapę na głowie każdego ze swych towarzyszy. W tym momencie zapadła w głęboki sen bez marzeń.

Tym razem było jednak trochę trudniej, głównie z tego powodu, że mózg pegaza wydawał się bardziej skomplikowany, bardziej świadomy niż mózg krowy. Opanowała pierwszy szok i strach zwierzęcia nie poprzez bezlitosny nacisk psychiczny, jak to zrobiła z krową, ale uspokajając je łagodnie i oferując swego rodzaju partnerstwo. A po wstępnym oporze i nawrocie strachu potężny, skrzydlaty koń zdawał się łagodnieć i godzić z sytuacją. Gdy zwierzę ją zaakceptowało, nastąpiła chwila zamętu, podwójnego myślenia i podwójnego widzenia, która zakończyła się dogodnym dla obojga porozumieniem. Ona była pegazem, a pegaz był nią.

Przeżycia Brazila związane z transferem były zupełnie inne, a jego zaskoczenie znacznie większe. W pewnym sensie zwierzę odniosło zwycięstwo, ponieważ Brazył bardziej martwił się, jakie to będzie miało dla niego skutki, niż był zainteresowany przemianami się w pegaza, chociażby na krótki czas.

Kolejnym zaskoczeniem był zakres widzenia, jakim dysponowały uskrzydłone konie. Dostrzegały kolory. Przedmioty były bardziej wyraziste, rozdzielczość lepsza, niż mógł to sobie wyobrazić. Wycucie głębi było prawie doskonałe. Wzrok można było skoncentrować swobodnie na dowolnym przedmiocie znajdującym się niemniej niż cztery metry od patrzącego i tak prawie aż do nieskończoności. Trudniej było obejrzeć przedmioty położone bliżej. Rozmieszczenie oczu na głowie utrudniało taki rodzaj patrzenia. Można było jednak uzyskać zadowalający, dwuwymiarowy obraz, zamknąwszy jedno oko.

W oddali armia była już w ruchu. Dochodził do nich odległy zamęt. W świetle poranka łatwo było dojrzeć wiele istot latających, ubezpieczających marsz i patrolujących szlak ku północnemu zachodowi.

Prola robiła ostatnie poprawki przy uprzęży Brazila, który właśnie uspokoił się po szoku transferu i przyzwyczajał się do swego nowego ciała. Musiał się też pogodzić z myślą, że jest płomiennoróżowego koloru, podczas gdy Mavra jest jasnoniebieska. Pegazy agitariańskie były różnokolorowe. Pewnym ciosem był dla niego również fakt, że obydwójce wcielili się w bezpłodne klacze.

— Czy jesteś gotów do próbnego lotu? — zapytał Agitarianin nerwowo.

Nie miał zbyt dużego doświadczenia z wierzchowcami. Polegał raczej na ich dobrym przeszkoleniu. Brazyłowi też brakowało doświadczenia w tej kwestii.

Denerwował się. Nie chciał jednak, żeby to zdenerwowanie udzieliło się tej jego części, która była pegazem. Latał już wszystkimi urządzeniami, jakie człowiek wymyślił do latania. Lubił latać. Nigdy jednak nie był istotą latającą. Czuł ciężar na grzbiecie. Poczul, jak jeździec na niego wsiada i sadowi się na specjalnym siodle, bierze uzdę, po czym lekko trąca go piętami w boki.

— Dobrze — powiedziała Prola chrapliwie. — Pokłusujemy na polanę i zobaczymy, czy się nam uda.

Brazył starał się odprężyć i powierzyć całą robotę pegazowi. Lecz powiodło mu się tylko częściowo. Zamykanie oczu nic nie pomagało. Nie zamykając ich, nie potrafił się jednak odprężyć i pozwolić refleksowi oraz obcym genom przyjąć całą kontrolę. Stwierdził, że wiatr jest bardziej dokuczliwy niż kiedykolwiek w przeszłości. Pegazy widocznie umiały wyczuć najłżejsze podmuchy i zawirowania i wiedziały, jak należy z nimi postępować. Obiegł truchtem polanę, dopóki wiatr nie zaczął wiać mu prosto w rozdęte nozdrza. Zanim zdążył się zastanowić, poczuł delikatną zachętę ze strony jeźdźca, usłyszał okrzyk „Wio!” i już galopował przez polanę. Czuł, jak wielkie skrzydła rozpościerają się, napinają, dostosowują swój profil do wiatru i nagle zrozumiał, że cała sytuacja była podobna w zasadzie do jego doświadczeń z czasów, kiedy pilotował samoloty.

Zaskakujące było to, że mógł zobaczyć wiatr! Oczywiście bardzo niewyraźnie dostrzegał nie przysłaniające widoku, drobne załamania światła, potrafił rozróżnić jakość warstw powietrza i szybkość ich poruszania się, widział granice między nimi.

Poczuł, że zaczyna się unosić i opanował niepokój. Nogi pracowały jeszcze przez krótką chwilę, następnie podwinęły się pod brzuch w sposób przypominający chowanie się podwozia samolotu. Spowodowało to natychmiast zmniejszenie się oporu powietrza. Wszystko stało się radośniejsze i łatwiejsze. Wspaniale było wznosić się tak z wiatrem i prądami powietrza, a nawet walczyć z nimi, wirować i szybować swobodnie, kiedy żadna maszyna nie oddzielała go od żywiołu.

Agitarianka kopnęła go i szturchnęła kilka razy, dając do zrozumienia, że czas wracać na ziemię. Nie chciał wracać. Nie chciał utracić tego wspaniałego poczucia swobody, ale słońce podnosiło się już znad horyzontu i czas uciekał.

Znowu poczuł się trochę niepewnie, kiedy ziemia zaczęła pędzić ku niemu. Nogi rozprostowały się i działały jak hamulce powietrzne. Dłonie — niezwykle zwinne skrzydła pozwoliły mu wytracić szybkość tak, że mógł wylądować. Nogi pracowały jakby w galopie i nagle najpierw przednie, a potem tylne dotknęły ziemi. Skrzydła ustawiły się poprzecznie do wiatru, ułatwiając mu zatrzymanie się.

Teraz przyszła kolej na Mavrę. Wykazywała te same oznaki nerwowości i wahania, jakie i on odczuwał. Zdołał zauważyć pewne błędy w jej krokach i ustawieniu i modlił się, żeby się odprężyła i nie popełniła więcej błędów niż on.

Wstrzymał oddech, dopóki nie oderwała się od ziemi i nie wystrzeliła w górę, przybierając opływowe kształty podczas wznoszenia się ku niebu. Dopiero wtedy odetchnął głęboko i pokiwał z uznaniem swoją końską głową. Przecież ona też była pilotem, a piloci byli urodzeni do latania.

Pozwolił wreszcie dosiąść się Gedemondianinowi i stwierdził, że jego wzrost i waga stanowią poważną przeszkodę. Zmartwiło go to i przez chwilę obawiał się, że planowany skład drużyny okaże się nierealny. Gedemondianin też przeraził się tej myśli i strawił mnóstwo czasu na znalezienie najwłaściwszej pozycji. Brazyl pomyślał, że Gedemondianin żałował pewnie, że nie uczestniczył w transferze, co wyłączyłoby go z podróży.

Tym razem galopował znacznie dłużej, zanim udało mu się oderwać od ziemi. Zasapał się. Skrzydła musiały pracować z dwukrotnie większym napięciem, dźwigając prawie dwukrotnie większy ciężar. Lot stał się nieco łatwiejszy, kiedy Gedemondianin, może bardziej ze strachu niż z rozsądku, pochylił się do przodu, opierając się piersią i głową o szyję Brazila.

Lądowanie również okazało się trudniejsze i o mało przy tym nie stracił równowagi, ale w końcu udało mu się tego dokonać tuż po powrocie Mavry z próbnego lotu. Wyraźnie odczuwał, ile wysiłku kosztował go ten lot i zrozumiał, że chyba

będą musieli zmieniać się z Mavrą mniej więcej co godzinę, żeby sprawiedliwie rozłożyć obciążenie.

Teraz byli gotowi do drogi. Pozostał im ostatni etap podróży. Obyło się bez dłuższych pożegnań. Żegnał się głównie Gedemondianin ze swymi towarzyszami. Czynił to bez słów, a przynajmniej tak to wyglądało. Wreszcie jedno po drugim wzbili się w niebo. Brazil zdecydował, że będzie niósł na grzbiecie Gedemondianina tak długo, jak to będzie możliwe, aby sprawdzić swą wytrzymałość i upewnić się, czy będą w stanie odbyć tę podróż, jak zaplanowali.

Wzbijali się, dopóki nie osiągnęli wysokości około tysiąca metrów; zatoczyli koło, obserwując, co się dzieje na północy, po czym zawrócili i ruszyli na południowy zachód. Z tej wysokości widać było obydwie armie. Dzielila je odległość nie więcej niż kilometra. Obie armie były jednak w ruchu. Chciałby zobaczyć minę Gunita Sangha, kiedy jego oddziały pokonają ostatnie wzniesienie i stwierdzą, że obóz jest opuszczony. Ale zwiadowcy pewnie już mu o tym donieśli. Zastanawiał się, co Dahbi z tego wywnioskuje i jak postąpi, żeby ratować sytuację.

Przez pewien czas lecieli na południe nie tylko dlatego, że teren był tam równiejszy i mogli lecieć niżej, co było łatwiejsze, ale także dlatego, że w ten sposób oddalali się od sił nieprzyjaciela i unikali pościgu nawet, gdyby zostali dostrzeżeni. Z daleka mogli uchodzić za kurierów, których nie warto gonić. Po godzinie, kiedy uznali, że oddalili się wystarczająco od zamętu panującego na ziemi, zawrócili ostrożnie najpierw ku zachodowi, potem ku północy.

Kilkakrotnie zbliżały się do nich wiedzione ciekawością istoty, niektóre rozumne, inne nie, jak ptaki i zwierzęta, zaniepokojone dziwnymi kształtami pojawiającymi się na niebie. Przez moment obawiali się ataku gigantycznego, podobnego do sępa ptaka o groźnie wyglądających szponach i dziobie i rozpiętości skrzydeł przekraczającej trzy metry, ale skończyło się na wrzasku i kilku udawanych atakach. Po chwili ptak odleciał. Prawdopodobnie opuścili jego terytorium lub też uznał, że przeciwnicy są zbyt wielcy, żeby z nimi zaczynać.

Swym doświadczonym okiem Brazil ocenił szybkość ich lotu na czterdzieści pięć do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W tym tempie nie osiągną celu wcześniej niż za trzy i pół lub cztery dni.

Miał nadzieję, że podołają zadaniu.

* * *

Pierwszej nocy spali niespokojnie. Rano, wygłodzeni, objedli się trawą i ruszyli w dalszą drogę. Tym razem Mavra niosła Gedemondianina i Brazil odczuwał wielką ulgę, chociaż przemieszana ze współczuciem, że to ona musi dźwigać tak duży ciężar. Dobrze jednak dawała sobie radę, a także i Gedemondianin nabrał już nieco doświadczenia w jeździe. Mavra wydawała się nieco większa i silniejsza, ale wcale go to nie drażniło.

Drugi dzień podróży minął prawie tak samo jak pierwszy, chociaż Brazil zaczął odnosić wrażenie, że był może zbyt optymistycznie nastawiony, wybierając tę trasę. Pod nimi piętrzyły się już szczyty górskie, co zmuszało ich do wznoszenia się coraz wyżej. Oznaczało to większy wysiłek, ale i trudności w oddychaniu.

U schyłku dnia zostali nagle zatrzymani. Otoczyły ich istoty podobne do ogromnych, nieco wydłużonych dysków. Na górnej powierzchni ich ciał znajdowały się ogromne, wytrzeszczone oczy i mnóstwo podobnych do węży macek. Główną część spodniej strony dysków. Nie wiadomo było, w jaki sposób się poruszają oraz jak się utrzymują w powietrzu i wykonują tak gwałtowne zwroty, wznoszenia i spadki.

Ziejące brzydotą stwory, a było ich razem dziewięć, otoczyły oba uskrzydłone wierzchowce. Zmusiły je do wylądowania na nagim płaskowyżu. Napastnicy znieruchomieli jakieś dwa metry nad powierzchnią ziemi i przyglądali im się.

— W imieniu Rady zatrzymujemy was i żądamy wytłumaczenia waszej obecności — powiedziała jedna z istot.

Nie miała translatora i jej głos podobny był do gdakania i ćwierkania. Wydawało się jednak, że Gedemondianin rozumiał ją doskonale, bo odpowiedział w tym samym języku.

Brazil i Mavra stali z boku razem z Agitarianką Prolą, nie mogąc nic zrobić ani nawet zrozumieć, o co chodzi. Wreszcie Gedemondianin skinął głową, a zatrzymujące ich istoty uniosły się w górę i szybko zniknęły.

— Patrol z armii Khutira — wyjaśniła biała istota. — Musiałem się nagadać, żeby ich przekonać, że jesteśmy w porządku. Mieliście szczęście, że wzięliście mnie ze sobą. Gdybym nie umiał rozmawiać z nimi w ich ojczystym języku Akkokek, zabraliby nas do obozu na przesłuchanie. Ruszajmy, zanim się rozmyślą.

Wystartowali. Cała trójka zastanawiała się, co też takiego Gedemondianin powiedział napastnikom, że zostawili ich w spokoju, Brazil postanowił nie grać z nim nigdy w gry hazardowe.

Lecąc nad Quilstem, nie dostrzegli śladów większej armii, co ich nieco zaniepokoiło. Gdzie się podział generał Khutir? Czy rzeczywiście został aż tak daleko odciągnięty od bronionych terenów? Czy to wszystko miało być aż tak łatwe?

Inne istoty często zrywały się ze swoich placówek, żeby ich sprawdzić, ale za każdym razem Gedemondianin zdołał przekonać natrętów, żeby zostawili ich w spokoju, albo podawał właściwe hasło i pozwalano im kontynuować podróż.

Gedemondianin śmiał się, kiedy dopytywali się, jak tego dokonał; wyjaśniał, że nie potrafi czytać cudzych myśli, ale może skłonić psychicznie słabsze jednostki do ujawnienia mu w rozmowie tego, czego chciał się dowiedzieć. Nic więcej nie mogli od niego uzyskać.

Kiedy dotarli nad Quilst, teren obniżył się. Wszędzie było pełno wody i pienia się gęsta roślinność. Tu i ówdzie widać było wielkie błotniste stawy. Gdzienie-

gdzie dostrzegali potężne istoty podobne do hipopotamów, zajmujące się swoimi sprawami. Lecz nie było widać żadnych budowli ani śladów działalności gospodarczej. To wszystko musi być ukryte gdzieś pod tymi bagnami — pomyślał Brazil. Jednak była wyraźnie widoczna gęsta sieć dróg i ścieżek pokrywających cały sześciokąt.

Przelecieli nad najsuchszym rejonem sześciokąta. Teren zaczynał się tu wznosić szerokimi tarasami, tworząc u szczytu dziki płaskowyż. Kiedyś znajdowały się tutaj obóz i główna kwatera Khutira. Można było bez trudu dostrzec zniszczenia i porzucony sprzęt. Pozostało tu jeszcze kilkaset istot różnych ras pilnujących zapasów oraz pełniących symboliczną straż u wejścia na trasę.

Omijali obóz od południa, mając nadzieję, że pozostaną niezauważeni. Wkrótce opuścili jego rejon i znaleźli się na zachód od wielkiej trasy, którą było już prawie widać w oddali.

Nie zamierzali zbliżyć się od południa, ani też od wschodu z terenów wrogiego sześciokąta Verion. Chcieli dotrzeć do trasy drogą okrężną przez Ellerbantę, trzymając się tak daleko na zachód od trasy, jak to tylko możliwe.

Nie była to najdogodniejsza z tras. Im bardziej się do niej zbliżali, tym bardziej Brazil zdawał sobie sprawę z tych niedogodności. Teren był górzysty, bardzo przypominający Gedemondas i chociaż nie było szczególnie zimno, szczyty wznosiły się coraz wyżej i utrudniały lot.

Mavra uświadomiła sobie problem wcześniej niż Brazil. Pamiętała, że uskrzydłone wierzchowce nie mogły poruszać się w górnych rejonach Gedemondasu, lecz jedynie na ograniczonym pułapie. Ponadto ciężar, jaki dźwigały, nie ułatwiał im zadania.

Musieli teraz lądować nieco częściej, a o miejsce do lądowania było coraz trudniej. Znajdowali się ponad linią wiecznych śniegów i prawie nie można było znaleźć miejsca, żeby się zatrzymać. Góry przed nimi były jeszcze wyższe, a bardziej odległe pasma położone dalej na północ, przysłonięte chmurami.

Po raz pierwszy sięgnęli po mapy regionu i po raz pierwszy mogli je dokładnie przeanalizować. Mavra nie umiała odczytać napisów, ale kiedy wyjaśniono jej sens znaków, zrozumiała jasno, że nie będą w stanie dolecieć do Bariery Równikowej przy trasie. Nie przy tej trasie.

Korzystając z usług Gedemondianina, który pomagał im się porozumieć, a także wtrącał swoje opinie, przekazała zdanie Brazilowi, nie szczędząc krytycznych uwag.

— Skąd mogłem wiedzieć, jakie są granice możliwości tych zwierząt? — narzekał. — W ogóle nie wiedziałem, że one rzeczywiście istnieją. Na Ziemi przetrwały jedynie w legendzie jako zwierzęta mitologiczne. Właściwie nie mamy wyboru. Mogliśmy wyruszyć na wschód, ale wtedy znaleźlibyśmy się nad sześciokątem Lamotien i Yaxa i nie mielibyśmy tam żadnych szans. Następny sześciokąt dalej na zachód jest pod wodą i nadaje się tylko dla zwierząt wodnych.

Musielibyśmy też stoczyć i tam zaciętą walkę. Trasa położona dalej na wschód znajduje się pod Morzem Burz. Ta trasa była jedyną, z jakiej mogliśmy skorzystać i musimy się z tym pogodzić.

— Ale przecież ani dalej, ani wyżej lecieć nie potrafimy — sprzeciwiała się.

— To prawda. — Skinął swą końską głową. — Musimy więc ruszyć prosto do trasy. Myślę, że jest tuż za następnym łańcuchem górskim nie dalej niż trzydzieści, czterdzieści kilometrów stąd. To nasza jedyna szansa. Jeżeli będziemy musieli, to pójdziemy, a jeżeli zdołamy, to polecimy. Ruszajmy.

Nie mieli żadnego wyboru. Wszyscy jednak byli pewni, że trasa, nawet na takiej wysokości, była miejscem, gdzie nie powinni się pokazywać i gdzie z pewnością napotkają nieprzyjaciela. Nikt nie wątpił, że rozkazy Sangha i Khutira dla oddziałów patrolujących trasę były jednoznaczne: zabić wszystko, co będzie korzystać z trasy. Wszystko bez wyjątku, a przecież Ellerbanta była sześciokątem technologicznie rozwiniętym i każda broń była tu skuteczna.

Nawet Gedemondianin, który czuł się prawie jak w domu na tej wysokości wśród śniegu i zimna, odczuwał niepokój.

Nie mieli jednak wyboru.

* * *

Na trasę natknęli się niespodziewanie. Zagroziła im drogę potężna ściana skalna i zdecydowali się wspinać na szczyt w nadziei, że przynajmniej stamtąd będą mogli dostrzec trasę.

Okazało się, że osiągnęli więcej. Brazyl pierwszy dotarł do szczytu i omal nie runął w przepaść po drugiej stronie. Spojrzał w dół. Przednie nogi zwisały mu nad przepaścią. Prawie pionowa ściana opadała ponad cztery kilometry w dół aż do trasy.

Wydał z siebie zupełnie końskie rzenie strachu. Inni, choć ostrożnie, pospieszyli ku niemu. Udało im się wspólnie wciągnąć go poza krawędź i wszyscy razem spojrzeli w dół.

Trasę można było ledwie dojrzeć. Chmury, mgła i skały przysłaniały widok. Bez wątpienia była to jednak trasa. Jej fragmenty można było zauważyć w kilku prześwitach między chmurami daleko, daleko w dole. Dawała się zobaczyć wyłącznie dlatego, że miała kształt obcy przyrodzie — była idealnie prostą, cienką jak włos, jaśniejącą linią dostrzegalną jedynie dla wyjątkowych oczu pegazów.

Daleko na północy, w przerwach pomiędzy szczytami gór, ujrzeli czarny pas rozciągający się jak okiem sięgnąć ze wschodu na zachód. Była to Bariera Równikowa, droga do Studni za pośrednictwem tras, a równocześnie nieprzekraczalna bariera pomiędzy obcymi sobie światami: Północą i Południem.

— Czy możecie lecieć w tym wąwozie? — zapytała Agitarianka.

Brazil i Mavra spojrzeli w dół. Dostrzegli wiatr i prądy powietrzne, ocenili największe miejsca wąwozu z nieomylnym wyczuciem uskrzydłonych wierzchołków i prawie równocześnie potrząsnęli głowami przecząco.

— W żaden sposób — powiedział Brazil za pośrednictwem Gedemondianina. — Prądy powietrzne są zbyt zdradliwe. W niektórych miejscach wąwóz jest za wąski. Musimy iść wzdłuż krawędzi i poszukać drogi w dół.

— Wątpię, czy jakakolwiek istota latająca mogłaby przelecieć przez ten wąwóz — zgodziła się z nim Mavra.

— Poza tym będziemy stanowić łatwy cel dla każdego, kto znajdzie się na krawędzi wąwozu — zauważył Brazil. — Żle się to dla nas skończy, jeżeli ktoś będzie mógł latać na tej wysokości.

Ruszyli pieszo.

Droga nie była łatwa. Musieli często okrążyć trudniejsze miejsca, a nawet cofać się, żeby utrzymać się w pobliżu trasy. Posuwali się powoli i spędzili zimną, głodną noc na szczycie góry.

Po wschodzie słońca sytuacja się nie poprawiła. Temperatura spadła znacznie poniżej zera. Widok zapierał dech w piersiach. Chmury zasłaniały ziemię, doliny, wąwozy i tylko najwyższe szczyty wystawały spośród nich, rozjarzone oślepiającymi promieniami słońca. Gdyby lotu nie uniemożliwiał brak tlenu na tak wielkiej wysokości, i tak byłby on ryzykowny, gdyż nie można by znaleźć bezpiecznego miejsca do lądowania.

Gedemondianin prowadził. Agitarianka, otulona w ciepłą odzież, jechała na grzbiecie Brazila. Biała istota dobrze znosiła trudy powietrza. Nie przeszkadzały jej ani ogromna wysokość, ani zimno. Prowadziła ich niebezpieczną ścieżką z nieomylną precyzją.

Była ona konieczna, ponieważ jej brak na tej wysokości oznaczałby koniec. Szli jeszcze wolniej niż dnia poprzedniego. Około południa Mavra oceniła, że przebyli zaledwie parę kilometrów. Czarna bariera na północy wydawała się wciąż tak samo odległa. Dotarli jedynie do kolejnego szczytu wystającego ponad chmurami. Brazila ogarniał coraz większy pesymizm. Zaczął zastanawiać się, czy w ogóle uda im się dotrzeć do Studni. Nie mieli nic do jedzenia i byli bardzo głodni. Wszystkie drogi wydawały im się nieodpowiednie. Obawiali się, że cały plan spali na panewce.

O zmierzchu byli przygnębieni, czuli się pokonani i oszukani. Chcieli się naradzić, ale właściwie nie było o czym gadać. Wszyscy mieli takie same ponure myśli. Każdy wydawał się mówić: „Zawiodłem. Zawiodłem siebie i was. Zawiedliśmy. Udało nam się przechytryć, przewyżżyć i pokonać wszystkie siły, jakie Świat Studnia rzucił przeciwko nam, lecz teraz ginimy, będąc ofiarami nie wrogiej armii czy błędnego planu, ale geografii”.

Zapadł zmrok. Rozbili obóz, by spędzić kolejną samotną, wietrzną i ciemną noc bez jedzenia, a teraz i bez nadziei.

— Zrobiliśmy, co mogliśmy. — Brazil starał się ich pocieszyć, chociaż sam bardzo pocieszenia potrzebował. — Będziemy próbowali tak długo, jak to tylko będzie możliwe i dopóki będziemy w stanie.

— Widzę tylko jedno wyjście — powiedziała Mavra. — Jutro rano, póki mamy jeszcze trochę sił, musimy polecieć na dno wąwozu.

— Jak szeroka jest trasa? — zapytała Prola z niepokojem.

— Mniej więcej trzydzieści metrów — odparł Brazil po namyśle. — Wąwóz jest oczywiście nieco szerszy. Nie wiemy jednak, jak daleko w dół będziemy musieli szybować i jakie przewężenia będziemy musieli omijać.

— Przy pełnym rozłożeniu — zauważyła Mavra — rozpiętość naszych skrzydeł sięga ośmiu, dziewięciu metrów. Pozostawia nam to niewielką możliwość manewru, a przy tych złośliwych prądach wstępujących i zstępujących i w chmurach...

— To był twój pomysł — odparł Brazil. — Nie próbuj teraz wpływać na zmianę decyzji. To jedyna rzecz, jaką możemy zrobić, a ja nie mam wcale ochoty tego robić, więc niewiele potrzeba, żebym wybrał śmierć głodową lub z zimna tu, na górze.

— A więc jutro koło południa — zgodziła się Mavra skruszona. — Będziemy wtedy mogli skorzystać z tej niewielkiej ilości światła słonecznego, które przedostanie się w głąb wąwozu.

* * *

Tej nocy spali niespokojnie. Nie chcieli myśleć o dniu następnym. Bali się. Kiedy obudzili się i rozejrzeli, ich nadzieje zostały nadwątlone jeszcze bardziej. Chmury podniosły się wyżej. Cały świat wokół spowiła kłębiąca się biel.

Łyknęli po garści śniegu i wyczekiwali, aż słońce lub jakaś zmiana pogody spowoduje rozproszenie się mgły.

— Tak się często dzieje w pobliżu tras — zauważył Brazil. — Podobne reakcje występują na granicy klimatycznie różnych sześciokątów. Trasa też jest granicą, a trzydziestometrowy pas między sześciokątami pozostaje pod wpływem klimatów obu sąsiednich terenów.

Milczeli przez większość poranka. Mgła nie ustępowała. Po pewnym czasie Brazil skinął na Gedemondianina, żeby zbliżył się i pomógł im w rozmowie.

— O czym myślisz, Mavro? — zapytał łagodnie, starając się oderwać jej myśli od bieżącej sytuacji.

— O innych miejscach, o innych ludziach — odparła smutno. — Zastanawiam się, jak się zakończyła bitwa. Kto zwyciężył? Czy to robi jakąkolwiek różnicę? Zastanawiam się, czy dali się nabrać na twoje ciało, które tam zostało, czy też wciąż jeszcze walczą? Chciałabym wiedzieć o tym, zanim...

— Umrzesz? — dokończył jej myśl. — Czy boisz się tego?

— Tak, oczywiście — odparła. — Nie jestem taka jak ty. Myślę, że nikt taki nie jest. Chciałabym zobaczyć ten nowy wszechświat.

— Cóż — stwierdził Brazil po chwili wahania. — To mi wiele mówi o tobie i nad tym właśnie się zastanawiałem.

Nie wyjaśnił jej, o co mu chodziło, ale jej słowa rozwiały dręczące go wątpliwości. Aż dotąd rozważał, czy była szczęśliwa w swym życiu jako Dillianka. Oczywiście zdrada Asama dużo zepsuła w stosunkach między nimi. Nie byłoby jednak w porządku w stosunku do niej postąpić tak, jak zamierzał, gdyby była szczęśliwa w swym ostatnim życiu.

To w ogóle nie było w porządku, ale ona nie uwierzyłaby w to, dopóki sama by nie spróbowała.

— Mgła się podnosi — zauważył Gedemondianin, przerywając kontakt.

Rozejrzeli się i stwierdzili, że była to prawda. Można już było dostrzec słońce, które pokonało jedną czwartą swej drogi po nieboskłonie. Jego promienie wypalały rzadką mgłę, której obecność na tej wysokości wydawała się niemożliwa.

— Zdaje mi się, że widzę szczyt po tamtej stronie! — zawołała Prola podniecona. — O, drugi tam! Tak! Przejaśnia się.

Gedemondianin zeszywniał nagle i rozejrzał się nerwowo dookoła.

— Myślę, że coś jest nie w porządku — wyszeptał. — Czuję w pobliżu czyjąś obecność. Pozwoliłem, aby prywatne uczucia przytępiły moją uwagę. Teraz wiem na pewno. Jesteśmy obserwowani.

Czekali w napięciu. Agitarianka wydobyła swą podobną do miecza, miedzianą różdżkę, która mogła razić tysiącami woltów energii elektrycznej generowanej przez jej ciało. Czekali, żeby sprawdzić, kto potrafi pokonać mgłę i znaleźć ich na tej wysokości.

— Halo...! — rozległ się potężny głos gdzieś z lewej strony i odbił echem od skał. — Hej, Nathan! Gdzie jesteś? Wychodź... Wygrałem! Załatwiłem cię! Nie możesz się ruszyć! Podjąłem wyzwanie i wygrałem! Nathan! Wygrałem!

Brazil dał znak Gedemondianinowi, który położył łapę na jego głowie, pozwalając mu mówić.

— Tutaj! — zawołał ze znużeniem. — Jak, u diabła, nas tu odnalazłeś?

Potężna postać wyłoniła się z mgły i zbliżyła ostrożnie. W dwóch spośród swoich sześciu rąk niosła niewielkie urządzenie elektryczne.

— To jest sześciokąt technologicznie rozwinięty — powiedział Serge Ortega. — Nathan, czy nigdy nie słyszałeś o radarze?

Na przełęczy Borgo

Ortega zgromadził całkiem potężne siły. Ich wielkość stawała się coraz bardziej oczywista, gdy szli za nim i rozglądali się. Armia była dobrze uzbrojona, wyposażona w najnowocześniejszą broń i elektryczne urządzenia wczesnego ostrzegania. Okopywała się.

— Muszę przyznać, że trudno wyobrazić sobie ciebie jako pegaza — żartował Ulik. — I to płomiennoróżowego. No, no!

Brazil jedynie parsknął w odpowiedzi, ponieważ Gedemondianin nie zdołał tłumaczyć mowy w marszu. Brazil i Mavra mogli się tylko wściekać w milczeniu. Wszystkie ich nadzieje rozwiały się.

— Przełęcz Borgo — powiedział Ortega. — Najwęższy punkt całego wąwozu. Tylko po dziesięć metrów wolnej przestrzeni z każdej strony trasy. Wspaniałe, naturalne fortyfikacje. Jak sami widzieliście, każdy kto będzie chciał dobrze do równika, musi skorzystać z trasy, a zatem musi przechodzić tędy.

Wokół wrzała ożywiona działalność. Zauważyli przenośny dźwig ustawiający lawetę działa gdzieś w głębi wąwozu. Ładunek dźwigu zniknął wkrótce we mgle. Otaczało i ubezpieczało obóz kilka małych, latających istot.

— Pewnie jesteś ciekawy, jak rozszyfrowałem twój spiszek — ciągnął Ulik, chełpiąc się bezwstydnie. — Mówiąc prawdę, wydedukowałem to z twoich działań, a ostatnie kawałki układanki trafiły na miejsce kilka dni temu, chociaż ogólny zarys już i tak znałem. Od początku było jasne, a przynajmniej od chwili, kiedy uniknąłeś naszych pułapek w Strefie, że będziesz prowadził swoją kampanię, wykorzystując liczne fortele. Nic nie mogło jednak przysłonić faktu, że prędzej czy później będziesz musiał wyruszyć całą siłą ku jednej z dwóch tras i jak tylko armia Hakazitu ruszyła przez przesmyk, poznałem po kierunku jej marszu, a także z działań armii Dillian, że będziesz operować w tym rejonie. Twój sobowtór na statku wywołał pewne wątpliwości, a myśl o podróży trasami podwodnymi odrzuciłem, jako że byłaby zbyt ryzykowna. Zostały zatem dwie — ta i Yaxa-Harbigor. Miałeś armie, które mogły dotrzeć do jednej z nich, a również i odpowiednie sobowtóry. Doprowadzało nas to do szaleństwa. Którą wybierzesz?

Przerwał, napawając się swoim triumfem.

— Odrzuciłem myśl o trasie Yaxa-Harbigor nie tylko ze względu na charakter tych sześciokątów i ich mieszkańców, którzy są bardzo groźni, ale także ze względu na to, że drogę do niej zamykała znacznie potężniejsza armia Sangha — ciągnął Ortega. — Rzut oka na mapę pozwolił jednak zrozumieć, że gdybyś zwrócił się na zachód i skierował armię Awbri na północ, dysponowałbyś potężnymi, połączonymi siłami przeciwko znacznie słabszym i gorzej wyposażonym wojskom Khutira. A zatem Ellerbanta, ponieważ Verion jest niedostępny, niebezpieczny, obcy i prawdopodobnie stanowi śmiertelne zagrożenie. Nie jestem pewien, czy te dziwaczne, naładowane elektrycznością, świecące robaki dałyby się przekonać. Dobrze jednak, że są przesądne. Inaczej nie moglibyśmy umocnić obu stron przełęczy.

Brazil zatrzymał się i skinął głową Gedemondianinowi, który zrozumiał i nawiązał połączenie.

— To wszystko jasne, Serge. Ale jak ty się tutaj dostałeś?

Ortega zachichotał.

— Wszystko w swoim czasie, mój chłopcze. Wszystko w swoim czasie. A zatem stary Gunit Sangh i jego ekipa nie chcieli słuchać tego, co miałem do powiedzenia i zapłacili za błędy. Raz po raz wyprowadzałeś ich w pole. Kiedy już wiedziałem, dokąd zmierzasz, postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce. Twój ciekawy przyjaciel, Cygan, powiedział mi, iż mogę opuścić Strefę bez obawy, że rozsypię się w proch, a ja miałem już dość siedzenia w tym moim prywatnym więzieniu, podczas gdy wszyscy świetnie się bawili. Oczywiście mogłem wydać odpowiednie rozkazy i zgromadzić wystarczające siły, ale nie umiałem odmówić sobie tej przyjemności. Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczyło porzucenie tej śmierdzącej dziury. Zobaczyć gwiazdy, odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć na skórze wiatr, upał, mróz, deszcz... To jakby narodzić się znowu. Mogę być chyba jedyną istotą żyjącą zdolną się z tobą zidentyfikować. Moje małe więzienie w zasadzie niewiele różniło się od więzienia, w którym żyłeś ty przez wiele tysięcy lat. Zostaliśmy niewolnikami naszych własnych pomysłów.

— Ale jak się tu dostałeś? — nalegał Brazil. — Chodzi mi o to, że Ulik leży prawie na drugim końcu świata, mimo że przy równiku. To twoje wielkie cielsko nie jest przecież zdolne do latania.

— Oczywiście, że jest — roześmiał się Ortega. — O mało co jednak nie zabiłem się, bo zapomniałem, jak to się robi. Zaraz ci coś pokażę.

— Co?

— Trublaka — odparł Ulik. — To wielki, miękki owad z sześcioma parami ogromnych, mocnych, przezroczystych skrzydeł o rozpiętości około sześciu metrów. Obrzydliwy, ale niegroźny. Dla Ulików są tym, czym konie były kiedyś dla ludzi: środkiem transportu, siłą pociągową... lub czymś w tym rodzaju. Nie są zbyt inteligentne, ale dają się łatwo oswoić. Trzyma się za lejce, siedzi się na czymś w rodzaju siodła, a do sterowania używa się także ogona. Podróż zajęła

nam prawie pięć dni, ale jeszcze przed wyruszeniem znaleźliśmy jej cel. Analiza map upewniła mnie, że będziesz musiał przejść przez przełęcz Borgo. Musiałeś. To jest jakby nawet zaplanowane w tym celu.

— Ale skąd, u diabła, wiedziałeś, że to my? — upierał się Brazil. — Byliśmy dobrze ucharakteryzowani. To chyba przyznasz?

Ortega wzruszył ramionami.

— Pamiętaj, że kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, byłeś w ciele jelenia. Wiedziałem, że tej sztuczki można dokonać i wiedziałem także, iż ty o tym myślisz. Kiedy wczoraj dowiedzieliśmy się o znalezieniu twego porzuconego ciała na pobojowisku, domyśliłem się, co się stało i czekałem. Musiało to być szybkie zwierzę lądowe lub latające. Domyśliłem się, że będzie raczej latające, ponieważ spieszyleś się. Jakie zaś duże, latające zwierzęta były do dyspozycji w pobliżu? Łatwo zgadnąć, kiedy się pomyśli i gra ze wszystkimi asami w rękawie.

Brazil rozglądał się dookoła, obserwując gorączkową działalność wojska z niejakim zdziwieniem.

— Po co to wszystko? Przecież wygrałeś. Wygląda to bardziej, jakbyś szykował się do obrony, a nie do powrotu do domu.

Ortega roześmiał się serdecznie, jakby z jakiegoś prywatnego żartu.

— Dobrze, chłopaki! Chodźcie tutaj! — zawołał.

Zza przenośnego dźwigu wyłoniły się dwie postacie, dwie znajome postacie. Jedną z nich był Hakazityjczyk, wielki i imponujący, drugi — wysoki człowiek z twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

— Halo, Brazil! — zawołał Cygan. — Zastanawialiśmy się, czy będziemy wcześniej niż ty, czy nie.

— Wygląda na to, że zdążyliśmy idealnie — zauważył Marquoz z zadowoleniem. — Ostatnie spotkanie przed startem. Mówiłem ci, Brazil, że chciałbym być świadkiem zakończenia.

Szok, jaki wywołał widok Cygana i Marquoz, był tak wielki, że połączenie stworzone przez Gedemondianina zostało na chwilę i przerwane. Kiedy z powrotem nawiązano kontakt, Brazil mógł jedynie spytać:

— Co tu się dzieje, u diabła?

— Zrezygnowałem ze stanowiska w Radzie — powiedział Ortega z uśmiechem. — Muszę przyznać, że nie wiedziałem do ostatniej chwili, którą stronę wybiorę. Nie wiedziałem nawet, czy zdobędę się na odwagę i opuszczę Strefę. Kiedy jednak już się ruszyłem, nie miałem wielkiego wyboru. Nie mogłem skazać cię na takie samo więzienie, którego tak nienawidziłem. To do mnie niepodobne. Nie mogłbym tego zrobić nikomu, a szczególnie staremu kumpłowi. Uczyniłem wszystko, co się dało, żeby wytrwać w wierności Radzie. Nie szczędziłem im rad. Zachęcałem do różnych działań. Ocaliłem nawet mnóstwo przybyszów przed wymordowaniem. Nie przejmowałem się specjalnie tym, że wielu przywódców zignorowało mnie i wysłało oddziały, żeby zabijały nowych już przy Bramie Studni.

Wiesz, co się stało? Te twoje amazonki tak się wściekły, kiedy pierwsze strzały zaczęły świstać, że rozbiły te oddziały w puch. Świetnie potrafią dawać sobie radę. A ponieważ nowoczesna broń nie działa w Strefie, nikt już teraz nie odważy się tego robić.

Cygan patrzył na niego z uśmiechem.

— I oczywiście święty Serge nie kierował się żadnymi motywami osobistymi. Ortega zrobił potulną minę.

— Tak, oczywiście, w niewielkim stopniu. Walczyłem z tym skubańcem Sanghiem przez pięćdziesiąt lat i tym razem przegra, a przegra całkowicie. Stanowi on największe zagrożenie dla stabilizacji tego świata i musi zniknąć. Niektórzy Dahbi nie są tacy źli. Obrzydliwi, może, lecz wiele innych ras jest podobnych. Ale źli? Nie. To było zarezerwowane dla Sangha. Wychodził z założenia, że kiedy już zdobędzie władzę, będzie mógł robić wszystko. Był naczelnym dowódcą i spartaczył robotę. Jeżeli dotrzecie do Studni, będzie to jego zupełna klęska. Nie tylko przestanie być zagrożeniem, ale też straci twarz, znaczenie wśród własnego plemienia i całe poparcie. Nikt nie zechce popierać przegranego, a niezadowolenie będzie ogromne. Wojny o Studnię wyraźnie to udowodniły. Nikt nie lubi, gdy jego synowie i córki, przyjaciele i sąsiedzi są zabijani. Jeżeli zaś giną, broniąc przegranej sprawy, wielu nie może się z tym pogodzić.

— Więc przeszedłeś na drugą stronę — westchnął Brazil.

Krzaczaste brwi Ortegi uniosły się.

— Ależ, Nathan! Zaskakujesz mnie! Wiesz przecież, że nigdy nie byłem po niczyjej stronie z wyjątkiem własnej. Swoją pieczeń też upiekłem na tym ogniu. Rozszyfrowałem cię, przechytryłem, złapałem w pułapkę. Teraz mogę wykonać zwrot i załatwić porachunki. Już najwyższy czas; obaj wiemy, że umieram. Nie chcę umrzeć w spokoju i samotności.

Mavrze udało się wreszcie zwrócić uwagę Gedemondianina i również uzyskać możliwość porozumiewania się.

— Tu Mavra — zaczęła, ponieważ i tak w rzeczywistości przemawiał tylko Gedemondianin. — Co się stało po naszym odlocie? Jak Marquoz się tu dostał?

— Ja ci powiem — odezwał się Marquoz. — Chodziło o to, że musieliśmy wyruszyć z wielkim pośpiechem, a armia Sangha już była w marszu. Dogonili nas w Mixtin i rozegrała się tam krwawa bitwa. Z wojskowego punktu widzenia była nie rozstrzygnięta, a nawet można by powiedzieć, że to my wygraliśmy, ponieważ zginęło znacznie więcej żołnierzy nieprzyjaciela niż naszych. Strategicznie jednak udało im się rozerwać nasze siły i przebić się. Nie mogliśmy trzymać się w nieskończoność, a wojska Awbri były unieruchomione na południe od nas, zbyt daleko, żeby udzielić nam pomocy. Gunit Sangh, podobnie jak Ortega, nie został wprowadzony w błąd znalezieniem twego ciała, Brazil. Może zatrzyma je, żeby udowodnić odniesione zwycięstwo. Nie wie, że zmieniłeś ciało, ale wie, że w jakiś sposób zmierzasz do trasy. — Jest zaniepokojony również tym, co stało się z

Mavrą. Wybrał najszybsze, najbardziej wszechstronne i najgroźniejsze oddziały i po przerwaniu naszych linii ruszyli prosto tutaj. Nie mogliśmy go zatrzymać. Uniemożliwiła nam to reszta jego armii. Jego siły już wkroczyły na trasę i jutro o świtanu wejdą do wąwozu.

Wszyscy odwrócili się i popatrzyli we wskazanym kierunku, chociaż we mgle i tak nic nie można było zobaczyć.

— Powiedziałeś, że przebili się przez nasze linie. A co z Asamem?

Hakazytyjczyk milczał przez chwilę.

— Nie żyje — powiedział wreszcie. — Zginął, jak gdyby szukał śmierci. W samym środku bitwy, kiedy siły Sangha najpierw odepchnęły, a następnie przerwały nasze linie, opuścił punkt dowodzenia uzbrojony w dwa pistolety maszynowe, starając się poderwać nasze oddziały do kontrataku. Prawie mu się udało. To był wspaniały widok. Galopował, kłął, wrzeszczał i z obu pistoletów prowadził ogień do nieprzyjaciela. Jego ludzie postępowali tuż za nim. Zadali nieprzyjacielowi poważne straty. Sangh jednak miał lepszych dowódców i rzucił zbyt duże siły w dokonany wyłom. Muszę przyznać, że jego żołnierze zapłacili drogo. Wokół Asama leżały stosy trupów. Skosił ich jak łan zboża. Niezależnie jednak od strat wciąż nacierali. Kiedy wystrzelał już całą amunicję i odniósł kilka ran, wyciągnął swój stary miecz i rzucił się na nich jak szaleniec. Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd w Świecie Studni. Nie było też nigdy takich wojowników. Dla Dillian stanie się męczennikiem i legendą. Nawet nieprzyjaciele będą śpiewać o nim pieśni pochwalne.

Mavra nie odezwała się, lecz wielkie łzy spłynęły z jej oczu. Miała nadzieję, że Marquoz powiedział prawdę, że nic nie upiększył, by ją pocieszyć. W tych okolicznościach — pomyślała — Asam tak właśnie by postąpił.

— Po bitwie — ciągnął dalej Marquoz — udało mi się znaleźć Cygana, który zmienił postać, żeby uniknąć niewoli; staraliśmy się wykorzystać ciało Brazila jako ostateczny fortel. Z początku wyglądało na to, że dali się nabrać. Nieprzyjaciel zaczął wznosić okrzyki triumfu i walki ustały prawie na całej linii. Sangh jednak wciąż nie dowierzał, a siły, które przerwały front, nie zatrzymały się i nie zawróciły. Zbyt wiele razy oszukaliśmy go. Tym razem chce być zupełnie pewien. Będzie maszerował trasą aż do końca.

— Zdecydowałem się ruszyć przed armią, by spróbować cię znaleźć — dodał Cygan. — Wkrótce trafiłem na oddział Ortegi, który się tu umacniał i zdecydowałem się zbadać, o co tu chodzi. Kiedy dowiedziałem się, że nie ma zamiaru cię schwytać i że cię tu nie widziano, wróciłem do Marquozu i używając jednego z tych trublaków, sprowadziłem go tu dla dokonania oceny sytuacji.

— Ryzykowałeś — zauważył Brazil. — Nie mogłeś być pewien intencji Ortegi. Jego cała historia jest pełna oszustw.

Marquoz tylko wzruszył ramionami.

— To właściwie już nie miało znaczenia. Zakończenie gry musiało nastąpić tutaj. Zrobiłem wszystko, co zdołałem. A ewentualnym niespodziankom mogliśmy tu zapobiec. Jednak wszystko dobrze się skończyło.

— Tak, dobrze się skończyło — przyznał Brazil. — Zawsze w jakiś sposób dobrze się kończy. Wygląda na to, że jest to wbudowane w system. Nawet, kiedy sytuacja staje się zupełnie niemożliwa, zawsze wszystko dobrze się dla mnie kończy. Serge, ilu ludzi masz do dyspozycji? — zapytał po chwili milczenia. — Oprócz nas, oczywiście.

— Sześćdziesięciu czterech. Musieliśmy znaleźć się tu bardzo szybko. Wykorzystałem pewne zobowiązania, jakie mieli wobec mnie. Mam dużo dobrego sprzętu, ale niewiele ponadto. Wszyscy moi ludzie są dobrzy, a pozycja jest nie do zdobycia.

— Sześćdziesięciu czterech — powtórzył Brazil. — Przeciwno zaprawionym w boju dwóm tysiącom Gunita Sangha.

— To prawie wyrównane siły — uśmiechnął się Ortega. — Nie przypuszczam, żebyśmy musieli bronić się tutaj wiecznie. Najpierw spuścimy was na dno za pomocą dźwigu, nakarmimy i ruszycie w drogę. Oczyszcziliśmy trasę dziś rano. Nie będzie żadnych niespodzianek. Wszystkie wyeliminowaliśmy.

Ortega na chwilę spoważniał.

— Kiedy zacząłem tę wyprawę, było nas siedemdziesięciu sześciu. Byłoby gorzej, gdyby ten sześciokąt technologicznie rozwinięty nie przylegał do trasy. No, ruszajcie na dół. Nie mamy czasu do stracenia.

Nathan Brazil spojrzał na potężnego Ulika i zaczął przeklinać w myślach swe obecne ciało, niezdolne do wyrażenia uczuć, jakie nim owładnęły. To było dziwne. Jeszcze kilka minut temu byłby gotów przysiąc, że uczucia takie dawno w nim umarły. Może tysiące lat temu.

— Mógłbyś pójść z nami, Serge — powiedział wreszcie.

— Myślałem o tym — odparł Ortega. — Myślałem o tym dużo. Teraz jednak, stojąc tutaj, za nic nie chciałbym stracić tego, co tu zorganizowałem.

Mówiąc to, patrzył w wielkie, zwierzęce oczy Brazila.

— Myślę, że rozumiesz. Ty właśnie powinieneś to zrozumieć.

— Tak. — Brazil westchnął głęboko. — Myślę, że rozumiem. No, to ruszajmy — powiedział, zerkając na dźwig.

— Trzymaj się, Nat. Ale bawiliśmy się dobrze, prawda?

— Prawda — przyznał Brazil z zadumą. — To prawda. Trzymaj się, stary diable. Daj im w kość.

— Zawsze im dawałem w kość — odparł Ortega z uśmiechem.

* * *

Wysokie, strome skały wznosiły się po obu stronach trasy wiodącej z podmokłych równin do Bariery Równikowej. Wiatr dał wąwozem, gwizdząc niesamowicie, a czasami w jego szumie słychać było huk rozbijających się o skały fal, chociaż morza w pobliżu nie było. Trasa biegła na dwóch poziomach. Środek był stosunkowo głęboki. Wypełniała go krystalicznie czysta, błękitna woda, pochodząca z letnich roztopów, która spływała w dolinę i tworzyła bagna Quilstu. Wyższy poziom po obu stronach płynącego środkiem strumienia był szeroki i równy, chociaż nieco nadszarpnięty erozją. Pokryty był cienką warstwą mułu. Tu i ówdzie leżały głazy, które spadły z okolicznych ścian skalnych. Dolina wyglądała całkiem naturalnie, jedynie strumień płynący po idealnie prostej linii wzdłuż granicy przypominał bardziej kanał niż potok stworzony przez przyrodę.

Dolina, której szerokość sięgała miejscami dwudziestu kilometrów, tu, przy przełęczy Borgo, zwężała się do zaledwie pięćdziesięciu metrów. Osypujące się od wieków skały i osuwające błoto spowodowały, że pomiędzy zwałami ziemi a potokiem pozostawały jedynie dwa, może trzy metry po stronie Ellerbanty i jeszcze mniej po stronie Verionu. Ściany nie były gładkie. Tuż przy przełęczy po obu stronach znajdowały się liczne występy skalne stanowiące idealne umocnienia i pozycje ogniowe.

Serge Ortega, stojąc tuż przy strumieniu, lustrował stanowiska nie bez satysfakcji. Zapadał zmierzch. Przygotowania przebiegały zadowolająco i właściwie nic już nie pozostało do zrobienia.

Marquoz zbliżył się do niego i rozejrzał z podziwem.

— Świetna organizacja — rzekł. — Jestem pod wrażeniem.

Ortega odwrócił się i uśmiechnął krzywo.

— Zawsze tak działałem. Tym razem jednak postarałem się szczególnie. Przecież to może być kulminacyjny punkt mojego życia.

Ortega rozsiadł się na swym potężnym ogonie. Uśmiechnął się teraz normalnie i patrzył gdzieś w dal niewidzącymi oczyma.

— Zastanów się, jakie było moje życie. Pełne i bogate. Tak przynajmniej myśle. Byłem buntownikiem, korsarzem, przemytnikiem, najemnikiem, gwiazdnym pilotem. Byłem wszystkim i wszędzie. Kiedy przybyłem tutaj, w bardzo krótkim czasie stałem się politykiem, ambasadorem i koordynatorem całego świata. Miałem tysiące romansów, piłem, walczyłem i świetnie się bawiłem. Teraz jestem zmęczony i znudzony. Śmierć jest jedyną rzeczą, jaka mnie ominęła.

— Wybrałeś niesamowite zakończenie — zauważył Marquoz z humorem.

— Właśnie! Czy wyobrażasz sobie, że takie życie mógłbym zakończyć, ginąc gdzieś w domu starców? Spokojna, łagodna śmierć w otoczeniu pielęgniarek, które podpierałyby mnie, żebym mógł patrzeć na gwiazdy? Gównno. Nic z tych rzeczy! Odejdę jak Asam. Całe pokolenia będą śpiewać o mnie pieśń. Będą opo-

wiadać sobie legendy przy ognisku, zaś moi wrogowie, ich dzieci i wnuki będą wznosić toasty na moją cześć.

— I będą straszyć tobą dzieci setek ras, żeby były grzeczne — zażartował Marquoz. — Człowieku, byłeś tu tak długo, że nie uwierzą, iż umarłeś, nawet kiedy zobaczą twe martwe ciało.

— To byłby świetny żart. Słuchaj, Marquoz! Przekaż mój rozkaz! Kiedy zginę, mają spalić moje ciało tak, żeby nie można było poznać, jaka to była rasa. Nie może pozostać nic! To będzie napędzać strachu tym skubańcom przez dwa pokolenia.

— Tak zrobimy — powiedział Marquoz, śmiejąc się i patrząc w głąb wąwozu. — Jak myślisz, kiedy nadciągną?

— Pierwsi zwiadowcy i patrole mogą być tu lada chwila. Główne siły nie nadciągną przed świtem. Mucha nie przedostanie się nocą przez wąwóz, tak rozmieściłem generatory promieni ciepłych. Samo ukształtowanie pionowych ścian i te osypiska u ich podnóża działają na naszą korzyść. Nie mogą niszczyć generatorów bez wystawienia się na nasz ogień.

— Ja zaatakowałbym teraz — zauważył Marquoz. — Niewielkie, lekko uzbrojone grupy działające w ciszy i umiejętnie, składające się głównie z istot nocnych z noktowizorami i laserami sterowanymi komputerem. Zaatakowałbym między północą i świtem, niszcząc stanowiska ogniowe jedno po drugim po cichu. Następnie uderzyłbym całą siłą o świcie.

— Zastanawiałem się już nad taką możliwością — odparł Ulik. — Jeżeli dostrzeżemy jakiś ruch, oświetlimy przedpole na pięćdziesiąt metrów. Reflektory są kontrolowane radarem i mogą śledzić ruch. Niektórzy z moich ludzi również świetnie widzą w ciemnościach. Pełnią straż na przedpolu. Wszystkie stanowiska połączone są siecią łączności. Z każdego co dziesięć minut jest wysyłany do sąsiada nieco zmieniony sygnał. Przy braku sygnału oświetlamy stanowisko i badamy przyczynę. Jest ustalony również cały system haseł i odzewów. Prawdopodobnie Gunit Sangh i to przewidział. Spróbuje jednak nie z myślą o sukcesie, ale żeby wypróbować nasze siły, a także byśmy czuwali aż do świtu, kiedy jego wypoczęte oddziały rozpoczną atak.

Marquoz, który do pewnego stopnia był istotą nocną, rozglądał się po wąwozie.

— Ale też trzeba mieć charakter, żeby zmuszać żołnierzy do atakowania w takich okolicznościach. Jeżeli jest inna droga, wybierze inną.

— On się wcale nie przejmuje losem żołnierzy. Wie dobrze, o jaką stawkę idzie gra. Ma zresztą dwa tysiące przeciwko sześćdziesięciu sześciu, licząc ciebie i tę Agitariankę.

— Wiem, wiem. Teren wyrównuje nasze szanse, ale nie do tego stopnia. Nie trzydzieści do jednego. Nie wtedy, kiedy przeciwnicy również dysponują nowo-

czesną bronią, i to tacy przeciwnicy, którzy potrafią wspinać się na pionowe ściany lub mogą płynąć pod wodą w tym strumieniu.

— Mamy również przewagę techniczną — upierał się Ortega. — Oni wykorzystają tylko lekką broń, którą byli w stanie przynieść ze sobą i wciągnąć tu na przełęcz. Nie mają pojazdów opancerzonych. Te narobiłyby nam kłopotu. W tej ciasnej przestrzeni również atak z powietrza nic nie da. W grę wchodzi tylko atak frontowy. Nie można nas też ominąć. Tego już doświadczył Nathan.

— Ale trzydziestu na jednego. . .

— Sytuacja podobna do kilku wydarzeń z historii mojej rasy. Mojej, Mavry i Brazila. Nie tych sztucznie hodowanych mięczaków z Komlandów, lecz tych, którzy zaczęli z krzemienną siekierą w jaskiniach i stworzyli gwiazdne imperium. Historia jest pełna takich wydarzeń, chociaż tej historii pewnie już dziś nie uczą. Mówi się, że sześciuset broniło szerszej przełęczy niż ta przeciwko pięciu tysiącom przez kilka dni. Podobnie dwustu broniło fortecy przed wielotysięczną, świetnie wyszkoloną armią przez dziesięć dni. Jest wiele przykładów. Przypuszczam, że znajdują się w historii każdej rasy, która była silna na tyle, żeby utworzyć cywilizację we wrogim środowisku.

— Jest też kilka takich wydarzeń w historii Czugaczu — przyznał Marquoz. — Ale powiedz mi, co stało się z tymi, którzy bronili przełęczy, po tym, jak utrzymali się przez czas wyznaczony? Co stało się z tymi, którzy bronili fortu przez dziesięć dni?

Ortega uśmiechnął się.

— Myślę, że pewnie to samo, co sto razy stało się w Czugaczu w twojej historii.

— Tego się właśnie obawiałem — westchnął Marquoz. — Czyli wszyscy tutaj zginiemy?

— Trzydziestu na jednego, Marquoz — odparł Ortega. — Myślę, że teren niweluje przewagę do powiedzmy, pięciu na jednego. Przedrze się zaledwie kilkuset, lecz się przedrze. Będzie jednak za późno, żeby zatrzymać Brazila, jeżeli wykonamy właściwie naszą robotę. Ale powiedz mi, Marquoz, dlaczego ty tutaj jesteś? Dlaczego nie poszedłeś z nimi? Mogłeś wejść z nimi do Studni, zyskać nieśmiertelność czy cokolwiek innego, czego byś zapragnął. Myślę, że zrobiłby to dla ciebie. Sytuacja jest inna niż ostatnim razem. Chyba ci to zaproponował?

— Tak — przyznał Marquoz. — Zaproponował.

— A zatem dlaczego jesteś tutaj, na tej samotnej przełęczy, na obcej planecie? Dlaczego tu i teraz?

Marquoz westchnął i pokręcił wielką głową.

— Nie wiem. Może to upór, może głupota, może nawet strach przed pójściem z nimi i ujrzeniem, co tam jest. Może wstyd, że nie oddałem swego ciała i umysłu ważnej sprawie. Naprawdę nie mogę udzielić odpowiedzi, która by mnie zadowalała. Jak mogę udzielić odpowiedzi, która zadowoli ciebie?

Ortega rozejrzał się dokoła w ciemnościach.

— Może będę mógł ci trochę pomóc — powiedział z zastanowieniem. — Założę się, że gdybyśmy teraz obeszli wszystkich naszych ludzi, a pamiętaj, że wszyscy są ochotnikami, odnieśliśmy to samo wrażenie, jakie odnoszę w tej chwili. Wrażenie, że robimy coś ważnego, może najważniejszego. Myślę, że w każdym okresie, w każdej rasie jedynie nieliczni mogą się znaleźć w takiej sytuacji. Wierzą w to, co robią i w słuszność swojej sprawy. To ważne. Właśnie dlatego wciąż opowiadają te historie i czczą pamięć takich ludzi i ich czynów, mimo że ich idee, a często nawet światy, w których żyli, już dawno nie istnieją. Nawet ich rasy wyginęły. Ty jednak nie byłeś w sytuacji bez wyjścia, Marquoz. Sam się w nią wpakowałeś, podczas gdy mogłeś pozostać na boku i jeszcze na tym zyskać.

— Tak właśnie postępowałem przez całe życie — odparł Hakazityjczyk. — Nigdy właściwie nie pasowałem do mego rodzimego społeczeństwa Czugaczów. Byłem zawsze niedopasowany, skłócony. Moja rodzina była bogata, ustosunkowana i właściwie nie miała żadnych zobowiązań. Studiowałem, czytałem, interesowałem się problemami zewnętrznymi. Chciałem zobaczyć wszechświat, podczas gdy większość naszej rasy nie miała ochoty zwiedzać nawet sąsiednich miast. Byłem krańcowym hedonistą. Miałem wszystko, co chciałem i nie musiałem za to płacić, a nienawidziłem tej sytuacji. Tylko ja, ja i ja. Wszyscy chcieliby być na moim miejscu. Nie mówię, że utraciłem wiarę, bo chyba nigdy jej nie miałem. System obowiązujący we wszechświecie polega na tym, że silni uciskają słabych, a kiedy słabi dokonywali przewrotu, rewolucji czy reform, sami stawali się wyzyskiwaczami innych lub walczyli między sobą o podział łupów. Religia była środkiem do zapewnienia uległości. Nigdy nie widziałem, żeby Bóg zrobił cokolwiek dla kogokolwiek, a większość religii wyznawanych przez różne rasy stawiała się świętym powodem do wojen, masowych mordów, ucisku. Polityka była tym samym, ukrytym pod nazwą ideologii. Najwięksi rewolucjoniści stawali się absolutnymi monarchami, zaraz gdy umocnili swoją władzę. Tylko technologia prowadziła do poprawy sytuacji, a nawet i ona wykorzystywana była przez potężnych dla ich własnych celów. A co by się stało, gdyby wszyscy się wzbogacili i nikt nie musiał pracować? Mielibyśmy do czynienia z bandą tłustych, bogatych, stojących w miejscu nierobów i tyle.

Ortega uśmiechnął się, słysząc te cyniczne uwagi. Po raz pierwszy zdarzyło mu się, że spotkał cynika większego od siebie.

— Nie miałeś żadnych romantycznych przygód? — zapytał.

— Nie. Właściwie nie — westchnął Marquoz. — Nigdy nie odczuwałem większego pociągu fizycznego do kogokolwiek. Czugacze to w pewnym sensie romantycy. Lubią siedzieć w towarzystwie, popijać, opowiadać kłamstwa o swoich klanach, śpiewać pieśni, tańczyć. Ja zaś nie bardzo to lubiłem. Nie przepadałem właściwie za moimi rodakami: tłustymi, bogatymi, leniwymi nierobami. Wiesz,

w mojej ojczyźnie opowiada się historie o ludziach, którzy jako dzieci zaginęli gdzieś w głuszy i zostali wychowani przez zwierzęta. Później pojawili się znowu, myśląc i postępując jak zwierzęta. W tych opowiadaniach jest jakaś prawda. Zewnętrznie byłem Czugaczem. W środku jednak byłem... jakby to powiedzieć... jakiś inny... obcy.

— Obcy? W jaki sposób? — zapytał Ortega, unosząc brwi.

Marquoz zastanawiał się przez chwilę nad jego pytaniem.

— Wiesz, kiedyś spotkałem dwóch ludzi z Komlandów. Byli to mężczyźni. Wyrażali jednak przekonanie, że wewnątrz, duchowo, byli kobietami. Zamierzali poddać się operacji, żeby stać się prawdziwymi kobietami. Miało to podłoże albo psychologiczne, albo hormonalne. Mogły być różne powody. Nie miało to jednak podłoża seksualnego. Byli w sobie zakochani, ale obydwaj chcieli zostać kobietami. Zwariowane, czyż nie? Identyfikowałem się jednak z nimi, ponieważ ja również byłem istotą obcą w ciele Czugacza. Mnie jednak nie mogła uratować żadna operacja. To nie było takie proste. Byłem obcym uwięzionym w ciele Czugacza. Nie czułem jak Czugacz. Nie zachowywałem się jak Czugacz. Nawet tak nie myślałem. Wśród własnych rodaków czułem się zupełnie wyalienowany.

— Muszę przyznać, że jest to dla mnie nowość — stwierdził Ortega. — Ale mogę się domyślać, że w pewien sposób było to nieuniknione.

— Nie taka nowość. Myślę, że zdarza się to wśród wszystkich ras. Tu, w Świecie Studni, gdzie żyje tysiąc pięćset sześćdziesiąt tak ciasno stłoczonych ras, spotykałem się z tym wielokrotnie. Podejrzewam, że jest to bardziej powszechne zjawisko, niż przypuszczaliśmy. Nie mówi się o tym po prostu, bo to nic nie daje. Nazywa się ich wariatami, uznaje, że cierpią na jakąś fobię, każe się im przystosować. Cóż można z tym zrobić? Nie możesz przecież pójść do lekarza i zażądać, żeby przerobił cię na coś innego. Pomyśl, ilu ludzi tęskniło za Światem Studnią, jako za miejscem romantycznym, gdzie każdy mógł stać się zupełnie inną istotą. Na każdą osobę, która traktowała taką myśl z odrazą, przypadła inna, zafascynowana tym pomysłem.

— I dlatego zgłosiłeś się na ochotnika, żeby szpiegować ludzi i Rhonian?

— Nie — zachichotał Marquoz. — Właściwie to nie zgłosiłem się na ochotnika, chociaż może bym się i zgłosił, gdybym wiedział o tym programie. To mnie wybrali. Mój profil psychologiczny był właśnie taki, jakiego poszukiwali. Potrzebny był ktoś, kto czułby się tak samo swobodnie wśród obcej kultury, jak wśród własnej.

— To ma sens — stwierdził Ortega, kiwając głową. — A powiedz, czy w Komlandach czułeś się lepiej?

— Lepiej? Tak, do pewnego stopnia. Byłem w dalszym ciągu obcy. To oczywiste. Ale stałem się też egzotyczny. Nie zmieniło to mojego stosunku do własnej rasy i kształtów, ale przemieniło je przynajmniej w coś atrakcyjnego.

Szarzało. Ortega rozejrzał się wokoło. Nic jednak jeszcze nie mógł zobaczyć. Było wciąż zbyt ciemno. Od czasu do czasu ze stanowisk bojowych migały światełka sygnalizujące „wszystko w porządku”. Niezbyt daleko jakieś ciemne postacie sprawdzały sieci przegradzające strumień i upewniały się, czy zapalniki min były uaktywnione. Tędy też nikt nie mógł się prześlizgnąć. Odwrócił się do Marquosa, by kontynuować rozmowę, której nie mógłby przeprowadzić w żadnych innych okolicznościach.

— Już nie należysz do rasy Czugacz — zauważył. — Czy to coś zmieniło w twoim życiu?

Marquoz wzruszył ramionami.

— Właściwie niewiele. Nie miałem też na to większego wpływu, podobnie jak na to, że urodziłem się Czugaczem. Żadna różnica.

— Ale tu wracam do mego pierwotnego pytania — zauważył Ortega. — Mogłeś być kimkolwiek, gdybyś zechciał, gdybyś poszedł z nimi.

— Musisz zrozumieć — westchnął Marquoz — że całą tę sprawę trzeba rozpatrywać w kontekście tego, co ci wcześniej powiedziałem. Widzisz, to była pierwsza naprawdę znacząca operacja, w której brałem udział. Ma to coś wspólnego z tym, co sam powiedziałeś. Jeżeli ktoś umrze w łóżku na żółtaczkę, to właściwie nie znaczy nic dla nikogo. Tak właściwie mógłby umrzeć każdy żyjący, czy tu, czy gdziekolwiek indziej we wszechświecie. Śmierć większości ludzi nie spowodowałaby najmniejszych zmian w systemie panującym w kosmosie. Nie znaczyłyby więcej niż rozdeptanie jednego kwiatu, żdźbła trawy, rośliny czy zabicie ptaka. Gdyby ci starożytni, którzy bronili przełęczy czy tego starego fortu, umarli nie tam, a na jakąś chorobę albo ze starości lub w bójce w knajpie, ich poświęcenie byłoby zupełnie nieistotne. Ważne było to, że zginęli właśnie tam, gdzie zginęli. To miało znaczenie. To usprawiedliwiało ich istnienie. Ważne jest też to, że ja jestem tu i teraz i że sam tak wybrałem. Ma to znaczenie dla mnie i dla ciebie. Ma to znaczenie dla Świata Studni i dla całego przeklętego wszechświata.

Podniósł ręce ku czarnemu niebu.

— Czy rzeczywiście rozumiesz, co my tu robimy? — ciągnął dalej. — Decydujemy o losie całego wszechświata może na miliardy lat. To nie Brazyl, nie Mavra Chang, nie oni. Oni podejmują decyzję, bo im na to pozwalamy! Tutaj, teraz, jutro i pojutrze. Powiedz, Ortega, czy nie warto zginąć z tego powodu? Inni mogą być nieudacznikami. Mogli urodzić się na jakiejś marnej planecie czy w jakimś zwariowanym sześciokącie. Mogli wyrosnąć na rolników, handlarzy, dyktatorów, generałów, królów, a później umrzeć i zostać zastąpionymi przez innych trudnych do rozróżnienia małych ludzików, którzy będą robić w kółko to samo. Ich żywot nie będzie miał najmniejszego znaczenia. My będziemy mieli znaczenie, Ortega, i wszyscy o tym wiemy. Dlatego właśnie nasi nieprzyjaciele będą śpiewali o nas pieśni, a nasze imiona na wieki pozostaną w legendach niezliczonych ras. Stanie

się tak, ponieważ w ostatecznym rachunku będzie liczyło się to, co my zrobimy w ciągu najbliższych dwóch dni i my tu jesteśmy najważniejsi.

Ortega wpatrywał się w niego, chociaż właściwie w ciemnościach mógł dostrzec jedynie jego czerwone ślepia.

— Wiesz, Marquoz — powiedział wreszcie — jesteś zupełnie szalony. Niepokoi mnie jednak to, że właściwie nie umiem znaleźć argumentów, żeby się z tobą nie zgodzić, a to stawia mnie w trudnej sytuacji.

Sięgnął do ciężkiego skózanego pasa, którym był przewiązany pomiędzy drugą i trzecią parą rąk, i wyciągnął dużą manierkę.

— Przypominam sobie niejasno z dawniejszych przyjęć dyplomatycznych, że Hakazityjczycy mają jakieś dziwaczne sposoby picia, ale piją mniej więcej to samo co Ulikowie. Wypijmy za historię.

Marquoz roześmiał się i wziął butelkę.

— Tak, za historię! Za historię przyszłości, którą stworzymy w ciągu najbliższych dwóch dni. Za naszą historię, którą sami wybraliśmy i określiliśmy.

Odrzucił głowę do tyłu i wlał sobie napój do gardła, odkaszlnął i zwrócił manierkę Ortedze, który również zajął się jej zawartością.

— Dobra — pochwalił Marquoz.

— Nic nie jest za dobre dla bohaterów — odparł Ortega.

— A dla mnie nic nie zostało? — zapytał jakiś głos z ciemności. — A może mnie ten płyn zabije?

Podskoczyli obydwaj i roześmieli się, kiedy zobaczyli, że był to Cygan.

— Do diabła, ciągle czekam, aż Gunit Sangh wyłoni się ze skały — mruknął Ortega.

Rzucił manierkę wysokiemu mężczyźnie, który schwycił ją i pociągnął tęgi łyk, a na jego twarzy pojawił się wyraz miłego zaskoczenia.

— Ooo, niesyntetyczna — pochwalił.

Nagle jednak spowaźniał.

— Wybieram się do Juy, żeby zapoznać ją z sytuacją. Słyszałem, że część jej oddziałów ominęła siły Khutira i zdąży tutaj. Stary generał dał się zaskoczyć. Też go nieźle przetrzepali. Są jednak wciąż o trzy dni drogi stąd.

— Trzy dni — zachichotał Marquoz. — Szkoda, że nie dwa.

— Czy mam coś jej przekazać? — zapytał Cygan.

— Powiedz jej. . . — głos Ortegi lekko zadrżał. — Powiedz jej. . . że trzymamy się tu po stronie Brazila, że wytrzymamy, dopóki tu nie dotrze. Powiedz jej, że garstka dzielnych ludzi przyczyni się do powodzenia planu. Podziękuj jej i życ powodzenia od starego Ortegi.

Cygan skinął głową ze zrozumieniem i uśmiechnął się smutno.

— Wróć tak, żeby zdążyć na bitwę, Serge.

Ulik zachichotał i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Ty też? Liczba męczenników szybko rośnie w ostatnich czasach. No, no. . .

— To tylko praktyczne podejście — wyjaśnił Cygan. — Widzisz, kiedy Brazyl wejdzie do Studni i ją wyłączy, stracę z nią kontakt. Nie będę już obywatelem wszechświata, a jedynie istotą ze Świata Studni, z którego wyszedłem dawno temu. Byłem istotą głębokowodną. Zginę natychmiast z powodu niskiego ciśnienia.

— Możesz zawsze wrócić do Oolakaszu, doktorze — zauważył Ortega. — Nie zaszły tam większe zmiany w ciągu ostatniego tysiąca lat.

Marquoz patrzył na obu zaskoczony.

— Doktor? Oolakaszu? O czym wy mówicie?

— Od kiedy wiedziałeś? — zapytał Cygan, przyglądając się Ortedze.

— Pewności nabrałem dopiero przed chwilą — przyznał Ortega. — Podejrzewałem prawie od naszego pierwszego spotkania. Mogłeś dokonać rzeczy niemożliwych, a to było nie do przyjęcia. Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem było, że rozwiązałeś łamigłówkę Markowian i zrozumiałeś, co i jak robili. Przychodziła mi do głowy tylko jedna osoba, zdolna tego dokonać. Gdybyś był Markowianinem, Brazyl pewnie by ciebie znał albo rozpoznał przy pierwszym spotkaniu. Pozostawała zatem wyłącznie jedna osoba, którą znałem kiedyś ja, a która rozumiała zasady działania Studni i której dziełem życia było nauczenie się tego wszystkiego, osoba, która zniknęła dawno temu i przypuszczano, że nie żyje.

— Już dobrze — mruknął Marquoz. — Myślę, że mam prawo wiedzieć, o czym wy, u diabła, mówicie?

— Marquoz — powiedział lekko Ortega — chciałbym przedstawić ci pierwszego człowieka który rozwiązał zagadkę energii Markowian, człowieka, który zbudował wielki komputer Obie i który odpowiada za większość tego, co się tu dzieje. Marquoz, to jest doktor Gilgram Zinder.

Hakazytyjczyk przyjrzał się Cyganowi i wybuchnął śmiechem.

— Cygan? Ty? Zinder? To jest najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką usłyszałem w życiu.

— Mnie też to zaskoczyło — przyznał Ortega. — Istota, która to wszystko stworzyła, która, początkowo korzystając z Obiego, a później już bezpośrednio, potrafiła porozumiewać się z komputerami Markowian i zmusić je, żeby były posłuszne jej woli. I taka istota decyduje się zniknąć i wybrać los wędrownego Cygana i włóczęgi?

Gilgram Zinder zachichotał.

— Nie od razu. Umysł ludzki nie jest przystosowany do nauczenia się tego wszystkiego ani nie jest w stanie utrzymać pełnego kontaktu. Doszedłem jednak do tego, że potrafiłem wywierać wpływ w sprawach dotyczących mojej osoby. To wymaga ogromnego wysiłku, a poza Światem Studnią powoduje monstrualne bóle głowy. Właściwie nigdy nie udało mi się zrobić nic, co nie dotyczyłoby mnie. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie posunę się dalej bez dodatkowego sprzętu. Niezbędny zaś sprzęt byłby tego rodzaju, że Obie wyglądałby przy nim jak zabawka. Jego rozmiary byłyby porównywalne do rozmiarów Studni Dusz i z

oczywistych powodów nie warto było o tym nawet myśleć. Wykorzystałem swoje umiejętności, żeby się trochę powłóczyć, podobnie jak Obie i Mavra włączyli się i badali cały wszechświat, przyjmując różne formy. W końcu jednak znudziłem się. Ostatecznie, w odróżnieniu od Obiego, potrafiłem zrobić niewiele poza przeżyciem i przystosowaniem się. Wróciłem do Komlandów i stwierdziłem, że sytuacja znacznie się poprawiła. Cieszyłem się, widząc, że najgorsze zło zniknęło, przynajmniej częściowo dzięki naszym działaniom podjętym przed laty. Widzisz, ja zawsze żyłem bardzo skromnie, samotnie. Nie byłem przystojny, niczym się nie wyróżniałem. Miałem swoją pracę i to wszystko. Musiałem przekupić kobietę, żeby urodziła mi dziecko, a drugie zbudowałem sam.

— Ale przecież odniosłeś sukcesy przekraczające najśmielsze marzenia — zauważył Ortega.

— Najśmielsze... Tak, może. Obecnie tak bardzo zbliżyłem się do Markowian, jak to tylko możliwe w naszych czasach.

— Może powinieneś był zakończyć swoją pracę — zasugerował Ortega. — Może gdybyś to zrobił, nie znaleźlibyśmy się teraz w tej sytuacji.

— Może — przyznał niechętnie. — Ale, do diabła, całe życie poświęciłem nauce i wszyscy się ze mnie śmiali. Ci, którzy się nie śmiali, chcieli wykorzystać nowe możliwości do niecznych celów. Musiałem w końcu poświęcić dla nauki moją córkę, moją rasę i moje środowisko. Nawet moi zwolennicy w tej walce, kiedy przedstawiono im wyniki mojej pracy, przestraszyli się i chcieli je zniszczyć. Przyjrzałem się temu wszystkiemu i pomyślałem: A co ze mną? Co ja z tego mam? Zawsze mnie wykołują. Altruści kończą w zaniedbanych grobach. Czułem się, jak gdyby ktoś dał mi nowe życie, nową szansę odzyskania wszystkiego, co utraciłem. Skorzystałem z tego. Nowe życie. Nawet kilka. Świat Studni dawał tylko jedną możliwość startu. Ja miałem nieograniczone możliwości. Byłem bogatym i przystojnym playboyem. Później spróbowałem z drugiej strony i stałem się piękną, egzotyczną tancerką, która musiała się kijem opędzać od kochanków. Nauczyłem się gry na różnych instrumentach, trochę komponowałem. Miałem liczne audytorium. Malowałem. Rzeźbiłem. Napisałem kilka opowiadań. Pisywałem wiersze. Zamierzałem być wszystkim, o czym się marzy. Udawało mi się spełnić każdą zachciankę i świetnie się bawiłem. Cygan był tylko etapem, który szczególnie mi się podobał, zwłaszcza kiedy skumałem się z Marquozem. Bawiłem się, dopóki ci idioci nie odkryli owoców mojej pracy. Nie zrozumieli ich, niewłaściwie zastosowali na własną zgubę.

— Dlaczego nie interweniowałeś? — dopytywał się Ortega. — Dlaczego nie powiedziałaś im, że coś źle robią?

— Cóż mogłem zdziałać? — odrzekł Zinder, wznosząc ramionami. — Zanim dowiedziałem się, co robią, było już za późno. Właściwie nie mogłem i tak nic uczynić. Wyobraź sobie, że nagle pojawiłbym się i powiedział: „Cześć! To ja, Gil Zinder! Wiem, że myśleliście, iż nie żyję od tysiąca lat, ale ja tylko się wygłu-

piąłem”. Kto by mi uwierzył lub brał mnie poważnie? Dla biurokracji znacznie łatwiej jest nie zauważać cię, niż zauważać i brać poważnie. Dałem im klucz do boskości, do wszechświata, a oni go wzięli i użyli do samozagłady. A ile mnie to kosztowało! Nikki... Obie... Wszystko, co mi było drogie.

Marquoz wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć.

— To ty zabiłeś Nikki Zinder? Własną córkę? Czy Obie wiedział o tym?

— Wiedział — zapewnił go Zinder. — Ja jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie dostałem się do wnętrza i nie mogliśmy porozmawiać. Omawialiśmy to szczegółowo i bardzo długo. Coś w rodzaju wzajemnego oczyszczenia. On musiałby to zrobić, gdybym nie zrobił tego ja, a równocześnie była to rzecz, której on absolutnie zrobić nie mógł. Nie mógł wyrządzić krzywdy Nikki. Próbowałem nawet przekonać go, żeby zrezygnował z zamiaru zintegrowania się z Brazilem, ale bezskutecznie.

— Brazyl — mruknął Marquoz. — Dlaczego on to zrobił Obiemu?

— Dlaczego spowodował spięcie? Z tych samych przyczyn, dla których ja stracę swoją moc, kiedy wyłączę komputer. Widzisz, mamy tu macierz matematyczną, czyli zestaw współzależności stwierdzających: „Ja jestem Wszechświatem i jestem tak utworzony zgodnie z takimi to a takimi prawami”. To oryginalny wszechświat według cywilizacji Markowa albo sformowany w sposób naturalny. Jest on zupełnie mały w porównaniu z naszym. Całość nie była większa od małej galaktyki. Markowianie sami go przerobili. Zainicjowali, można by powiedzieć, drugi proces tworzenia, który — ze względu na to, że rozpoczął się w tym samym punkcie, co ich wszechświat — dla bezpieczeństwa zniszczył ich planety i połączył ów stary wszechświat z naszym. Ponieważ nasza eksplozja była znacznie silniejsza, ich wszechświat rozszerzał się wraz z naszym. Dlatego właśnie można znaleźć znacznie więcej planet Markowian na obrzeżach niż w centrum. To one są starym, martwym, oryginalnym wszechświatem. Nasz jest nałożony na ich. Nie odważyli się go zniszczyć, bo tym samym zniszczyliby i siebie. To jest owa macierz narzucona przez Studnię, formuła matematyczna komputerów Markowian, i to właśnie udało mi się odcyfrować.

Dzięki temu jestem w stanie przesunąć nieco inaczej elementy składowe w sposób, jaki mi bardziej odpowiada. Obie nie mógł zrobić nic innego, ale za to na terytorium całej planety Markowianie radzili sobie jeszcze lepiej, ponieważ urzędnicy byli dopasowane do możliwości ich mózgów. Ale to właśnie Studnia utrzymuje ten matematycznie narzucony system współzależności. Kiedy Brazyl wyłączy Studnię, system przestanie istnieć. Gdy Brazyl dokona napraw, będzie musiał dać instrukcję zbudowania modelu matematycznego. Nowego modelu, zbliżonego do oryginału, ale też różniącego się w wielu szczegółach. Nie będzie tak powszechny, ponieważ Brazyl ma tu do dyspozycji tylko tysiąc pięćset sześćdziesiąt ras. Będzie też tworzony na bazie mocy jego umysłu, i to przyda mu barw. Będzie po prostu nieco inny. Minimalnie inny. Może o jedną miliardową po

przecinku, ale jednak. Brazyl nie może nic na to poradzić. Obie jest częścią starego systemu matematycznego, podobnie jak wszechświat, który znamy: Komlandy, gwiazdy, planety i rasy.

— Myślę, że rozumiem — włączył się Ortega. — Obie został zbudowany, żeby radzić sobie z narzuconymi współzależnościami lub matematyką czy jak to nazwiesz. Podobnie rzecz ma się ze wszystkim, co znamy, z wyjątkiem Świata Studni, którego model zbudowany jest w oparciu o inny komputer. Brazyl wywodzi się ze starej matematyki markowiańskiej i Obie nie mógł sobie z nim poradzić, ponieważ był nieco, minimalnie, niedostrojony, i to spowodowało spalenie obwodów.

Zinder skinął głową twierdząco.

— Minimalna, ale jakże istotna różnica, z którą Obie nie mógł sobie poradzić. Z tego samego powodu Brazyl nie będzie mógł właściwie zmienić swojego wyglądu, kiedy już będzie w Studni. Nie jest częścią tej matematyki znanego nam wszechświata. Zawsze wraca do formy pierwotnej. Nie możemy go nawet zabić. W każdych okolicznościach znajduje wyjście. Innymi słowy, jest to dowód, że Studnia opiekuje się nim. Może umrzeć tylko wewnątrz niej, ponieważ została tak zaprojektowana, żeby dostosować Markowian do nowych współzależności matematycznych.

— Czy myślisz, że się zabije? — zapytał Ortega. — Sądzę, że teraz trochę go rozumiem. Żyłem zbyt długo i gotów jestem odejść, ale nie umiałem się na to zdobyć. Teraz już umiem i uważam to za błogosławieństwo i ulgę. Można mieć odczucie, że żyje się zbyt długo, doktorze, szczególnie, jeżeli nie da się tego zmienić.

— Czy się zabije? — powtórzył Zinder po chwili zastanowienia. — Mówił tak wiele razy. Mówił, że po to była mu potrzebna Mavra Chang, aby przekazać sprawę. Wejdzie z nim do środka. Brazyl nauczy ją zasad działania Studni, a jej mechanizmy zostaną dopasowane do mózgu Mavry. Kiedy to się już stanie i Brazyl wszystko posprawdza, może umrzeć z czystym sumieniem. Pozostanie ktoś, kto będzie strzegł prawdy i zamiast Żyda Wiecznego Tułacza, nowi ludzie mieć będą tajemniczą, nieśmiertelną kobietę.

— Co za straszny los — westchnął Ortega.

— Wybrała go sama — zauważył Zinder. — Kiedy poleci mu wyłączyć maszynę, przyjmie całą odpowiedzialność za skutki tego czynu. A kiedy wyłoni się ze Studni, będzie jedyną istotą, jaka pozostanie w tym świecie; będzie istnieć raczej opierając się na obecnej matematyce niż na nowej. Nikt jej nie będzie w stanie zabić ani zmienić i pozostanie taka, dopóki nie przekaże pochodni jakiejś inteligentnej rasie przyszłości, jeśli to w ogóle nastąpi, która na nowo odkryje równania Studni i która je wykorzysta, nie doprowadzając się do samozagłady. Jeżeli zaś ta rasa ulegnie zniszczeniu może za kilka miliardów lat, będzie musiała zacząć wszystko od początku i wtedy przekazać sprawę.

Myśleli o tym wszystkim, o samotności, o wędrówkach bez celu, bez zmian, bez końca po nadzorem Studni, która nie dopuści nawet do szaleństwa. Z początku oczywiście będzie się tym cieszyć, podobnie jak cieszył się tym kiedyś Brazil, a także Ortega w swym bardziej ograniczonym, chociaż nie mniej trudnym do zniesienia, dobrowolnym więzieniu. Kiedyś jednak Mavra dojdzie do takiego punktu, w którym i ona uzna, iż żyje zbyt długo.

— Nie myślę, żeby w pełni zdawała sobie sprawę, iż zawarła pakt z diabłem — powiedział ze smutkiem Ortega.

— Czy ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę? — zapytał Zinder, wzruszając ramiona. — Czy możemy się cofnąć i zacząć wszystko od nowa? Czy możemy naprawić zniszczenia we wszechświecie? Albo w Studni? Myślę, że nie. Tak samo, jak nie możemy odmienić żadnej z naszych wcześniejszych decyzji. Myślę, że muszę ruszać w drogę — zmienił temat. — Jua powinna wiedzieć, co się dzieje. Chciałbym też zdążyć wrócić tu przed świtem.

Serge Ortega wyciągnął rękę i Zinder ją uścisnął.

— A zatem do świtu, Gilgramie Zinder. Spotkamy się przy kanale.

— Przy kanale — zgodził się Zinder. — Ale nie jestem doktorem Gilgramem Zinderem. Już nie. Poważna jego część zmarła w Oolakaszu dziewięćset lat temu, zaś to, co pozostało, zmarło wraz z Nikki na Olimp i wraz z Obim na Nautilusie. Jestem po prostu Cyganem. Chcę nim być i będę, bo przecież mogę być, kim zechcę.

— Poczekaj! Jeszcze jedno! — Ortega prawie krzyczał. — Jak się zorientujemy, że wytrwaliśmy wystarczająco długo? Czy możesz mi powiedzieć?

— Przecież tu będę — odparł Cygan ze śmiechem. — Zorientujecie się nagle i może w niezbyt przyjemny sposób. Jeżeli jednak mnie nie będzie, a wytrzymacie do nocy i będziecie mogli widzieć niebo, zauważycie, czy gwiazdy zgasły czy nie.

— Przecież to niemożliwe! — zaprotestował Ortega. — Jeżeli nawet wszechświat zniknie, to dowiemy się o tym dopiero za tysiące lat.

— Kiedy Brazil wyłączy komputer — wyjaśnił im Cygan — wszechświat nie przestanie po prostu istnieć. Praktycznie biorąc, powstanie sytuacja, jakby go nigdy nie było. Będzie tak, jakby nigdy nie było tych świecących gwiazd i obłoków pyłu. Nie będzie nic oprócz martwego świata cywilizacji Markowa i Świata Studni. Nic poza tym nie będzie istniało i nigdy nie zaistnieje.

Ta myśl była przerażająca.

— Ostatnia rzecz — wtrącił Marquoz. — Czy powiedziałaś Brazilowi, kim jesteś?

— Nie — zachichotał Cygan. — Węszył, ale też i nie powiedział mi, dlaczego strażnik tajemnicy Markowian był żydowskim rabinem, a zatem rachunek jest wyrównany.

Zniknął.

— To dobre pytanie — rzekł Ortega sam do siebie. — Jeżeli chcesz tu zostać — zwrócił się do Marquoz — to może obejmiesz dowództwo na brzegu Verionu?

— Już wszystko załatwione. Przeniosą mnie na tamtą stronę potoku, jak tylko będę gotów.

Po raz drugi tej nocy Ortega uściśnął czyjąś dłoń w geście przyjaźni i po raz drugi gest ten został odwzajemniony. — Spotkamy się przy kanale.

— Przy kanale — zgodził się Marquoz. — Będziemy rozdzieleni tylko trzydziestoma metrami wody.

— Przepłyniemy — stwierdził Ortega ciepło.

W oddali rozległ się głośny wybuch. Błysnęły światła. Rozbrzmiał grzechot broni automatycznej. Po chwili wszystko ucichło.

— Lepiej już pójdę — powiedział Hakazityjczyk.

Odgłosy wybuchów i wystrzałów wciąż jeszcze odbijały się echem wśród skał. Odwrócił się, ale obejrzał się raz jeszcze.

— Wiesz, czy nie byłoby głupio, gdybyśmy wygrali?

— Zepsułoby to wszystkie nasze plany — roześmiał się Ortega.

Marquoz zniknął w ciemnościach. Ortega pozostał na miejscu, siedząc na ogniu, wpatrując się w ciemność i czekając na świt. Od czasu do czasu rzucał okiem ku górze, ku przysłoniętym oparami gwiazdom.

Trasa przy Barierze Równikowej

Obietnice Ortegi sprawdziły się, znajdowali ślady walki i od czasu do czasu martwe ciała niefortunnych zwiadowców, ale na całej trasie nie natknęli się na żadne niebezpieczeństwo. Kilkakrotnie o mały włos nie wpadli do strumienia, przedzierając się przez osypiska ruchomych kamieni, ale były to jedyne kłopoty.

Mavra nigdy nie widziała Bariery Równikowej z bliska, tylko z przestrzeni kosmicznej. Teraz jednak, kiedy Bariera wznosiła się nad nimi, stwierdziła, że coraz mniej przypominała czarną ścianę, chociaż tak właśnie wyglądała z większej odległości. Była na pół przezroczysta i sięgała wysoko w górę, przybierając kształt ogromnej zapory spiętrzającej rzekę, która u jej stóp sączyła się ciekłym strumyczkiem. Miejsce, w którym trasa stykała się z Barierą, było całkiem suche. Rzeka płynąca trasą była więc zasilana wilgocią ściekającą ze ścian wąwozu.

Sama Bariera była raczej podobna do gigantycznej szyby nie odbijającej światła, niezbyt grubej i idealnie gładkiej, zupełnie nie wykazującej śladów przemijania czasu. Z kolei dopiero u stóp Bariery można było zobaczyć, jak trasa rzeczywiście wyglądała. Była lśniąca i gładka jak sama Bariera. Nie było żadnych śladów połączenia trasy z Barierą. Po prostu stapały się w jedno.

Zbliżał się wieczór drugiego dnia, ale nawet Brazil nie zdołał wejść do wnętrza. Korzystając z pomocy Gedemondianina, obecnie ich jedyne go towarzysza podróży, przekazywał Mavrze informacje.

— Musimy czekać do północy czasu Studni, czyli nieco ponad siedem godzin po zachodzie słońca. Musimy po prostu czekać.

Mavra rozluźniona patrzyła w głąb wąwozu.

— Ciekawe, czy oni jeszcze tam żyją — zastanawiała się głośno.

— Taaak — potrafił jedynie powiedzieć Brazil.

Nie chciał zdradzić przed nikim — a szczególnie przed Mavrą — tego, że był szczerze i głęboko wzruszony ofiarą, jaką te istoty wielu ras, niektórych mających dla niego ogromne znaczenie, gotowe były ponieść. Wojna była zjawiskiem masowym, była bardziej abstrakcyjna i w walce istniało mnóstwo możliwości. Można było wygrać lub przegrać, przeżyć lub zginąć, ale zawsze istniała jakaś szansa. Ci, którzy tam zostali, nie mieli żadnej szansy i o tym wiedzieli. Zrobili to tylko po to, żeby on mógł tu być w tej chwili.

Jeszcze raz wrócił myślami do Starej Ziemi, do Masady. Nigdy tam nie był. Nigdy nawet nie był w tamtych okolicach. Historia poniesionej tam ofiary, cudownie długi czas, w ciągu którego obrońcy wytrzymali i ich ostateczne poświęcenie — raczej śmierć niż poddanie się tyranii — podnosiły go na duchu zawsze, kiedy czuł się opuszczony i załamany. Jeżeli istnieli tacy ludzie, istniała też nadzieja.

Nieliczne były przykłady takiej szlachetności ducha — myślał Brazil ze smutkiem. Nieliczne, ale zdarzały się zawsze i to na ogół w okresie, kiedy można było przysiąc, że wielkość została pogrzebana, cały duch zginął i wszystko już było stracone. Może jeszcze bardzo wiele czasu upłynie, zanim coś takiego zdarzy się ponownie, ale po raz pierwszy zaczynał wierzyć, że zdarzy się na pewno.

Zdumiony był tą myślą i tym, że jest jeszcze zdolny do takiego myślenia. Czy to możliwe — zastanawiał się — że jego duch jeszcze nie umarł?

Zdumiewał go fakt, że byli tu tylko we troje: on, Mavra i Gedemondianin, który był im potrzebny do porozumiewania się. Proponował to przecież innym, właściwie każdemu, kto chciałby się do nich przyłączyć. Woleli zostać na przełęczy. Może to oni mieli rację? W każdym razie dał im możliwość wyboru.

— Co się stanie kiedy już... wejdziemy do środka? — zapytała Mavra, patrząc na, zdawałoby się, jednolitą, nieprzeniknioną ścianę.

— No, cóż. O północy w tej części bariery zapłoną światła i jej odcinek na wysokości trasy zniknie; będzie można wejść do środka. A tam nie zmienicie się ani ty, ani Gedemondianin. Tylko ja. Studnia została stworzona dla Markowian, zmienię się więc w Markowianina. Są brzydki i wstrętni. Wyglądają gorzej niż cokolwiek, co dotąd widziałas. Nie przejmuj się tym jednak. To wciąż będę ja. Później udamy się do sali kontrolnej. Dokonam pewnych regulacji w systemie rządzącym Światem Studnią, a następnie wprowadzę do komputera wezwanie. Potem zejdziemy niżej, żeby zobaczyć, jak duże są uszkodzenia.

— Wezwanie? — powtórzyła Mavra

— Tak, wezwanie — odparł Brazil, kiwając głową. — Wezwanie do zmniejszenia populacji w każdym sześciokacie o połowę, przygotowanie bram. Wezwanie to zmusi do zrobienia rzeczy, które muszą być zrobione, kiedy zaistnieje taka potrzeba. Zobaczysz. To wcale nie jest tak skomplikowane, jak na pierwszy rzut oka wygląda.

— A co z nami? — spytała. — Co się stanie z nami?

— Ty też staniesz się Markowianką, Mavro. Jest to konieczne z kilku powodów. Jednym z ważniejszych jest to, że Studnia dostosowana jest do mózgu markowiańskiego i trzeba być Markowianinem, żeby zrozumieć, co to jest Studnia i jak ona działa. Pozwoli to uzyskać również pełny obraz tego, co polecisz mi zrobić, i to będzie dla ciebie najgorsze, Mavro. Będiesz wiedziała dokładnie, jakie skutki przyniesie ta naprawa, jeżeli oczywiście będzie mogła być dokonana. Lecz o tym dowiemy się dopiero, kiedy wejdziemy do środka.

Nie wspomniał o Gedemondianinie. Nie miał pojęcia, co z nim zrobić. Wiedział jednak, że trzeba będzie pozbyć się go dość szybko, gdyż tylko by przeszkadzał. Oczywiście należała mu się jakaś nagroda, ale jaka — też jeszcze nie wiedział. Świadomość, że Gedemondianie będą mieli dostęp do Studni, nie była wcale pocieszająca.

Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno i Mavra, dając znak Gedemondianinowi, odezwała się do nich obydwóm:

— Patrzcie, stąd widać gwiazdy.

Obaj spojrzeli w górę. Rzeczywiście, w szparze pomiędzy wierzchołkami skał i Barierą Równikową dostrzegli wspaniałe konstelacje na niebie Świata Studni. To było najwspanialsze niebo, jakie Brazil kiedykolwiek oglądał na zamieszkałych planetach. Wypełniały je wielkie mgławice i obłoki gazu. Gedemondianin nie patrzył długo. Po prostu takie widoki traktował jak coś zwykłego. Było to znane zjawisko psychologiczne wśród wielu ludów i ras, które obcowały na co dzień z pięknem zapierającym dech w piersiach.

Nikt nie miał zegarka i trudno było określić czas. Będą musieli po prostu spokojnie czekać, aż zapłoną światła. Cóż, u diabła — pomyślał Brazil. Najprościej będzie, jeżeli zapytam Gedemondianina bezpośrednio, o co mu chodzi.

— A co ty byś chciał z tego mieć? Co mam zrobić z tobą i dla ciebie?

— Dla mnie nic — odparł Gedemondianin bez wahania. — Chyba tylko to, żebym wrócił do swoich. A dla mego plemienia? Chciałbym, żebyś zbadał, dlaczego eksperyment, który udał się tutaj, nie udał się gdzieś indziej i żebyś dokonał odpowiednich poprawek, byśmy przynajmniej mieli równe szanse.

Brazil pokiwał głową. Takie postawienie sprawy wydawało się uczciwe. Zastanawiał się jednak, czy Gedemondianin był z nim zupełnie szczery. Zdarzało się często, że na jedną planetę trafiała więcej niż jedna rasa, czasami zgodnie z planem, ponieważ mogła wnieść coś cennego, czasami zaś przypadkowo. Cały proces nie był tak idealnie szczelny. Niedługo podobnym do owadów mieszkańcom Ivrom udało się przypadkowo, a może nawet celowo, przetrwać na Ziemię w czasie ostatniej epoki kilkoro osobników, które stały się źródłem wielu legend o wrózkach, krasnoludkach i innych psotnych duszkach. Powiodło się mieszkańcom Umiau. Kiedyś na Starej Ziemi istniała ich kolonia; zwano ich syrenami.

Rhonianie, spadkobiercy centaurów z Dillii, dość wcześnie osiągnęli umiejętność podróżowania w kosmosie. Jedna z grup badawczych rozbiła się na Starej Ziemi, kiedy jeszcze ludzie wierzyli, że ich świat jest płaski, umieszczony na grzbiecie potężnego żółwia. Udało im się przeżyć. Byli nawet wielbieni przez prymitywnych ludzi jako bogowie albo istoty bogom podobne. Okazali się jednak zbyt mądrzy, zbyt spokojni, żeby żyć w tak prymitywnym świecie. W końcu zostali wyłapani i starci z powierzchni ziemi. On sam przyczynił się do zniszczenia i zatarcia śladów, ale pozostały legendy dotyczące tej smutnej historii. Kiedy przyszły złe czasy dla Rhonian i utracili zdolność podróżowania w kosmosie, a następ-

nie ją odzyskali i znów dotarli do rejonów zamieszkałych przez ludzi, dowiedzieli się jakoś o losach wyprawy badawczej. Ludzie pojawili się w ich koszmarach nocnych, w ich pamięci rasowej na długo przed tym, zanim prawda wyszła na jaw, i to trzymało ich na dystans, nawet kiedy, kierując się pragmatyzmem, nawiązali z ludźmi oficjalne stosunki.

Jeżeli zaś chodzi o Gedemondian, to zarówno wśród Rhonian, jak i wśród ludzi zachowały się legendy o wielkich, tajemniczych, człekokształtnych istotach unikających ludzi żyjących w najwyższych górach, w najtrudniej dostępnych zakątkach. Były doniesienia o przypadkowych spotkaniach, dziwne opowieści, w które mało kto wierzył. Czy yeti, sasquotch i inne podobne istoty, o których słyszał, były potomkami Gedemondian, którzy w jakiś sposób trafili w niewłaściwe miejsce? Ciągłe się nad tym zastanawiał.

Czas włókł się nieznosnie. Każdemu kilkakrotnie zdawało się, że już na pewno minęło siedem godzin, że w jakiś sposób przegapili właściwy moment, że może wejście było nieczynne albo że zaistniał jeszcze jakiś problem.

Mavra doszła do wniosku, że w tym wszystkim czekanie jest najgorsze.

— Czuję w pobliżu czyjąś obecność — powiedział nagle Gedemondianin z niepokojem.

Brazil i Mavra rozejrzeli się dookoła, ale wszędzie była tylko ciemność. Nie mogli nic dostrzec ani usłyszeć. Ogarnął ich strach, że teraz, w ostatniej chwili, siły nieprzyjaciela ich dopadną, że Serge Ortega i jego oddział nie utrzymali przełęczy Borgo wystarczająco długo.

Gedemondianin zdawał się wyczuwać ich obawę.

— Nie... tylko trzech. Wydaje mi się, jakby zbliżali się z prawej. To bardzo dziwne. Wydaje się, jakby byli w środku litej skały, ale poruszają się dość szybko.

— To Dahbi! — Mavra poderwała się. — Oni to potrafią.

— Już drugi raz nie doceniłem tego skubańca — mruknął Brazil. — Kiedy Serge i jego oddziały zatrzymali armię Sangha, ten ominął ich w jedyny sposób, w jaki potrafił. Siły na przełęczy powiedziały mu to, co chciał wiedzieć, a mianowicie, że jesteśmy w drodze do Studni. Przynajmniej nie mógł w tę podróż zabrać żadnej broni.

— On nie potrzebuje broni — zaprotestowała Mavra. — Jego przednie nogi są jak miecze, żuchwy jak szczypce, a my też nie mamy żadnej broni... Ani też szansy ucieczki — dodała po chwili.

— Tylko do środka — westchnął Brazil. — Ale na to nie możemy liczyć.

Gedemondianin odwrócił się i wpatrzył w ścianę skalną nie dalej niż piętnaście metrów od nich. Powierzchnia skały rozjaśniła się powoli w trzech miejscach. Patrzyli przerażeni i zafascynowani, jak trzy podobne do duchów istoty wyłaniały się z litej skały, stawały się znowu postaciami z krwi i kości i zatrzymały się, największa z przodu, dwie mniejsze nieco z tyłu. Wyglądały jak jakieś dziwne istoty przykryte prześcieradłami z dziurami wyciętymi na oczy.

Brazil wpatrywał się w nich zafascynowany. Więc to są Dahbi — pomyślał. Teraz sobie ich niejasno przypomniał. Znowu legendy i pamięć genetyczna. A ten duży w środku to musi być. . .

— Nathanie Brazil, jestem Gunit Sangh — odezwał się przywódca. — Przyszedłem, żeby zabrać cię z powrotem.

Brazil ruszył do przodu, aby zbliżyć się do Gedemondianina i udzielić odpowiedzi, ale tenże zignorował go, postąpił naprzód i zatrzymał się ledwie kilka metrów przed wodzem Dahbi.

— Przegrałeś, Sangh — powiedział Gedemondianin, prawie idealnie naśladowując akcent i sposób mówienia Brazila. — Nawet jeżeli teraz wrócimy z tobą, to na przełęcz są nasze siły, które oddzielają cię od twoich wojsk. Ty możesz przechodzić przez ściany, ale nie możesz mnie zabrać tą drogą ze sobą.

— Nie będę musiał — odparł Sangh z dużą pewnością siebie. — Posłużysz nam jako zakładnik i przejdziemy prosto przez przełęcz do moich sił, które do tego czasu pewnie i tak ją zdobędą. Będą musiały tylko ją utrzymać, podczas gdy reszta moich oddziałów ruszy na spotkanie. Twoje mizerne siły niewiele mogą zdziałać, chociaż do tej pory dobrze się trzymały.

Głowy Mavry i Brazila uniosły się. A więc przełęcz jeszcze się broniła!

— Stoję tu przed wejściem do Studni — odparł Gedemondianin groźnie. — Znasz zasady, Sangh. Nie mogę być zabity i nie mam ochoty dać się stąd zabrać.

— Nudzi mnie to — westchnął Sangh zirytowany. — Brać go!

Dwóch mniejszych Dahbi rozwinęło się, ukazując w pełni swe owadzie kształty. Efekt był zaskakujący, szczególnie dla Brazila, który nigdy dotąd czegoś podobnego nie widział.

Obydwaj ruszyli na Gedemondianina, który stał w miejscu zwrócony do nich twarzą. Lepkie przednie odnóża, ociekające jakimś obrzydliwym płynem, wyciągnęły się po wielką, białą istotę. Na odnóżach tych lśniły ostrza naturalnej broni Dahbi. Przednie odnóżę tego, który stał po lewej stronie Gedemondianina, dotknęło go. Ten zaś niespodziewanie chwycił za nie lewą ręką. Nastąpił jasny rozbłysk błękitnego płomienia, zdającego się obejmować całego Dahbi. Było to jak trwający kilka sekund wybuch supernowej, po którym wróciła ciemność.

Korzystając z zaskoczenia, Gedemondianin zwracał się ku drugiemu Dahbi. Jego prawa ręka wystrzeliła, chwytając nogę tegoż Dahbi i znowu nastąpił rozbłysk, a gdy zgasł, i po tym przeciwniku nie było ani śladu.

Gunit Sangh nie doczekałby jednak tak późnej starości ani takich zaszczytów, gdyby był pozbawiony męstwa i zdolności szybkiego działania. Demonstrując swą odwagę, która dorównywała jedynie jego wściekłości, błyskawicznie chlasnął przednią nogą, jednym ciosem odcinając głowę Gedemondianina.

Z pozbawionej głowy szyi trysnęła krew, plamiąc piękne, białe futro. Ciało, jakby pod wpływem jakiejś siły wewnętrznej, zatoczyło się do przodu ku San-

ghowi, który uskoczył z nieprawdopodobną wprost szybkością, usuwając się na bok.

Ręce Gedemondianina wyciągnęły się do przodu. Martwe ciało postąpiło dwa kroki, zadrżało i runęło na ziemię. Drgało jeszcze chwilę, nim wreszcie znieruchomiało. Energia zgromadzona w nim wyzwoliła się nagle, zapłonęła kolejna supernowa i zgasła. Nie pozostało nic oprócz śladów krwi na kamieniach i uciętej głowy leżącej na szklistej powierzchni trasy i patrzącej martwymi oczami.

Gunit Sangh był wyraźnie wstrząśnięty. Przez głowę przelatywały mu skłębione myśli. To był Brazil. Teraz był trupem. Ale przecież Brazil nie mógł umrzeć, a więc to nie był Brazil. Gdzie jest zatem Brazil?

Spojrzał na Bariere Równikową. Tylko dwa latające konie, jakich używali Agitarianie. Co...? Dlaczego dwa?

Myśl ta uderzyła go niemal jak cios fizyczny. Niepowodzenie z Mavrą Chang, niby żywe, ale martwe ciało Brazila, te wszystkie sztuczki i moce, jakie zastosowali przeciwko niemu.

I wtedy Gunit Sangh roześmiał się. Roześmiał się tak głośno, że aż echo rozległo się w głębi wąwozu. Odwrócił się do dwóch latających koni.

— No, no... Prawdziwy Nathan Brazil, jak przypuszczałem. A kto ci towarzyszy? Myślę, że to nie jest prawdziwy latający koń. Czyż to możliwe, że znaleźliśmy cudownie ocaloną Mavrę Chang? No, co? Zaczynamy się poznawać! Tak, tak! Wygrałem! — zawołał, znowu się śmiejąc. — Wygrałem tuż przed metą!

Z tyłu zapłonęły światła. Gunit Sangh dostrzegł je i ryknął z wściekłości. Ruszył ku nim, a oni zupełnie odruchowo cofnęli się w głąb Bariery Równikowej i znaleźli się we wnętrzu Studni Duszy, zanim uświadomili sobie, co się dzieje.

— Jeszcze nie! — wrzasnął Gunit Sangh. — Nie! Jeszcze nie! — Pospieszył ku wciąż oświetlonej Barierze.

Naraz gdzieś w głębi wąwozu rozległ się tętent kopyt, jakby koń pędził trasą w kierunku Bariery. Zaskoczony Sangh zatrzymał się na chwilę i zwrócił swą ciężką głowę w stronę, skąd dochodził hałas. Znieruchomiał.

Lśnią słabym, przerażającym blaskiem, galopował wprost na niego Dillianin trzymający w prawej ręce potężny, ozdobny miecz.

Sangh natarł swymi groźnymi przednimi odnóżami, nie uniknął jednak ciosu mieczem, który wbił się w jego ogromne cielsko jak nóż w masło. Dahbi wydał krzyk bólu i upadł. Natychmiast zaczął się zmieniać, stawać się mniej wyraźny, starając się skorzystać z jedynej możliwej drogi ocalenia — wniknąć w skałę.

Olbrzymi centaur wybuchnął strasznym śmiechem, zamachnął się mieczem, lecz teraz zamiast miecza w jego ręce pojawił się kubeł wypełniony po brzegi wodą. Sangh podniósł głowę, wydał przeraźliwy krzyk: „Nie!”, ale centaur już wylał zawartość kubła na w połowie pogrążonego w skałę Dahbi. Tam, gdzie woda je zmoczyła, ciało Sangha nabrało poprzednich kształtów i barwy. Wódz Dahbi wydał z siebie zduszone westchnienie, ale chwilę później potężne kopnięcie przed-

nich nóg centaury rozdarło jego tułów na pół w miejscu, gdzie był wtopiony w skałę. Zdruzgotane szczątki drgały jeszcze przez moment i znieruchomiały.

Centaur wybuchnął triumfalnym śmiechem, odrzucił kubek, który z klekotem potoczył się po skalistym podłożu trasy, następnie odwrócił się i pogalopował w głąb wąwozu, niknąc w mroku.

Wewnątrz Bariery Równikowej Mavra wpatrywała się w scenę, która się przed nimi rozgrywała.

— Teraz możesz mówić, jeżeli chcesz — usłyszała za sobą głos Brazila. — Mogę odbierać twoje myśli.

Głos należał z pewnością do Brazila, był jednak jakiś dziwnie zmieniony, wzmocniony.

— To... to był Asam — wyszeptała. — Ale on nie żyje! Zginął w bitwie... powiedzieli...

Odwróciła się do Brazila i zastygła w przerażeniu. Brazila bowiem nie było. Zamiast niego ujrzała wielką, gąbczastą masę wysoką na dwa i pół metra, wyglądającą jak ogromne, ludzkie serce pulsujące z prawie hipnotyczną regularnością: masę różowej i czerwonej tkanki, pokrytej siecią czerwonych i błękitnawych żył oraz arterii widocznych pod nagą skórą. U wierzchołka owej bryły wiły się jak węże tysiące białawych czulek o długości około pięćdziesięciu centymetrów każda. Mniej więcej w połowie tego gąbczastego, pulsującego cielska wyłaniało się sześć macek umieszczonych w jednakowych odległościach od siebie. Były pokryte tysiącami malutkich przyssawek. Macki były chorobliwie niebieskie, zaś przyssawki miały barwę dojrzałego zboża. Jakaś dziwna posoka sączyła się z porów całej tej masy. Była gęsta i śmierdząca. Nie ściekała jednak na ziemię. Pokrywała ciało nieregularnie, cienką warstwą, nadmiar jej zaś zdawał się ponownie wsiąkać w skórę.

— Nie. To nie był Asam — powiedział Brazil. — Był to po prostu sposób wymierzenia sprawiedliwości. Przełącz Borgo utrzymała się i to pozwoliło naszemu staremu przyjacielowi od czasu do czasu rzucać na nas okiem.

Mavrze wydawało się, że głos Brazila dochodzi gdzieś z wnętrza tej potwornej masy. Nie była zdolna oderwać od niej oczu. Mogła jednak całym wysiłkiem woli kontrolować swoją odrazę.

— To był Cygan — zrozumiała nagle.

— Lecz dla Gunita Sangha wyglądał jak Asam — stwierdził Brazil z satysfakcją. — Właśnie tak ten drań powinien być umrzeć.

— I bardzo dobrze — zgodziła się. — Już nas prawie załatwił tu, na końcu szlaku.

— Nie, nie załatwiłby nas — powiedział Brazil. — I tak by przegrał, tylko tego nie zauważył. Chociaż trudno w to uwierzyć, nie była to odpowiednia pora na otwarcie się Bariery Równikowej. Zadziałała właściwie. Wygodny błąd mechanizmu w chwili, kiedy byłem w trudnej sytuacji, w pułapce zastosowanej przez

śmiertelnego wroga. Studnia opiekuje się swoimi, Mavro. Zawsze. Nawet jeżeli tego sobie nie życzysz. W środku zaś jesteście nietykalni.

Patrzyła na niego, a on rozumiał jej odrazę, wywołaną jego wyglądem, i wstręt, jaki w niej wzbudzał wydzielany przez niego zapach gnijącej padliny.

— Czy tak właśnie wyglądali Markowianie? — wykrztusiła. — Ci sławni bogowie, utopijni panowie stworzenia? Och mój Boże!

— Widziałaś dość dziwacznych istot na tym świecie i we wszechświecie, by orientować się, że ludzie nie są ani wyjątkowi, ani tworem modelowym. Ewolucja rasy markowiańskiej odbywała się w sposób naturalny w warunkach zupełnie odmiennych od ewolucji człowieka i większości innych ras zamieszkujących wszechświat. To, co tobie wydaje się okropne, dla nich było bardzo praktyczne. Według ich gustu jestem wysokim, przystojnym brunetem.

— Byłoby łatwiej, gdybyś tak nie śmierdział — powiedziała.

— Cóż mogę zrobić — odparł, udając urażonego. — Ale ruszajmy. Pomyśl, że ten zapach to jakieś egzotyczne perfumy.

— Wątpię, czy mi się to uda — mruknęła, ale gdy zaczął iść, używając macek do poruszania się, poszła za nim.

Podziwiała pewność jego ruchów mimo tak niezgrabnej postaci.

— Chociaż Markowianie mogą wyglądać dziwacznie, a nawet odrażająco, są naszymi krewnymi w sposób więcej niż duchowy — rzekł Brazil idąc. — Oddychają tą samą atmosferą co my. Mają pewną przewagę, ale nie tak znaczną, jak myślisz. Struktura komórkowa, cały organizm oparty jest na węglu. Działa podobnie jak inne organizmy o tej samej budowie. Jedzą, śpią, chodzą nawet do toalety jak normalni ludzie, chociaż na tym etapie rozwoju nie muszą spać. Zdobyli umiejętność selektywnego wyłączania się, co przynosi takie same efekty. Przynajmniej biologicznie są na tyle do nas zbliżeni, że nie naruszają żadnych znanych nam prawideł życia we wszechświecie.

Wszedł na chodnik po drugiej stronie wysokiej na metr bariery. Kiedy upewnił się, że Mavra podąża za nim, uderzył macką w barierę i chodnik pod nim zaczął się przesuwać. Gdy się przemieszczali światła za nimi gasły, a przed nimi zapalały się.

— Ten chodnik prowadzi do Bramy Studni. Na początku każdą trasą przybywały tu codziennie zmiany operatorów, tak jak my teraz, którzy udawali się do swoich miejsc pracy. Pod koniec, kiedy pozostali tylko koordynatorzy programu, ograniczono dostęp. Można było wejść jedynie o północy przy każdej trasie, i to na krótką chwilę, żeby umożliwić wzrost i rozwój sześciokątom przygranicznym. Później dostęp ograniczono tylko dla koordynatorów, którzy już sami stali się krajowcami, żeby ktoś nie chciał się wycofać. Kiedy byłem tutaj ostatni raz, zaprogramowałem wejścia tak, żeby reagowały wyłącznie na mnie, ponieważ teoretycznie było możliwe, że ktoś rozwiąże zagadkę zamków.

Poruszali się w niesamowitej ciszy. Światła nagle rozbłyskiwały przez nimi, a kiedy je mijali, gasły. Sam chodnik również promieniował blaskiem na całej długości, chociaż źródło światła było niewidoczne. Mavra zauważyła, że chodnik przyspieszał i wiózł ich nie tylko do przodu, ale również w dół, w głąb planety. W pewnym momencie dotarli do słabo oświetlonej sali. U stóp otwierał się wielki, obramowany światłami sześciokąt.

— To jest Brama Studni. Takich Bram jest sześć. Można tędy dotrzeć do dowolnego miejsca wnętrza Studni. My udamy się do centralnej sterowni i stacji monitorującej. Przede wszystkim muszę wszystko posprawdzać, zobaczyć, czy zadziała jak zaplanowano oraz, oczywiście, jakie są uszkodzenia. Może Obie mylił się i nie będziemy musieli podejmować żadnych drastycznych kroków.

Brazil zszedł z chodnika i wszedł na powierzchnię sześciokąta. Mavra po chwili wahania poszła w jego ślady. Nagle wszystkie światła zgasły i Mavrę oparowało nieprzyjemne uczucie spadania. Światła znowu rozbłysły. Ponownie stała na twardym gruncie.

Była to ogromna sala. Miała może kilometr średnicy. Była półkolistą, a jej sufit wznosił się chyba też na co najmniej kilometr. Korytarze, setki korytarzy prowadziły we wszystkich kierunkach. Brama znajdowała się na środku. Mavra cały czas postępowała za Brazilem krok w krok, obawiając się, że jeżeli będzie się ociążać, Brama przeniesie ją w jakieś odległe miejsce tego ogromnego kompleksu, gdzie nikt nigdy jej nie znajdzie.

Ściany, sufit, a nawet podłoga była wykonana z maleńkich, sześciokątnych kryształków wypolerowanej białej miki, które odbijały światło i lśniły jak miliony diamentów.

Brazil zatrzymał się i macką wskazał nieco w górę, czyli kierunek, z którego przyszli. Podtrzymywany polami siłowymi mniej więcej w połowie wysokości sali, unosił się wielki model Świata Studni, obracający się bardzo wolno. Mrok panował na połowie jego powierzchni. Zdawał się wykonany z tego samego materiału co ściany, chociaż sześciokąty były znacznie większe; ciemne plamy widoczne były na biegunach i ciemny pas wokół równika. Całą kulę pokryto cienką, przejrzystą skorupą, która również wydawała się podzielona na sześciokąty odpowiadające sześciokątom na powierzchni.

— Nie wygląda tak pięknie jak prawdziwa planeta z kosmosu — stwierdziła Mavra — ale mimo to robi wrażenie.

— Możesz zauważyć różnicę w odbiciu światła w każdym z sześciokątów. To jest markowiańskie pismo. Są to liczby w układzie szóstkowym od 1 do 1560. Liczby te nie przedstawiają żadnego logicznego porządku, ponieważ stworzono tu ponad milion ras, a pozostało jedynie tysiąc pięćset sześćdziesiąt prototypów. Jak tylko zwolnił się jeden sześciokąt, oczyszczano go całkowicie i rozpoczynano kolejne przedsięwzięcie, nadając mu nowy numer. Dlatego Glathriel ma numer

41, a sąsiednia Ambreza 386. Wprowadziło to bałagan, lecz przecież nie miało to większego znaczenia.

— To robi wrażenie i jest całkiem dekoracyjne — skomentowała Mavra.

— To nie tylko dekoracja — odparł Brazil ze śmiechem. — To mózg, który rządzi Światem Studni. Roboczy model Studni Dusz. To w rzeczywistości serce całego systemu, główne źródło energii i podstawowych równań koniecznych do prawidłowego działania tego systemu. W pewnym sensie jest to gigantyczny program komputerowy. Pobiera energię z wszechświata alternatywnego w sposób zupełnie niezwykły. Jeżeli nie będzie można szybko naprawić Studni, będziemy musieli ją odłączyć od tego urządzenia, co nie wywrze żadnego wpływu na Świat Studni, natomiast skasuje całe oprogramowanie w Studni Dusz. Kiedy je podłączymy powtórnie, Studnia odbierze sygnał jako nowe dane. Ponieważ dane przekazywane są wolno i progresywnie, to gdy program dotrze do części uszkodzonej, przegrywanie danych zostanie przerwane i uruchomione zostaną programy awaryjne w celu dokonania koniecznych napraw.

— Nie możesz selektywnie wyłączyć tylko uszkodzonych części? — zapytała z nadzieją.

— Nie. To dobry pomysł i przypuszczam, że teoretycznie możliwy, ale żeby go wykonać, potrzebowałibyśmy pełnej obsady markowiańskich operatorów. Oznaczałoby to całkowite przeprogramowanie Studni Dusz, a zatem i napisanie zupełnie nowego programu. Można by to zrobić ze Światem Studni, ale nie z wielkim komputerem, ponieważ nigdy nie zakładano, że uczyni się to dwukrotnie w jednym i tym samym wszechświecie.

— A zatem będzie tak, jakbyśmy cofnęli się w czasie, odtwarzając warunki, jakie istniały przed uruchomieniem wielkiego komputera, czyli w zasadzie będziemy odtwarzać czynności, które podejmowali Markowianie — powiedziała Mavra, starając się zrozumieć procedurę.

— Słusznie. Wtedy obwody samonaprawiające się i obwody naprawcze zostaną uruchomione. Zainstalowano je tam, ponieważ nikt właściwie nie wiedział, czy Studnia jest w stu procentach sprawna, czy nie popełniono błędów projektowych lub konstrukcyjnych. Program jest zatem samokorygujący się. Kiedy trafi na podzespół z błędem, poprawia go lub zmienia tak, żeby był odpowiedni.

— Co zatem najpierw zrobimy? — spytała.

Roześmiał się.

— Najpierw pójdziemy tym korytarzem. Niedaleko jest centralna sterownia. Wszystkie te korytarze prowadzą do różnych sterowni. Każda przeznaczona jest dla innej rasy wysłanej stąd w kosmos. Jest ich znacznie więcej niż tysiąc pięćset sześćdziesiąt.

Znowu szedł przodem, a ona za nim. Dotarli do sześciokątnych drzwi, które otworzyły się jak przysłona aparatu fotograficznego. Po ich otwarciu w pomieszczeniu kontrolnym zapłonęło światło. Pełno w nim było przełączników, gałek,

dźwigni, przycisków. Centralne miejsce zajmował czarny ekran. Ogromne wskaźniki i rejestratory wskazywały jakieś informacje, których Marca nie rozumiała. Zupełnie nie mogła zorientować się w funkcjach poszczególnych urządzeń.

Brazil wyciągnął czułek i dotknął niewielkiej płytki na konsoli. Uaktywnił się ekran, a raczej nie ekran, lecz owalny tunel, wnikający w głąb urządzenia daleko jak okiem sięgnąć. Płonęło w nim żółtobiałe światło, w którym poruszały się tryliony czarnych punkcików. Żywe, maleńkie iskierki elektryczności czy innej energii przeskakiwały bez przerwy między nimi, tworząc gwałtowną burzę energetyczną, stale odnawiającą się pajęczynę żywej energii.

— Najpierw załatwimy twoją sprawę — mruknął Brazil.

Nagle rozległ się dźwięk jakby pracującej wielkiej pompy albo włączającego się i wyłączającego przekaznika. Dochodził gdzieś z głębi, z wnętrza planety, zewsząd. Brzmiało to prawie jak bicie serca jakiegoś ogromnego zwierza.

— Po prostu chcę osiągnąć pełną moc — powiedział Brazil.- Nie bój się. Te wszystkie wskaźniki, przełączniki i urządzenia to centralna sterownia. Drobne operacje, takie jak ta, mogę wykonać bez żadnych urządzeń. Będą nam potrzebne dopiero, gdy wyłączymy zasilanie. Dobrze, teraz powinno być w porządku.

Regularne, wszechogarniające pulsowanie wypełniało sterownię.

— W porządku... Centralna sterowania ma pełne zasilanie — mruczał do siebie Brazil. — Możemy zaczynać... teraz!

Mavrze zdawało się, że świat wokół niej eksplodował. Pole widzenia rozszerzyło się nagle do prawie 360 stopni, powonienie, słuch, wszystkie zmysły nabrały nowej intensywności. Zaczęła rejestrować wrażenia, jakich nigdy dotąd nie zaznała. Wyczuwała przepływającą wokół niej energię, odczuwała potężne narastanie mocy, która niespodziewanie stała się rzeczywista, prawie namacalna. Odnosiła wrażenie, że może sięgnąć, chwycić ją i nadać jej kształt zgody ze swoim życzeniem. Był to niezwykły, podniecający, oszałamiający, niewyobrażalny przyływ sił i energii. Stała się superkobietą, boginią, istotą najwyższą.

Spojrzała na Brazila, używając swych nowych zmysłów i zobaczyła, że nie był już obrzydliwą, bezkształtną istotą, ale lśniącym słupem prawie oślepiającego światła, potężną postacią emanującą trudnym do pojęcia pięknem, siłą i potęgą.

Sięgnęła ku niemu nie jakąś częścią ciała, lecz umysłem, a on zdawał się robić to samo, wysyłając falę umysłowej energii, która spotkała się i splotła z jej emanacją.

I wtedy chciała się cofnąć, a przynajmniej przez chwilę próbowała. Pierwsze wrażenia, jakie odebrała, nie miały nic wspólnego z boską istotą, którą bezsprzecznie był, ale mówiły o samotności głębokiej, bolesnej, nie do pojęcia i tak dokuczliwej, że prawie nie do wytrzymania. Ogarnęło ją współczucie i żal, że tak wspinała istota musiała znosić takie nieszczęście i ból. Głębia jego rozpacz była prawie tak wielka, jak jego boska potęga. Dlatego obawiała się, iż ponowne

zjednoczenie duchowe spowoduje, że to cierpienie ją zniszczy. Zapłakała i płacz ten pozwolił jej pojąć sens tragedii.

— Nie bój się — powiedział Brazil łagodnie, ponownie otwierając się przed nią. — Teraz już lepiej się kontroluję. Musiałaś jednak wiedzieć. Musiałaś zrozumieć.

Po chwili wahania znowu się z nim zespoliła. Tym razem było to łatwiejsze do zniesienia, bo poza bezpośrednim kontaktem ich zmysłów. Było jednak zbyt ważną częścią jego osobowości, żeby mogło ulec całkowitemu wyłączeniu. Przenikało go na wskroś, było treścią jego duszy i nawet jego cień oznaczał dla niej zbyt wiele.

Zaczął mówić, a raczej przekazywać. Przekazywał jej bezpośrednio z szybkością myśli dane, jakie zebrał Nathan Brazil na temat działania Studni Dusz, fizyki Markowian, historii eksperymentów, społeczeństwa markowiańskiego, jego planów i celów. Teraz zrozumiała, co z nią zrobił, zdała sobie sprawę po raz pierwszy, że ona także była Markowianką, że miała pełną wiedzę o Studni, że była mu równa. Posiadała wiedzę, ale nie doświadczenie. Doświadczenie bowiem było nierozzerwalnie związane z cierpieniem. Zrozumiała też, że pragnął oszczędzić jej tego cierpienia na tyle, na ile potrafił.

Wreszcie Brazil skończył i cofnął się. Zupełnie nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Chwilę, milion lat — nie umiała powiedzieć. Lecz obecnie wiedziała. Wiedziała, co ją czeka, co czeka jego. Dokładnie wiedziała też, co należy zrobić. Uświadomiła sobie również, że aby uczynić ją Markowianką, wprowadził ją bezpośrednio do komputera i stała się częścią jego programu. Była teraz taka jak on i zawsze już taka pozostanie, chyba żeby sama wykasowała dane na swój temat z jednostki centralnej markowiańskiego komputera.

— Chciałbym jeszcze trochę poczekać, zanim będziemy kontynuować pracę. Chciałbym, żebyś sprawdziła sterowanie, zapoznała się z nim, obejrzała Studnię Dusz i wyniki jej działania. Musisz wiedzieć, co ulegnie zniszczeniu, zanim wszystko wyłączymy.

Teraz rozumiała, do czego służą pulpity kontrolne, wiedziała, jak je obsługiwać, jak nimi manipulować. Powoli, razem analizowali wszechświat.

Cała maszyna była wprost niewiarygodna. Dawała jej nowemu, markowiańskiemu umysłowi prawie nieograniczone możliwości przyswajania informacji i kontrolowania ich z nieprawdopodobną szybkością. Łatwo było badać zarówno znane jak i nieznanne. Czas stracił dla niej znaczenie i pojęła, że i tak właściwie żadnego znaczenia nie miał, przynajmniej dla Markowian. Sama koncepcja czasu nie była niczym więcej niż udogodnieniem matematycznym, stosowanym jedynie lokalnie dla pomiarów. Nie powodował żadnych skutków, nie miał więc dla nich żadnego znaczenia. Przynajmniej nie w tej chwili.

Ujrzała rasy, które znała aż za dobrze i rasy, które były straszniejsze niż cokolwiek, co dotąd oglądała, czego doświadczyła. Dostrzegła rasy znane — Drilów,

od których wszystko się zaczęło włącznie z ludzkością, Rhonian, Czugaczów i inne. Było widać niezliczone ilości istot myślących, ilości tak wielkie, że liczby traciły jakikolwiek sens.

Jednak istoty te żyły. Rodziły się, dorastały, uczyły i kochały, a gdy umierały, pozostawiały spadek swoim dzieciom, one zaś swoim. Spadek obejmujący rzeczy wspaniałe lub okropne, a często i takie, i takie. Oglądała historię Markowian i spadek po nich.

W centralnej sterowni znajdowały się też sekcje, które były w większości uszkodzone lub przepalone. Dotyczyły one głównie światów zamieszkanym przez człowieka. Inne włączały się, żeby przejąć część obciążenia. Obciążenie to okazywało się dla nich zbyt wielkie i one z kolei ulegały przepaleniu, przeciążając w ten sposób sekcje sąsiednie. Studnię Dusz zżerał rak i ona sama nie potrafiła sobie z tym poradzić. Ilość uszkodzonych sekcji rosła, a wraz z nią coraz prędzej powiększało się rozdarcie w czasoprzestrzeni. Uzmysłowała sobie, że ta część wszechświata, z której pochodziła, zniknie w stosunkowo niedługim czasie, a martwa przestrzeń będzie się nadal powiększać.

Zrozumiała teraz, że Obie miał rację. Sekcje obsługujące inne części wszechświata musiały wytrzymać wzrastające obciążenie w walce z zalewem nicości, zaś przeciążenia powodowały, że uszkodzenia następowały coraz częściej w zaskakującym tempie.

Studnia mogła zabić lub wyleczyć wszechświat, lecz nie mogła wyleczyć siebie. W chwili obecnej prawie jedna szóstka centrów kontrolnych Studni była zniszczona, przepalona, nie do naprawienia. Gdyby zniszczenia objęły jedną trzecią zespołów, Studnia nie dałaby rady utrzymać uszkodzonych części, a jednak szaleńczym wysiłkiem próbowała to zrobić, powodując przepalenie całości i ostateczne unicestwienie. Potrzebna była pomoc, i to szybko, gdyż inaczej koniec był bliski. Był to w pewnym sensie żywy organizm, a rak rozlewał się w nim i sięgał już serca. Proces destrukcji spowodowałby automatyczne wyłączenie ochronne głównego programu i zasilania, ale to zdarzyłoby się zbyt późno i mniejsze urządzenia nie miałyby szans na uruchomienie programów naprawczych. W całym wszechświecie pozostałby jedynie Świat Studnia i nic poza nim. Już na zawsze.

Lecz rozumiała również Brazila i tę jego głęboką troskę, jaką czuł odcięty na zawsze od swoich, unikalny w całym wszechświecie, a może i we wszystkich wszechświatach, jakie mogły istnieć, skazany na wędrówkę po Ziemi i gwiazdach, odporny na śmierć i jakiegokolwiek zmiany, nie mogący znaleźć żadnych przyjaciół, a jednak przekonany, że powierzono jego opiece święte dziedzictwo.

Co więcej, przebywając we wnętrzu Studni Dusz, mógł czuć, widzieć i poznać owe niezliczone rzesze istot rozumnych, których cała historia zostałaby wymazana, które, gdyby przeprowadzono naprawy, wymazane byłyby nawet z pamięci, jak gdyby nigdy nie istniały. Pamięć o nich zachowałaby jedynie nowi, przybywający do Świata Studni, oraz on i ona.

— To zdarzyło się nie po raz pierwszy, prawda? — spytała.

— Nie — przyznał. — Wiem o trzech takich przypadkach. — Czy teraz rozumiesz, z jak ciężkim sercem przekręcę główny przełącznik?

— Trzy razy... — powtórzyła w zadumie.

Trzykrotnie ktoś wszedł do Studni Dusz. Trzykrotnie dokonano ogromnej masakry. Zginęło tyle niewinnych istot, które nigdy nic złego nie zrobiły poza tym, że żyły.

— Te wszystkie trzy razy... to byłeś ty?

— Nie. Tylko ostatnim razem. Urodziłem się w świecie, który już nie istnieje, wśród istot, których już nikt nie pamięta. Świat ten był jednak podobny do Starej Ziemi. Było to teokratyczne społeczeństwo żyjące swoją wiarą i religią, a takie społeczeństwa zawsze cierpią i są prześladowane przez innych. Dorosłem i zostałem klerykiem, nauczycielem, ekspertem, swego rodzaju przywódcą religijnym. Byłem sławny wśród mojego ludu. Miałem żonę i siedmioro dzieci — trzech chłopców i cztery dziewczynki. Byliśmy ludźmi typu 41, a nie żadnymi dziwnymi formami.

W pobliżu panowała inna religia, której filozofią było nawracanie siłą, a ponieważ w tym czasie technologia była już poważnie rozwinięta, podbito nasze tereny i wylapywano nas, dając wybór: nawrócić się lub umrzeć. Ich religia była tylko odmianą naszej, nie ufali nam. Byliśmy nieliczną, zamkniętą, tajemniczą grupą. Nie usiłowaliśmy nawet nawracać innych. Byliśmy przydatni. Byliśmy słabi i stosunkowo zamożni. Byliśmy kozłami ofiarnymi dla dyktatorów.

Przyszli po mnie któreś nocy, kiedy czuli się pewnie. Ostatecznie byłem przywódcą. Ostrzeżono mnie bardzo późno, ale udało mi się i tej nocy nie było mnie w domu. Miałem to szczęście albo nieszczęście. Wzięli moją żonę i dzieci i ogłosili, że albo wyrzeknę się swego plemienia i religii, albo moich najbliższych spotka los gorszy od śmierci. Mieli być poddani praniu mózgow i przekazani jako zabawki rodzinom panujących. Nie oferowano mi żadnych gwarancji w przypadku, gdybym się poddał. Nie było również żadnych gwarancji dla nich. Nie istniał sposób, żeby ich uwolnić. Uciekłem, ukryłem się na pustyni i żyłem jak pustelnik. Pomagałem jednak uciekinierom z mojego plemienia, tym, którym się powiodło, i starałem się wyszukać dla nich bezpieczne schronienie.

— Skoro działałeś w ten sposób, to dziwię się, że nie planowałeś zemsty.

— Zemsty? — zaśmiał się kwaśno. — Można mścić się na jednej osobie czy grupie, ale jak mścić się na większej części ludności świata? Pewnie, że ich nie nawidziłem, lecz jedyną zemstą, jaką mogłem wyrzucić, było podtrzymywanie mojej wiary i mego plemienia w tych strasznych czasach. Był to rodzaj zemsty historycznej.

Pewnej nocy, kiedy sprawdzałem ścieżki wiodące przez pustynię, zatrzymałem się w oazie przytulonej pod skalnym urwiskiem. Zobaczyłem coś, co uznałem za rzecz niemożliwą.

— Co takiego?

— Centaura, pół człowieka, pół konia. Wymknął się z jaskini i skradał się do źródła. Pamiętaj, że działo się to w świecie o rozwiniętej technologii, gdzie musiałem uważać na helikoptery, radary, analizatory umysłu, w świecie, który już założył kolonie na obu księżycach i na sąsiedniej planecie. Centaur zauważył mnie, ale nie uciekł. Przeciwnie. Zawołał mnie. Zawołał mnie po imieniu! Znał mnie, chociaż ja nigdy nie widziałem przedtem czegoś podobnego. Powiedział mi, że pochodzi z innej cywilizacji żyjącej gdzieś tam wśród gwiazd i że cywilizacja ta już nie istnieje. Był ostatnim z tego gatunku. Był pierwszą osobą, która opowiedziała mi o Markowianach, o Świecie Studni i o komputerze zwanym Studnią Dusz. Miał tam też zupełnie niezwykle schronienie. Technologiczną enklawę wyrzeźbioną wewnątrz tej pustynnej góry.

Wiedział o mnie dużo. Wyglądało na to, że obserwował mnie od pewnego czasu z sobie tylko znanych powodów, których wówczas nie rozumiałem. Powiedział mi, że w wyniku wypadku cały wszechświat stał przed groźbą zagłady i że potrzebował pomocy, żeby temu zapobiec. Wybrał mnie.

— Dlaczego ciebie? Byłeś ukrywającym się przywódcą religijnym.

— Mógł pokazać mi księgi, obce księgi trzech lub czterech różnych cywilizacji. Miał maszynę nauczającą, która pomogła mi zrozumieć te języki. Na pewno słyszałaś o takich maszynach. Przeczytałem te książki pochodzące od pozaziemskich cywilizacji, żyjących gdzieś wśród gwiazd, do których jeszcze nie dotarliśmy. Byłem oszołomiony. Czytałem parafrazy czy nawet adaptacje najświętszych ksiąg mojej religii. Szczegóły były oczywiście różne, ale prawdy podstawowe te same. Koncepcja jednego Boga, stworzenia świata, elementarne prawa. We wszystkich czterech tekstach występowały reguły, które my nazwalibyśmy dziesięciorgiem przykazań, i to prawie w tej samej kolejności. Jedyne formy ich przekazywania były rozmaite. Natychmiast zorientowałem się, co mi w ten sposób chciał dać do zrozumienia.

— Co takiego?

— Że istniała pewna religia uniwersalna. Zestaw podstawowych wierzeń i koncepcji tak do siebie zbliżonych, że po prostu nie mogły zostać wypracowane niezależnie przez tak różne cywilizacje. Sam centaur był również wyznawcą podobnej wiary i właśnie podobieństwo jego wyznania do mojego, którego byłem najwyższym autorytetem, przyciągało go do mnie. Rozumiesz?

— Ale... — spytała Mavra z wahaniem — powiedziałaś, że przedtem dokonano napraw trzykrotnie. W jaki sposób taka religia mogła się pojawić ponownie?

— A zatem rozumiesz? Nie mogła, chyba że tkwiła w niej prawda podstawowa. Doszedłszy do tego wniosku, nie umiałem mu niczego odmówić. Potrzebował kogoś, kto wszedłby do Studni, tu, gdzie jesteśmy w tej chwili, wyłączył ją i rozpoczął wszystko od początku. Ponieważ jest to swego rodzaju ćwiczenie umysłowe

we, chciał mieć do pomocy kogoś, kto podzielał jego poglądy filozoficzne. Była to jednak tylko część prawdy. Oszukał mnie, skubaniec.

— Co?

— Był strażnikiem Studni. Nie wiem, czy był kierownikiem programu, czy podobnie jak ja został w odległej przeszłości zwabiony do Studni. Nie potrzebował pomocnika. Sama widzisz, że program jest kompletny i wystarczy tylko jedna osoba, żeby pokierować naprawą, chociaż może łatwiej byłoby we dwie. Wprowadził mnie ze znacznie mniejszym przygotowaniem niż miałś ty, a następnie wykasował się z programu! Zostawił mi całą robotę, po czym zabił się!

Mavra poczuła budzący się niepokój, gdyż przypomniała sobie przewidywania Cygana dotyczące jej i Brazila. Jednak zamiast podzielić się z Brazilem swymi obawami, spytała:

— I co się potem stało?

— No, cóż. Skończyłem robotę, zamknąłem Studnię i nagle zdałem sobie sprawę, że wiem bardzo niewiele o tym, co się właściwie dzieje. Wróciłem na Ziemię i kiedy nastał czas po temu, przedstawiłem swoją wiarę dwunastu plemionom składającym się na jeden naród. Muszę przyznać, że użyłem przy tym szeregu sztuczek, czego się teraz wstydzę. Ale decyzja ta okazała się słuszna. Z wiary owej wykwitła większość religii tego świata oraz jego zasady moralne. Ustaliłem prawidła. Przyznaję, że w większości przypadków nie stosowano się do nich, podobnie jak w świecie, z którego sam pochodziłem, ale przynajmniej je posiadano i w sumie okazało się to dobre. Religie pochodne okazały się kluczowe dla historii świata. Islam uchronił naukę i wielkość świata antycznego przed barbarzyńcami, chrześcijaństwo zapewniło, że noc kultury nie była aż tak całkowita i przyczyniło się do zachowania poczucia jedności, a potem rozpowszechniło się na całą planetę. Moje nowe plemię, podobne jak dawniejsze, spotkał niestety ten sam los. Było prześladowane, stało się kozłem ofiarnym, ale mimo wszystko zachowało wiarę i tradycję. Jego los ostatecznie okazał się znacznie lepszy w przeciwieństwie do poprzedniego.

— Brazil — odezwała się z wahaniem. — Mówisz, że wysiłek umysłowy ubarwia nowo utworzone miejsce. Czy zjawisko to nie może być wyjaśnione tym, że osoba, która dokonała wyłączenia i włączenia, a wyznająca tę religię, przeniosła ją do kolektywnej podświadomości nowo utworzonych ras?

— To jest możliwe — przyznał. — Również o tym myślałem. Ale da się to także tłumaczyć inaczej. Może w ten sposób Bóg zapewnia ciągłość?

— Jakoś nie myślałam o tobie nigdy jako człowieku wierzącym — zauważyła. — Wydaje mi się też, że pamiętam, iż powiedziałeś moim dziadkom, że jesteś Bogiem.

— Taki już mój los, że ludzie biorą poważnie wszystko, co powiem, a sam przy tym zachowuję powagę. Czasami coś zmusza mnie, żebym kłamał.

— Skąd zatem mogę wiedzieć, że teraz powiedziałeś mi prawdę? — spytała żartobliwie. — Może właśnie to było kłamstwo, które miało na celu usunięcie z mego umysłu wszelkich podejrzeń, że jesteś Bogiem?

— Nigdy się tego nie dowiesz, prawda? — żartował dalej. — Ja się tym nie przejmuję. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

— Brazyl, czy zamierzasz wykasować się z programu? Czy zamierzasz zabić się i chcesz, żebym ja wszystko przejęła? Cygan tak mi powiedział.

Brazil milczał przez dłuższą chwilę, zanim odrzekł.

— Taki był mój początkowy zamiar — przyznał z wahaniem. — Musisz mi uwierzyć, że chcę umrzeć. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo tego pragnę.

— Myślę, że mogę to sobie wyobrazić — powiedziała łagodnie. — Pamiętasz, co odczuwałam na początku?

— Tego wiedzieć nie możesz — upierał się. — Zaledwie musnęłaś powierzchnię i nie masz pojęcia o głębi. Zrazu planowałem powiedzieć ci o wszystkim i ty miałaś zdecydować, czy jesteś gotowa przejąć moje zadanie, wiedząc, że w duchu przeżyjesz śmierć miliony razy, a wciąż będziesz żyć. Teraz zaczynam mieć wątpliwości. Cóż znaczy jeszcze kilka milionów lat na tym etapie gry? Spojrzałem na ciebie, Mavro, znacznie głębiej niż ty spozjrzałaś na mnie. Nie masz wystarczającej praktyki. Im dłużej cię obserwowałem, tym bardziej nabierałem pewności, że posiadasz najlepsze kwalifikacje do wykonania tego zadania, ale chyba właśnie dlatego nie mogę ci tego zrobić. Nie mogę skazać cię na taką samotność. Nie mógłbym czegoś takiego zrobić nikomu!

Patrzyła na dziwną, świecącą istotę z nowym zainteresowaniem, z ciekawością, nawet z podziwem.

— Nigdy właściwie nie straciłeś ducha, prawda? Gdzieś tam w głębi on nadal płonie. Jesteś bardzo zmęczony, do głębi zraniony tym wszystkim, ale gdzieś tam wciąż jeszcze żarzy się twój niezłomny duch. Wciąż jeszcze wierzysz w swoje stare ideały. Wciąż jesteś przekonany, że ludzie są w stanie dotrzeć do Boga, w którego szczerze wierzysz, a którym przecież sam nie jesteś.

— Mogę ci tylko powiedzieć — odparł Brazil z powagą — że istnieje coś poza zasięgiem naszego wzroku. Wiemy jedynie, że oprócz Studni Dusz przetrwa. Może to inny, równoległy wszechświat, może coś niedostrzegalnego wokół nas, coś w rodzaju pierwotnej energii Markowian. Ale coś jest, Mavro, tego jestem pewien. Trzech Gedemondian położyło na nas dłonie i nasze umysły przepłynęły do ciał zwierząt. To jest niemożliwe według panujących w tym świecie prawideł. Co właściwie przepłynęło? Było to coś w nas najistotniejszego, wystarczyło, żeby Studnia dwukrotnie mnie rozpoznała, mimo że dwukrotnie pojawiłem się tu w ciele zwierzęcia. Czy można to zidentyfikować nawet tutaj, wewnątrz Studni, w formie markowiańskiej? Czy możesz to dostrzec lśniące jasno, tak jak ja to widzę u ciebie? Co to jest? Dusza? Cóż to jest „dusza”? Jak dotąd jest to termin używany do określenia tego czegoś, co widzimy obecnie, a co inni przez cały ten czas

dostrzegali przypadkowo i nie umieli zidentyfikować. Jakim prawom podlegają te części naszej istoty? Czy umierają wraz z naszymi ciałami zdmuchnięte jak świece? Nasze dusze nie umarły. Twoje ciało jest martwe, moje prawdopodobnie też. Okazuje się, że nie ma to żadnego znaczenia.

— Czy znasz odpowiedź? — spytała.

— Oczywiście nie, ponieważ nigdy nie umarłem i wygląda na to, że jeszcze wiele czasu upłynie, zanim umrę.

— Nathan... — powiedziała po chwili wahania. — Jeżeli chcesz odejść, zrób to. Przyjmę odpowiedzialność. Od tej chwili jesteś całkowicie wolny, po raz pierwszy w życiu jesteś wolny.

Zastanawiał się przez moment.

— Nie, Mavro, nie jestem wolny. Nie jestem wolny, ponieważ przed chwilą powiedziałas prawdę. Ja wciąż się troszczę, wciąż mi zależy... Czy wyłączymy maszynę?

— Musimy — odparła. — Wiesz, że musimy.

— Zanim jednak ją wyłączymy, spróbuję zrobić coś, co udało mi się ostatnim razem. Jest oczywiste, że istnieje znacznie więcej ras niż jest sześciokątów w Świecie Studni. Może uda nam się ocalić wiele z nich. Niektóre nie przetrwają albo ze względu na uszkodzenia, albo ze względu na błąd w obliczeniach, prawa fizyki i wreszcie z mnóstwa innych powodów. Ale jest szansa. Ostatnim razem się powiodło. Może się powieść i teraz, szczególnie w odniesieniu do tych ras, które opanowały podróże kosmiczne.

Wrócili do centralnej sterowni i Brazil rozpoczął manipulacje przy konsoli. Z początku Mavra nie zorientowała się, co robi, ale po chwili obserwacji zrozumiała.

— Nie możemy uczynić tego bez dusz, Mavro — przypomniał jej. — Musimy mieć materiał do pracy.

Bardzo powoli gdzieś tam w nieskończonych przestrzeniach kosmosu otwały się Bramy Studni. Stało się jeszcze coś. Zaczęły się poruszać. Ogromne, rozwarłe sześciokąty czerni podniosły się z planet, gdzie były rozmieszczone, i poszybowały w przestrzeń. Były dwuwymiarowe. Stanowiły wyrwę w jednolitym paśmie rzeczywistości, ponieważ ich głębia znajdowała się gdzie indziej, na drugim końcu wszechświata, przy Bramie Studni.

— Najważniejsze będzie zgranie w czasie — stwierdził Brazil. — Staram się ustawić je jak najdokładniej, żeby dotarły do celu równocześnie, ale mogę w najlepszym przypadku odczekać zaledwie kilka sekund. Kiedy dam sygnał, musisz przekreślić wyłącznik. Rozumiesz?

Teraz rozumiała. Rozumiała bardzo wiele. Zrozumiała, w jaki sposób tak wiele ras mogło przeżyć poprzednie wyłączenie, rozumiała, dlaczego szereg ras mogło zostać przemieszczonych na jednej planecie. Ideał był nieosiągalny.

Bramy przesunęły się na swoje właściwe miejsca. Nie wszystkie można było wykorzystać, ale było ich dosyć pod warunkiem, że przedsięwzięcie się powie-

dzie. Niektóre rasy zginą, zginą na zawsze niektóre cywilizacje i idee, ale wiele, bardzo wiele zostanie ocalonych.

Po chwili, bo któż by zdołał określić, czy trwało to kilka minut czy kilka stuleci, Brazyl odezwał się:

— Wszystkie bramy są na miejscu. Zrobiłem, co mogłem. Stracimy kilka tysięcy cywilizacji, ale to lepsze niż stracenie wszystkich. Zbliżam się teraz do najbliższej zamieszkałej planety w każdym regionie.

Na milionie różnych światów milion ras było zaskoczonych, kiedy z nieba na każdy ich świat spadła niewielka, czarna planeta. Była to plama absolutnej czerni. Nie można jej było powstrzymać ani zniszczyć. Wybuchła panika powiększona zachowaniem się czarnego sześciokąta natychmiast po dotknięciu planety. Zaczął się poruszać. Szybko, niezmiernie szybko, zbyt szybko, żeby zdążono cokolwiek przedsięwziąć i wchłaniał ludzi.

— Już są! Boże! Co za ból głowy! Nie mogę dłużej utrzymać otwartej Bramy Studni! Do diabła! Nie wszystkie rasy dały się złowić! Cholera! Zaraz będę musiał przestać! Na litość Boską, Mavra, wyłącz teraz!

Myśl, impuls, jeden dokładny, celowy matematyczny rozkaz. Zrobiła to. Ona sama. Zabiła ich wszystkich. Wszystkich z wyjątkiem tych w Świecie Studni i tych w tranzycie.

Po nocnej stronie Świata Studni ludzie patrzący w niebo ujrzeli zdumiewającą rzecz: ogromne, wspaniałe, rozgwieżdżone niebo po prostu zamigotało i zgasło. Została tylko czerni tak absolutna, jakiej nikt jeszcze nie widział.

Wiadomość rozniosła się natychmiast po całym Świecie Studni. Była powtarzana przez tysiące ust i tu również wybuchła panika.

Brazyl dotarł do Studni Dusz. Gwiazdy zgasły.

Niektórzy popełnili samobójstwo. Niektórzy oszaleli. Większość jednak patrzyła, czekała i wpatrywała się w przerażające, puste niebo, w tę nicność, która ją otaczała i wydawała się zbliżać coraz bardziej.

Bramy Studni przestały działać zarówno w Strefie Północnej, jak i Południowej. Zamki, o których nikt nie wiedział, zatrzasnęły się automatycznie. Ci, którzy pozostali w środku, mogli tylko czekać. Lepiej zorientowani w sytuacji postawili w swoich sześciokątach strażę przy Bramie Strefy, żeby nikt tam nie wchodził. Nie można było się przedostać do Strefy, kiedy Bramy Studni były zatrzaśnięte. Wszystkich zatrzymywano, ponieważ Brama działała odwrotnie. Każdy, kto wszedłby do niej, już nigdy nie zobaczyłby Świata Studni.

Ci, którzy zarządzili w sześciokątach północnych i południowych, wiedzieli, że ciąży na nich obowiązek skierowania około połowy ludności do Bramy, bo gdyby tego nie uczynili, Brama przesunęłaby się i sama poszukała sobie osobników potrzebnych do zaludnienia nowo powstających planet, chwytając każdego, kto będzie w pobliżu. Wiadomość automatycznie została przekazana wszystkim mieszkańcom Świata Studni. Wiadomość, która do tej chwili traktowana była ja-

ko nieistotna, jako archaiczna fraza z legendy. Teraz była jednak zrozumiała dla wszystkich.

Nastała północ przy Studni Dusz.

Studnia Dusz

— Jestem zaskoczona, że wciąż jest tu światło i powietrze — zauważyła Mavra.

— A co myślałaś? Że zbudowali tę rzecz w próżni? Żeby zbudować Studnię, potrzebowali światła, ciepła i powietrza. Łączy się to z całą planetą. Komputer jest obecnie definitywnie wyłączony, podobnie jak Bramy Studni. Nikt nie może wejść ani wyjść. Bramy Strefy prowadzą bezpośrednio do Bramy Studni. Tylko w jedną stronę.

— Jak myślisz, ilu ludzi tam schwytaliśmy?

— Głównie Olimpian, którzy — jak przypuszczam — wiedzą, co się dzieje, jakichś przypadkowych strażników, patrole, może nawet kilku ambasadorów, którzy są w tej chwili śmiertelnie przerażeni.

— Powstanie tam szalony tłok, kiedy inni zaczną wchodzić przez Bramy Strefy. To ogromne przestrzenie, ale czy pomieszczą takie ilości?

— Nie będą musiały — zapewnił ją. — Będą w nich zawieszani jak te miliardy, które porwaliśmy kilka minut temu — i będą czekać na wyzwolenie. To wprowadza zamieszanie, bo system został zaprogramowany tak, aby zaludniać poszczególne światy po kolei. Nigdy nie miał robić czegoś takiego, co zrobiliśmy przed chwilą. Dlatego w przeważającej większości dostarczamy osobniki, jakie chcemy, na wybraną planetę.

Inne osobniki też jednak się przedostają, a więc co najmniej połowa istot występujących w mitologii Starej Ziemi rzeczywiście tam trafiła. Lecz ty się nie przejmuj. Istoty te nie są odpowiednio zaprogramowane do życia na tym świecie i z czasem zostaną wyeliminowane w ten czy inny sposób. A przynajmniej przypuszczam, że tak się dzieje. Nigdy jednak nie byłem pewien. Przed nami jeszcze mnóstwo roboty. Przestańmy się przejmować i wykonajmy ją najlepiej, jak potrafimy.

Spojrzała na konsolę, wskaźniki, komory przekaźników obecnie zupełnie pozbawione energii. Działał jedynie system kontrolujący Świat Studni, który czerpał energię z czarnej dziury w innym wszechświecie. Bardzo niewielkiej czarnej dziury, jak zauważyła Mavra.

Zastanawiała się często nad tym innym wszechświatem. Czy istniały tam formy życia, które ewoluowały same? Czy miał swoich Markowian i swój odpowiednik Studni Dusz? Tego nie można było się dowiedzieć, jak sobie uświadomiła. Nie było takiej możliwości. Każdy, kto wpadł do czarnej dziury tu, mógł się oczywiście pojawić tam, ale nie byłby w stanie zobaczyć, co się dzieje.

Szkoda, że nie można było się dowiedzieć. Kiedy zyskała obecną wiedzę i potęgę, pozostały jeszcze tylko dwie tajemnice — równoległe wszechświaty i Nathan Brazil. Ale ostatecznie — zastanowiła się — jakieś tajemnice powinny być na świecie.

— Ile czasu zajmie nam ta robota? — spytała.

— Sześć dni — odpowiedział, jakby to było oczywiste. — Sześć dni czasu Świata Studni rzecz jasna. Jest to jedyny czas, jaki w tej chwili istnieje.

Myślała o ich wcześniejszych przygodach.

— Ortega... Cygan... Marquoz... Ciekawa jestem, czy jeszcze żyją.

— Tego nigdy się nie dowiemy. Doświadczenia ostatnich kilku miesięcy pouczają, że niezbyt dobrze jest za długo przebywać w Świecie Studni i stać się znaną postacią. Teraz trzeba ich zostawić w spokoju na kilkaset tysięcy lat, żeby zapomnieli, kim i czym jesteś i o wszystkim, co się stało. W ten sposób nie będą nic wiedzieli, kiedy pojawią się ponownie. Nie. Musimy wyruszyć, osiedlić się gdzieś w nowo utworzonym wszechświecie i odpoczywać, dopóki nie będziemy znowu potrzebni. Sama też po pewnym czasie zapomnisz. Mózg Markowian pamięta wszystko, ale tylko tutaj, wewnątrz Studni. W innych sytuacjach nie ma takiej możliwości. Ta jest do pewnego stopnia błogosławieństwo. Zobaczysz sama.

— Wiesz co — powiedziała po chwili zastanowienia — jesteśmy teraz we dwoje. Tym razem możemy pozostać Markowianami.

— To nic nie da ani tu, ani w jakimkolwiek innym miejscu. Bóg nudzi się i odczuwa oderwanie od reszty świata w znacznie większym stopniu niż człowiek. Nie możemy się reprodukować. Pozostawalibyśmy więc samotnie na jakiejś markowiańskiej planecie, odgrywając rolę potwornego Boga, wymyślając nowe ćwiczenia dla naszych umysłów, dopóki zupełnie nie poprzewracałoby się nam w głowach, jak to się stało z Markowianami. Możemy tak zrobić, jeżeli chcesz, ale inny sposób jest ciekawszy. Wybór należy do ciebie. Możesz skasować się tu i przenieść do jakiegokolwiek ciała na jakimkolwiek świecie jako markowiański prototyp albo przejść przez Bramę Studni jako jedna ze śmiertelnych. Ja wolałbym trzymać się naszego plemienia. Ma tyle możliwości.

— Stąd wyślemy głównie naszych ludzi, ochotników z Olimpu, którzy wiedzieli, w co się pakują. Inni, których porwaliśmy, zanim wyłączyliśmy komputer i którzy są obecnie w zawieszeniu w Świecie Studni, obudzą się nagle w prymitywnym, obcym świecie, zimnym i tajemniczym, naszym, bez broni i narzędzi.

— Dadzą sobie radę — zapewnił ją. — W każdym razie większość da sobie radę. Dawali sobie radę wcześniej, dadzą sobie radę i teraz, Markowianie wyhodowali zupełnie odporne rasy. Mimo że upłynął tak długi czas, wciąż większość z nich lubię.

— Nawet Dahbi?

— Gunit Sangh był przykładem czarnego charakteru, który może pojawiać się w każdej rasie. My też mieliśmy tego rodzaju postacie. Ty nigdy nie słyszałaś o Adolfie Hitlerze czy Dathanie Hainie. Nie są chlubą naszej rasy, ale nie możemy potępiać wszystkich dlatego, że pojawiło się kilku śmierzdźli. Czy gotowa jesteś do pierwszego zadania? — zapytał po chwili.

— Jestem gotowa — odpowiedziała z powagą. — Nadal nie wiem jednak, jak to wszystko może być wykonane w ciągu sześciu dni. Przyznaję, że nie jestem wykształcona, ale wydaje mi się, że to, co my robimy, musi trwać miliardy lat.

— Miliardy lat dla nich — odparł. — Sześć dni dla nas. Tylko obserwuj. W tej chwili tam nic nie ma. Absolutnie nic. Ani pyłku. Nie ma ani materii, ani energii. Jest tylko energia pierwotna w całkowitym uśpieniu. Oznacza to również, że nie ma przestrzeni, czasu ani odległości.

— Planety markowiańskie z Bramami są tam nadal — zauważyła.

— Tak, to prawda, ale nie mają słońca, ciepła, niczego. Istnieją w nicości i tak będą trwać, dopóki tego nie naprawimy.

— Dzięki tobie rozumiem procedurę, ale w dalszym ciągu nie mam pewności, co właściwie będziemy robić.

— Zrobimy tak — powiedział, sięgając do głównej konsoli. — Niech się stanie światłość! — wydał polecenie z uśmiechem.

Jeszcze raz energia popłynęła z niewielkiej jednostki programującej, zawieszanej w hallu głównym sterowni. Wpłynęła do komputera Studni Dusz i rozpoczęła proces jego naprawy i aktywizacji.

Gdzieś daleko, w przestrzeni, miliardy lat świetlnych od Świata Studni pojawiło się pęknięcie. Ogromna czarna dziura z innego wszechświata, największa z czarnych dziur, jakie istniały we wszechświecie, straciła nagle równowagę i cała materia, jaką pochłonęła wraz ze światłem, buchnęła, rozprzestrzeniając się w kierunku z tamtego wszechświata do wszechświata Studni.

Natura zareagowała tak, jak powinna. Cały statyczny wszechświat drgnął i poruszył się, żeby zamknąć pęknięcie jak najszybciej. Ale Studnia Dusz pulsowała już nowym życiem. Rozciągnęła się, nie zważając na przestrzeń i czas, i utrzymywała rozdarcie; objęła swoim działaniem wybuchającą białą dziurę, podtrzymywała wybuch, pozwalając mu się rozszerzać i potęgnić. W rezultacie nastąpiła największa eksplozja możliwa w fizyce.

— Oho! Znacznie dalej niż ostatnim razem — zauważył Brazil. — Niedobrze. Świat Studni zawsze już będzie miał czarne niebo. Cóż robić. Wykorzystuje się białą dziurę tam, gdzie ją można znaleźć, tam gdzie tkanka wszechświata jest naj-

słabsza, co na jedno wychodzi. To nie ma większego znaczenia, tyle że mogło być ładniej. Bramy Markowa w najbliższym sąsiedztwie nie będą miały wiele do roboty jeszcze przez długi czas. Teraz możemy odpocząć. Musimy poczekać, aż zajdą konieczne procesy naturalne. Och, ale to piękne! Spójrz na te wszystkie odczyty energetyczne! Wybuch znacznie większy i groźniejszy niż ostatnim razem! Będziemy mieli tu nowy, wspaniały wszechświat!

Niewiele czasu upłynęło w Studni, gdyż nie odgrywał on tu żadnej roli. Świat Studnia pozostawał na uboczu, oddalony jak zawsze od wszechświata. Resztki wszechświata Markowian pozostawały nie zmienione i będą trwały w tym stanie, dopóki pęd, jaki nowemu wszechświatowi nadał wybuch, nie zmniejszy się na tyle, żeby dopasować się do czasu Markowian.

Sprawdzili Studnię. Stwierdzili, że specjalne obwody podjęły już czynności modyfikujące, udoskonalające, naprawcze. Następować miała odbudowa uszkodzonych podzespołów. Zdążyli.

Minęła godzina. Minęło pół miliarda lat. Czas nic nie znaczył. Wszechświat rozszerzał się. Wielkie obłoki gazu i innych szczątków pędziły w przestrzeni, wirując pod wpływem sił wyzwolonych wybuchem.

Minęło dwanaście godzin. Minęło sześć miliardów lat. Wszechświat wciąż się rozszerzał, ale równocześnie ochładzał się, krzepł coraz prędzej. Formowały się galaktyki. Wewnątrz galaktyk pojawiały się słońca, a nawet planety. Proces tworzenia trwał.

Brazil leniwym ruchem przestawił przełącznik. Tempo zmniejszyło się. Pod koniec dnia było już stosunkowo wolne — kilka milionów lat na godzinę.

Drugiego dnia Brazil wybrał docelowe światy i zainicjował procesy sprzyjające powstawaniu życia. Zaistniały odpowiednie warunki, a trzeciego dnia, po jeszcze większym spowolnieniu tempa reakcji, rozpoczął te procesy nie tylko na planetach, które wybrał, ale także na tych, które uformowane w sposób naturalny stanowiły środowisko przychylne dla powstawania takich czy innych form życia, ale dla których nie miał dość osadników.

Czwartego dnia czas biegł jeszcze wolniej. Aminokwasy, struktury krystaliczne, te podstawowe cegiełki, z których zbudowane było życie po północnej i południowej stronie równika Świata Studni, pojawiły się na nowych planetach. Pierwsze formy życia opartego na węglu narodziły się w morzu. Lądem władzały rośliny.

Piątego dnia Brazil jeszcze bardziej spowalniał reakcję i przy pomocy Mavry uruchomił programy obejmujące drugorzędne formy życia. Pojawiły się zwierzęta. Najpierw w morzu, później na lądzie, a wszystkie we właściwej kolejności ewolucyjnej, wszystkie wywodzące się z tej samej pierwotnej przyczyny.

Oglądali teraz te miliony światów i stwierdzili, że postępowali właściwie. Wszystko działało poprawnie. Może nie w stu procentach, ale w pełni zaspokajało potrzeby wszystkich światów. Wykorzystując komputer Studni, większość czasu

spędzili na dopasowaniu warunków na poszczególnych planetach do potrzeb form życia. Tylko dla nielicznych nie można było znaleźć odpowiednich warunków. Martwiło to szczególnie Brazila.

— Gedemondianie — zauważył. — To wyjaśnia problem Gedemondian. Kiedy już ustalili zasady, trzeba żyć w zgodzie z nimi. Ostatnim razem z nieznanymi powodami nie można było dopasować Gedemondian do świata, który wyłonił się z tego całego chaosu. Tym razem jednak nie będzie problemu. Dotrzymałem słowa. Mają świat jakby stworzony na zamówienie. Występują jednak problemy z kilkoma innymi rasami, ale postaramy się zrobić wszystko jak najlepiej.

Życie zwierzęce już się rozwijało. Pojawiły się pierwsze prototypy dominujących ras, logicznie wynikające z programów uruchomionych przez Brazila i Studnię, a polegające na łączeniu pierwszych kwasów w procesie początkowym w oparciu o zasady tworzenia materii na poszczególnych światach oraz biologiczne i klimatyczne warunki panujące na nich. Studnia dawała bardzo dobre prognozy rozwojowe światów i nie popełniała błędów. Prototypowe nowe rasy rozumne nie były dokładnymi odpowiednikami ich wzorców żyjących w Świecie Studni, ale w sumie były bardzo zbliżone. Dobór naturalny przetrzebił znacznie dominujące linie, wyodrębniając jedno, niewielkie odgałęzienie, które zapewniało wszystko, co konieczne do życia rozumnego i dominacji.

Brazil sprawdził Świat Studnię. Większość sześciokątów spełniała stawiane wymagania, ale było kilka zbyt zdezorganizowanych lub zbyt prymitywnych, by się do tych wymagań dostosować. Brazil podjął kroki, żeby włączyć je do programu. Kiedy nadejdzie czas, ich ludność zostanie zmniejszona o połowę przez automatyczne działanie Studni.

Niektórzy z Markowian dawno, dawno temu — teraz dopiero Mavra zaczęła zdawać sobie sprawę jak dawno temu — również niezbyt chętnie poddawali się temu procesowi.

Okolo północy piątego dnia obydwójce byli gotowi. Wiedzieli, że nadszedł czas na ostatnią czynność kończącą to ćwiczenie, jak to ukazywał Brazil.

Do północy dnia następnego co kilka sekund kolejna grupa rasowa była uaktywniana i wysyłana przez Bramę Studni na wybrane dla niej planety. Fizycznie nigdy nie miały tam dotrzeć. Miały jedynie zasiedlić ciała przygotowane dla nich poprzez miliardy lat ewolucji. W podróż tę miały wyruszyć miliony ocalone przez Brazila od zagłady poprzez wykorzystanie Bram Markowa, miliony, które teraz będą mogły zapewnić ciągłość istnienia swoich ras, rozwijać się i wzrastać lub wyginać stosownie do własnego wyboru.

Ponieważ wciąż jeszcze istniała różnica w tempie przepływu czasu pomiędzy Światem Studnią a wszechświatem, rasy były rozrzucone w czasie tak, że niektóre rozwinęły się, zestarzały i wymarły o tysiące, a może o miliony lat wcześniej niż następne, wysłane tylko o kilka minut później ze Świata Studni.

Wśród ekspediowanych ras zdarzały się inne grupy, nie przystosowane do planet, na które trafiały. Były to niestety przypadki nie do uniknięcia. Stanowiły one sprzeczność na planetach dla nich nie przeznaczonych. Większość szybko wyginęła i stała się tematem legend przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Nieliczne grupy jednak trzymały się, trwały przynajmniej przez pewien czas.

Pod koniec szóstego dnia, kiedy nadeszła północ, bariery Bramy Studni zostały wycofane, Bramy Strefy rozpoczęły normalną działalność i wszystko wróciło do dawnego stanu.

Cały Świat Studnia odetchnął z ulgą.

Wszystko wróciło do normalności. Minęło sześć dni w Świecie Studni i prawie czternaście w nowym wszechświecie, utrzymywanym obecnie przez naprawiony, przeprogramowany i znowu ożywiony komputer Studni.

Nathan Brazil westchnął i rozparł się wygodniej na swych mackach. Mavra dokonywała jeszcze ostatnich weryfikacji i po chwili również zrobiła to samo. Praca była skończona.

— Mamy spokój, dopóki jakiś idiota znowu nie zacznie bawić się matematyką Markowa — zauważył kwaśno Brazil. — Jakie masz teraz plany? — zwrócił się do Mavry.

— Muszę odpocząć i wszystko przemyśleć — odparła.

Siódmego dnia nie robili nic.

— Czy już się zdecydowałaś? — zapytał wczesnym rankiem następnego dnia.

— Tak. Tak przynajmniej przypuszczam. Może popełniłam błąd. Nie wiem. Myślę jednak, że powinnam się dostosować do ciebie. Decyzja należy do ciebie. A co z tobą?

— To będzie najzabawniejsza, najciekawsza część. Udać się tam i popatrzeć, jak się rozwijają. Dopiero gdy osiągną jakiś stopień rozwoju, zaczyna się szaleństwo.

— Myślę, że to może być fascynujące — powiedziała ze śmiechem.

— Dobrze. No, to do roboty. W nowym świecie panuje okres przed nastaniem cywilizacji, ale zanim skończymy z tym wszystkim, nastąpi świt cywilizacji. Czy już zdecydowałaś, kim będziesz?

Skinęła głową.

— Myślę, że tym samym. Może będę trochę lepiej dopasowana do prymitywnych warunków, ale chcę być tym samym. A ty?

— Ostatnim razem już sprawdziłem, że nie mógłbym być nikim innym jak tylko sobą. Niezależnie od tego, co by się działo, zawsze wychodzi na to samo.

Postać Brazila zamigotała. Wspaniały, markowiański blask zniknął. Przed komputerem stał Nathan Brazil, prawie nie zmieniony, taki jak dawniej. Jego skóra miała nieco inną barwę, a broda była może nieco bardziej obfita, ale bez wątplenia był to Nathan Brazil.

Dziwne, ale jej markowiański umysł wciąż odbierał nieco z owego dawnego blasku, im dłużej na niego patrzyła.

Teraz jej postać zaczęła migotać i po chwili stanęła obok niego — ciemna, szczupła, gibka, nieco egzotyczna.

— Ta sama dawna dziewczyna? — zażartował. — Nie ciekawi cię nawet, jak to jest być mężczyzną? Mężczyznom jest znacznie łatwiej w prymitywnym społeczeństwie.

Uśmiechnęła się, podeszła do niego i pocałowała. Chwyliła jego dłoń palcami i podniosła do góry. Lekko napięła mięśnie. Małe kropelki jakiejś cieczy wypłynęły spod ostrych paznokci.

— Dam sobie radę — powiedziała.

Uśmiechnął się do niej ciepło, objął ramionami i przytulił.

— Nie wątpię — odpowiedział szczerze.

Nahghkaland, Ziemia

Mężczyzna i kobieta, nadzy i pozbawieni wstydu, szli brzegiem morza. Od czasu do czasu kobieta, nieco drobniejsza od mężczyzny, podnosiła muszelkę lub kolorowy kamyk i ze śmiechem odrzucała je do wody. Był piękny, słoneczny dzień, taki, o jakim zawsze się marzy.

— Jest lepszy niż ten poprzedni — powiedział mężczyzna w języku zupełnie nieznanym na tej rozświetlonej, nowej planecie. — Ciepleszy, bardziej żyzny, bogatszy. Myślę, że tym razem będzie inaczej. Może lepiej.

Roześmiała się miłym, radosnym śmiechem.

— Jak zwykle optymista. Na zawsze optymista.

Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła długo i namiętnie całować. Stał przez chwilę, patrząc jej w twarz, wpatrując się w wielkie, ciemne oczy.

— Z czasem możesz mnie znienawidzić — ostrzegł ją.

— Albo ty mnie — odparła z żartobliwą miną. — Ale nie teraz. Nie dzisiaj. Przecież świeci słońce, jest wspaniałe morze, ptaki śpiewają, wieje ciepły wiatr. Teraz jeszcze nie!

Obydwoje ruszyli dalej plażą, trzymając się za ręce. Ciepła morską woda opukiwała im stopy.

Kobieta zatrzymała się i wskazała na mokry piasek.

— Spójrz — powiedziała ze zdumieniem.

— To tylko piaskowy krab.

— Czy cały czas masz zamiar być tak gderliwy? — zapytała nieco zagniewana.

— Do diabła, nie! — odparł ze śmiechem. — Będzie jeszcze gorzej. Ale nigdy nie będzie zupełnie źle, ponieważ chociaż jestem niezbyt wysoki, ty uczyniłaś się niższą i drobniejszą ode mnie.

Uśmiechnął się. Uśmiechnęła się i ona. Wziął ją za rękę i szli dalej brzegiem.

To jest piękny dzień — myślał. Dobre miejsce, gdzie można żyć, jeżeli już żyć trzeba. Był przecież wciąż Nathanem Brazilem od ponad czterdziestu miliardów lat na tym świecie i w drodze donikąd, nie mając nic, nawet ubrania.

Wciąż czekał.

Wciąż się troszczył.

Ale nie był już samotny.